

Bestseller „New York Timesa“

NORA ROBERTS



SZKLANA WYSPA

Przełożyła: M. L.

Roberts Nora

Strażnicy 03

Szklana wyspa

Dla moich cudownych wnuków

One są przyszłością

On żyje! Czuwa! W grobie śmierć się grzebie,

Nie on!

Percy Bysshe Shelley

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Aleksander Dumas

PROLOG

Spotkały się na okazałym wzgórzu, wysoko ponad światem, pod niebem, roziskrzonym migotliwymi gwiazdami i białą tarczą księżyca.

Spojrzały na zamek, wznoszący się na wzgórzu, na ciemną taflę morza.

– Dwie gwiazdy odnalezione, są w bezpiecznym miejscu. – Uradowana Luna zwróciła twarz ku górze, jakby w podziękowaniu. – Los sprzyja naszej szóstce. Strażnicy mają mężne i szczerze serca.

– Jeszcze nie ukończyli dzieła – przypomniała jej Celene. – A to, czemu będą musieli stawić czoło, wymaga więcej niż szczerego serca.

– Będą walczyli. Czyż nie udowodnili, że są wojownikami, siostrzo? – spytała Arianrhod. – Podjęli wyzwanie. Przelali własną krew.

– Czekają ich kolejne wyzwania. Widzę następne bitwy, widzę przelaną krew. Nerezza i demon, którego stworzyła, pragną nie tylko gwiazd, nie tylko krwi strażników. Marzy im się zagłada świata.

– Zawsze tego chciała – mruknęła Luna. – W głębi serca zawsze tego chciała.

– Osłabili jej siły. – Arianrhod położyła dłoń na wysadzanej klejnotami rękojeści miecza, który miała u boku. – Mało brakowało, a by ją unicestwili. Gdyby nie człowiek, którego przemieniła w demona, już by nie żyła.

– Czyż nie myślałyśmy tak samo – przypomniała siostrze Celene – tamtej nocy, kiedy koronowano królową, tamtej nocy, kiedy stworzyłyśmy gwiazdy?

Rozpostarła ręce, a w dole, na krańcach wielkiego morza, pojawiły się obrazy tego, co się wydarzyło.

– W noc radości – ciągnęła – i nadziei. Każda z nas stworzyła jedną gwiazdę. Gwiazdę Ognia, żeby dać jej mądrość.

– Gwiazdę Wody – dodała Luna – żeby umiała współczuć.

– Gwiazdę Lodu – dokończyła Arianrhod – żeby była silna.

– Nasze moce i nasze nadzieje złożyłyśmy w darze nowej królowej. Ale Nerezza zapragnęła przywłaszczyć sobie te dary.

Na białej plaży, pod białym światłem księżyca trzy boginie stawiły czoło władczyni ciemności. Kiedy wysłały w stronę księżyca swoje gwiazdy, Nerezza zaatakowała niczym czarna błyskawica, żeby je pochwytać, by rzucić na nie klątwę.

– A wtedy rzuciłyśmy klątwę na nią – ciągnęła Celene. – Strąciłyśmy ją w otchłań. Nie zniszczyłyśmy jej, nie mogłyśmy tego zrobić. To zadanie nie dla nas.

– Ochroniłyśmy gwiazdy – przypomniała jej Luna. – Kiedy spadały, Nerezza rzuciła na nie klątwę, ale je ochroniłyśmy. Wprawdzie spadły, lecz pozostały w ukryciu.

– Aż się spotkali ci, których wybrałyśmy, by wyruszyli na ich poszukiwanie, przenieśli je w bezpieczne miejsce. – Arianrhod zacisnęła dłoń na rękojeści swojego miecza. – Żeby razem walczyć z siłami ciemności. I nie bacząc na ryzyko, uratować światy.

– Nadeszła odpowiednia chwila – przyznała jej rację Celene. – Wydobyli Gwiazdę Ognia ze skały, wyciągnęli Gwiazdę Wody z głębin morskich. Ale czeka ich jeszcze jedna próba. Podobnie jak Nerezzę i jej armię.

– Bez względu na jej potęgę, bez względu na jej przymioty, bez względu na wszystko, ta szóstka stawi czoło bogini. – Luna przycisnęła rękę do serca. – A my jedynie możemy się temu przyglądać.

– Takie jest ich przeznaczenie – powiedziała Celene. – W ich rękach spoczywają losy światów.

– Nadeszła odpowiednia chwila. – Arianrhod ujęła dłonie swoich sióstr. – Jeśli okażą się silni i mądrzy, jeśli ich serca pozostaną szczerze, może nadejdzie nasz czas.

– Księżyc jest w pełni, wilczyca wyje do jego tarczy. – Celene wskazała ogon komety, przecinający niebo. – Nadlatują.

– Uzbrojeni w odwagę – powiedziała Arianrhod.

– A tam... – Luna wskazała punkt na skraju szerokiego, ciemnego morza, gdzie na moment rozbłysło światło. – Są bezpieczni.

– Na razie. – Celene zatoczyła ręką koło i niewyraźne obrazy na plaży zniknęły. – Teraz zaczyna się przyszłość.

ROZDZIAŁ 1

Doyle McCleary, nieśmiertelny, nie bał się prawie niczego. Przez większość swojego długiego życia był żołnierzem, walczył w wielu bitwach, nie lękał się więc stawić czoła bogini. Wojownik, z natury samotnik, rozumiał, co to obowiązek i lojalność wobec tych, którzy stoją u jego boku.

Ten mężczyzna, żołnierz, samotnik był świadkiem, jak za sprawą czarnej magii jego młodszy brat stracił życie, a on sam stał się nieśmiertelny. Walczył z szaloną, zachłanną boginią, znał różnicę między ciemnością a światłem.

Nie bał się pokonywać przestrzeni, przenoszony przez towarzysza, mającego zdolność podróżowania w czasie. Pozwolił mu się zabrać, zanim jeszcze zaschła krew z ran odniesionych w bitwie, chociaż wolałby każdy inny sposób podróżowania.

Mimo szumu wiatru, błysków światła, pomimo zapierającego dech w piersiach pędu (musiał przyznać, że nie było to pozbawione emocji) czuł obecność swoich przyjaciół. Czarnoksiężnika, najpotężniejszego, jakiego spotkał w swoim długim życiu, jasnowidzki, dzięki której trzymali się razem, syreny, pełnej czaru, odwagi i dobroci – jej widok był ucztą dla oczu – oraz podróżnika w czasie, lojalnego i dzielnego, a przy tym doskonałego strzelca. I tej mądrej, inteligentnej kobiety – w tej chwili wilczycy, bo kiedy się szykowali do opuszczenia malowniczej wyspy Capri, gdzie stoczyli krwawą batalię, akurat rozpoczęła się pełnia księżyca.

Z gardła wilczycy wydobyło się wycie – nie można było tego inaczej nazwać – ale nie dosłyszał w nim ani cienia lęku, tylko taki sam atawistyczny dreszczyk emocji, jaki i on odczuwał.

Skoro już musiał się sprzymierzyć z innymi poszukiwaczami, połączyć własny los z ich losem, przyznał w duchu, że mógł trafić znacznie gorzej.

Nagle poczuł Irlandię – wilgoć w powietrzu, zieleń – a wtedy dreszczyk emocji znikł. Za sprawą przeznaczenia, zimnego i wyrachowanego, powrócił znów tam, gdzie tyle wycierpiał.

Kiedy się szykował, by stawić temu czoło, zrobić, co należało, wszyscy sześcioro zwalili się na ziemię ciężko jak kamienie.

Chociaż był nieśmiertelny, jednak boleśnie poczuł lądowanie na tyle twarde, że aż zagrzechotały mu wszystkie kości i na chwilę stracił oddech.

– Jasna cholera, Sawyer!

– Przepraszam – rozległ się gdzieś z lewej strony świszczący i zasapany głos tamtego. – To nie takie łatwe. Czy wszyscy cali? Anniko?

– Nic mi nie jest. Ale ty... – Jej głos przypominał łagodną pieśczętę. – Jesteś ranny, jesteś słaby.

– Nie jest tak źle. Leci ci krew.

Promienna jak słońce, uśmiechnęła się do niego.

– Nie jest tak źle.

– Może następnym razem powinniśmy zaopatrzyć się w spadochrony! – Sasha jęknęła krótko.

– Ach, tu jesteś.

Kiedy wzrok mu przywykł do mroku, Doyle zobaczył, jak Bran się przesunął i objął Sashę.

– Coś ci się stało?

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Tylko siniaki i zadrapania. I podczas lądowania zabrakło

mi tchu. Powinnam już się do tego przyzwyczaić. Riley? Gdzie jest Riley?

Doyle przekręcił się, chcąc wstać – i poczuł pod dłonią puszyste futro. Usłyszał ostrzegawcze warknięcie.

– Jest tutaj. – Spojrzał w jej brązowe ślepie. Doktor Riley Gwin, znana archeolog... I wilkołak. – Tylko spróbuj mnie nie ugryźć – mruknął pod nosem. – Nic jej nie jest. Jak nam powiedziała, kiedy przybiera postać wilka, wszystko się goi na niej jak na psie.

Wstał i przekonał się, że chociaż lądowanie było twarde, Sawyer stanął na wysokości zadania. Skrzynie z bronią, ich bagaże, kartony z książkami naukowymi, mapami oraz innymi niezbędnymi rzeczami tworzyły całkiem porządną stos na zimnej, wilgotnej trawie kilka kroków dalej.

I, co najważniejsze dla niego, stał tam też jego motocykl, nic a nic nieuszkodzony.

Zadowolony, wyciągnął rękę do Sawyera, żeby mu pomóc wstać.

– Całkiem dobrze się spisałeś.

– Owszem. – Przyjaciel przesunął palcami po potarganych włosach, wypłowiałych od słońca. I uśmiechnął się od ucha do ucha, kiedy Annika wykonała serię gwiazd. – Widzę, że przynajmniej jednej osobie spodobała się ta podróż.

– Dobrze się spisałeś. – Bran położył dłoń na ramieniu Sawyera. – To nie lada sztuka w ciągu kilku minut przenieść nad morzami i lądami sześć osób, a także cały ten kram.

– Rozboliła mnie od tego głowa.

– Nie tylko.

Bran ucisnął rękę Sawyera – tę, którą przyjaciel złapał za rozwiane włosy Nerezzę, by ją wyprowadzić w podróż w czasie i przestrzeni.

– Zajmiemy się tym i wszystkim, czym należy się zająć. Powinniśmy zabrać Sashę do środka. Trochę drzy.

– Nic mi nie jest. – Ale nie wstała z ziemi. – Tylko kręci mi się w głowie. Proszę, nie – powiedziała szybko, uklękła i nachyliła się nad Riley. – Jeszcze nie teraz. Najpierw zorientujmy się, co i jak. Chce pobiec – poinformowała pozostałych.

– Nic jej nie będzie. Może tu biegać ile dusza zapagnie. – Bran pomógł Sashy wstać. – Te lasy należą do mnie – zwrócił się do Riley. – A teraz również do ciebie.

Wilczyca się odwróciła, zrobiła kilka susów i zniknęła w gęstwinie drzew.

– Może zabłądzić... – odezwała się Sasha.

– Przecież jest teraz wilczycą – przypomniał jej Doyle. – Przypuszczalnie ma lepszą orientację w terenie od nas. Zmieniła się, kiedy wyruszyliśmy w podróż, i musi trochę pobyc sama. Ale czy jest kobietą, czy wilczycą, da sobie radę.

Odwrócił się plecami do lasu, po którym biegał jako dziecko, gdzie polował bądź szukał samotności. Kiedyś były to jego ziemie, jego dom, a teraz wszystko należało do Brana.

Tak, los jest nieczuły i złośliwy.

W domu, wzniesionym przez Brana na dzikim wybrzeżu Clare, Doyle dostrzegł podobieństwa do domu, w którym mieszkało kilka pokoleń jego rodu.

I przypomniał sobie, że jego ród wymarł wiele stuleci temu. Dom i ludzie przemienili się w proch.

W tym miejscu wznosił się teraz okazały dwór, godny wielkiego czarnoksiężnika, jakim był Bran Killian.

Piękna rezydencja, pomyślał Doyle, kilka oryginalnych pomysłów, jak się tego można spodziewać po czarnoksiężniku. Kamienne mury – może częściowo wykorzystano mury dawnego domostwa – wznosiły się na wysokość trzech kondygnacji. Budynek z obu stron zakończony był okrągłymi wieżami, a między nimi ciągnął się mur, okalający dach, z którego

rozpościerał się niesamowity widok na klify, morze, łąd.

Surowy kształt budowli łagodziły – Doyle uznał, że to najważniejsze słowo – ogrody w sam raz dla elfów, pełne kwiatów, których wonie roznosił wiatr.

Doyle pozwolił sobie na chwilę wspomnień i pomyślał, że jego matce bardzo by się to wszystko spodobało.

Szybko jednak powrócił do terażniejszości.

– Piękny dom.

– Piękne okolice. I, jak powiedziałem Riley, jest w równym stopniu wasz, co mój.

Przynajmniej tak uważam – dodał Bran, kiedy Doyle pokręcił głową. – Spotkaliśmy się – ciągnął Bran, a wiatr rozwiewał mu czarne niczym noc włosy, okalające twarz jak wyciosaną z kamienia. – I był w tym jakiś cel. Razem walczyliśmy i przelewaliśmy krew, a niewątpliwie jeszcze będziemy walczyli i przelewali krew. I teraz znaleźliśmy się tu, skąd pochodzisz, a wcześniej coś mi kazało pobudować tutaj ten dom. W tym także jest jakiś cel i wykorzystamy to.

Annika przesunęła pocieszająco dłonią po ramieniu Doyle'a. Jej długie, czarne włosy były splątane po podróży, co czyniło ją jeszcze bardziej ponętną. Na urodziwej twarzy syreny widać było siniaki.

– Pięknie tu. Czuję morze i je słyszę.

– Jest daleko w dole. – Bran uśmiechnął się do niej. – Ale założę się, że bez trudu znajdziesz do niego drogę. Rano lepiej wszystko zobaczysz. Na razie wnieśmy nasze rzeczy do środka i się rozlokujemy.

– Zrozumiałem. – Sawyer pochylił się, wziął kilka pudeł. – Boże, ale jestem głodny!

– Przygotuję coś do jedzenia! – Annika zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go, a potem podniosła swoją torbę. – Branie, czy jest z czego przygotować jakieś jedzenie? Zajmę się tym, kiedy będziesz opatrywał rany.

– Spizarnia jest dobrze zaopatrzona. – Pstryknął palcami w kierunku dużych, podwójnych, łukowato zakończonych drzwi. – Dom stoi przed wami otworem.

– Byleby było piwo. – Doyle wziął dwie skrzynie z bronią, które uważał za najcenniejsze, a potem podążył za Anniką oraz Sawyerem w kierunku domu.

– Cierpi – powiedziała cicho Sasha do Brana. – Czuję jego ból, wywołany wspomnieniami i stratą bliskich.

– Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu. Ale wszyscy wiemy, że jest w tym jakiś cel, iż właśnie tu trafiliśmy, by znaleźć ostatnią gwiazdę i zakończyć naszą misję.

– Bo zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę. – Westchnęła i oparła się na nim, zamknęła oczy błękitne jak letnie niebo, wciąż podkrążone po bitwie i podróży. – Ale Annika ma rację, to piękny dom. Olśniewający dom, Branie. Chcę go namalować, i to nie raz.

– Będziesz miała czas, żeby go namalować tyle razy, ile zechcesz. – Odwrócił ją w swoją stronę. – Powiedziałem, że należy do Doyle'a i Riley tak samo jak do mnie. A także do Anniki i Sawyera. Ale, *fáidh*, przede wszystkim jest twój, tak jak moje serce jest twoje. Czy zamieszkasz tu ze mną, spędzisz tu ze mną przynajmniej trochę czasu?

– Zamieszkać z tobą tutaj i wszędzie, gdzie tylko zechcesz. Na razie jednak powinnam zajrzeć do środka i przekonać się, czy wewnątrz jest równie cudowny jak na zewnątrz.

– Teraz, kiedy tu jesteś, stał się naprawdę domem. – Żeby ją olśnić, Bran machnął dłonią i rozjarzyły się wszystkie okna. Światła zamigotały także wzdłuż ogrodowych ścieżek.

– Aż mi dech zapało! – westchnęła, a potem wzięła torbę ze swoimi przyborami malarskimi. Dla niej one były najważniejsze.

Weszli do środka, do szerokiego, wysoko sklepionego holu z lśniącą, drewnianą podłogą. Na masywnym stole, wspartym na rzeźbionych smokach, stały kryształowe kule i wysoki wazon

z białymi różami.

Za holem znajdował się pokój dzienny z kanapami, stolikami i kryształowymi lampami. Bran jeszcze raz poruszył ręką i czerwone płomienie rozblęły w kamiennym kominku tak wielkim, że Doyle mógłby w nim stanąć wyprostowany, z rękami wyciągniętymi na boki.

Doyle wyłonił się z głębi domu i wznosił toast piwem, które trzymał w dłoni.

– Cóż za luksusy, bracie.

– Masz rację.

– Pójdę po więcej rzeczy, a ty zajmij się Sawyerem. Naprawdę boli go głowa, widzę to. I jest poparzony. Annika też ma więcej obrażeń, niż się do tego przyznaje.

– Ty zajmij się Sawyerem i Anniką – powiedziała Sasha. – A ja pomogę Doyle’owi.

– Jest w kuchni z Anniką. – Doyle spojrział na jasnowidzkę. – Sam dam radę przynieść resztę bagaży. Ty, Blondynko, też ucierpiałas podczas bitwy.

– To nic poważnego. Nic mi nie jest – zapewniła Brana. – Tym razem tylko przez parę minut kręciło mi się w głowie. Reszta to błahostki. Ale chętnie wypiję kieliszek wina, jeśli je masz.

– Naturalnie, że mam. Pozwól, że najpierw obejrzę Sawyera, a potem zajmę się tobą.

Wyszła na dwór razem z Doyle’em, zaczęła podnosić torby, a potem utkwiała wzrok w lesie.

– Wróci, kiedy się wybiega. – Doyle pociągnął łyk piwa. – Ale będziesz szczęśliwa dopiero wtedy, kiedy wszystkie pisklęta wrócą pod twoje skrzydła.

Sasha uniosła ręce, a po chwili je opuściła.

– Tak. To był niesamowity... Dzień.

– Znalezienie drugiej gwiazdy powinno sprowadzić uśmiech na twoją twarz, nie smutek.

– Rok temu jeszcze nie chciałam dopuścić do świadomości tego, kim jestem. Nie wiedziałam o waszym istnieniu, o boginiach światła i ciemności. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam...

– Walczyłaś z czymś, co stworzyła Nerezza, by siać zniszczenie.

– Tam byli również ludzie, Doyle. Istoty ludzkie.

– Opłaceni przez Malmona najemnicy, którzy mieli nas zabić. Zapomniałaś, co zrobili Sawyerowi i Annice w jaskini?

– Nie. – Sasha objęła się mocno ramionami, poczuwszy przenikliwy chłód. – Nigdy tego nie zapomnę. I nigdy nie zrozumiem, jak ludzie mogą torturować i zabijać dla pieniędzy. Dlaczego są gotowi zabijać i ginąć dla zysku. Ale Nerezza to wie. Zna tego rodzaju zachłanność, taką ślepą żądzę władzy. Malmon oddał za to wszystko. Nerezza zabrała mu duszę, jego człowieczeństwo, stał się bezwolnym narzędziem, przez nią stworzonym. Zrobiłaby to samo z nami wszystkimi.

– Ale tego nie zrobi. Nie zrobi, ponieważ nic od nas nie dostanie. Dziś sprawiliśmy jej ból. Dziś w nocy to ona została ranna i teraz broczy krwią. Wcześniej sam szukałem gwiazd, polowałem na nią dłużej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Byłem blisko albo tak przynajmniej mi się wydawało. Ale „blisko” to za mało.

Znów pociągnął długi łyk piwa.

– Nie lubię się powoływać na los lub przeznaczenie jako powód czy wymówkę, jednak pozostaje faktem, że nasza szóstka jest razem, bo tak miało być. Bo mamy odnaleźć Gwiazdy Fortuny i zabić Nerezze. Ty rozumiesz więcej niż reszta. To twój dar i twoje przekleństwo – widzisz i czujesz. Bez twojego daru nie znaleźlibyśmy się tu teraz. Na dodatek strzelasz z kuszy tak, jakbyś się urodziła z łukiem w jednej dłoni i strzałą w drugiej.

– Kto by pomyślał? – westchnęła. Była ładną kobietą, miała długie, wypłowiałe od słońca

włosy i ciemnoniebieskie oczy. W ciągu ostatnich tygodni wyćwiczyła sobie mięśnie i nabrała tężyzny fizycznej. – Czuję twoje cierpienie. I bardzo mi cię żal.

– Dam sobie radę.

– Wiem, że miałeś tu wrócić, znów wędrować po tej okolicy, spoglądać na morze. I nie tylko dlatego, że szukamy gwiazd, nie tylko dlatego, że walczymy z Nerezzą. Może również dlatego, żeby znaleźć pociechę. Chociaż nie jestem tego pewna.

Doyle udał obojętność.

– To, co mnie tu spotkało, wydarzyło się dawno temu.

– Jednak nie było ci łatwo wrócić tu dziś w nocy. Ale ta podróż najtrudniejsza była dla Riley – stwierdziła.

– Uwzględniając fakt, że właśnie stoczyliśmy walkę z boginią i bezwzględną armią jej sługusów, dla nikogo z nas nie była to przejażdżka na karuzeli. Zgoda – dodał po chwili, widząc spojrzenie Sashy. – Było jej trudno.

Wsunął pustą butelkę po piwie do kieszeni zniszczonego, skórzanego płaszcza i podniósł z ziemi walizki.

– Pobiega sobie i wróci przed świtem. Weź, ile możesz, a ja zabiorę resztę. Oboje wiemy, że twoja pomoc bardziej się przyda Branowi przy opatrywaniu ran.

Sasha nie oponowała. Zauważył, że lekko utyka. Wniósł walizki do środka i wziął ją na rękę.

– Ejże!

– Tak będzie szybciej. Czy dom jest dla ciebie wystarczająco duży?

Szli sklepionymi przejściami, mijali pokoje, które się za nimi rozciągały. Wszędzie widać było głębokie, intensywne kolory, w kominkach płonął ogień, migotały lampy, połyskiwało drewno.

– Jest wspaniały. I ogromny.

– Pozwolę sobie zauważyć, że będziecie musieli mieć dużo dzieci, żeby wypełnić ten dom.

– Co...

– Da ci to do myślenia.

Nim mogła coś odpowiedzieć, wniósł ją do kuchni. Sawyer, już nie tak blady, siedział na stołku obok długiej szafki z szarym blatem, a Bran zajmował się oparzeniami na jego dłoniach.

Annika, która mimo zadraśnięć i siniaków wyglądała olśniewająco, sumiennie dusiła kurczaka na olbrzymiej patelni, stojącej na sześciopalnikowej kuchni.

– No dobrze, teraz go zdejmij... – Sawyer urwał i syknął, kiedy Bran dotknął kolejnego bolącego miejsca.

– Usmażę kurczaka i uduszę warzywa. Potrafię to zrobić – upierała się Annika. – Pozwól Branowi działać.

– Pomogę mu. – Sasha trąciła Doyle'a w ramię. – Postaw mnie na ziemi.

Słyszając to, Bran się odwrócił i szybko do nich podszedł.

– Co się stało? Gdzie ją boli?

– Nic mi...

– Lekko utyka na prawą nogę.

– To tylko...

– Posadź ją obok Sawyera.

– To tylko otarcie. Skończ opatrywać Sawyera. Pomogę Annice i...

– Sama dam sobie radę! – Wyraźnie rozdrażniona, Annika przełożyła kurczaka na półmisek. – Lubię się uczyć. Nauczyłam się przygotowywać tę potrawę. Usmażyłam na oleju

kurczaka z czosnkiem i ziołami. Teraz uduszę warzywa. I ugotuję ryż.

– Zdenerwowałaś syrenę – powiedział Doyle i posadził Sashę na stołku. – Pachnie cudownie, moja śliczna.

– Dziękuję. Sasho, mogłabyś spojrzeć na rany Brana, kiedy on opatruje ciebie i Sawyera. Moimi skaleczeniami może się zająć później. A potem zjemy, bo Sawyer musi jeść. Został ranny, jest osłabiony po...

Do jej zielonych oczu napłynęły łzy, odwróciła się szybko w stronę kuchni.

– Anni, proszę! Nic mi nie jest.

Kiedy w reakcji na jego słowa jedynie pokręciła głową, zaczął się podnosić. Doyle jednak z powrotem pchnął go na taboret.

– Zrozumiałem.

Doyle przeszedł po zniszczonej, drewnianej podłodze i pociągnął Annikę za potargane włosy.

Odwróciła się i wtuliła w jego ramiona.

– Wierzyłam. Wierzyłam, ale tak bardzo się bałam. Bałam się, że go porwie.

– Nie dała mu rady. Snajper nie jest w ciemię bity. Zabrał ją na przejażdżkę, a my wszyscy znaleźliśmy się tutaj.

– Tak go kocham. – Westchnęła, uniosła głowę i spojrzała Doyle'owi w oczy. – Tak go kocham.

– Dlatego tu jesteśmy – powiedział Sawyer. – Wierzę w to.

– Potrzeba trochę czasu, żebyś wyzdrowiał – powiedział Bran. – Trochę jedzenia, trochę snu.

– I piwa – dodał Sawyer.

– To się rozumie samo przez się. Teraz ty. – Bran odwrócił się do Sashy.

– Nie widzę tego kieliszka wina.

– Już się robi. – Doyle pocałował Annikę w czoło i skierował ją w stronę kuchni. – Gotuj.

– Dobrze. Będzie bardzo smaczne.

Kiedy Doyle nalewał im wina, Bran podwinął nogawkę spodni Sashy. I rzucił wiązanek przekleństw na widok śladów pazurów na jej łydce.

– Siniaki i zadrapania, tak?

– Słowo daję, że nie zdawałam sobie sprawy... – Wzięła kieliszek, który podał jej Doyle, wypila łyk wina. – Teraz, kiedy to widzę, dużo bardziej mnie boli.

Bran odebrał jej kieliszek, dodał do niego kilka kropli z buteleczki, którą wyjął ze swojej apteczki.

– Pij wolno i oddychaj miarowo – polecił. – Oczyszczanie ran będzie trochę szczypało.

Sasha wypełniła jego polecenie. Poczula ukłucia, jakby użądlił ją rój złych os, i złapała Doyle'a za rękę.

– Przepraszam, *a ghrá*. Przepraszam. Jeszcze tylko minuta. Wdało się zakażenie.

– Nic jej nie jest. Nic ci nie jest. – Doyle zmusił ją, by na niego patrzyła, a Sawyer głaskał ją po plecach. – Masz tutaj niesamowitą kuchnię, Blondynko. Ktoś, kto umie tak gotować jak ty, powinien ze szczęścia robić gwiazdy.

– Tak. Podoba mi się... O Boże... Już nic. Podobają mi się szafki. Nie tylko to, że jest ich pół kilometra, ale również te drzwiczki z szybkami w ołowianych ramkach. Są takie same jak w oknach. Musi to dawać niesamowity efekt za dnia.

– Musi się jeszcze napić – powiedział przez zaciśnięte zęby Bran.

– Wypij do dna. – Sawyer podsunął kieliszek do ust Sashy. – Urządzimy konkurs kulinarny z udziałem ciebie i mnie. I Anni – dodał.

– Przyjmuję wyzwanie. – Po chwili z jej ust wydobyło się długie westchnienie. – Dzięki Bogu – powiedziała, kiedy Bran posmarował ranę kojącym balsamem.

– Wytrzymałaś. – Doyle klepnął ją w ramię.

– Twoja kolej – zwróciła się Sasha do Brana.

– Daj mi chwilę... Sobie też. – Usiadł koło niej. – Zaraz weźmiemy się za siebie nawzajem. A kiedy skończymy i będziemy jeść, mam nadzieję, że Sawyer opowie nam coś ciekawego.

– Wierzcie mi – odparł Sawyer. – To niesamowita historia.

W kuchni znajdował się we wnęcie okiennej długi stół, z jednej strony stała przy nim długa ława, a z drugiej – krzesła. Zasiedli razem do kurczaka, przyrządzonego przez Annikę, z bochenkiem ciemnego chleba, świeżym masłem, piwem i winem.

I wysłuchali opowieści Sawyera.

– Kiedy się uniosłem w powietrze, nawiasem mówiąc, cholernie szybko – zwrócił się do Brana – próbowała odzyskać kontrolę nad tym trzygłowym psem.

– Tym, którego postrzeliłeś we wszystkie trzy łby – przypomniała Sasha.

– Trzy na trzy. – Sawyer zrobił pistolet z palców i powiedział: – Pif-paf. Całą swoją uwagę skupiła na Branie.

– Gdyby wyeliminowała czarnoksiężnika, skończyłyby się magiczne sztuczki. – Doyle spróbował kurczaka. – Nie jest dobry, Anniko.

– Och!

– Jest cholernie dobry.

Roześmiała się i zaczęła z zadowolenia podskakiwać na ławie, kiedy Doyle wziął dokładkę. Potem położyła głowę na ramieniu Sawyera.

– Byłeś taki dzielny.

– Cała sztuka polega na tym, żeby nie myśleć o tym, co się robi. Patrzyła na was i próbowała odzyskać kontrolę nad psem. Nie widziała, że się zbliżam.

Spuścił wzrok i zacisnął dłoń w pięść.

– Złapałem ją za włosy. Unosiły się wokół głowy, więc nie sprawiło mi to trudności. Dopiero wtedy mnie zauważyła i obleciała ją strach. Powinniśmy to sobie zapamiętać. Wziąłem ją z zaskoczenia i zobaczyłem strach na jej twarzy. Nie trwało to długo, ale zawsze.

– Już wcześniej, na Korfu, też ją dopadliśmy. – Bran pokiwał głową, oczy mu pociemniały. – Pokonailiśmy ją, zdobyliśmy pierwszą gwiazdę i sprawiliśmy Nerezzie ból. Powinna nas się bać.

– Tym razem założyła zbroję, czyli nie jest głupia. I ma silny cios. Ty masz swoje pioruny – powiedział do Brana – ale ona też ma swoje sposoby. – Pomasował się po torsie, przypomniawszy sobie ból, jaki mu sprawiła. – Musiałem jedynie wytrzymać. Uznała, że już jej się nie wywinę, i muszę przyznać, że chyba przez minutę pomyślałem, że tak jest. Lecz miała mnie tam, gdzie już nas nie było, bo zacząłem podróż w czasie. To była szalona jazda, naprawdę szalona, ale jestem w tym dobry. Potrafię szybko przenosić się w czasie i przestrzeni, a ona nie ma o tym pojęcia. Nie wie, co się dzieje, kiedy się podróżuje tak szybko, tak nagle. I zaczęła się zmieniać.

– Zmieniać? – zdziwiła się Sasha.

– Złapałem ją za włosy, tak? Za czarne, rozwiane włosy. A podczas tej naszej podróży zaczęły tracić kolor. A jej twarz się zmieniła, jak Dorianowi Grayowi.

– Postarzała się.

Skinął głową, patrząc na Saszę.

– Błyskawicznie posunęła się o kilkadziesiąt lat. Przez chwilę sądziłem, że to tylko

przywidzenia, że wiatr i światła odebrały mi wzrok, ale skóra na jej twarzy stała się obwisła i stwierdziłem, że Nerezza na moich oczach przemienia się w staruchę. Słabła, a jej pioruny ledwo mnie muskały. Opadała z sił, więc ją puściłem. Niemal byłaby mnie pociągnęła za sobą – zostało jej jeszcze tyle mocy. Ale wyrwałem jej się i wtedy spadła. Nie mam pojęcia gdzie, lecz poleciała jak kamień. Nie mogłem się temu przyglądać, bo musiałem wracać.

Odwrócił głowę i pocałował Annikę.

– Naprawdę musiałem wracać.

Sasha ścisnęła go za ramię.

– Czy mogła zginąć?

– Nie wiem, z całą pewnością jednak sprawiłem jej dużo bólu, a ten upadek też pozostawi ślad.

– Zgodnie z legendą ma zginąć od miecza. – Bran wzruszył ramionami. – Ale legendy nie zawsze mówią prawdę. Tak czy owak, mimo odniesionych skaleczeń i guzów... – urwał i spojrzał znacząco na Sashę. – Ona ucierpiała bardziej niż my. Jeśli nadal żyje, powrót do zdrowia zajmie jej trochę czasu, a to działa na naszą korzyść.

– Wiemy, że się boi – wtrącił Doyle. – A ten lęk to nasza kolejna broń przeciwko niej. Lecz nasza misja się nie zakończy, dopóki nie znajdziemy ostatniej gwiazdy.

– To ją znajdziemy. – Bran rozsiadł się wygodnie, zadowolony, czując, że jest u siebie w domu. – I nasze poszukiwania przywiodły nas tutaj.

– Wierzę, że nam się uda – powiedziała Annika. – Znaleźliśmy dwie poprzednie. Ale teraz, kiedy jesteśmy tak blisko celu, nie za bardzo wiem, co zrobimy, kiedy już będziemy mieli je wszystkie.

– Pójdziemy tam, dokąd nas poprowadzi droga. – Bran spojrzał na Sashę, która naląła sobie jeszcze wina.

– Tylko bez presji – mruknęła.

– Wiara – poprawił się Bran. – Najważniejsza jest wiara. A dziś wieczorem jesteśmy wszyscy tutaj, jesteśmy bezpieczni i zjedliśmy pyszną kolację.

Zadowolona Annika posłała mu uśmiech.

– Zrobiłam tyle, że wystarczy dla Riley, jeśli będzie zbyt głodna, by czekać do śniadania. Chciałabym, żeby już tu była.

– Niebawem wróci.

– Wyczuwam ją – oświadczyła Sasha. – Wyczuwam jej obecność. Jest niedaleko, ale jeszcze nie czuje się gotowa, by do nas wrócić. Lecz jest niedaleko.

– W takim razie, jak powiedziałem, wszyscy jesteśmy bezpieczni. I chociaż Sawyer już lepiej wygląda, potrzebny mu teraz wypoczynek. Pokażę wam sypialnie, możecie sobie wybrać te, które wam odpowiadają.

*

Doyle'owi było obojętne, gdzie będzie spał, wziął więc pierwszy z brzegu pokój z oknami wychodzącymi na morze, a nie na las. Stało w nim iście królewskie łoże z wysokimi, toczonymi kolumnami, ale jeszcze nie był gotów do snu.

Otworzył drzwi, które prowadziły na szeroki, kamienny taras, otaczający dom od strony morza, wpuścił do sypialni wilgotne powietrze, pozwolił, żeby szum fal zagłuszył jego myśli.

Wciąż nie mógł się uspokoić. Obawiając się, że wspomnienia nawiedzą go we śnie, przypiął miecz i wyszedł na ciemną noc.

Bez względu na to, jak byli bezpieczni – a wierzył, że chwilowo nic im nie grozi – lepiej zrobić obchód, lepiej zachować czujność.

Ten budynek został wzniesiony dokładnie w tym miejscu, gdzie kiedyś stał jego rodzinny dom, ale z pięć razy większy. Doyle nie mógł udawać, że nie ma to żadnego znaczenia.

Dom stał na urwisku, otoczony kamiennym murem. Z tej strony też był ogród, w powietrzu unosił się zapach rozmarynu, lawendy, szaławii z grządek tuż obok kuchni.

Doyle skierował się w stronę urwiska, pozwolił, by wiatr rozwiewał mu włosy, chłodził twarz. Zielonymi, bystrymi oczami lustrował wzburzone morze, zamglone niebo, księżyc w pełni, sunący po niebie za szarą zasłoną chmur.

Dziś nic nie nadciągnie ani z nieba, ani z morza, uznał. I jeśli spełnią się wizje Sashy – tak jak to się działo do tej pory – znajdą ostatnią gwiazdę tutaj, w jego rodzinnych stronach. Znajdą gwiazdę i sposób, jak zgładzić Nerezzę.

Zakończy wtedy swoją misję, trwającą od stuleci.

I co potem?

Co potem? – pomyślał, kiedy wyruszył na obchód.

Wstąpić do jakiejś armii? Walczyć w innej wojnie? Nie, nie, dosyć wojen, pomyślał. Miał po dziurki w nosie krwi i śmierci. Bez względu na to, jak mógł być zmęczony życiem, przeżywszy trzy stulecia, jeszcze bardziej nie chciał być świadkiem śmierci innych.

Mógłby zająć się tym, na co ma ochotę – gdyby wiedział, na co ma ochotę. Znaleźć jakieś miejsce, by osiąść tam na jakiś czas? Zbudować własny dom? Odłożył na ten cel wystarczające pieniądze. Człowiek, który ma choć odrobinę oleju w głowie, przez tyle lat życia zgromadził jakieś oszczędności.

Ale osiąść gdzieś i co dalej? Od tak dawna prowadził życie tułacza, że nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł gdzieś zapaść korzenie. Przypuszczał, że będzie podróżował, chociaż Bóg mu świadkiem, że już się przez ten czas napodróżował więcej niż ktokolwiek.

I czemu teraz o tym myśli? Jego poszukiwania, jego misja jeszcze się nie zakończyły. Lepiej nie wybiegać myślami zanadto w przyszłość, tylko skupić się na tym, co go czeka jutro.

Znalazłszy się od frontu domu, uniósł głowę i popatrzył. Zobaczył solidny dwór, wzniesiony przez swoich przodków. Zobaczył, jak Bran wykorzystał jego mury, budując swoją siedzibę.

Przez chwilę rozbrzmiewały mu w uszach dawno niesłyszane głosy: swojej matki, ojca, sióstr i braci. Pracowali na tej ziemi, żyli na niej, oddali jej swoje serca.

Starzeli się, chorowali, umierali. Został tylko on.

I było to niewyobrażalnie smutne.

– Chrzanić to – mruknął i się odwrócił.

Zobaczył przed sobą wilczycę, jej ślepie błyszczały w blasku księżyca.

Stała bez ruchu na skraju lasu, piękna i groźna.

Opuścił rękę i odruchowo sięgnął po miecz w pochwie. Przyglądał się wilczycy, a wiatr unosił mu płaszcz.

– Wreszcie wróciłaś. Sasha i Annika bardzo się o ciebie martwiły. Świetnie mnie rozumiesz – dodał, kiedy wilczyca się nie poruszyła. – Jeśli chcesz wiedzieć, Sawyer odzyskuje siły, wypoczywa. Sasha doznała większych obrażeń, niż sądziliśmy. Ach, to cię zainteresowało – powiedział, kiedy wilczyca ruszyła truchtem w jego stronę. – Też odpoczywa, Bran się nią zajął. Nic jej nie będzie – dodał. – Jeden z tych łotrów rozorał jej nogę, wdało się zakażenie, nim Bran opatrzył rany. Ale teraz już wszystko w porządku.

Przyglądał się, jak wilczyca przechyla łeb, obserwując dom tymi swoimi bystrymi, złotobrązowymi ślepiami.

– Jest w nim dużo pokojów, wystarczyłoby łóżek, nawet gdyby nas było dwa razy tyle. Przypuszczam, że zechcesz wejść do środka i sama się przekonać – powiedział jej.

Wilczyca podeszła do dużych frontowych drzwi i się zatrzymała.

– Proszę bardzo. – Doyle otworzył je przed nią.

Rzeczy Riley leżały w zgrabnym stosie.

– Nie zabraliśmy ich na górę, bo nikt nie chciał za ciebie decydować. Jest w czym wybierać.

Wilczyca ruszyła przed siebie, zajrzała na chwilę do salonu, przyjrzała się płomieniom na kominku, a potem skierowała się w stronę schodów. Spojrzała za siebie.

– Domyślam się, że chcesz, abym zatargał twoje manele na górę po schodach?

Wytrzymała spojrzenie Doyle'a.

– Czyli zostałem tragarzem – mruknął i wziął jej marynarski worek. – Resztę wniesiesz jutro sama. – Gdy zaczął iść po schodach, dotrzymywała mu kroku. – Bran i Sasha ulokowali się w okrągłej wieży na końcu korytarza. Sawyer i Annika za tymi pierwszymi drzwiami, w pokoju z widokiem na morze.

Wskazał ręką na drugi koniec korytarza.

– Ja będę spał tam, też w pokoju od strony morza.

Wilczyca ruszyła przez korytarz tam, gdzie była sypialnia Doyle'a. Zatrzymała się na progu, potruchtała dalej, a potem zawróciła i weszła do pokoju z oknami na las, gdzie było łóżko z baldachimem, długie biurko, a także malachitowy kominek.

Doyle rzucił na podłogę jej worek i szykował się do opuszczenia sypialni.

Podeszła do kominka, popatrzyła na niego, a potem obejrzała się za siebie.

– Co? Mam teraz rozpalić w kominku? Chryste.

Nie przestając mamrotać pod nosem, wziął z miedzianego wiadra kilka kostek torfu i ułożył je w palenisku, jak to robił, kiedy był chłopcem.

Było to dość łatwe, wymagało jedynie chwili. A jeśli od tego zapachu coś ścisnęło go w sercu, udał, że nic nie zauważył.

– Jeśli to wszystko...

Podeszła do drzwi prowadzących na mały balkon.

– Znów chcesz wyjść? Na rany Chrystusa, nie ma tu schodów. – Podeszedł do okna i otworzył drzwi balkonowe. – Więc jeśli chcesz się znaleźć na dole, to musisz skoczyć.

Ale tylko wciągnęła powietrze, wróciła do środka i położyła się przed kominkiem.

– Zostawiam otwarte okno. – Ponieważ w swoim pokoju też zostawił otwarte okno, nie mógł traktować tego jak dziwactwo. – Jeśli masz jeszcze jakieś życzenia, musisz z tym poczekać do rana i sama je spełnić.

Skierował się do wyjścia, ale jeszcze się zatrzymał.

– Annika przygotowała dość jedzenia i dla ciebie, jeśli rano będziesz głodna.

Niepewny, co zrobić, zostawił drzwi otwarte i poszedł do swojego pokoju. Nim do niego dotarł, usłyszał, jak zamykają się drzwi jej sypialni.

Cokolwiek to znaczy, pomyślał, Sasha ma wszystkie kurczaki w kurniku.

ROZDZIAŁ 2

Riley obudziła się o pierwszym brzasku, czując wilczy głód i przejmujący chłód. Ogień w kominku zgasł; deszcz bębnił w balkon za otwartymi drzwiami.

Leżała na podłodze przed kominkiem, naga, zdezorientowana. Moment transformacji był tak gwałtowny, że rzadko go przesypiała. Zdarzało jej się to tylko wtedy, kiedy była skrajnie wyczerpana.

Zesztywniała, dygocząca z zimna, wstała, przesunęła ręką po krótkich, brązowych zmierzwionych włosach i rozejrzała się wkoło. Jej umysł, sposób rozumowania, jej podświadomość działały bez zarzutu, kiedy przybierała postać wilczycy, toteż wybrała nocą ten pokój nie tylko dlatego, że znajdowało się w nim wielkie, wygodne łóże, ale również z uwagi na stojące tutaj biurko.

Potrzebowała wygodnego miejsca do pracy.

Ale to może poczekać. Teraz musiała się ubrać i, na Boga, coś zjeść. Pomijając fakt, że pościła od zachodu do wschodu słońca – taka niezłomna zasada obowiązywała w jej watasze – to jeszcze metamorfoza z kobiety w wilczycę, a potem z wilczycy w kobietę pochłaniała mnóstwo energii.

Teraz było jej słabo, dygotała, ale czuła wdzięczność dla Doyle'a, że wprawdzie niechętnie, ale wniósł na górę jej worek. Otworzyła go, wyciągnęła pierwsze majtki, które wpadły jej w ręce, stare brązowe spodnie, spłowiałą bluzę z napisem OXFORD oraz ciepłe, grube skarpety, które ciotka robiła na drutach przez cały rok, by podarować je Riley na urodziny.

Miała ochotę na prysznic, gorący, długi prysznic, lecz jeszcze bardziej potrzebowała zastrzyku energii.

Po cichutku wyszła z pokoju i rozejrzała się po korytarzu. Musi znaleźć kuchnię. Nie wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje, ale zeszła po schodach.

Uznała, że Bran naprawdę z głową pobudował ten dom na irlandzkim wybrzeżu. Nie tylko zdumiewał wielkością, ale również stylem i wykonaniem. A sprytne magiczne rozwiązania tu i tam świadczyły o wyjątkowym darze jego właściciela.

Celtyckie węzły wykorzystano w charakterze ozdób. Podobnie jak smoki i zmysłowe duszki. Do tego mocne, zdecydowane kolory, solidna stolarka, interesujące dzieła sztuki. Riley przypomniała sobie, że musi się szczególnie uważnie przyjrzeć dwóm obrazom.

Dwóm dziełom Sashy, w których Bran, za pomocą swoich magicznych sztuczek, umieścił gwiazdy. Bezwzględnie ufała mu, że są bezpieczne, ale chciała je zobaczyć na własne oczy.

Lecz najpierw przeszła przez dom, przyciskając rękę do pustego brzucha. Uznała, że kuchnia najprawdopodobniej znajduje się w głębi budynku, więc skierowała się w tamtą stronę.

Minęła gabinet, urządony w męskim stylu – dużo skóry w odcieniach czekolady, ciemnozielone ściany, masywne biurko. Zaskoczyło ją też pomieszczenie z wielkim fortepianem i wiolonczelą – zawsze chciała się nauczyć grać na wiolonczeli – kolekcją bodhránów, czyli irlandzkich bębnow obręczowych, fletami i skrzypcami. Salon, chociaż przestronny, wyglądał bardzo przytulnie, a na widok biblioteki Riley prawie zapomniała o głodzie.

Wszędzie były wysoko sklepione, szerokie przejścia, lśniące podłogi, a także kominki, gotowe, by zaoferować ciepło i światło.

Ilu ten człowiek potrzebuje pomieszczeń? – zadała sobie w duchu pytanie. W końcu znalazła kuchnię.

Nie tylko kuchnię, w której niczego nie brakowało, lecz również wielgachną bawialnię ze

skórzanymi kanapami i fotelami oraz ogromnym ekranem telewizyjnym na ścianie. A po drugiej stronie kuchni? Tam był salon gier ze stołem bilardowym i z barem – z pewnością z jakiegoś cudownego, starego pubu – oraz dwoma zabytkowymi flipperami, na których widok znów zapomniała o głodzie.

Mogła spędzić w tym jednym wielkim pomieszczeniu resztę swego życia. Szczególnie zachwyciły ją szerokie, przeszklone drzwi, przez które można było podziwiać niebo, w tej chwili zasnuwane chmurami, i wzburzone morze.

– Nie można ci odmówić klasy, Irlandczyku – mruknęła i niemal się rzuciła na owoce, artystycznie ułożone w szerokiej, drewnianej misie. Jedząc brzoskwinie, uchyliła podwójne drzwi lodówki.

I znów się rzuciła na jedzenie.

Otworzyła pojemnik z tym, co zostało z kolacji, znalazła widelec i pochłonęła na zimno przygotowanego przez Annikę kurczaka z ryżem, popijając go colą. I niemal zakręciło jej się w głowie, kiedy jej organizm z wdzięcznością przyjął dawkę białka i kofeiny.

Kiedy zaspokoili pierwszy głód, przyjrzała się uważnie ekspresowi, stojącemu na szafce, i postanowiła zaparzyć kawę. Kawa już się parzyła, gdy Riley usłyszała czyjeś kroki. Starła się zapanować nad odruchem niechęci, bo z przyjemnością podelektowałyby się jeszcze godzinką ciszy i samotności.

Ale do kuchni weszła Sasha; Riley zobaczyła ulgę w oczach przyjaciółki, a wtedy zrobiło jej się głupio, że chciała jeszcze pobyć sama.

– Muszę się napić kawy – powiedziała.

– Ja też. Jak się czujesz?

Riley wzruszyła ramionami. Wyjęła kubeczki z szafki z przeszklonymi drzwiczkami.

– Dobrze. Zjadłam to, co zostało z kolacji przygotowanej przez Annikę, więc czuję się dobrze.

A kiedy Sasha od tyłu objęła ją ramionami, Riley zrobiło się jeszcze bardziej głupio.

– Musiałam w nocy pobiegać.

– Wiem, wiem. Poczułam, że wróciłaś, więc wszystko dobrze. Wciąż jesteś głodna?

– Zaspokoili pierwszy głód, dziękuję. Jak się czujesz? Też trochę oberwałaś.

– Bran się tym zajął. Sawyer jest poparzony.

– Tak, wiem. Ale wszystko z nim w porządku?

– Tak jak z nami wszystkimi. Mam nadzieję, że pośni jeszcze kilka godzin. Myślałam, że ty też dłużej pośpisz.

– Prawdopodobnie później się zdrzemnę. Musiałam coś zjeść. – Najedzona Riley oparła się o szafkę i powiedziała z uśmiechem: – Niczego sobie dom.

– Jest niesamowity, prawda? – Sasha, trzymając kubek z kawą, zaczęła chodzić po kuchni. – Nie widziałam nawet połowy... I chcę wyjść na dwór, pomimo deszczu, żeby nasycić wzrok. To cudowne miejsce. Spałam z czarnoksiężnikiem w komnacie w wieży. Czy może być coś cudowniejszego?

– Spałaś czy się kochałaś?

Sashy zaświeciły się oczy.

– Jedno i drugie.

– Wiedziałam, że nie wytrzymasz i zaczniesz się przechwalać. – Riley podeszła do przeszklonych drzwi, spojrzała na drobny deszcz i szare morze. – Może być gdzieś tam. W wodzie albo pod wodą, jak dwie poprzednie. Kolejna wyspa, czyli to nie przypadek. Muszę zorganizować dla nas łódź.

Sasha podeszła do niej i też wyjrzała na dwór.

– Dziękuję, że nie zapytałaś, ale i tak ci odpowiem. Nie wiem. Nic nie czuję, przynajmniej na razie.

– Dopiero co tu dotarliśmy. Powinniśmy mieć trochę czasu, żeby się przygotować, zanim Nerezza znów nas dopadnie.

– Sawyer powiedział, że kiedy podróżował z nią w czasie, nieźle mu przyłożyła. Można się było przekonać, jak nieźle. Ale powiedział również, że opadła z sił i się postarzała, nim ją puścił.

Riley pokiwała głową, napiła się kawy.

– Należało się tego spodziewać. Po tym, jak jej złoiliśmy skórę na Korfu, na jej głowie pojawiło się pasmo siwych włosów, a na twarzy zmarszczki. Może tym razem będziemy mieli do czynienia ze staruchą, której nawet już nie starczy sił, żeby nas trzepnąć. Nie – dodała. – Nie wierzę w to.

– Mamy dwie gwiazdy, dwukrotnie ją pokonaliśmy. Znajdziemy trzecią.

– Optymizm to dobra rzecz.

Sasha spojrzała na Riley.

– Ty nie jesteś optymistką?

– Pozytywne myślenie nie jest złe. To użyteczne narzędzie, o ile masz coś na jego wsparcie. – Riley wskazała ręką. – Jest tu dużo miejsca na treningi. Od frontu, od strony lasu więcej, ale za domem też. Możemy tam rozstawić przyzwoite tarcze strzelnicze. No i jeszcze las. Z tego, co widziałam ostatniej nocy, że dwa, dwa i pół hektara prywatnego lasu. Jesteśmy w Irlandii, więc prawdopodobnie często przyjdzie nam ćwiczyć w deszczu.

Kiedy Sasha nic nie powiedziała, Riley rzuciła jej uważne spojrzenie.

– Dopiero co się tutaj znaleźliśmy. Wszystkim nam należy się porządny odpoczynek. Ja jestem trochę nakręcona – przyznała. – Wielka, krwawa bitwa, pełnia księżyca, transformacja.

– Czy czułaś się inaczej, podróżując pod postacią wilczycy?

– Było to na swój sposób ekscytujące i dziwaczne, przynajmniej na początku, bo podczas naszego lotu goiły się moje obrażenia, więc niezbyt mogłam się skupić. Lądowanie było twarde, straciłam równowagę.

– Słyszałam.

– Potem musiałam się wybiegać. Lubię sprawdzić, gdzie jestem, przed początkiem pełni, bo wtedy wiem, gdzie mogę bezpiecznie pobiegać. Bo musiałam się wybiegać. Na szczęście, jak powiedziałam, ciągną się tu hektary prywatnego lasu. Złowiłaś grubą, zaczarowaną rybę, Sash.

– Z twoją pomocą.

– Z moją pomocą? Nie przypominam sobie, żebym zastawiała jakieś sidła w twoim imieniu.

– Byłaś moją przyjaciółką. Moją pierwszą przyjaciółką, która wie, kim jestem, zna mój wyjątkowy dar i zaakceptowała mnie taką. Udzielałaś rad, słuchałaś mnie, okazałaś mi troskę. Wszystko to pomogło mi stać się wystarczająco silną i mądrą, żeby samej zastawić te sidła.

– Czyli jesteś moją dłużniczką.

Sasha się roześmiała i objęła Riley ramieniem.

– Tak. Odplacę ci się, przynajmniej częściowo, szykując śniadanie. Ponieważ jesteśmy w Irlandii, przygotuję specjalność Brana, czyli tradycyjne irlandzkie śniadanie.

– Zgoda. Ja muszę najpierw wziąć prysznic. Nie miałam okazji po naszej ostatniej bitwie.

– Nie ma pośpiechu. Chcę się najpierw przejść po domu. Wczoraj wieczorem prawie nic nie widziałam.

– Czy Bran gra na pianinie?

– Nie wiem. Czemu pytasz?

- Ma prawdziwe cacko. Wiedeński fortepian z połowy dziewiętnastego wieku.
- Czy ty się znasz na wszystkim?
- Prawie na wszystkim. Ma też wiolonczelę, skrzypce, altówki, flety i wyjątkową kolekcję irlandzkich bębnow bodhrán. Z pewnością gra na jakimś instrumencie.
- Nigdy o tym nie wspomniał, więc będę musiała go zapytać. A ty grasz na czymś?
- Oczywiście na pianinie, chociaż minęło trochę czasu od ostatniego razu. A tam jest salon gier, naprawdę odlotowy. I niesamowita biblioteka.
- Mam wrażenie, że lepiej ode mnie poznałaś dom.
- Ale się nie kochałam.
- Racja.

Sasha się odwróciła, kiedy weszła Annika – z rozpuszczonymi włosami, w zwiewnej sukience, bosa.

- Riley! – Jakby się nie widziały od lat, Annika podbiegła do przyjaciółki i ją objęła.
- Dzień dobry.
- Martwiliśmy się. Doyle mówił, żeby się nie martwić, bo wrócisz. Ale i tak się martwiliśmy. No i jesteście! Dzień dobry.
- Jak możesz tak wyglądać przed napiciem się kawy?
- Nie lubię kawy. Ale lubię poranki. Sawyer jeszcze odpoczywa, lecz czuje się znacznie lepiej. Wystarczająco dobrze, żeby móc się kochać. Chociaż starałam się być bardzo delikatna.
- Seks. – Riley pokręciła głową. – Zawsze chodzi o seks. Powiedz mi coś więcej... Nie, powiesz mi więcej, kiedy wezmę prysznic.
- Czasami lubię być na wierzchu... Na górce – poprawiła się Annika. – Wtedy można się kochać wolno i delikatnie. I mogę mieć wiele orgazmów.
- No tak. – Riley westchnęła. – Może to będzie dłuższy prysznic, niż początkowo planowałam.

Kiedy Sasha się roześmiała, a Riley pospiesznie wyszła, Annika uśmiechnęła się, wyraźnie zbita z tropu.

- Nie rozumiem. Czy musi się dokładniej umyć?
- Nie, miała na myśli... Wytlumaczę ci to, ale muszę wypić więcej kawy.

*

Najlepszą rzeczą w życiu po gorącym prysznicu jest gorący posiłek. Nim Sasha z pomocą Anniki przygotowała śniadanie, wszyscy zebrali się w kuchni.

- Riley, schodząc, poczuła zapach boczku i usłyszała rozmowy.
- Trzymam tu samochód – mówił Bran. – Pomieści nas wszystkich, ale będzie trochę ciasno.
- Ja mam swój motor – wtrącił Doyle. – I mogę wziąć jednego pasażera.
- Racja. Mogę załatwić dla nas furgonetkę, na wypadek gdybyśmy musieli pojechać gdzieś dalej jednym pojazdem. A oto i ona – dodał Bran, kiedy weszła Riley. – Sasha mówi, że wykurowałaś się i odpoczęłaś. A czy znalazłaś pokój, jaki ci odpowiada?
- Tak, dziękuję. Wybrałam sobie ten z dużym biurkiem, z oknami na las. To niesamowity dom, Irlandczyku – powiedziała, nalewając sobie drugi kubek kawy.
- Zgadza się. Pomyślałem: czemu budować mały dom? A kiedy zjeżdżają się tu moi krewni, okazuje się, że wcale nie jest taki duży. Po śniadaniu oprowadzę was.
- Słyszałem, że ktoś tu wspomniał o jedzeniu. – Sawyer wyjął z piekarnika półmisek z jajkami i smażonymi ziemniakami; pozwolił, by ktoś inny wziął drugi, z mięsem i grzankami.
- Annika ozdobiła stół we wnęce okiennej serwetkami, złożonymi w kształt serc,

z drewnianych patyczków do szaszłyków zrobiła tipi, przystroiła je małymi kwiatkami, a na samej górze zatknęła biały pęk róży. Świecek do podgrzewaczy też ustawiła tak, by tworzyły serce, a do środka nasypała płatków róż.

Zaklaskała w dłonie, gdy Bran, pstryknąwszy palcami, zapalił świecek.

– Ogrody wyglądają tak ślicznie w deszczu – powiedziała mu. – Gdybym ja zamieszkała w takim zamku nad morzem, nigdy nie chciałabym stąd wyjeżdżać.

– Lubię mieć świadomość, że mogę tu wracać.

– Annika lubi deszcz. – Sawyer nałożył sobie jedzenie na talerz. – Muszę przyznać, że będzie mi brakowało słońca.

– A ja cieszę się z deszczu. – Sasha podała półmisek Doyle’owi. – Będziemy mieli czas na przegrupowanie sił.

– Jesteśmy w Irlandii – przypomniała im Riley. – Prawdopodobnie czeka nas więcej deszczowych dni. Ale racja, przyda się małe przegrupowanie sił. Sawyer, orientujesz się, gdzie ją porzuciłeś?

– Nie mam bladego pojęcia. Ale nieźle ucierpiała, kiedy ją puściłem.

Jedząc, powtórzył jej to, co już opowiedział pozostałym.

– Doskonale. Jeśli ją trafić w czuły punkt, traci grunt pod nogami. Powinniśmy zyskać nieco czasu. A co z Malmonem? A raczej tym, kim się stał?

– Wymknął się – powiedział Doyle. – Jest silniejszy i szybszy, niż był kiedyś.

– Czy bez niej też taki będzie? – zastanawiała się na głos Riley. – Oto jest pytanie.

Zakładam, Branie, że zabezpieczyłeś ten dom.

– Twoje założenie jest słuszne.

– Czyli gwiazdy są tutaj bezpieczne.

– Tak. Pokażę ci je, bo chcesz się przekonać na własne oczy. Sądzę, że wybrałaś swój pokój z myślą o miejscu do pracy i będziesz z niego korzystać. Ale jest tu pomieszczenie, w którym też możesz pracować.

– Naprawdę?

– W północnej wieży. Pójdziemy tam po śniadaniu.

– Pomyśleć, że jest tu wieża północna. – Sawyer uśmiechnął się od ucha do ucha i dołożył sobie boczkę. – I południowa. A spójrzcie tam. – Wskazał palcem flippery.

– Widziałam. Później cię ogram.

– Będziesz próbowała – powiedział Sawyer do Riley. – Ale ci się nie uda. Potrzebny nam nowy grafik zajęć.

Sasha skinęła głową.

– Zajmę się tym dziś przed południem, a ponieważ razem z Anniką przygotowaliśmy śniadanie, niniejszym wyznaczam Riley i Doyle’a do sprzątnięcia po posiłku. Rzuciłam okiem na zapasy jedzenia i środków czystości. Na razie wszystkiego jest aż za dużo, więc odpadają zakupy dla domu.

– Chciałabym się wybrać na zakupy w Irlandii.

Riley uniosła brwi i popatrzyła na Annikę.

– Gdyby zakupy były dyscypliną olimpijską, zgarnęłabyś wszystkie medale. Ale wcześniej czy później będzie ci potrzebne coś przeciwdeszczowego.

– W przedsiönku jest kilka zapasowych parasoli i płaszczy nieprzemakalnych – powiedział Bran. – Będziemy musieli trochę pojeździć po okolicach. Znam te strony i pobliskie wioski, ale nigdy nie myślałem o nich jako o miejscu ukrycia gwiazdy.

– Będziemy potrzebować więcej amunicji – wtrącił Doyle.

– O tym też nigdy nie myślałem, mieszkając tutaj.

– Znam tutaj kilka osób. – Riley wzruszyła ramionami. – Podzwonię tu i tam.
– To równie wielka niespodzianka jak zamiłowanie Anniki do zakupów. Podczas ostatniej bitwy straciliśmy sporo beltów – ciągnął Doyle. – I mnóstwo pocisków.

– Zajmę się tym, a jak rozpakuję swoje książki i mapy, przystąpię do...

– Czy mogę prosić o moment uwagi? – przerwała jej Sasha. – Wiem, że nie możemy spocząć na laurach. Wiem, że musimy wykorzystać czas, nim Nerezza znów nas zaatakuje. Ale czy nie możemy chociaż przez krótki okres cieszyć się obecną chwilą? Siedzimy wszyscy wokół tego stołu, stoczywszy walkę, która była właściwie nie do wygrania, ale udało nam się zwyciężyć. I jesteśmy w miejscu, gdzie ukryliśmy dwie gwiazdy. Uważam, że to prawdziwy cud. Ciężko zapracowaliśmy na ten sukces, ale i tak to cud.

– Masz rację. – Bran spojrzał jej w oczy, a potem powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych. – Cieszymy się z tego, co mamy tu i teraz. To sprawi, że staniemy się silniejsi.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzucił od niechcienia Doyle, a potem popatrzył na Sashę.
– Kiedy będziesz robiła grafik zajęć, zarezerwuj czas i miejsce na codzienne treningi. Łącznie z kalisteniką.

Sasha westchnęła ciężko.

– To okrutne, Doyle.

– Ej, mnie również coś się należy. Zahartowałaś się, Blondynko, ale na skąpanej w słońcu wyspie. Przekonamy się, jak ci wyjdzie pięćdziesiąt przysiadów i pompek w deszczu.

– Może znajdzie się na to sposób. Jeśli już skończyliście jeść, pokażę wam wszystko – zaproponował Bran – łącznie z gwiazdami. Według mnie sprzątanie po śniadaniu może trochę zaczekać.

– Według mnie może zaczekać nawet całą wieczność.

– Jesteś nieśmiertelny, więc masz przed sobą całą wieczność – przypomniał Doyle'owi Sawyer, ale ujął dłoń Anniki i wstał. – Głosuję za obejrzeniem domu.

– W takim razie zacznijmy od góry. – Bran podniósł się i wyciągnął rękę do Sashy. – Mam wam dużo do pokazania.

Podążyli schodami w górę. Na drugim piętrze Bran skręcił w prawo.

– Wyście na dach – wyjaśnił. – Widok jest niesamowity, nawet w deszczowy dzień.

Wcale nie przesadzał, pomyślała Riley, kiedy otworzył grube drzwi i wyszli na deszcz.

Z szerokiego, płaskiego dachu roztaczał się widok na wszystkie strony świata.

Stalowszare morze gniewnie biło o skały i wysoki brzeg. Łoskot fal odbijał się od grubej warstwy chmur, wolno sunących po niebie.

Kiedy się odwróciła, dostrzegła za szarą zasłoną mgły słabe zarysy wzgórz i las, zielony, pełen cieni, ten, po którym biegła ostatniej nocy. Za nim zobaczyła teraz jedną czy dwie chaty, pastwiska z punkcikami owiec i cienkie smugi dymu z kominów w domach, gdzie rozpalono ogień w ten deszczowy, letni dzień.

– Doskonale – odezwał się Doyle, stojący tuż za nią. – Nawet w taki dzień wypatrzymy stąd atak z odległości kilometra. I jesteśmy na wzgórzu, osłonięci z jednej strony przez las, a z drugiej przez morze.

Zrobił kilka kroków, wyrztał przez zwieńczony blankami mur.

– To też można wykorzystać.

– Czuję zapach morza – powiedziała Annika.

– I słyhać je – wtrącił Sawyer. – Wypłynięcie łodzią w taki dzień może być niełatwe.

– Załatwię dla nas łódź i sprzęt do nurkowania – machinalnie oświadczyła Riley. – Czy to cmentarz? Tam, na godzinie dziesiątej? Jak myślicie, czy jest bardzo stary?

Zbyt późno się zreflektowała. Przecież to ziemia, która należała do przodków Doyle'a.

Przeklinając sama siebie, zwróciła się w jego stronę.

– Przepraszam. Nie pomyślałam.

– Najstarszy jest grób mojej prababki, która zmarła w tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim roku, wydając na świat szóste dziecko. Czyli stosunkowo stary. Chociaż archeolodzy zwykle szukają czegoś z bardziej zamierzchłych czasów, prawda?

– To zależy.

– Tak czy owak – ciągnął, jakby w ogóle się nie odezwała – dom ma dogodne położenie z punktu widzenia strategii.

– Zanim wszyscy utoniemy w deszczu, pozwólcie, że wam pokażę jeszcze coś, co może się okazać przydatne.

Bran znów poprowadził ich do środka, Sasha przesunęła dłonią po ramieniu Riley. Gdy ta udała, że mierzy do siebie z pistoletu, Sasha pokręciła głową i ścisnęła ją za ramię.

Potem obie przyspieszyły kroku, usłyszawszy okrzyk zachwytu Anniki.

Skierowały się tam, skąd dochodził głos ich przyjaciółki, i znalazły się w pomieszczeniu z kilkoma świetlikami.

– A niech mnie! – Riley nie zrobiła serii przerzutów przed ścianą z luster, jak niekryjąca zachwytu Annika, tylko zatarła dłonie.

W fantastycznej sali gimnastycznej z bambusową podłogą w kolorze miodu znajdowały się najróżniejsze przyrządy do ćwiczeń. Dwie bieżnie i dwa orbitreki, a także poziomy rower stały pod oknami mokrymi od deszczu. W jednym kącie królowały taśmy do ćwiczeń „w zawieszeniu”, w drugim – lodówka z przeszklonymi drzwiczkami, wypełniona wodą i napojami energetycznymi.

Były tu również ławki treningowe, hantle, stos zwiniętych mat do jogi, kule, piłki lekarskie i piłki do ćwiczeń.

– Och, jak mi was brakowało – powiedziała Riley i wzięła ze stojaka pięciokilogramowe hantle.

– Uważam, że podczas niesprzyjającej pogody można tu ćwiczyć kalistenikę – stwierdził Bran.

Doyle skwitował jego słowa wzruszeniem ramion.

– Bitwy toczy się zarówno w brzydką pogodę, jak i w ładną. Ale... Przyda się. Hmm, drażek do podciągania...

– O cholera – mruknęła Sasha, wywołując tymi słowami uśmiech na jego twarzy.

– Może go wypróbujesz, Blondynko? Pokaż nam, na co cię stać.

– Wciąż jeszcze rozkoszuję się chwilą.

– W takim razie jutro skoro świt. Uwzględnię w treningu sprzęt, hantle też są mile widziane. Ale będziemy biegać na zewnątrz bez względu na pogodę. Ćwiczenia na urządzeniach nie pozwalają poczuć ziemi pod stopami.

– Ściany są takie lśniące! – Annika zręcznie wykonała przed lustrem idealny przerzut. – Lubię patrzeć, jak to wygląda.

– Ja też bym lubiła, gdybym to robiła z takim wdziękiem jak ty. – Po kilku ćwiczeniach Riley odłożyła hantle na miejsce. – Można z niej korzystać o każdej porze, Irlandczyku?

– Należy do ciebie w równym stopniu, co do mnie.

– Dobra. Później zamierzam trochę poćwiczyć. To moja chwila, którą się będę rozkoszować – zwróciła się do Sashy.

– Różni są ludzie na tym świecie. Ja zamierzam rozstawić sztalugi.

– À propos sztalug i obrazów... – Riley odwróciła się do Brana.

– To następny punkt programu. Powinienem wam powiedzieć, że za tymi drzwiami jest

strefa mokra.

– Mokra? – powtórzyła Annika, zgrabnie lądując na nogach.

– Łazienka parowa, jacuzzi, prysznic i szatnia. Niestety, nie ma basenu.

– Och, nie szkodzi. Morze jest tak blisko.

Bran uśmiechnął się, wskazując drzwi.

– Na tej kondygnacji jest kilka składzików – powiedział, wyprowadzając ich z sali gimnastycznej. – Sypialnie, pomieszczenie dzienne.

– Jak liczną masz rodzinę? – spytał Sawyer.

– Uwzględniając kuzynów? – Roześmiany Bran zatrzymał się przed drzwiami w okrągłej ścianie – były zrobione z ciemnego drewna, wyglądały na bardzo stare, bez klamki, bez zawiasów. – Chyba dobrze ponad sto osób.

– Sto?!

Znow się roześmiał, widząc reakcję Sashy.

– Już za późno, żebyś się wycofała, *mo chroí*.

Wyciągnął rękę w stronę drzwi, dłonią na zewnątrz. Powiedział coś po irlandzku. Słyszając to, Doyle obrzucił go baczny spojrzeniem.

– „Otwórzcie się przede mną i przed moimi przyjaciółmi”.

Po tych słowach niebieska błyskawica przecięła drzwi.

I stanęły otworem.

– Lepsze od zamków z atestem, sztab i psa stróżującego – skwitowała Riley.

– Otworzą się tylko przed jednym z nas. Podobnie jak drzwi do tej wieży na parterze i na pierwszym piętrze. To, co się w niej znajduje, nie dostanie się w niepowołane ręce.

Bran ruchem ręki zaprosił ich do środka.

Riley nie wydała okrzyku zdumienia, ale mało brakowało.

Jego miejsce pracy, pomyślała, albo warsztat czarnoksiężnika. Gabinet sztukmistrza.

Obojętnie, jak to nazwać, widać tu klasę. Jak w całym domu.

Pomieszczenie przypominało wieżę w wieży, co fizycznie było niemożliwe.

Ale dla czarodzieja nie ma rzeczy niemożliwych.

Na półkach stały buteleczki, słoje, pudełka. Riley rozpoznała kilka roślin pod lampami o niesamowitym świetle, kielichy, rytualne noże, kociołki i miseczki.

Kryształowe kule i włócznie. Oprawione w skórę księgi, niektóre prawdopodobnie sprzed paru wieków. Zwierciadła, świece, amulety, posągi.

Miotły, zauważyła, kości, runy i karty do tarota.

A nad kamiennym paleniskiem wisały obrazy Sashy.

Naturalnie, że tutaj, pomyślała Riley. Czary, czary, czary. Doskonałe zabezpieczenie przed intruzami.

– Powiedziałem ci, że kupiłem twój pierwszy obraz, zanim cię poznałem, zanim cię spotkałem. – Kiedy przyglądali się obrazom, Bran położył dłoń na ramieniu Sashy. –

Zobaczyłem go w pewnej galerii sztuki w Nowym Jorku i zapragnąłem mieć. Musiałem go kupić – poprawił się. – Przedstawia leśną ścieżkę, którą tak dobrze znam, ścieżkę prowadzącą tutaj.

Chociaż tylko ja wiedziałem, że tu prowadzi. Często nią się przechadzałem, idąc ku temu światłu, które tak pięknie namalowałaś. Zamierzałem powiesić ten obraz w swoim nowojorskim mieszkaniu, żeby mi o tym przypominał. Ale już wtedy ściągnąłem go tutaj. I umieściłem w najważniejszym dla mnie miejscu.

– Przyśniła mi się. – Dawno temu, kiedy była taka samotna, na długo przed tym, nim go spotkała. – Przyśniła mi się ta ścieżka i drzewa, i światło, ale nie wiedziałam, co się znajduje na jej końcu. Aż do tej pory.

– A drugi, obok tamtego, też przedstawia twoje wizje, które przywiodły nas tutaj. Nie tylko do domu, ale do trzeciej gwiazdy. Znajdziemy ją tutaj.

Obraz przedstawiał to, co znajduje się na końcu ścieżki, pomyślała Riley. Okazały dom, w którym teraz byli, skąpany w delikatnym świetle, otoczony ogrodami, wznoszący się nad wzburzoną morzem.

Do trzech razy sztuka, uznała, i nie dotyczy to tylko gwiazd. Czy Sasha namaluje trzeci obraz?

– W twoich wizjach, w twoich obrazach gwiazdy świecą i nic ani nikt im nie zagraża.

Bran uniósł obie ręce. Obrazy zamigotały od kolorów, które się na nich pojawiły: czerwony na ścieżce, niebieski na domu. I spłynęły z tamtego świata do jego dłoni, zamknięte w szklanych kulach, jasne i śmiałe jak prawda.

– Jesteśmy ich strażnikami – powiedział Bran. – A trzecia czeka, aż ją odnajdziemy.

– Nawet kiedy wszystkie trzy – z ognia, wody, lodu – trafią w ręce strażników, nie będzie to jeszcze oznaczało końca walk. – Oczy Sashy pociemniały. – Kiedy znajdziemy wszystkie trzy, bo trzy stworzono, trzy podarowano światom, siły ciemności nadal będą żądne krwi, żądne zabijania. Tylko wspólnie możemy pokonać zło. Chaos równa się naszej klęsce. Trzeba dokonać słusnych wyborów, wejść na właściwą drogę. Głóście prawdę, trzymajcie się razem, a wtedy, dopiero wtedy ukaże się Gwiazda Lodu. Tylko wtedy się otworzy przed walecznym i mężnym sercem. Czy stawicie czoło burzy? – Promieniejąca blaskiem, jakby ją oświetlało tysiąc słońc, zwróciła się do pozostałych. – Czy zaufacie? Czy zobaczycie, co się kryje w kamieniu i rozpaczy? Usłyszycie, co wzywa was po imieniu? I znalazłszy ostatnią gwiazdę, pozostaniecie silni, pozostaniecie wierni prawdzie?

Nagle westchnęła głęboko i zamknęła oczy.

– Zimno.

Bran rzucił spojrzenie na palenisko i natychmiast wystrzeliły języki ognia.

– Nie, miałam na myśli... Przepraszam. Tam, gdzie jest gwiazda. Gdziekolwiek to jest, zimno tam. Nie widzę tego, ale czuję. I obawiam się, że niewiele nam to pomoże.

– Śmiem się z tobą nie zgodzić. – Riley pomasaowała jej ramię. – Poinformowałam nas, że trzeci etap to nie koniec. Nie ma sensu uważać, że sprawa już załatwiona, bo tak nie jest. Znajdziemy gwiazdę, będziemy walczyć z tą wiedzmą i znajdziemy Szklaną Wyspę. Udamy się tam z trzema gwiazdami. Bułka z masłem, no nie? Jeśli się lubi bułkę twardą jak kamień i zjełczałe masło.

– Jestem za – powiedział Sawyer. – Bułka to bułka.

– Lubię bułki – odezwała się Annika.

– Nie pierwszy raz będę jadł zjełczałe masło. – Doyle spojrział na gwiazdy. – Odszukamy gwiazdę, znajdziemy wyspę. Bez względu na cenę.

– Śmiem twierdzić, że spełniliśmy warunek zachowania jedności i już wybraliśmy drogę.

– Bran podniósł w górę dłonie, w których trzymał gwiazdy, a wtedy obie powróciły do obrazów. By czekać na trzecią.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy gwiazdy znów były bezpieczne, Bran wyprowadził ich na kręcone schody.

Facet ma klasę, od początku do końca, pomyślała Riley, rozglądając się po pomieszczeniu dziennym na pierwszym piętrze. Dzięki dużemu, obszernemu biurku mogło służyć za gabinet lub pracownię.

Podobało jej się połączenie starego i nowego – telewizor z dużym, płaskim ekranem, stary, masywny drewniany bar, dużo mebli wypoczynkowych w głębokich, intensywne kolorach, które najwyraźniej preferował, kominek z granitową obudową w kolorze lasu.

W ściennych wnękach stały trzy posąжки – z alabastru, brązu i polerowanego drewna. Zaintrygowana Riley podeszła do nich i przesunęła palcem po płynnych liniach figurek trzech bogiń, wyrzeźbionych w alabastrze.

– Fódla, Banba, Ériu. – Spojrzała na Brana. – Na pierwszy rzut oka z około osiemsetnego roku naszej ery.

– Tak mi powiedziano. To moja ulubiona rzeźba, podobnie jak same boginie, więc dostała się mnie.

– Co to za boginie? – spytała Sasha.

– Córki Ernmas – wyjaśniła jej Riley – z Tuatha Dé Danann. Poprosiły barda Amergina, żeby nazwał wyspę – tę wyspę – od ich imion, co uczynił. Triumwirat, wprawdzie nie nasze trzy boginie, niemniej jednak triumwirat. Królowe i boginie wyspy. To ciekawe.

Odwróciła się, wskazała ręką.

– A ten posązek z brązu to Morrigan, uwieczniona w chwili, kiedy przemienia się z kobiety w kruka. Jeszcze jedna córka Ernmas, również wielka królowa i bogini. Bogini wojny.

Podeszła do kolejnej wnęki.

– A tutaj mamy Panią Jeziora, czasami znaną pod imieniem Niniane. Boginię wody. A w jej rydwaniu jest Fedelm, wieszczka, która przepowiedziała wielkie bitwy.

– Przedstawienie nas? – Sasha podeszła do bogini-wieszczki, wyrzeźbionej w wypolerowanym drewnie.

– Według mnie to ciekawe. Nasz Irlandczyk ma tutaj wiele wyjątkowych dzieł sztuki, ale ciekawe, że właśnie te rzeźby znalazły się w tej wieży.

– Wszystkie trzy – powiedziała Annika. – Jak nasza szóstka. Podoba mi się to.

– Mnie również. Bije od niej siła – zauważyła Riley. – I odnoszę wrażenie, że przyniesie nam szczęście. Nie radziłabym – dodała, kiedy Sawyer wyciągnął rękę do posągu bogini wyłaniającej się z wody. – Jej wartość rynkowa wynosi z pięć, sześć milionów.

– Co proszę? – Sawyer szybko cofnął rękę.

– Według legendy jeden z moich przodków zakochał się w niej i wyczarował jej rzeźbę. – Bran się uśmiechnął. – Bez względu na to, w jaki sposób powstała, też jest w naszej rodzinie od pokoleń. Ale twój stosunek do tych rzeźb jest intrygujący, Riley. Umieściłem je tutaj osobiście. I to zanim was poznałem. Lecz doskonale pasują w tym miejscu, prawda?

– Są takie ładne. – Ale idąc za przykładem Sawyera, Annika powstrzymała się od ich dotykania.

– Ciekawe jest również to, że w drugiej wieży umieściłem brązowy posąg czarodzieja Merlina i Dagdy.

– Merlin to sprawa oczywista, Dagda, również z Tuatha Dé Danann – wtrąciła Riley – jest uważany między innymi za boga czasu. – Wcelowała palec w Sawyera.

– Oprócz niego mam Caturixa.
– Króla bitew – mruknęła i spojrzawszy na Doyle’a, uniosła brwi. – Doskonale pasuje.
– Czyli partnerzy triumwiratu bogiń z pierwszej wieży. Morrigan, Badb i Machy.
– Również córek Ernmas. Chciałabym je kiedyś obejrzeć.
– Kiedy tylko zechcesz – powiedział Bran do Riley.
– Może to i ciekawe, ale to tylko symbole. – Doyle stał z rękami w kieszeniach. – Posągi nie walczą. Nie tracą krwi.

– Powiedział facet, trzy wieki temu obłożony klątwą przez wiedźmę. Nie oczekuję, że posągi ożyją i rzuca się w wir walki – ciągnęła Riley. – Ale symbolika jest ważna i w tej chwili odnoszę wrażenie, że nam sprzyja.

– Absolutnie się zgadzam. Co nie znaczy, że jutro nie będę jęczała, podciągając się na ćwiczeniach.

Doyle uśmiechnął się lekko do Sashy.

– Zgoda.

– Na parterze mam coś, co może się okazać bardziej użyteczne – oświadczył Bran.

– Chyba nie trzymasz tam Excalibura? – spytał Sawyer.

– Przykro mi, ale nie. Jest u mojego kuzyna w Kerry. Żartowałem – powiedział, kiedy Riley zrobiła wielkie oczy.

– Nigdy nie żartuj sobie z Excalibura w obecności archeologa. Co jest na dole? – Nie czekając na odpowiedź, zaczęła iść po krętych schodach.

Zamykający pochód Doyle usłyszał jej reakcję, kiedy dotarła na półpiętro.

Z doświadczenia wiedział, że taki okrzyk zwykle wydają kobiety osiągające wyjątkowo silny orgazm.

Usłyszał śmiech Brana i jego słowa „Wiedziałem, że ci się spodoba”.

Książki, stwierdził Doyle. Setki książek. Kilometry półek ze starymi, bardzo starymi książkami. W powietrzu unosił się zapach papieru i skórzanych okładek.

Samotna ogromna księga leżała na stojaku, zamknięta. Była oprawiona w wytłaczaną skórę. Ale pozostałe stały na półkach wzdłuż ścian okrągłego pomieszczenia z szerokim kamiennym kominkiem. Przez wąskie i wysokie okna wpadało miękkie światło, pod nimi były wnęki z miejscami do siedzenia.

Pośrodku pokoju stał długi, błyszczący stół.

Doyle’a zainteresowały mapy.

– Książki, gromadzone od pokoleń – zaczął Bran. – O magii, tradycjach ludowych, legendach, mitologii, historii. O uzdrawianiu, rzucaniu uroków, ziołach, kryształach, alchemii. Również dzienniki, wspomnienia, rodzinne opowieści. Mapy, jak zauważył Doyle, niektóre bardzo stare. Znajdziesz tu duplikaty tych, które już masz – powiedział do Riley.

Tylko pokręciła głową.

– Przy nich to, co już mam, wygląda jak biblioteczka przedszkolaka. Mogłabym tu zamieszkać. – Westchnęła głęboko. – Jeśli tutaj nie znajdę odpowiedzi, to znaczy, że ich nie ma. A zawsze jest odpowiedź.

– Naturalnie szukałem, ale brak mi twojej zdolności analizy. W tej chwili poszukiwania zostały zawężone i bardziej zogniskowane. – Przeszedł przez pokój i wyjął z półki jakiś cienki wolumin. – To podobno napisał jeden z moich przodków ze strony matki. Opowiada o swojej wizycie na Szklanej Wyspie na uroczystości koronowania nowej królowej. Relacja jest spisana w języku staroirlandzkim.

Riley wzięła od niego rękopis i ostrożnie, niemal z czcią, otworzyła.

– Mogę to przetłumaczyć. Doyle’owi będzie łatwiej, bo jest starym Irlandczykiem.

– Nie ręczę za jej wiarygodność – zastrzegł się Bran. – Ale tradycja rodzinna na ogół potwierdza jego relację.

– Mogę pokopać w przekazach ludowych i mitach – machinalnie powiedziała Riley, przeglądając rękopis. – Rozumiem, że nic nie można stąd wynieść.

– Ta komnata jest zabezpieczona magicznym zaklęciem, żeby chronić księgozbiór – papier, oprawy. Niektóre są tak stare, że mogłyby się rozsypać w proch poza tym pomieszczeniem.

– Rozumiem. Zresztą to cudowne miejsce pracy. – Położyła wolumin na długim stole i wskazała pulpit z wielkim tomiszczem. – A to co za jedna?

– Księga zaklęć, też należąca do mojej rodziny od pokoleń. Zawiera wszystkie zaklęcia, od pierwszego do ostatniego. Dopisałem te, które stworzyłem na Korfu i Capri. Może ją otworzyć tylko ten, w czyich żyłach płynie moja krew. – Mówiąc to, Bran podszedł do pulpitu. – Dostałem ją na swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Przekażę ją swojemu następcy. Zawiera wiedzę, gromadzoną od pokoleń, która daje władzę.

Położył dłoń na księdze i wyrecytował coś po irlandzku. Kiedy mówił, księga zaczęła świecić i śpiewać.

– Och! – Annika złapała Sawyera za rękę. – Jakie to piękne. Słyszysz to?

– Tak. I czuję.

Powietrze się poruszyło, światło uległo zmianie.

– „Moje urodzenie daje mi prawo – przetłumaczył Doyle pozostałym słowa Brana. – Moje zdolności dają mi prawo. Stanowię sumę tego, co było i co będzie. Tak ślubowałem, do tego się zobowiązałem i jestem szczęśliwy, że właśnie mnie przypadł w udziale ten zaszczyt”.

Kiedy Bran podniósł dłoń, masywne zamknięcie przy księdze zniknęło. Otworzył wytłaczaną okładkę. Pojawił się błysk, rozległ się trzask, a potem zapanowała cisza.

– Tutaj jest lista wszystkich osób, do których należała ta księga.

– Wiele ich – mruknęła Sasha, kiedy odwrócił stronicę. – Ostatnie jest twoje nazwisko.

– Na razie.

– Czy... Nasze dziecko?

– Jeśli zechce. Jeśli się zgodzi.

– Może wybrać?

– Zawsze mamy wybór. Zaklęcia są pogrupowane. Osobno uzdrawiające, chroniące, niosące pomoc i tak dalej. Jeśli ktoś z was chce jakieś znaleźć, wystarczy, że poprosicie, a otworzę ją na odpowiedniej stronie.

– Ilustracje – powiedziała Sasha, kiedy odwrócił kilka kartek. – Są takie cudowne, takie kolorowe.

– Księga je tworzy. Zobaczysz, że na każdej stronie jest imię. Jeśli zaklęcie zostanie uznane za użyteczne, zapisujemy je. Jeśli księga je zaakceptuje, zostaje dodane.

– Księga je akceptuje?

– Mają wielką moc – zapewnił. – Jeśli chcesz któreś poznać, poproś.

Zamknął księgę, położył na niej dłoń. Znów pojawiło się zamknięcie i zatrzasnęło się samo.

– Pewnego dnia, kiedy będziemy mieli dużo wolnego czasu, chciałabym ją przejrzeć. Ale na razie... – Riley zrobiła obrót. – Chyba mam dość zajęć.

– Na kilka dziesięcioleci – wtrącił Sawyer.

– Czy mogę zacząć kopać?

– Naturalnie. – Dla zachęty Bran wykonał gest w kierunku kominka i zapłonął tam ogień.

– Znajdziesz mnie na drugim piętrze. Na pierwszym jest barek, ekspres do kawy i do herbaty.

- Jak powiedziałam, mogłabym tu zamieszkać. Przyniosę kilka rzeczy ze swojego pokoju, a potem przystąpię do pracy. Mój telefon komórkowy będzie tu działał, prawda?
- Tutaj i we wszystkich innych pomieszczeniach.
- Czy mogę być ci tu w czymś pomocna? – spytała Sasha.
- Być może, ale mówiąc prawdę, Doyle będzie bardziej przydatny. Nie wyglądał na zbyt zadowolonego, lecz tylko wzruszył ramionami.
- Muszę załatwić kilka spraw, ale potem mogę ci poświęcić trochę czasu.
- Może być. Podzwonię tu i tam, przyniosę sobie kilka rzeczy i biorę się do dzieła. Bran?
- Podparłszy się pod boki, Riley znów zrobiła obrót. – Niesamowicie tutaj.

*

Przed przystąpieniem do pracy Riley skontaktowała się ze swoją rodziną. Właściwie mogła zadzwonić, porozmawiać, ale... Poczta elektroniczna była szybsza, prostsza i umożliwiała wysłanie jednej wiadomości do wszystkich.

Zadzwoi do rodziców po pełni księżyca, ale korzystając z poczty elektronicznej, mogła poinformować swoich bliskich, gdzie była do tej pory i gdzie jest teraz.

Potem przewinęła spis kontaktów. Musiała zorganizować łódź, a także sprzęt do nurkowania. Gdy szukali dwóch pierwszych gwiazd, musieli nurkować, założyła więc, że teraz też tak będzie.

Znalazła numer archeologa, z którym wiele lat temu prowadziła wykopaliska w hrabstwie Cork, i postanowiła do niego zadzwonić.

Wiązało się to z koniecznością porozmawiania, wypytania, co nowego – właśnie dlatego wołała wysłać e-mail do krewnych – ale zdobyła nazwisko interesującej ją osoby w Irlandii.

W ciągu dwudziestu minut przeprowadziła kilka rozmów telefonicznych, trochę poflirtowała, trochę ponegocjowała, ale załatwiła wszystko, co im było niezbędne.

Wzięła potrzebne jej książki, laptop, tablet, dwa notesy i udała się z tym wszystkim do wieży.

Czy nie wolałabym tu popracować sama? – pomyślała, kiedy weszła do środka. Tylko ona i setki starych książek... Oraz jej sprzęt komputerowy. Duży kominek, duży stół. Deszcz padający za oknem, ulubiona muzyka w tle.

Ale był jej potrzebny Doyle.

Mówił i czytał w tyłu obcych językach, co ona, a niektóre znał nawet lepiej od niej. Co jest irytujące, musiała przyznać, włączając laptop.

Tylko że on mógł się uczyć języków przez kilka stuleci. I nie tylko języków.

Okazał się dobrym strategiem i taktykiem – nie zawsze z nim się zgadzała, ale był w tym dobry. Jako kapral od musztry bywał bezkompromisowy, ale rozumiała to. Prowadzili wojnę, i to naprawdę bezwzględna, więc albo się trenowało w pocie czoła, albo ginęło.

W walce był zacięty, szybki i nieustraszony. Naturalnie, jako nieśmiertelny, nie miał się czego bać.

Jesteś niesprawiedliwa, zganiła samą siebie. Doyle odczuwał ból jak każdy z nich.

Poza tym tu nie chodzi o rywalizację. Bzdura, zaprzeczyła sobie, rozkładając przyniesione rzeczy na stole. Prawie wszystko traktowała jak rywalizację. Umiała pracować w zespole – ostatecznie była zwierzęciem stadnym – wołała jednak być samicą alfa.

Myśląc o ostatniej nocy i o tym, co zamierzała teraz osiągnąć, weszła po krętych schodach i zaparzyła dzbanek mocnej kawy. Po chwili wahania wzięła dwa duże, białe kubki.

Jeśli Doyle przyjdzie, drugi kubek będzie jak znalazł.

Potem usadowiła się za stołem i słuchając trzasku ognia w kominku i bębnienia deszczu

w szyby, otworzyła dziennik napisany przez przodka Brana.

Czytała i robiła notatki, czasami sprawdzała w laptopie jakieś słowo czy wyrażenie.

Prawie nie uniosła wzroku, kiedy otworzyły się drzwi.

Ciekawa była, czy spłowiła koszulka Grateful Dead, którą miał na sobie Doyle, jest ironicznym nawiązaniem do jego nieśmiertelności, czy też był wielbicielem tego zespołu jako prawdziwy miłośnik rocka.

Tak czy owak, ładnie się opinała na jego muskularnym torsie.

– Prapradziad Brana był bardzo zadufany w sobie – odezwała się. – A może tylko tak to odbieram. Jego styl jest niezwykle kwiecisty. Nie kryje dumy, że zaproszono go na wyniesienie. Tak określa ceremonię pokazania nowej królowej.

– No dobra. – Doyle nalał sobie kawy do drugiego kubka.

– Ty szybciej to przeczytasz.

– Jakoś sobie dajesz radę. Poza tym podróż jakiegoś gościa na Szklaną Wyspę kilkaset lat temu niewiele nam pomoże tu i teraz. Wyspa będzie tam, gdzie zechce. Tak mówi legenda, prawda?

– „Pojawia się i znika zgodnie ze swą wolą – zacytowała Riley. – Żegluje poprzez mgły czasu i przestrzeni. Wielu wypatrywało jej brzegów, ale wyspa rzadko komu się ukazuje. Jedynie wybrańcom losu, tym, którzy swoimi wyczynami, działalnością i potęgą zasłużyli sobie na takie wyróżnienie”. – Postukała w rękopis. – Albo coś w tym sensie. Ten facet, Bohannon, wysoko ocenia własne zasługi. Przywiózł królowej w darze dwa ptaki wysadzone klejnotami – słowika i skowronka. Żeby jeden usypiał ją swoim śpiewem, a drugi – budził. Jest tu cały ustęp o tym, jak je stworzył.

– I w czym ma nam to być pomocne?

– To informacja, mądralo. Niewątpliwie pisze o niemowlęciu, co stanowi potwierdzenie, że chodzi o narodziny. Tak jest w większości przekazów, do których dotarliśmy, chociaż wysuwano też teorie, że chodzi o młodą dziewczynę, odpowiednik Artura, wybraną na podstawie tego, czego dokonała. Ale on pisze o królowej-niemowlęciu, Aegle, i jej strażniczkach: Celene, Lunie i Arianrhod.

– Już wcześniej to wiedzieliśmy.

– Ale to kolejne potwierdzenie – upierała się Riley. – Zaprosiła go Arianrhod, przypuszczam, że z uwagi na celtyckie pochodzenie obojga. Wyruszył ze Sligo na wybrzeże Clare – to tutaj, gdzie znajdujemy się teraz. Stąd udał się dalej morzem, co nie było łatwe. Dokładnie to opisuje. Mroczne morze podczas pełni księżyca i te pe, i te de, ale potem robi się ciekawie.

Odwróciła kilka kartek i podsunęła mu książkę.

– Przeczytaj to. Na głos – powiedziała zniecierpliwiona, kiedy zaczął przebiegać tekst wzrokiem. – Łatwiej mi zrozumieć, jak to słyszę.

– Jasna cholera. No dobrze. „Chociaż morze kołysało łodzią, a księżyc tańczył za chmurami, rozpraszającymi światło, nie odczuwałem lęku. Spowiłem się swoimi mocami niczym płaszczem i żeglowałem, ogarnięty zachwytem, w gęstniejącej mgle. Na chwilę zniknął nawet księżyc, morze zatrzęsło się, jakby odczuwając lęk. Niektórzy mogliby zakrzyknąć albo zawrócić łódź, ale ja płynąłem dalej, zachowując zimną krew...”. Na rany Chrystusa!

– Tak, tak, ale czytaj dalej.

– „Pozostając na kursie, chociaż demon wody ryczał”. – Doyle urwał i spojrzał na nią chłodno. – Demon wody.

Riley wzruszyła ramionami.

– To może być Wahwee, chociaż to z mitologii aborygenów, albo Munuane. Ale równie

dobrze wieloryb albo trąba wodna. Albo jest to jakaś hiperbola. Czytaj dalej.

– Demon wody – mruknął ironicznie Doyle. – „Przez mgły, światła, jasno płonące pochodnie. Nawet księżyc wychynął zza zasłony chmur, żeby oświetlić mi drogę. Dla mnie morze się uspokoiło i Szklana Wyspa zamigotała jak klejnot przed moimi oczami. Piasek, biały jak księżyc, i wysokie, płonące pochodnie. Lasy, gęste i zielone, iluminowane kroplami tańczących kolorów. Na wzgórzu srebrno połyskiwał pałac. W powietrzu rozbrzmiewała muzyka piszczałek, fletów i harf. Zobaczyłem zonglerów i tancerzy, poczułem woń pieczonego mięsa, miodu w kielichu, kiedy młodzi chłopcy wbiegli do wody, żeby wyciągnąć moją łódź na brzeg”.

Kiedy znów urwał, Riley tylko zrobiła palcami kółko w powietrzu.

Zaklął pod nosem, ale czytał dalej:

– „I chociaż noc była chłodna i wilgotna, gdy opuszczałem brzeg mojego świata, tutaj zrobiło się ciepło i sucho. Wszedłem z łodzi na biały piasek Szklanej Wyspy, gdzie czekała Arianrhod ze swoimi siostrami, żeby mnie powitać. Kiedy moje stopy dotknęły lądu, wiedziałem, że niewielu przede mną i niewielu po mnie spotka ten zaszczyt. Bo tu bije serce władzy nad wszystkimi światami”.

Doyle uniósł wzrok.

– Wierzysz w to?

– Za mało informacji, ale to ciekawe, nieprawdaż? Magia daje władzę, nie można temu zaprzeczyć. A co, jeśli gdzieś istnieje jej jądro, serce, świat, gdzie się ona rodzi? Z całą pewnością łatwo zrozumieć, dlaczego Nerezza chce mieć trzy gwiazdy. Gdyby się dostały w jej ręce, zyskałyby całkowitą władzę, mogłyby zniszczyć wszystko. Dlatego to ciekawe.

Riley rozsiadła się wygodnie.

– Gdybym wiedział, że będę miał ci czytać bajkę, przyniosłbym sobie piwo.

– Przyniosę ci, jeśli w ten sposób oszczędzę sobie konieczności tłumaczenia tego tekstu.

– Zgoda.

Poszła na piętro.

– Trzeba rozważyć jeszcze jedno! – zawołała z góry.

– Mam do rozważenia wiele spraw. Co takiego przyszło ci do głowy?

– Muszę przeprowadzić testy, żeby móc dokładniej określić datę powstania tego dziennika podróży, ale przypuszczam, że jest z dziewiątego wieku.

– Może być.

Przewróciła oczami i spojrzała w dół przez balustradę.

– Okaż odrobinę dociekliwości naukowej, Doyle, i zapytaj dlaczego.

– I tak mi powiesz.

– Tak. – Szła na dół z piwem dla niego. – W dziewiątym wieku opracowano układ matematyczny dla manuskryptów, skrybowie liniowali pergamin, przeciągając rylcem po odwrotnej stronie. I czasami zbyt mocno dociskali rylce. W dzienniku widać ślady tego na pergaminie. Nasz Bo jest bardzo napuszony, bardzo zadowolony z pozycji, jaką osiągnął w życiu. Myślę, że zleciłby jakiemuś pachołkowi poliniowanie pergaminu. Gdyby ten przekaz pochodził z dwunastego wieku, co raczej wykluczam, opierając się na wyglądzie atramentu, to wtedy używano czegoś w rodzaju ołówka do liniowania stron.

– Czyli jest stara, co już wiemy. A jakie znaczenie ma dwieście lat wte czy wewte?

– Tobie łatwo tak mówić, starcze. Czy w tym przypadku ma to znaczenie? – Podała mu piwo i usiadła. – Znalazłam strzępy legendy o wyspie, które są starsze od tego dziennika podróży, ale to najstarsza pełna relacja, w dodatku pochodząca od naocznego świadka. Relacja z podróży na uroczystość wyniesienia królowej. Wtedy zostały stworzone gwiazdy, Doyle. Dowiadujemy się z tego opisu, kiedy narodziły się gwiazdy. W kręgu naukowców nazywamy to

odkryciem.

– Od ustalenia czasu powstania gwiazd daleka jeszcze droga do znalezienia trzeciej z nich.

– Czasami wiedza jest nagrodą sama w sobie – rzuciła oschle, ale wierzyła w to całkowicie. – Jeśli uda nam się ustalić datę powstania tej księgi i jakoś sprawdzić jej wiarygodność, będziemy wiedzieli, kiedy urodziła się królowa, a także kiedy stworzono gwiazdy. Wiemy, że ten czarodziej wyruszył sam z wybrzeży Clare. Jest małe prawdopodobieństwo, by musiał daleko żeglować, bo wyruszył nocą i tej samej nocy dotarł do celu. Odsuwając na chwilę magię na bok, możemy założyć, że wyspa była w pobliżu wybrzeży Clare, co by mi się podobało, ponieważ my też tu jesteśmy.

Doyle zmarszczył czoło, rozważając jej słowa, i otworzył butelkę.

– To znaczy, że jesteśmy wyjątkowymi szczęściami.

– Biorąc pod uwagę dwa ostatnie miesiące, do diabła ze szczęściem. Jesteśmy w miejscu, gdzie mieliśmy być. Nie wiem, czy gdy pewnej nocy wypłyniemy, to trafimy na tę wyspę, ale wykorzystując tę relację, uwzględniając inne opisy, wykonując obliczenia, oceniając prądy morskie, może zdołamy ustalić jej lokalizację albo przynajmniej obszar, gdzie się wówczas znajdowała. Zawsze istnieją jakieś prawidłowości, Doyle.

Pociągnął łyk piwa.

– Teraz obudziłaś moją ciekawość.

– To dobrze. Na razie ma to drugorzędne znaczenie. Bo logicznie rzecz biorąc, nie możemy zanieść gwiazdy tam, gdzie jej miejsce, póki jej nie znajdziemy. Ale zyskamy przewagę, znając kierunek, by móc dać Sawyerowi jakieś współrzędne, kiedy już znajdziemy trzecią gwiazdę.

– Nerezza będzie jeszcze bardziej wkurzona. Ale odniosła rany. Może uda się nam znaleźć gwiazdę, zanim tamta będzie mogła przystąpić do działania. Masz rację – powiedział, kiedy Riley tylko uniosła brwi. – Ani przez chwilę w to nie wierzę.

– W takim razie w porządku. Podsumowując, trzeba znaleźć gwiazdę, odszukać wyspę, wykonać nasze zadanie. Mam nadzieję, że zrealizowanie zadania oznacza również zgładzenie Nerezy.

– Według naszej jasnowidzki zginie od miecza.

– I byłoby super, gdyby to był twój miecz, chociaż żadne z nas nie uważa, że będzie to takie proste i oczywiste.

– Bran zaczerpuje broń, mając to na względzie. Może pora zacząć nad tym pracować.

– Nie zaszkodzi. – Sama o tym myślała. – Być może, że zaklęcie, jakie wcześniej zastosował w stosunku do broni, już jest wystarczające. Ale... Zastanówmy się nad tym, kiedy jesteśmy tu sami, bez tamtych czworga.

Uznała, że może z nim rozmawiać bez owijania w bawełnę. Wyjawić mu to, co wahałaby się powiedzieć reszcie. To, co osłabiłoby ich nadzieję.

– Jeśli jej nie zabijemy przed dostarczeniem gwiazd z powrotem na wyspę, to pewnie i tak zbawimy światy. Brawo dla nas. Ale dopadnie nas, jak zakończymy tę misję. Ma czas, może zaczekać.

Wytrzymała jego chłodne, niezłomne spojrzenie i ciągnęła:

– Bran i Sasha pobiorą się, będą mieli dzieci. Annika i Sawyer zamieszkają na jakiejś wyspie – on na lądzie, ona w morzu. I chyba nawet uda im się ułożyć sobie życie. Ja będę gdzieś prowadziła wykopaliska albo napiszę książkę. Prawdopodobnie jedno i drugie. Ty zajmiesz się tym, czym będziesz chciał. A wtedy ona nas dopadnie, pojedynczo lub dwójkami, i zginie jak muchy. Ciebie nie da rady zabić, więc prawdopodobnie wymyśli coś gorszego.

Ta wizja nie była przyjemna; Riley sięgnęła po jego piwo, wypła duży łyk.

– Każdego z nas skierowano na tę drogę, każdego bez wyjątku. W tym celu się spotkaliśmy i stworzyliśmy zespół. Żeby znaleźć gwiazdy, zwrócić je, uratować światy. I robimy to. Wierzę, że nam się uda. Według mnie zrealizujemy nasze zadanie. Ale nikt nam nie obiecał, Doyle, że potem będziemy żyli długo i szczęśliwie. Nikt nie twierdził, że naszym przeznaczeniem jest zabicie bogini ciemności i wykonanie tańca zwycięstwa.

– W takim razie lepiej sami to powiedzmy i zróbmy. – Wziął od niej piwo, napił się. – Bo za nic nie zostanę po wsze czasy niewolnikiem jakiejś bogini-psychopatki.

– Raczej wyobrażałam sobie, że po wsze czasy będzie cię smażyła na wolnym ogniu.

– Lubię ciepłko, lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Więc lepiej to zróbmy, Gwin. Do samego końca. Bo w przeciwnym razie nikogo z nas nie czeka happy end. Jesteśmy skazani na siebie, póki Nerezza nie zniknie z tego świata.

O tym też myślała, ale...

– Annice zostały tylko dwa miesiące, zanim będzie musiała już na zawsze przemienić się w syrenę.

– Zrobimy to wcześniej. Trzeba powiedzieć Branowi, żeby popracował nad mieczem. Będziemy gotowi, kiedy Nerezza się pojawi – oświadczył stanowczym tonem Doyle.

– No dobrze. Czyli wpisujemy na listę jeden miecz do zabicia bogini. – Riley dała mu znak. – Czytaj.

*

Nerezza poruszyła się w swojej komnacie w jaskini, głęboko pod ziemią. Czowała ból. Ból! Ból, jakby od pazurów, od zębów. Palił jak języki ognia i okłady z lodu.

W ciągu całego swojego istnienia nigdy nie zaznała takiego bólu.

Jej krzyk wściekłości przypominał skowyt.

Ten, który kiedyś był André Malmonem – bogacz i okrutnik, przysunął kielich do jej ust. Trzymając go w dłoni zakończonej szponami.

– Napij się, moja królowo. To życie. To siła.

Krew, którą ją poił, zwilżyła jej spieczony przetyk. Ale ból, ból...

– Jak długo? Jak długo tu jestem?

– Tylko dzień.

Nie, nie, z pewnością minęły lata, dziesięciolecia. Tak bardzo cierpiała. Co oni jej zrobili? Pamiętała porywisty wiatr, okropny upadek, żar, lodowate zimno. Strach. Pamiętała swój strach.

I twarze, tak, pamiętała twarze tych, którzy ją zaatakowali.

Kiedy piła, łzy paliły jej policzki. Malmon patrzył na nią oczami jak u jaszczurki, z mieszana uwielenia i szaleństwa.

Oto do czego ją doprowadzili.

– Lustro. Daj mi lustro!

– Powinnaś wypoczywać.

– Jestem twoją boginią. Rób, co ci każe.

Kiedy się oddalił, opadła bezwładnie, każdy oddech był torturą. Wrócił, zgrzytając szponiastymi stopami o kamienną posadzkę, i podał jej lustro.

Jej włosy, jej piękne włosy zrobiły się teraz siwe jak cuchnący dym. Jej twarz pożółkła, pokrywały ją zmarszczki i bruzdy, jej ciemne oczy były zamglone ze starości. Cała jej uroda i młodość przeminęły.

Ale je odzyska. Wszystko odzyska. A tamtych sześcioro, którzy byli przyczyną jej

cierpień, zapłaci za to z nawiązką.

Napędzana wściekłością, złapała kielich i wychyliła go do dna.

– Przynieś mi więcej. Daj mi więcej, a potem zrobisz to, co ci powiem.

– Wyleczę cię.

– Tak. – Utkwiła szalone spojrzenie w jego szalonych oczach. – Wyleczysz mnie.

ROZDZIAŁ 4

Doyle czytał, od razu płynnie tłumacząc, a Riley robiła notatki. Dzięki jego pomocy łatwiej jej było wyobrazić sobie wyspę – może nie tyle zobaczyć dokładny obraz, ile szkic, ale zawsze coś bardziej konkretnego. I jedną z trzech bogiń, ubraną w białe szaty ze złotym, srebrnym lub wysadzonym klejnotami paskiem. Bo niewątpliwie przodek Brana zadurzył się w Arianrhod i opisał ją z detalami. Smukła piękność o włosach jak płomienny zachód słońca, z oczami jasnymi niczym letnie niebo.

I tak dalej, i tak dalej, myślała Riley, zapisując: „niebieskie oczy, rude włosy”. Autor tekstu wychwalał alabastrową cerę bogini, jej głos przypominający pieśń harfy.

– Ma ochotę ją przelecieć.

– Co?

– Proszę? – Uniosła wzrok znad notatek i spojrzała na Doyle’a. – Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że powiedziałam to na głos. Powiedziałam... Napisałam... Że ma ochotę ją przelecieć. Nasz Bo kochał się w Arianrhod.

– I jakie to ma znaczenie?

– Nazywa się to „sposrzeżenie”, lordzie Nieświadomy. Zauważyłam również, że mowa jest o zalesionej wyspie z wysokimi wzgórzami. Na jednym z najwyższych zbudowano zamek, pałac, fortecę. Nie bez powodu. Wiemy, że toczyła się tam wojna domowa, rebelianci przegrali, zostali wypędzeni, utknęli w Zatoce Westchnień. Gdzie znaleźliśmy Gwiazdę Wody. Jakiś szczegół zawarty w tym dzienniku podróży może nas przybliżyć do Gwiazdy Lodu.

Po chwili zastanowienia Doyle stwierdził:

– Według mnie fakt, że mu stanął na widok Arianrhod, świadczy jedynie o tym, że Bo miał kutasa, a ona była ponętna.

– Być może, ale można założyć, że dwie pozostałe boginie też były ponętne. Ale on zachwyca się tylko tą. Poza tym pisze, że to Arianrhod go zaprosiła. Może do czegoś między nimi doszło. I my jesteśmy ich potomkami. Trzeba się przespać z kobietą, żeby począć dziecko. Może to obojętne, które z nas jest potomkiem której bogini, ale wydaje się istotne, jeśli przodek Brana baraszkował z boginią o celtyckim imieniu i Bran jest ich potomkiem w prostej linii.

Doyle spojrzał na nią, uniósłszy brwi, co uznała za potwierdzenie swojej teorii. I wrócił do czytania.

Miał dobry głos, pomyślała. Nie można by go porównać z dźwiękami harfy, ale był to dobry, silny głos. I dobrą dykcję, co jest jeszcze rzadziej spotykane.

Ciekawa była, ile książek przeczytał. Może tysiące... Pomyśleć tylko. Ma przed sobą kogoś, kto pamięta łożowe świece, wozy zaprzężone w konie, a teraz korzysta z laserów i żyje w czasach lotów kosmicznych.

Mogłaby przez dziesiątki lat wypytywać go, co widział, jak żył, co czuł.

Przez chwilę robiła notatki, słuchając obserwacji Bohanna, jadącego konno przez gaje pomarańczowe i cytrynowe, wdychającego woń kwiatów, która unosiła się w wieczornym powietrzu.

– Można założyć, że to była wiosna, bo wtedy kwitną drzewa pomarańczowe.

– Pod warunkiem że na wyspie są takie same pory roku jak w naszym świecie – zauważył Doyle. – I że znajduje się po tej stronie równika.

– Punkt dla ciebie. – Musiała przyznać, że to bardzo trafna uwaga. – Ale jeśli przyjmujemy, że wyspa leżała w owym czasie niedaleko miejsca zamieszkania Bo, to mogła być

tam wiosna. Założmy. I wyspa jest zagospodarowana. Autor opisuje gaje, szeroką, suchą drogę oświetloną pochodniami. Jest pełnia księżycy, co też pomaga przy próbie ustalenia daty. Srebrny pałac... Ciekawe, czy naprawdę, czy to tylko przenośnia.

Doyle czytał, a ona zapisywała szczegóły. Rozległe ogrody, kobiety w powiewnych szatach, dźwięki piszczałek, dobiegające przez otwarte drzwi i okna, szerokie tarasy domów. Na wszystkich wieżach powiewał sztandar nowej królowej – biały gołąb, unoszący się nad niebieskim morzem.

Doyle dotarł do opisu holu wejściowego – olśniewające arrasy, pozłacane drzewa obsypane kwiatami, stojące w srebrnych donicach – i odłożył książkę.

– Jeśli mam tłumaczyć opis wystroju komnat, piwo mi nie wystarczy.

– Jeśli opiszę Sashy ze szczegółami pałac i wyspę, spróbuje to narysować. A rysunek może wywołać wizję. Wizja zaś przybliży nas do celu.

Dopił piwo, odstawił pustą butelkę.

– Dobry pomysł.

– Mam ich całe mnóstwo.

– Masz dużo pomysłów. Niektóre z nich są dobre.

– Jeśli masz ochotę na jeszcze jedno piwo, przynieś mi przy okazji wodę. Poprzednim razem to ja poszłam po napoje. I daj mi dziesięć minut.

Wstała od stołu, podeszła do kanapy, stojącej koło kominka, wyciągnęła się na niej. I natychmiast usnęła. Doyle, będąc żołnierzem, doceniał umiejętność zasypiania na rozkaz, w każdych okolicznościach.

Zostawił Riley, poszedł na górę i uznał, że teraz lepiej się napić wody. Otworzył butelkę i pijąc z niej, podszedł do jednego z okien.

Serce mu się ścisnęło. Widział stąd studnię, z której w młodości niezliczoną liczbę razy czerpał wodę. Bran ją zachował, wokół studni rozciągał się teraz ogród. Doyle wiedział, że jego matce bardzo by się to podobało.

Kwiaty, krzewy, drzewka, kręte ścieżki zastąpiły znajdujące się tu kiedyś pole. Stajnie zniknęły dawno temu, prawdopodobnie rozsypały się, zanim Bran kupił tę ziemię.

Doyle zmusił się, by spojrzeć na cmentarz, i poczuł dreszcz na widok Anniki, która klęczała przy grobie jego matki i układała na ziemi... Kwiaty i kamyki, zauważył.

Pomyślał, że nigdy nie znał nikogo o tak czułym sercu, tak dobrego. A w swoim długim życiu zetknął się zarówno z dobrocią, jak i brutalnością. Annika zrobiła kilka kroków, wyjęła następnie kwiaty z koszyka i ułożyła je razem z kamykami na grobie jego ojca.

To do niej podobne – okazać szacunek ludziom, których nigdy nie spotkała.

On też musi pójść na ich groby.

Nie zostało tam nic poza prochem, tłumaczył sobie, chociaż w głębi serca wiedział, że to nie do końca prawda. Riley miała rację, symbole są ważne i zmarłym należy okazywać szacunek. Ale teraz się odwrócił i zszedł po schodach.

Przyjrzał się uważnie Riley. Spała, leżąc na wznak, z głową na jednej z tych wymyślnych poduszek i z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Za pasem miała nóż w pochwie.

Przypuszczał, że gdyby miała tu swój kapelusz, zasłoniłaby sobie twarz.

A twarz miała niezłą. Daleko jej było do Anniki, lecz niewiele kobiet dorównałoby jej urodą. I miała mocne kości, które prawdopodobnie będą jej służyły do późnej starości, o ile jej dożyje. Do tego stanowczy podbródek, szerokie usta. I zawsze coś do powiedzenia.

Było jej dobrze z tymi krótkimi włosami, chociaż podejrzewał, że kiedy zachodziła potrzeba, sama je sobie skracała nożem.

On robił to samo.

Przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył ją pod postacią wilczycy tamtej nocy na Korfu, w samym środku bitwy. Jakiego doznał wstrząsu, kiedy spojrzała na niego tymi swoimi złocistymi oczami.

Oczami, które płakały, gdy myślała, że poległ.

Zapomniał, jak to jest mieć kobietę, która by go oplakiwała.

Już od dawna nie wiązał się z żadnymi kobietami, ograniczając się do zaspokajania czysto fizjologicznych potrzeb. Patrzył teraz na Riley, myśląc, że nie jest ona w typie kobiet, które go pociągają, ale zastanawiał się jednocześnie, dlaczego jej widok skłonił go teraz do takich rozważań.

Prawdopodobnie dlatego, że z całej szóstki tylko oni nie są parą. Po prostu.

Nagle otworzyła oczy, spojrzała na niego i wiedział, że to wcale nie jest takie proste.

– Jakiś problem? – spytała.

– Dziesięć minut minęło.

– Racja.

Usiadła, przeciągnęła się i gotów był przysiąc, że w jej ruchach można dostrzec coś z wilczycy.

Kiedy wstała, nie poruszył się, blokując jej przejście.

– Powtarzam: jakiś problem?

– Nie. Zapomniałem, że jesteś taka niska.

– Wcale nie jestem niska. Jestem średniego wzrostu. To ty jesteś wyższy od przeciętnego mężczyzny.

– Jesteś niska – powtórzył beznamiętnie i odsunął się. – Poświęcę na to jeszcze godzinę, a potem muszę wyjść na świeże powietrze.

– Przyjmuję do wiadomości. Ciekawa jestem, kto dziś szykuje obiad.

– Znów jesteś głodna?

– W te dni mam przyspieszoną przemianę materii. Tak czy owak, za godzinę powinniśmy skończyć lekturę dziennika. Czy przeczytałeś dalej, kiedy ucięłam sobie drzemkę?

– Nie.

– Założę się o dwie dychy, że doszło między nimi do zbliżenia. I mam wrażenie, że to ona była inicjatorką.

Doyle pomyślał o napuszonym stylu dziennika podróży.

– Przyjmuję zakład. Stać ją na kogoś lepszego.

Wziął do ręki książkę, a Riley powróciła do robienia notatek.

Po godzinie wyciągnęła rękę dłonią do góry.

– Płać.

– Może skłamał, że kochał się z boginią księżycy w zamku na wzgórzu.

– Płać.

Zrezygnowany Doyle wygrzebał z kieszeni dwudziestkę.

– Gdybyśmy mieli więcej dzienników, idę o zakład, że okazałoby się, iż siostry-boginie też baraszkowały podczas uroczystości. – Riley schowała banknot do kieszeni. – To logiczne. Nasze początki też mają związek z tą wyspą. Nasze rody. Wszystko się tam zaczęło. I według moich przypuszczeń ponad tysiąc lat później wszyscy razem próbujemy tam dotrzeć. I uda nam się właśnie z uwagi na to, jak powstały nasze rody. I dlatego, że każde z nas ma wyjątkowy dar.

– W moim przypadku to nie dar, tylko przekleństwo.

– Przepraszam. – W jej zwykle stanowczym sposobie mówienia dało się zauważyć współczucie. – Przykro mi z powodu tego, co spotkało twojego brata i ciebie. Ale odsuwając emocje na bok, ten twój aspekt, to przekleństwo bycia nieśmiertelnym, stanowi część całości.

Każde z nas wnosi coś wyjątkowego i wszystko razem się uzupełnia.

Rysy mu stężały, jego wzrok stał się zimny i twardy, a głos – lodowaty.

– Twierdzisz, że mój brat musiał umrzeć, żeby można było rzucić na mnie klątwę?

Mogłaby odpowiedzieć gniewem na złość Doyle’a, gdyby wyraźnie nie usłyszała w jego głosie poczucia winy i żalu.

– Nie, i nie ma powodu, żeby się wściekać. Uważam, że nawet gdybyś go uratował, i tak rzucono by na ciebie klątwę. Gdyby tamta czarownica go wtedy nie uwiodła, znalazłby się jakiś inny powód. Sam powiedziałeś, że od stuleci bez powodzenia szukasz Nerezzzy i gwiazd. A jak do nas dołączyłeś, nie minęły dwa miesiące, a znaleźliśmy dwie gwiazdy i dwa razy sprawiliśmy jej manto. Zatem mieliśmy to być my.

– W takim razie jaką rolę według ciebie odegrał w tym wszystkim mój brat? Jedyne pionka, który miał zwabić konia szachowego?

– Był twoim bratem – powiedziała, nie zważając na jego rozgoryczenie. –

Niemożliwością jest stwierdzić, dlaczego jakaś zła czarownica upatrzyła sobie właśnie jego. Mówię, że inne moce wybrały ciebie i nas wszystkich. Ten dziennik podróży tylko mnie utwierdza w tym przekonaniu.

Wytrzymała jego wściekłe spojrzenie, nad którym ledwo panował, lecz urwała na chwilę. Potem przemówiła nieco łagodniejszym tonem:

– Jestem ostatnią osobą, która nie doceniałaby więzi rodzinnych. Nie ma nic od nich ważniejszego. Próbuję jedynie ogarnąć obraz całości i doszukać się w tym wszystkim logiki, żebyśmy mogli ruszyć z miejsca.

– Ale trudno się w tym doszukać jakiegokolwiek logiki, prawda? – Znów wstał. – Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kiedy wyszedł, Riley z sykiem wypuściła powietrze z płuc.

– Jestem naukowcem – mruknęła sfrustrowana, a potem wzięła swoje notatki i poszła szukać Sashy... I zorientować się, co z obiadem.

Ponieważ odniosła wrażenie, że wszyscy gdzieś się rozpierzchli, ruszyła do kuchni, postanowiwszy zrobić sobie kanapkę.

Akurat nakładała na chleb plasterki indyka i szynki, zastanawiając się, który ser wybrać, kiedy weszła Sasha z nowym grafikiem zajęć.

– Pomyślałam, że dziś każdy sam sobie coś przygotowuje na obiad – oznajmiła – bo wszyscy się urządzają w nowym miejscu. Wyzaczyłam ciebie do przyrządzania obiadu jutro, chyba że dokądś się wybierzemy.

– Może być. Masz ochotę na kanapkę?

Sasha spojrzała na ogromną kanapkę, którą szykowała dla siebie Riley.

– Tak, ale nie aż taką wielką. Bran rozmawiał ze swoimi krewnymi w Sligo, potem zamierza popracować w wieży. Annika postanowiła mu pomóc, a Sawyer wybrał się na poszukiwanie najlepszego miejsca na strzelnicę.

Sasha odłożyła na parapet grafik zajęć, nie tylko przejrzysty i czytelny, ale również stanowiący małe dzieło sztuki.

– Czyli masz trochę czasu? – zapytała Riley.

– Tak, jeśli czegoś sobie ode mnie życzysz.

– Razem z Doyle’em przeczytaliśmy dziennik podróży Bo. Porobiłam notatki. Przodek Brana, dość napuszony prostak, zrobił to z Arianrhod.

– Co zrobił z... Och. Oooch! – westchnęła Sasha.

– No właśnie. Rozumiesz konsekwencje.

– Że to możliwe, iż Bran jest jej potomkiem? To nawet wydaje się logiczne, prawda?

– No właśnie. – Utwierdzona w swoich przekonaniach, Riley wycelowała palec w powietrze. – Nie dodałam w rozmowie z Doyle’em, bo zaczął się wściekać, że mamy dwóch Irlandczyków mieszkających w tym samym miejscu. Nie w jednym czasie, ale w tym samym miejscu.

– Doyle może pochodzić z tego samego rodu. – Sasha skinęła głową i nastawiła wodę na herbatę. – To by pasowało, prawda?

– Według mnie tak. Pozwól, że zapoznam cię z najważniejszymi faktami z dziennika podróży.

Słuchając, Sasha pokroiła w plasterki jabłko i trochę sera, wzięła kilka krakersów i usiadła, postawiwszy przed sobą herbatę.

– Mógł wyruszyć właśnie stąd – zgodziła się z Riley. – Czemu nie miałyby się tak znów stać teraz?

– Mam kilka szczegółów dotyczących wyglądu wyspy. Wyrwykowych. I jak wyglądał pałac, a także boginie, w szczególności Arianrhod. Gdybyś zrobiła rysunek na podstawie moich notatek...

– Może zobaczyłabym coś więcej. Mogę spróbować. A królowa była niemowlęciem, czyli jej narodziny to nie przenośnia.

– Wręczył swój dar – śpiewające ptaki – został zaprowadzony do królowej. – Riley przerzuciła strony swojego notatnika. – „Ładna kruszynka o złotych włoskach i niebieskich oczkach, w których już malowała się mądrość. A na jej ramionku, odsłoniętym, żeby wszyscy to widzieli, widniało królewskie znamię. Gwiazda Przeznaczenia”.

– Kolejna gwiazda. Czy coś napisał o rodzicach władczyni?

– Bardziej go interesowało jedzenie i wino, nie mówiąc już o bogini, szatach, królowej. Relacja nie jest zbyt uporządkowana. Z jego słów wynika, że pałac wyglądał jak budowla z bajki. Duży, srebrzysty, z okazałymi wnętrzami, pełnymi dzieł sztuki. Ale pisze również o gęstych kniejach i kamiennym kręgu na wzgórzu, na które się udał, żeby uczcić przodków.

O wodospadzie i krętej ścieżce, o Drzewie Życia.

– I o Nerezzy?

– Same plotki. Dość pikantne. – Riley pociągnęła łyk piwa i przysunęła się do stołu ze swoim krzesłem. – Po pierwsze, nie została zaproszona. Mieszkała na drugim krańcu wyspy, prawie jak na wygnaniu. To kara za to, że próbowała wzniecać niepokoje za czasów poprzedniej królowej. Niewiele konkretów, ale była powszechnie nie lubiana i budziła lęk. Wszyscy omijali ją szerokim łukiem. W noc swego przybycia nasz autor usłyszał coś, co wziął za burzę. Początkowo nie zwrócił na to uwagi, ale burza wydawała się wyjątkowo gwałtowna. Wstał z łóżka – szczegółowo opisał swoją komnatę – i wyrzwał przez okno. Zobaczył ziejącą rozpadlinę, przecinającą plażę, zgodnie z jego słowami, głęboką i czarną, a po jednej jej stronie stały trzy boginie. Twierdził, że poczuł, jak jakaś wielka siła wstrząsnęła światem i biały piasek zasypał szczelinę. Kiedy wszystko się uspokoiło, uniósł wzrok, tak jak boginie, i ujrzał trzy nowe gwiazdy poniżej księżyca, piękniejsze i jaśniejsze od wszystkich pozostałych na niebie i tak dalej. Nim nastał świt, pojawiła się w jego komnacie Arianrhod i stało się. Spędził tam trzy dni i noc, odwiedzała go co noc.

– Żeby począć dziecko, pół boga, pół czarnoksiężnika – dokończyła Sasha, kiedy tamta ugryzła swoją kanapkę.

Riley skinęła głową i palcem zatoczyła kółko w powietrzu.

– Według mnie ten Bo sprawia wrażenie zarozumiałego i napuszonego, ale musiał mieć jakieś cechy, które Arianrhod ceniła i na których jej zależało. Nim odpłynął, podarowała mu pierścień z białym, błyszczącym kamieniem, nazwała go Kamieniem ze Szkła. Powiedziała też,

że wysłę do jego świata większy dar, który pewnego dnia do niej wróci.

– Dziecko. Potomka.

– Nadajemy na tej samej fali, Sash.

– Śliczna historia. Pójdę po szkicownik. Przestało padać, więc chciałabym się przejść, wczuć się w atmosferę miejsca, do którego przybyliśmy, gdzie znajduje się dom Brana. Potem zobaczę, czy uda mi się coś narysować na podstawie twoich notatek.

– A ja muszę się rozpakować i trochę zorganizować.

– Dziś wieczorem ja przygotuję kolację razem z Branem. Pomyślałam sobie, że spróbuję przyrządzić gulasz z piwem. Postaram się go zrobić przed wschodem księżyca, żebyś mogła zjeść przed przymusowym postem.

– Dziękuję. Przejdź się ścieżką, którą namalowałaś – poradziła jej Riley. – W blasku księżyca wyglądała cudownie. Ciekawie będzie wyruszyć nią stąd. A powrót nią tutaj będzie niezrównany.

Sasha wstała i ruszyła ku drzwiom, ale przystanąła.

– Bran chce mnie przedstawić swoim bliskim – oznajmiła.

– Cóż, to zrozumiałe.

– Ma bardzo liczną rodzinę. A ja jestem... A ja jestem Amerykanką, której nigdy nie widzieli na oczy, która poznała Brana za ledwie...

– Przestań. – Wciąż jedząc, Riley pomachała palcem w jej kierunku. – Przestań stwarzać problemy. Spotkanie z jego rodzicami i tak dalej? Masz prawo być lekko zdenerwowana, Sasha, ale, na Boga, przecież jesteś niezrównaną wojowniczką. Walczyłaś z bogami. Więc tamto to będzie bułka z masłem.

– Wiem, że muszę ich poznać... Pragnę ich poznać – poprawiła się. – Wcześniej czy później. Tylko nie chciałabym nic zepsuć.

– Spójrz na niego. Jest wspaniały, prawda?

– Więcej niż wspaniały.

– I można spokojnie założyć, że jego rodzice mieli w tym jakiś udział. Więc prawdopodobnie też są wspaniali. Uspokój się.

– To głupie martwić się czymś takim, kiedy mamy tyle ważniejszych powodów do obaw.

– To naturalne – poprawiła ją Riley. – A jesteśmy tylko ludźmi. Wyłączając mnie przez trzy noce w miesiącu.

Sasha się uśmiechnęła.

– Mimo to. Masz rację. Nie będę sobie teraz zaprzętać tym głowy. Zostaw swoje notatki, po spacerze przekonam się, co mi się uda na ich podstawie narysować.

– Dobrze. Będę w pobliżu, gdybyś miała jakieś pytania.

*

Doyle wybrał się na wysoki klif, jak to robił w czasach dzieciństwa, a potem zszedł na brzeg po zdradzieckich skałach i kępach darni. Będąc chłopcem, niezłomnie wierzył, że nigdy nie spadnie. Teraz, jako mężczyzna, wiedział, że nawet gdyby spadł, przeżyje.

Powiedział sobie, że zaryzykuje upadek, ból umierania i powrotu do życia, by zbadać jaskinie w ścianie klifu. Wprawdzie to mało prawdopodobne, żeby gwiazda znajdowała się tuż na wyciągnięcie ręki, lecz nie można mieć pewności, póki się nie sprawdzi.

Jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko pretekst. Schodził po skałach bez liny czy zabezpieczenia, tak samo jak to robił, będąc chłopcem. Robił to wtedy, robił to teraz, upajając się podmuchami wiatru, ochryplym rykiem morza, gładką i chłodną powierzchnią ściany klifu. Uczepił jej się jak jaszczurka, wysoko nad skałą smaganą przez fale, igrając ze śmiercią,

rozkoszując się życiem jak słonym powietrzem.

Och, jaki był stęskniony przygód za młodu! Zmierzyć się ze zbójcami albo samemu być jednym z nich, wyjechać w świat, żeby wymachując mieczem, walczyć z tyranią, wypłynąć w morze, by poznać jakieś nieodkryte lądy.

Uważaj, o co prosisz, pomyślał, kiedy zatrzymał się na wąskiej skalnej półce, by spojrzeć na spienione morze i skały w dole.

Zaznał przygód, walczył z rozbójnikami, od czasu do czasu sam nawet był jednym z nich. Jako żołnierz brał udział w wielu wojnach, aż miał tego serdecznie dosyć. Żeglował i latał do zwykłych i egzotycznych miejsc.

I Bóg mu świadkiem, że zmęczyło go to wszystko.

Ale wyruszył na poszukiwania i obrał ten kurs wcześniej, niż pojawili się na tym świecie pozostali z ich szóstki. Wszystko już widział.

A co potem? Nie miał pojęcia.

Mógłby wieść przez jakiś czas spokojne życie, lecz on nie był stworzony do spokojnego życia. Podróże? Na całym świecie nie było już miejsca, które chciałby znów odwiedzić. Mógł się zabawiać z kobietami. Zawsze lubił kobiety, chociaż kiedy mijała pierwsza fascynacja, wkradała się nuda.

Cokolwiek robił, jakkolwiek to robił i gdziekolwiek, nigdy nie potrafił ciągnąć znajomości dłużej niż przez jakieś dziesięć lat. Nigdy nie nawiązał z nikim więzi, nawet luźnych, bo z czasem ludzie zauważali, że on się nie starzeje.

A tym, którzy pragnęli nieśmiertelności, mógł tylko poradzić: Uważajcie, o co prosicie.

Nie ma sensu nad tym dumać, doszedł do wniosku. Taki już jego los. Kłopot w tym, że kiedy się zakończą te poszukiwania, ich zespół się rozpadnie. A wprawdzie nie od razu, ale zaczął sobie cenić obecność swoich nowych przyjaciół.

Musiał przyznać, że kiedy służył w armii, miał towarzyszy broni. Lecz czym innym było należenie do tej szóstki, wspólne mieszkanie, spanie, posiłki, walka i przelewanie krwi, stawianie czoła wszystkim wyzwaniom.

Stali się rodziną.

Niestety każde z nich, mimo swoich nadprzyrodzonych zdolności, podlegało naturalnemu cyklowi życia. Zestarzeją się, a potem umrą.

Tylko on jeden nie.

I nie ma sensu o tym rozmyślać, znów upomniał sam siebie i opuścił skalną półkę, kierując się ku wąskiemu wejściu do jaskini, której szukał.

Kiedyś była to jego sekretna kryjówka. Przesiadywał na tej półce i snuł marzenia, a nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Po kryjomu przyniósł tu ogarek świecy, hubkę i łój, pierniki i miód. Marzył i strugał drewno, wypowiadał życzenia, dąsał się, obserwował ptaki w locie.

Wejście do jaskini okazało się mniejsze, niż je zapamiętał, ale czyż nie wszystko wydawało się teraz mniejsze? Chłopiec z łatwością mógł się wślizgnąć do środka, mężczyzna musiał się nieco nagimnastykować.

Pachniała tak samo – wilgocią i czymś wspaniałym – a w środku odbijał się echem ryk morza, aż powietrze zdawało się drzeć od tego huku. Doyle na moment ukucnął, zamknął oczy i się uśmiechnął, bo w tej chwili przeniósł się do prostych, niewinnych lat chłopięcych, kiedy miał przed sobą całą przyszłość, tak barwną, tak pełną przygód.

Zamiast zapalić ogarek, wyjął latarkę, poświecił wkoło.

Niewiele mniejsza, niż ją zapamiętał, stwierdził, kiedy wczołgawszy się do jaskini, wyprostował się z trudem. Zobaczył mały występ, na którym stawał świeczkę. Pochylił się i potarł palcami twardy wosk. W głębi leżało to, co zostało ze starej derki, którą wykradł ze

stajni. Pachniała koźmi, co mu wcale nie przeszkadzało.

Jaskinia zakręcała, tworząc małą wnękę, którą przeznaczył na swój skarbiec, bo ściana w pobliżu wejścia zasłaniała to miejsce przed wzrokiem ciekawskich.

Nadal znajdowały się tu skarby z czasów jego dzieciństwa. Stłuczona filiżanka, która w jego wyobraźni przemieniała się w kielich... Może jeden z kielichów króla Artura.

W wyszczerbionej miseczce trzymał kamyki i muszelki, kilka miedzianych monet, stary – już wtedy – grot strzały, kawałki sznurka, nóż, którym strugał drewno i którym wrył w skale swoje imię, będąc chłopcem.

Przesunął palcami po literach wyłobionych z takim mozołem:

„Doyle Mac Cleirich”.

Poniżej spróbował wyrzeźbić smoka, bo właśnie smoka obrał na swój herb.

– No cóż – mruknął i się odwrócił.

Światło jego latarki padło na płytkie zagłębienie w ścianie i małej zawiniątce.

– Po tylu latach?

Podszedł, wyciągnął je i rozwinął kawałek wełnianego sukna. W środku była fujarka, którą wystrugał z gałązki kasztanowca. Wyobrażał sobie, że jest z czarownic, stworzona specjalnie dla niego – i tylko dla niego – by mógł nią przyzywać smoka. Którego, naturalnie, uratował przed niechybną śmiercią i który został jego przyjacielem i towarzyszem.

Och, znów być chłopcem pełnym wiary i marzeń!

Uniósł fujarkę do ust, przytknął palce do otworów, wypróbował ją. Ku jego zdumieniu i zadowoleniu, z kawałka drewna wydobyła się melodia. Może nieco smętnie brzmiąca, ale melodia.

W przyływie sentymentalizmu zawinął ją z powrotem w kawałek wełny i wsunął do kieszeni.

Reszta może pozostać, pomyślał. Pewnego dnia może jakiś inny chłopiec, żądny przygód, znajdzie te skarby i będzie ciekawy, skąd się tu wzięły.

Wspiął się z powrotem na górę, zostawiając jaskinię, wspomnienia, morze.

Kiedy wdrapał się na skalną ścianę, powitał go Sawyer.

– Ej! Zszedłeś na dół?

– Tak. Żeby się rozejrzeć.

Sawyer przesunął czapkę do tyłu, przechylił się i spojrzał w dół.

– Trudne. Ja też miałem na to ochotę, ale w końcu ograniczyłem się do bezpieczniejszych rejonów. Co sądzisz o umieszczeniu tam tarcz strzelniczych?

Doyle popatrzył tam, gdzie Sawyer pokazał ręką.

– Przed tamtymi ogrodami?

– Tak. Cóż, wszędzie wokół są ogrody. Chyba że pójdziemy do lasu. Możemy ćwiczyć w lesie, ale tu nikt nam nie przeszkodzi. Do Brana należy spory kawał ziemi, lecz z tego, co się zorientowałem, ludzie mogą się tu zapuszczać i niektórzy to robią. A tutaj szum morza zagłuszy odgłosy wystrzałów.

– Jeśli o mnie chodzi, może być. Chociaż sądzę, że Bran jest na tyle znany w okolicy, iż nikt nie będzie chciał sprawiać kłopotów.

Chociaż Doyle doskonale znał okolice, zastanowił się.

– Po drugiej stronie domu jest więcej wolnego terenu, tam też możemy trenować.

Natomiast na ćwiczenia z bronią to całkiem dobre miejsce.

– No dobrze. Podobno Riley załatwiła dla nas łódź i sprzęt do nurkowania.

– Naprawdę?

– Tu też ma znajomych. Chcę rzucić okiem na mapy, ale rozejrzałem się już po okolicy

i mam ogólne pojęcie.

– Czyli możesz nas tu sprowadzić z powrotem bez względu na to, dokąd się udamy?

Sawyer uniósł kciuki do góry.

– Nie ma sprawy! I podobno Sasha robi szkic na podstawie notatek sporządzonych przez Riley po lekturze dziennika, w nadziei, że... – Zakreślił palcem kółko w powietrzu. – Nie wiem, jak jej idzie. A ja i ty najwidoczniej mamy się zająć ćwiczeniami z bronią, więc skoro wybraliśmy odpowiednie miejsce, możemy przystąpić do ustawiania tarcz.

– Najpierw piwo.

– Nie wnoszę sprzeciwu.

Doyle musiał przyznać, że właściwie trudno się sprzeczać z Sawyerem o cokolwiek. Facet był niezwykle życzliwy, szczwany jak lis, lecz bezgranicznie lojalny i z odległości dwudziestu metrów trafiłby komara w locie.

Przeszli przez sień i skierowali się do kuchni, w której unosił się smakowity zapach tego, co Sasha mieszała w garnku na kuchni. Riley jej się przyglądała.

– Rety. – Ponieważ Sawyer interesował się nie tylko jedzeniem, ale również gotowaniem, podszedł do Sashy. – Co to takiego?

– Irlandzki gulasz z piwem. Znalazłam w Internecie parę przepisów, trochę pokombinowałam. Sądzę, że mi się udał.

– Wygląda niesamowicie. Mamy ochotę na piwo. Chcecie wina?

– Uważam, że to odpowiednia pora. Dzięki. Trochę rysowałam. Ale chyba lepiej mi wyszedł gulasz niż...

Odwróciła się i zobaczyła, że Doyle wziął jej szkicownik.

– Trudno ocenić, czy jestem bliska rzeczywistości, jeśli uwzględnić, że opierałam się na dość ogólnikowym opisie.

Kiedy nic nie powiedział, podeszła do niego i jeszcze raz przyjrzała się uważnie jednemu ze swoich szkiców, przedstawiającemu Arianrhod.

– Nie wiem, czy uczyniłam ją piękną, bo autor dziennika uznał ją za piękność. Nie znam kształtu jej twarzy, długości włosów, wykroju oczu. Chyba zdałam się na przeczucie.

– I przeczucie ci to podpowiedziało?

Ostry ton Doyle'a sprawił, że spojrzała na niego zaniepokojona. Jego spojrzenie też było ostre.

– Tak. O co chodzi? Co jest nie tak?

– Stary. – Podeszedł do niego Sawyer, położył mu dłoń na ramieniu. – Dobrze się czujesz?

– Sam czytałem ten opis. Riley zrobiła dla ciebie notatki na podstawie tego, co jej przetłumaczyłem. A ty tak narysowałaś tę boginię?

– Tak, bo właśnie tak ją sobie wyobrażam. Właśnie... Właśnie taką ją zobaczyłam na podstawie notatek. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ... Narysowałaś moją matkę. Narysowałaś w szkicowniku twarz mojej matki.

ROZDZIAŁ 5

Gorzko-słodki. Chyba tak się mówi, prawda? – myślał Doyle, wpatrując się w szkic. Sprzeczne uczucia, splatające się i przenikające nawzajem, aż zleją się w jedno.

Nigdy tak dobrze tego nie rozumiał jak w tej chwili.

Kiedy się zmusił, by odwrócić wzrok, i na nich spojrzął, zobaczył, że otoczyli go kręgiem. Sawyer stał za nim, kobiety po obu jego stronach.

Musiał nad sobą zapanować, żeby nie uciec.

– Nie zapytam, czy masz pewność – odezwała się ostrożnie Riley – bo to oczywiste. Sasha narysowała twoją matkę, opierając się na opisie Arianrhod w książce.

Stoczył kolejną wewnętrzną walkę, żeby wytrzymać spojrzenie Riley, zachować spokój.

– Moja matka mogłaby jej pozować.

– Są jeszcze inne szkice. – Sasha sięgnęła po swój szkicownik i zaczęła odwracać kartki.

Rysunki z profilu, *en face*, całej postaci.

Zmusił się, żeby wziąć od niej szkicownik, przekartkować go, jakby to wszystko nie dotyczyło jego osobiście. Ale, Jezu, nawet ten półuśmiech na tym rysunku, jakby mówiła: Wiem, że coś przeszkrobałeś.

Wypisz wymaluj jego matka.

– Nigdy nie ubierała się tak... wymyślnie, zwykle splatała włosy w warkocz albo je upinała, ale właśnie tak wyglądała za młodu.

– Czy Sasha mogła, no wiecie, czytać we wspomnieniach Doyle'a? Nie rozmyślnie – szybko dodał Sawyer. – Tylko po prostu je poczuć?

– Nie sądzę. Naprawdę nie. Doyle'a nie było w pobliżu, kiedy nad tym pracowałam.

I opierałam się na notatkach Riley.

– Mam pewną teorię.

Doyle spojrzął na Riley.

– Oczywiście.

Nim zaczęła mówić, weszła roześmiana Annika z Branem.

– Lubię pomagać robić sztuczki. Chciałabym... O, witajcie. – Kiedy spojrzała na przyjaciół, uśmiech zniknął z jej twarzy. – Coś się stało. Czy znów trzeba będzie walczyć?

– Nie, przynajmniej nie teraz, ale dobrze, że jesteśmy tu wszyscy razem. Możemy od razu o tym porozmawiać. – Sasha wyciągnęła rękę do Brana. – Usiądźmy w salonie przy kominku.

– Jeśli jest przewidziane piwo, jestem za. – Ujmując jej dłoń, Bran popatrzył na szkice. – A co to takiego? Dogrzebałaś się do jakichś starych zdjęć?

– Co? Nie, tylko...

– To moja babka, matka mojej matki. Jak żywa. No, kiedy miała dwadzieścia kilka lat. – Gdy sięgał po szkicownik, dostrzegł dziwne spojrzenie Doyle'a. – O co chodzi?

– Widzę, że moja teoria się potwierdza – powiedziała Riley. – Twoja babka, matka Doyle'a. – Riley stuknęła palcem w szkic. – I Arianrhod.

– Rozumiem. – Bran z wolna pokiwał głową i znów popatrzył na szkic. – Czuję, że wiele mnie ominęło.

– Jest taka śliczna. – Annika przechyliła głowę, żeby móc lepiej się przyjrzeć rysunkowi.

– Czy matka Doyle'a była babką Brana i boginią? Nie rozumiem, jak to możliwe.

– Nie sądzę. – Sawyer objął ją w pasie. – Należę ci wina i wszystko wam opowiemy.

Usadowili się w salonie, z kieliszkami w dłoniach, przy kominku, w którym trzaskał

ogień. Tylko Riley stała. Rzadko miewała wykłady, jeszcze rzadziej wygłaszała prelekcje – przynajmniej oficjalnie – ale kiedy już to robiła, wiedziała, jak wypunktować to, co najważniejsze.

– Zaraz wszystko opowiem, ale najpierw mam pytanie: Branie, czytałeś dziennik podróży swojego przodka? Ten, który mi dałeś?

– Naturalnie. Może styl jest napuszony, ale to dobra relacja naoczego świadka, dotycząca jego pobytu na wyspie z okazji narodzin nowej królowej. Można więc przymknąć oko na kwieciste wyrażenia.

– Nic nie rozumiem.

– Tak się mówi – wyjaśnił Sawyer Annice. – Później ci dokładnie wytłumaczę.

– Czyli wiesz, że utrzymywał, iż spał z Arianrhod przez wszystkie trzy noce, które spędził na wyspie.

– Cóż, nawet boginie i czarnoksiężnicy mają swoje potrzeby, a to była wyjątkowa uroczystość. Nie... Ach, rozumiem. Naturalnie. – Odchylił się na oparcie, uniósł piwo, skinął głową do Doyle'a. – Chciała mieć dziecko... Dziecko z czarnoksiężnikiem.

– Swego potomka – powiedziała Riley. – Którego mogłaby pewnego dnia wysłać do Irlandii, by założył nowy ród. Część jego potomków osiedliła się tutaj, inni wyjechali. Twój krewni mieszkają w Sligo?

– Tak, znakomita ich większość – potwierdził Bran. – A babka mojej babki pochodziła z Clare, była znachorką w Quilty. Niedaleko stąd. Czyli pasuje, i to bardzo dobrze, nie uważasz, bracie?

Doyle utkwiał ponury wzrok w swoim piwie.

– Nic mi nie wiadomo o żadnych znachorkach w mojej rodzinie. I nie jestem nieśmiertelny od urodzenia.

Riley nawet się wzruszyła, widząc, jakie bije od niego przygnębienie, mimo żelaznej tarczy, za którą się ukrył, ale nie mogła mu tego okazać. Musiała go przycisnąć.

– Żadnych rozmów przy ogniu o krewnym jasnowidzu, uzdrowicielu albo kimś, kto potrafił rozmawiać ze zwierzętami?

Zaczął się kręcić, rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Ludzie zawsze gadają. A jesteśmy w Irlandii, więc...

– Wszystkie opowieści zawierają ziarno prawdy. Zresztą nie możesz zaprzeczyć faktom. Sasha narysowała Arianrhod, która bezsprzecznie jest podobna do twojej matki i do babki Brana. Cała nasza szóstka jest jakoś ze sobą powiązana. Sasha odkryła to jeszcze w Stanach, rysując i malując wizje, których wcale nie chciała mieć. Wszyscy w jednym czasie przybyliśmy na Korfu i tam się spotkaliśmy. Ty i Bran macie wspólne korzenie, sięgające nocy stworzenia gwiazd na Szklanej Wyspie. Podobnie jak my wszyscy.

– Wszyscy pochodzimy od niej? – spytała Annika.

– Są trzy boginie. Wątpię, by umieściły wszystkie jajka – gra słów zamierzona – w jednym koszyku. Wielka uroczystość, tłum czarnoksiężników. Wyobrażam sobie, że pośród nich było wielu, którzy odpowiadali ich potrzebom. Zmieniających postać, podróżników w czasie, mieszkańców mórz. Arianrhod przyszła do przodka Brana w noc stworzenia gwiazd, w tę samą noc, kiedy Nerezza rzuciła na nie klątwę – ciągnęła Riley. – Tamtej nocy, gdy boginie zrozumiały, że ziarno – nazwijmy to nieszczęścia – zostało zasiane. Więc przedsięwzięły kroki, by począć i stworzyć strażników gwiazd. Szóstkę strażników. Nas.

– Szóstkę, w których żyłach płynie ich krew – oświadczył Bran.

– Teraz już niewielka jej częśćka – zauważył Sawyer – ale trzeba przyznać, że to coś niezwykłego. W naszych żyłach płynie krew bogiń!

– Już wtedy nas wykorzystały? – spytał Doyle, wyraźnie dotknięty do żywego. – Określiły nasz los? Wiedziały, że mój brat umrze w męczarniach, nim stanie się mężczyzną, żebym ja w wyniku klątwy został nieśmiertelny?

– Nie sędzę – oświadczyła Riley w odpowiedzi na jego gwałtowny wybuch gniewu. – Nie twierdę, że bogowie nie potrafią być okrutni, ale nie uważam również, że ustalają wszystko ze szczegółami. Jak nie to, to inaczej zadarłbyś z siłą, która cię odmieniła. Sasha mogła przez całe życie nie być świadoma swego daru, ale i tak trafiłaby na Korfu. Ja też, nawet gdybym postanowiła pisać i wykładać, a nie pracować w terenie. Ale owszem – dodała po chwili. – Wykorzystały nas. Dały nam coś z siebie i to mogło sprawić, że spotkaliśmy się, jesteśmy razem, ryzykujemy nasze życie.

– A nie uważasz, że właśnie to pomogło nam pokonać Nerezę? – Sasha spojrzała prosto w oczy Riley. – Tak myślisz, teraz ja też. Przykro mi, Doyle. Żałuję, że nie wiedziałam ani nie przeczułam tego, zanim popatrzyłeś na szkic. Wtedy mogłabym cię jakoś przygotować.

– To nie twoja wina. Przecież sam przeczytałem ten cholerny opis i się nie zorientowałem. – Teraz mógł się zastanawiać, dlaczego nie przyszło mu to do głowy, ale nie można było cofnąć czasu. – Nie podoba mi się, że trzy boginie zapoczątkowały mój ród, kierując się własnymi egoistycznymi potrzebami.

– Będziesz mógł im to powiedzieć, kiedy znajdziemy wyspę. – Riley wzruszyła ramionami. – Istnieją duże szanse, że skoro są boginiami, to nadal się tam kręczą. I uważam, że istnieją duże szanse, iż znajdziemy wyspę, że leży niedaleko stąd, tak jak wtedy, kiedy wyruszył tam wspólny przodek Brana i Doyle’a.

– Mogę wypłynąć i się rozejrzeć. – Annika przytuliła się do Sawyera. – Sawyer obiecał, że dziś wieczorem przeniesie mnie na brzeg morza, żebym mogła popływać. Mogę przy okazji poszukać wyspy.

– Możesz, ale obawiam się, że to nie takie proste.

– Jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora – dodała Sasha. – Nie miałam żadnej wizji. Na razie wykorzystujemy jedynie logikę. I nie ma powodu, żeby wyspa nam się ukazała, póki nie zdobędziemy ostatniej gwiazdy.

– Zgadzam się. – Riley opadła na fotel, zgarbiła się, a potem przeciągnęła. – Prawdopodobnie mamy trochę czasu, nim Nerezza znów nas dopadnie, więc powinniśmy to wykorzystać.

– Treningi zaczynamy jutro o świcie – zakomunikował Doyle.

– Zgodą. Załatwiłam łódź i sprzęt do nurkowania. Znasz te wody, Anni?

– Niezbyt dobrze, ale popływam i się rozejrzę, poszukam jaskini.

– Świetnie. – Riley wzniosła toast na jej cześć. – Czyli Annika uda się na zwiady, ja postaram się o sprzęt, Bran już pracuje nad swoimi magicznymi sztuczkami.

– Ja razem z Doyle’em przygotowujemy strzelnicę – wtrącił Sawyer.

– A ja dokończę szykować kolację i spróbuję jeszcze trochę porysować.

– Zjem ten twój gulasz wcześniej – powiedziała jej Riley. – Wolę nie ryzykować, żeby nie dać się znów zaskoczyć transformacją. Bran, możesz coś zrobić z jednymi drzwiami, żebym mogła wrócić, nie absorbując nikogo?

– Naturalnie. Powiniennem być wcześniej o tym pomyśleć. Zaczaruję drzwi do kuchni. Wystarczy, że się do nich zbliżysz, a same się otworzą.

– Dzięki. O ile nikt nie ma nic więcej do powiedzenia ani nie ma do mnie żadnej sprawy, pójdę poćwiczyć w sali gimnastycznej.

– Słyszałaś, że o świcie mamy trening?

Riley uśmiechnęła się szeroko do Sashy.

– To zupełnie co innego. Ej, chodź ze mną. Trochę poćwiczymy z obciążeniem.
– Ograniczę się do mieszania drewnianą łyżką zupy w garnku.
– Ja chętnie z tobą pójdę. – Annika wstała. – Podoba mi się sala gimnastyczna z lustrami.
– Wiem. A więc chodźmy.
– Na jakich przyrządach będziemy ćwiczyć? – spytała Annika, wychodząc z Riley.
– Założę się, że znajdzie sposób, by przemienić wyciskanie w zabawę. – Sawyer uśmiechnął się, patrząc za nią, pociągnął łyk piwa i dostrzegł spojrzenie Sashy.
– Mam coś do załatwienia – oświadczył. – Wrócę za parę minut.
– Potrzebny mi drugi szkicownik. – Sasha wstała i wyszła razem z nim z pokoju, zostawiając Doyle’a samego z Branem.
– Moja babcia żyje – zaczął Bran. – Codziennie, bez względu na pogodę, maszeruje prawie dziesięć kilometrów, ma kotkę Morganę, wierci dziadkowi dziurę w brzuchu, że pali cygara, a wieczorem lubi się napić whisky. Będzie mi bardzo ciężko, kiedy nadejdzie jej dzień.
Urwał i zamyślił się na chwilę.
– Moi krewni odwiedzają mnie od czasu do czasu. Przyjeżdżali tutaj, kiedy trwała budowa tego domu. Moja babka razem ze mną obeszła go na samym początku budowy. Powiedziała mi: „Chłopcze, dobrze wybrałeś. To miejsce było świadkiem miłości i rozpaczy, śmiechu i łez, jak większość innych. Ale w większym stopniu niż tamte. Uszanuj to, nawet kiedy wzniesiesz tu swój dom”.
– Jest jasnowidzką?
– Nie, nic z tych rzeczy. Jest znachorką, uzdrowicielką, lecz nie przewiduje przyszłości. Myślę, że to wyczuła. Wyczuła, co tu było. Podobnie jak ja. To coś kazało mi tutaj pobudować dom. Twoi przodkowie wezwali moich. – Bran się nachylił do przyjaciela, do brata. – Straciłeś swoich bliskich, Doyle, niektórzy zginęli tragicznie, inni odeszli z przyczyn naturalnych. Chcę ci powiedzieć, że nadal masz krewnych.
– Czy tego chcesz, czy nie?
Bran tylko się uśmiechnął.
– No cóż, rodziny się nie wybiera, prawda?
Doyle musiał przyznać, że nie przypominał sobie, by ktoś przypadł mu do gustu szybciej i bardziej niż Bran. Pomyślał sobie teraz, że Bran ma w sobie coś, co do niego przemówiło.
Tę samą krew.
– Przestałem pragnąć rodziny – powiedział Doyle. – To instynkt samozachowawczy. Mimo twoich nadzwyczajnych mocy nie wiesz, co znaczy budzić się o wschodzie słońca ze świadomością, że będziesz to robił wiecznie. W przeciwieństwie do tych, na których ci zależy. Jeśli pozwolisz, żeby byli dla ciebie ważni.
– Nie mogę tego wiedzieć – zgodził się z nim Bran. – Ale wiem, że ważne jest też to, co teraz. Łączą nas więzy krwi, ale jeszcze zanim się o tym dowiedzieliśmy, zostaliśmy towarzyszami broni i przyjaciółmi. Powierzyłem ci własne życie i życie kobiety, którą kocham. I nie zawaham się znów ci zaufać. Nie ma silniejszej więzi od tej, która opiera się na zaufaniu.
Doyle wciąż nie krył rozgoryczenia.
– Przywiodły mnie tutaj boginie, los kazał mi tu wrócić.
– Ale nie samemu.
Wolno skinął głową i spojrzał w ciemne oczy Brana.
– Nie, bracie, nie samemu. A zatem tu się dla mnie wszystko zaczęło i może tutaj spotkam swój koniec.

*

Kiedy dzień chylił się ku końcowi, Riley wzięła talerz zupy do swojego pokoju. Jadła, zbierając informacje. Wielokrotnie była w Irlandii, wielokrotnie też prowadziła wykopaliska w tej części wyspy. Jako dziecko przyjechała tu ze swoimi rodzicami.

Wiedziała, że są tu jaskinie – na lądzie, a także podmorskie – ruiny i kamienne kręgi. Przed lekturą dziennika Bo skłaniała się ku przypuszczeniu, że gwiazda jest w Clare lub w jej sąsiedztwie. Ale dopuszczała ewentualność, że znajduje się w innej części Irlandii.

Teraz miała pewność, że gwiazda jest w Clare.

Gwiazda Ognia była w jaskini pod wodą. Tkwiła w skale w podziemnej pieczarze. Wezwała do siebie Saszę.

Gwiazda Wody była w wodzie, czekała na Annikę, żeby ta odnalazła posąg bogini, i ukazała się syrenie jako błękitna, jaśniejąca kula.

Wszystko zdawało się wskazywać, że teraz powinni znów szukać w wodzie. Może chodzi o jaskinię lub pieczarę w zimnych wodach Atlantyku u brzegów Irlandii. Zimno, lód. To by też pasowało.

Czy zaśpiewa albo zawoła, jak poprzednie gwiazdy? Kto ją usłyszy? W tej chwili stawiała na Doyle'a. Może to będzie Bran, ale Doyle najdawniej zapuścił tu korzenie.

Na wszelki wypadek będzie go miała na oku.

Annika dokona zwiadu w morzu tak, jak mogła to zrobić tylko syrena. Riley postanowiła, że w tym czasie nie przestanie szukać na swój sposób – w księgach, Internecie, na mapach.

Mogą przynajmniej zacząć od eliminowania. Jeśli Sasha będzie miała jedną czy dwie wizje, by móc ich skierować na właściwą drogę, jakieś okruchy, które będą mogli wykorzystać, to świetnie, ale według Riley nic nie zastąpi zbierania informacji i działania w sposób naukowy.

Zajęła się szukaniem informacji, ale wcześniej, przezornie, by znów nie dać się zaskoczyć transformacji i zdążyć się rozebrać, ustawiła budzik w telefonie komórkowym, tak by ją powiadomił dziesięć minut przed zachodem słońca.

Kiedy rozległ się sygnał, wyłączyła laptop, zamknęła książki i otworzyła drzwi na balkon.

Nie dostrzegła nic ani nikogo. Na ogół wolała odbywać przemianę bez świadków. Nie tylko z uwagi na niechęć do wystawiania na widok publiczny swojej nagości – chociaż to też miało znaczenie – ale dlatego, że w transformacji było coś bardzo osobistego.

Jej dziedzictwo, jej dar. Teraz wierzyła, że ma coś, co ją wiąże z trzema boginiami. Może napiszę o tym referat, pomyślała, rozbierając się, i wyślę go do Rady. Może jej członkowie wiedzą coś więcej na ten temat. Jakakolwiek dodatkowa wiedza mogłaby się teraz okazać bardzo przydatna.

Naga usiadła na podłodze przed kominkiem. Słońce właśnie zniknęło na zachodzie w zimnych wodach Atlantyku.

Poczuła narastające podniecenie, nieuchronność tego, co się wydarzy. Przyplływ sił, pierwsze zwiastuny bólu. Czując się bezpieczna, poddała się temu, pogodziła się z tym, co miało zaraz nastąpić.

Kości się przemieściły, wydłużyły. Towarzyszył temu ból, presja i swego rodzaju radość.

Jej plecy się wygięły, stanęła na czterech łapach, a ciemna sierść pokryła jej ciało.

Poczuła zapach nocy, ognia, dymu, własnego potu.

A wraz z nastaniem mroku nadeszło poczucie triumfu.

Jestem.

Stała się wilczycą, ale tkwiąca w niej kobieta odczuwała radość.

Silna i wolna wybiegła przez otwarte drzwi balkonowe, dała susa przez balustradę w zimne, nocne powietrze, w ciemność.

Wylądowała na ziemi. Całe jej ciało przepelniała niezwykła energia. Zadarła łeb do góry,

zawyla, a potem pognala ku gęstym ceniom lasu.

Mogla biec kilometrami i często to robila podczas pierwszej godziny po transformacji. Poczula zapach jelenia, krolika, wiewiorki, a wszystkie tak wyraźne, jakby miala przed soba zdjecia tych zwierzat.

Nawet gdyby byla wyglodzona, nie polowalaby ani nie tknela jedzenia. Jako wilczyca zachowywala post.

Trzymala sie drzew, instynktownie zmieniajac kierunek, gdy tylko dolecial ja zapach czlowieka albo spalin lub kiedy uslyszala warkot samochodu na drodze. Chociaz patrzacy zobaczyliby tylko wilka, a wielu wziewloby ja za duzego psa.

Lykany nie byly bohaterami filmow grozy, nie pokazywano ich, jak biegaja na pokrytych sierścią łapach i oszalalym wzrokiem wypatruja zablakanych ludzi, zeby rzucic im sie do gardla.

Chociaz Riley byla mioloniczka kultury masowej, wiekszosc filmow i ksiazek o wilkolakach ja irytowala.

Nie wiadomo, jakie byly korzenie tych ludowych przekazow, juz dawno temu obyczajne wilkolakow ulegly zmianie. Lykany sie ucywilizowaly, wprowadzono surowe reguly. Kazdy, kto zlamal te swiete zasady, zostawal surowo ukarany.

W koncu Riley zwolnila. Czesc rozpierajacej ja energii spalila sie podczas szybkiego biegu, wiec teraz mogla urzadzic sobie spacer i rozkoszowac sie nocą. Ale nie przestala badac lasu. Moze kryly sie w nim jakies wskazowki albo podpowiedzi.

Nisko i przecialgle zahukala sowa, nocna towarzyszyca. Kiedy Riley uniosla wzrok, dostrzegla oczy ptaka, blyszczace w mroku. Wysoko nad drzewami widoczna byla biala tarcza księżycyca w pelni. Zawyla raz do niego, by mu okazac szacunek, a potem sie odwrócila i ruszyla w kierunku domu Brana na wysokim brzegu.

Moglaby jeszcze przez kilka godzin biegac po lesie, ale swit wstawal wczesnie, a musiala jeszcze odpoczac. Pomyslala o rodzinie, o swoim stadzie, ktore bylo tak daleko i za ktorym tak tesknila. Brakowalo jej ich zapachu, ich mowy, dajacej poczucie wzeci.

Przez galęzie drzew ujrzala swiatla, do jej nozdrzy dolecial zapach plonacego torfu i roz. Wszyscy juz spia, pomyslala, ale zostawili dla niej włączone lampy. Oczywiscie zupełnie niepotrzebnie, ale to swiadczylo o ich trosce.

Obejrzala sie za siebie. Miala ochote jeszcze troche pobiegac, popatrzyła na sowe, pikujaca z szeroko rozpostartymi skrzydlami nad sciezka. Kusilo ja, jak kusila ja noc. Niemal zawrocila, by pognac w dal, ale poczula nowy zapach.

Tez ja pociagal.

Wiec ruszyla tam, gdzie konczyl sie las, spojrzala tam, gdzie stal Doyle na rodzinnym cmentarzu.

Porywy wiatru byly na tyle silne, ze wydely jego dlugi plaszcz. Zalany niebieska, księżycowa poświatą stal nieruchomo jak posag. Wlosy, ciemne jak noc, otaczaly twarz pokryta kilkudniowym zarostem.

Jako wilczyca odczuwala wszystko intensywniej; ogarnelo ja pozadanie, nad ktorym panowala jako kobieta. Wyobrazila sobie jego dlonie na swojej skórze i swoje na jego, ich splecione ciala, ktore ulegly zwierzecemu pozadaniu, biorace łapczywie, póki nie zaspokoily swoich chuci.

A kiedy sobie to wyobrazala, owe chuci pochwycily ja w swe szpony.

Az zadrzala, zaszokowana ich intensywnoscia, zla na siebie, ze nie potrafi ich poskromic.

Pomyslala, ze jednak jeszcze troche pobiega, lecz nim sie poruszyla, Doyle odwrócil sie gwałtownie i w mgnieniu oka wyciagnal z pochwy na plecach miecz. Blysnela metalowa klinga.

Ich spojzenia sie spotkaly. Swoimi przenikliwymi oczami dostrzegla jego zażenowanie,

a potem irytację, nim udało mu się ją ukryć.

– Masz szczęście, że jestem bez luku. Mógłbym wypuścić strzałę. – Opuścił miecz, ale nie schował go do pochwy. – Myślałem, że o tej porze będziesz już w domu. Już po pierwszej. Jakby obowiązywały ją jakieś godziny.

– Bran zaczarował drzwi, więc możesz wejść bez niczyjej pomocy do środka. A ponieważ sama o tym nie pomyślałaś, Sasha otworzyła drzwi do twojej sypialni i zamknęła te prowadzące na balkon.

Chciał, żeby sobie poszła – wyraźnie to widziała – a ponieważ pragnęła tego samego, była skłonna spełnić jego życzenie. Ale wyglądał jednak na niezwykle samotnego, kiedy tak stał z obnażonym mieczem nad grobami swoich bliskich.

Podeszła do niego po nierównej ziemi, porośniętej trawą między nagrobkami.

– Nie zależy mi na towarzystwie... – zaczął Doyle, ale stała tak jak on, spoglądając na mogiłę. Nagrobek był porośnięty mchem; na płycie leżały kwiaty. Był na niej niewyraźny napis: „Aoife Mac Cleirich”.

– Moja matka – powiedział Doyle, kiedy wilczyca usiadła obok niego. – Wróciłem i zostałem do jej śmierci. Mój ojciec spoczywa obok niej, zmarł dwa lata wcześniej. Nie było mnie przy niej, kiedy go straciła.

Znów umilkł i wsunął miecz z powrotem do pochwy.

– Przynajmniej nie możesz nic powiedzieć ani się ze mną sprzeczać. – Doyle uniósł brwi, bo odwróciła głowę i spojrzała na niego zimno. – Robisz to, gdy tylko masz okazję. W chwili śmierci liczyła sobie zaledwie sześćdziesiąt trzy lata. Miała długie, dobre życie jak na tamte czasy i na kobietę, która urodziła siedmioro dzieci. Przeżyła troje z nich, a każde, które opuściło ten padół przed nią, pozostawiło głęboką wyrwę w jej sercu. Ale moja matka była silną kobietą. I piękną – dodał. – Sama mogłaś się o tym przekonać, oglądając rysunki Sashy. Lecz nie taki jej obraz nosiłem w sercu przez całe swoje życie; widziałem schorowaną staruszkę, gotową na śmierć. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że zastąpił go obraz kobiety młodej, pięknej, pełnej życia. Czy w ogóle ma to jakieś znaczenie?

Wilczyca oparła się o niego lekko, jakby chciała go pocieszyć. Machinalnie położył dłoń na jej łbie. Pozwoliła mu na to.

– Wierzę w życie po życiu. Po tym wszystkim, co widziałem, nie mam wyjścia, muszę w nie wierzyć. I świadomość, że dla mnie to nieosiągalne, stanowi prawdziwe piekło. Ale pomaga mi wiara, że oni tego nowego życia doświadczają. Przynajmniej czasami mi pomaga. Łatwiej nie myśleć o tym wszystkim. Lecz dziś...

Urwał na moment i wziął głęboki oddech.

– Widzisz, Annika kładła kwiaty na każdym grobie. Na grobie mojej matki ułożyła je w kształcie serca. Na Boga, szczęściarz z tego Sawyera. Czekają go życie pełne słodyczy. No więc Annika była tutaj, żeby okazać zmarłym szacunek, podzielić się z nimi swoją miłością. Jak mogłem więc nie przyjść i nie stanąć nad ich grobami, chociaż wiem, że ich tu nie ma?

Spuścił wzrok, popatrzył na swoją rękę na wilczym łbie, szybko ją cofnął i włożył do kieszeni.

– Potrzebujemy snu. Rano zamierzam wycisnąć z was siódme poty. – Kiedy prychnęła, uśmiechnął się lekko. – Traktuję to jako wyzwanie.

Odwrócił się i razem ruszyli do domu. Nim udali się na górę, Doyle wyłączył światło w kuchni.

Szedł po schodach bezszelestnie jak wilk.

Riley skręciła do swojej sypialni, rzuciła mu ostatnie spojrzenie, a potem zatrzasnęła drzwi.

Idąc do siebie, zastanawiał się, dlaczego tak mu się zebrało na zwierzenia, dlaczego musiał aż tyle powiedzieć. I dlaczego teraz, kiedy to zrobił, było mu lżej na sercu.

W swoim pokoju otworzył drzwi balkonowe i rozpałił ogień w kominku nie tyle, by się ogrzać, ile by się nim cieszyć. Z przyzwyczajenia położył miecz przy łóżku, w zasięgu ręki, a obok – kuszę i kołczan z bełtami.

Tej nocy nie spodziewał się żadnych kłopotów, ale wierzył niezłomnie, że zawsze lepiej być przygotowanym na wszelkie niespodzianki.

Rozebrał się i zgasił światło. Leżąc na łóżku przy blasku księżyca i ognia, przez chwilę pozwolił swobodnie błądzić myślom. Ale ponieważ dotyczyły wilczycy i kobiety, która się w niej kryła, odpędził je tak zdecydowanie, jak zgasił światło. I zmusił się, by zasnąć, którą to sztukę posiadał jako żołnierz.

Często śnił. Czasami wracał wtedy do okresu dzieciństwa, czasami do okresu wojen, niekiedy zaś śnił o kobietach. Ale obrazy, które widział w snach, szybko się zmieniały. Pieczara wiedźmy, krew brata, szokujący ból klątwy rzuconej na niego. Przez moment miał wrażenie, że spłonie od środka.

Pola bitewne zasłane trupami, byli wśród nich polegli z jego ręki. Wojenny smród, każdy bardzo do siebie podobny bez względu na epokę, broń, miejsce bitwy. Zapach krwi, śmierci, strachu.

Pierwsza kobieta, którą pozwolił sobie pokochać, konająca w jego ramionach po urodzeniu martwego dziecka. Kiedy sto lat później zaryzykował jeszcze raz, jego kolejna wybranka zestarzała się i z wiekiem zgorzkniała.

Ból umierania. Ból powrotu do życia.

Polowanie na Nerezzę po całym świecie, przez stulecia. Walka u boku tych pięciorga, którym zaufał. Więcej krwi, więcej strachu. I taka odwaga.

Szczęk miecza, śmiertelna pieśń bełtów, świst kul. Krzyki stworów, sprowadzonych na ziemię z czeluści piekła przez boginię.

Wilczyca, niesłychanie piękna, o oczach koloru bursztynu.

Inteligentna i odważna kobieta, szybka i bystra.

Te oczy... fascynowały go.

Obok niego leżała zwinięta w kłębek wilczyca, nocna towarzyszka. Ciepła, miękka, dawała mu dziwne poczucie spokoju. Świt, krwistoczerwony i złoty, barwami i światłem zmusił księżyc do rejterady. Wilczyca zawyła.

Gorzko-słodko.

I zaczęła się przemieniać w kobietę. Po chwili leżała obok niego naga, o jędrnym ciele. Jej skóra wciąż pachniała lasem. Patrzyła na niego zachęcająco.

Kiedy się odwrócił, żeby ją nakryć swoim ciałem, roześmiała się. A gdy zaczął całować jej usta, jęknęła i wbiła paznokcie w jego plecy. Ujął w dłonie jej jędrne, kształtne piersi, poczuł pod stwardniałymi palcami jedwabiące gładką skórę.

Miała smak dzikiej przyrody.

Oplotła go silnymi nogami i wygięła się w łuk. Więc wszedł w nią i poruszał się szybko, rytmicznie, wnikał w nią głęboko, czując na sobie wzrok wilczycy i kobiety.

Niemal doprowadził siebie i ją do szaleństwa. Bezlitośnie, póki...

Obudził się w ciemnościach, twardy jak stal i sam.

Zaklął, bo przez moment po przebudzeniu czuł jeszcze jej zapach, zapach dzikiej kniei.

Ostatnią rzeczą, jaka mu była teraz potrzebna, to sny, że się kocha z kobietą, która nie dawała mu spokoju na jawie. Póki nie zakończą poszukiwań, musi się skupić wyłącznie na gwiazdach, na pokonaniu Nerezzы, na tym, by pięcioro towarzyszy, walczących u jego boku,

wyszło z tej batalii bez szwanku.

Kiedy wykona zadanie, znajdzie jakąś chętną kobietę, z którą spędzi noc na niezobowiązującym bara-bara. A potem...

Na razie nie musiał myśleć, co będzie potem.

Niespokojny i zły – nie przyśniłaby mu się, gdyby nie została z nim na cmentarzu – zwlókł się z łóżka.

Czuł zapach świtu, widział, jak nadciąga, bo ciemności nie były już tak nieprzeniknione. Nagi podszedł do otwartych drzwi balkonowych, by zaczerpnąć świeżego, wilgotnego powietrza.

Jakiś cichy szmer sprawił, że Doyle się odwrócił, gotów skoczyć po miecz. W dole, na tarasie z widokiem na morze, stała przy sztalugach Sasha. Na cienką koszulę nocną zarzuciła jedną z koszul Brana, który stał za nią w samych dżinsach, a światło z ich sypialni rozjaśniało oboje.

W tym świetle Doyle widział skupienie na twarzy Sashy, kiedy rysowała coś węgłem w szkicowniku.

Bran uniósł głowę.

– Lepiej włóż spodnie! – zawołał. – Zdaje się, że zaczniemy dzień od wizji.

– Obudzę pozostałych.

Szybko się ubrał i biorąc pod uwagę to, jak się zaczął ten dzień, chwycił miecz, zanim wyszedł z pokoju. Zapukał krótko w drzwi do sypialni Riley, ale przypomniał sobie, że słońce jeszcze nie wzeszło, chociaż stanie się to lada chwila, i lekko uchylił drzwi.

Wilczyca stała przed kominkiem, na którym wygasł ogień, i drżała. Z jej gardła wydobyło się głuche, ostrzegawcze warknięcie.

– Daruj sobie – rzucił jej ostrym tonem Doyle. – Chodzi o Sashę. Nie, nic jej nie jest – dodał, kiedy spięła się do skoku. – Maluje. Bran jest z nią. Chyba...

Urwał, a wilczyca zadarła łeb i zawyła przeciągle. Wpatrywała się w niego groźnymi oczami. Ale pod jej złością była bezradność, która sprawiła, że się wycofał. Chociaż uważał, że oglądanie transformacji jest czymś fascynującym, zamknął drzwi, zostawiając ją samą.

Usłyszał wycie, pełne bólu i triumfu, kiedy szedł pospiesznie, żeby obudzić pozostałych.

ROZDZIAŁ 6

Ponieważ nie widział sensu, by czekać na resztę, udał się prosto do głównej sypialni w wieży. Wychodziła na przyjemny salonik, którego drzwi na taras od strony morza były teraz otwarte.

Bran spojrzał na Doyle'a.

– Obudziła się zaledwie kilka minut wcześniej, nim ty wyszedłeś na balkon. Powiedziała, że potrzebne jej sztalugi. Ledwo ją nakłoniłem do narzucenia koszuli – jest tak chłodno – a wybiegła na taras i zaczęła malować.

Skinął na Doyle'a, żeby się zbliżył, a potem wskazał mu stół.

– Te już skończyła.

Doyle przyjrzał się szkicom węglem. Był tu jeszcze jeden rysunek Arianrhod, tym razem w stroju wojowniczkii, z mieczem u boku. Pozostałe dwie postaci to niewątpliwie Celene i Luna. Jedna ciemnowłosa, też w stroju wojowniczkii, trzymała łuk, druga, śliczna jak poranek, z gołębiem na ramieniu, miała w dłoni miecz.

W tej ciemnowłosej dostrzegł coś ze swoich siostr – najstarszej i najmłodszej – i znowu ścisnęło mu się serce. A także coś ze swojego zmarłego brata w tej o słodkiej twarzy, łagodnym spojrzeniu.

Dajesz się ponieść wyobraźni, upomniał sam siebie. Cofnął się, kiedy usłyszał, że nadchodzi Sawyer z Anniką.

– Czy coś powiedziała? – Sawyer, z włosami potarganymi od snu, podszedł i spojrzał przez ramię Sashy.

– Rysowanie zupełnie ją pochłonęło – odparł Bran. – Jak sam widzisz.

Sawyer i Annika poszli w stronę stołu.

– Och! – Annika klasnęła w dłonie. – To moja matka. Chciałam powiedzieć, że to moja matka, tak samo jak to jest matka Doyle'a. Tak wygląda moja matka.

– Matka... – powtórzył Sawyer. – A ty przypominasz tę drugą.

– Naprawdę?

– Masz takie same oczy jak ta jasnowłosa. Ale muszę przyznać, że ta jasnowłosa jest bardzo podobna do mojej babki, a raczej do jej zdjęć z czasów młodości. Niezła była z niej sztuka.

– W takim razie twoja babcia i moja matka są bliźniaczkami – odezwała się Riley, która stanęła za Sawyerem. – Czyli moja teoria się potwierdziła. Kiedy Sasha skończy rysować, każde z nas rozpozna na którymś szkicu kogoś ze swojej rodziny. Jesteśmy ich potomkami.

– Według mnie nie tylko.

Riley spojrzała na Doyle'a.

– To znaczy?

– To mógłby być portret dwóch moich siostr. Podobieństwo nie jest tak duże, jak między Arianrhod a moją matką i babką Brana, ale bezsprzecznie jest. A ta, która przypomina kogoś tobie i Sawyerowi, jest podobna do mojego brata Feilima.

– Ciekawe. Kiedy już Sasha skończy rysować, powinniśmy się im uważniej przyjrzeć, w lepszym świetle. – Powiedziawszy to, Riley wzięła do ręki jeden ze szkiców. – I przekonamy się, czy jest więcej podobieństw.

– Czyli... – Sawyer podrapał się w głowę. – Wszyscy jesteśmy ze sobą spokrewnieni?

– Pamiętajmy, że upłynęło może tysiąc lat od czasów, kiedy powstało nasze drzewo

genealogiczne. Ale tak, uważam, że tak jest.

– Jak się cieszę. – Annika uściskała Riley, a potem Doyle’a. – Czyli jesteśmy rodziną.

– Płynię w nas ta sama krew – przemówiła Sasha, kiedy niebo na wschodzie pojaśniało. – Poczęci i urodzeni na Szklanej Wyspie, karmieni i pielęgnowani przez matki, przez boginie, wysłani z jednego świata do drugiego. Poczęci razem z gwiazdami, urodzeni z księżycem, obdarzeni szczególnymi przymiotami. Dokądkolwiek zawiodły nas wiatry przeznaczenia, trafiliśmy w jedno miejsce, kiedy upłynęły tysiąc dwa lata od upadku gwiazd.

– Gwiazda Lodu czeka, uwięziona w czasie i przestrzeni. Jej dzień nadejście, gdy światy znieruchomieją na pięć uderzeń serca. Ogień do oglądania, woda do czucia, lód do pokonania. Wrócą na właściwe miejsce, gdy Drzewo Wszelkiego Życia znów zakwitnie.

Owładnięta wizjami, uniosła ręce w stronę wschodniego nieba.

– Ona też czeka, słaba i zziębnięta, pielęgnowana przez tego, którego sama stworzyła. Czeka i zbiera siły, by uderzyć prosto w serce, umysł, ciało. Ten świat zdradzi od jej gniewu. Szukaj w przeszłości, otwórz serce.

Opuściła rękę i przycisnęła ją do piersi.

– Podążajcie jej ścieżką. Jej światło jest waszym światłem. Czeka. Światy czekają. Ona czeka. Sięgnijcie do wczorajszego dnia i zanieście ją do domu.

Sasha zachwiała się, opuściła ręce.

– Nic mi nie jest – powiedziała, kiedy Bran ją objął. – Ale chętnie usiądę na minutkę.

– Jesteś zziębnięta. Cholera, idziemy do domu. Anniko, w barku jest woda.

– W barku?

– Zaraz przyniosę. – Riley wbiegła do środka, otworzyła małą lodówkę w niewielkim barku, a w tym czasie Bran przeniósł Sashę na fotel przed kominkiem, w którym zapłonął ogień.

Annika wzięła z kanapy ciemnozieloną narzutę, owinęła nią nogi Sashy.

– Dziękuję wam. Naprawdę nic mi nie jest. Widziałam wszystko coraz wyraźniej, a potem nagle zniknęło. – Podziękowała za wodę, napiła się. – Szczerze mówiąc, mam ogromną ochotę na kawę. Może poszlibyśmy... Och. – W dłoniach Brana pojawił się duży kubek. – Branie, nie rób takiej zmartwionej miny. Nic mi nie jest. – Przemówiła czule, dotykając jego policzka.

– Masz zimne dłonie – powiedział, podając jej kubek.

– Czułam, że to bardzo ważne. Musiałam to narysować. Przysięgam, że słyszałam w głowie ich głosy. Mówiły mi, żebym wam wszystkim je pokazała. Widziałam je tak wyraźnie, jak teraz widzę was. I... Odniosłam wrażenie, że wystarczy, jak wyciągnę rękę, a będę mogła ich dotknąć.

Napiła się kawy i westchnęła głęboko.

– Anni, powiedziałaś, że ta ciemnowłosa z łukiem wygląda jak twoja matka.

– Jest bardzo do niej podobna. I taka ładna.

– Jest również podobna do mojej babki, jak matka Doyle’a i babka Brana. Nie znałam matki mojej matki, kiedy była młoda. Właściwie w ogóle ledwo ją znałam. Ale wiem, że to ona. Ta bogini to Celene, jasnowidzka, która stworzyła Gwiazdę Ognia, by obdarzyć nową królową przenikliwością i rozumem. Ta, która łączy Riley i Sawyera, to Luna, z gołębiem i mieczem. Stworzyła Gwiazdę Wody, obdarowała nową królową sercem i współczuciem. A ostatnia, Arianrhod, wojowniczką, podarowała władczyni męstwo.

– I każde z naszej szóstki ma coś z nich – powiedziała Riley.

– Tak. Wybrały sobie kogoś, poczęły dziecko, urodziły je, kochały i wychowywały, opiekowały się nim, a w dniu szesnastych urodzin dziecka wysłały je ze swojego świata do naszego. Czułam ich smutek.

Annika uklęknęła, położyła głowę na kolanach Sashy.

– Moja matka płakała, kiedy odeszłam, by was odnaleźć. Była dumna, ale płakała. Trudno się rozstać z synem czy córką.

– To prawda. Od tamtej pory mogły się tylko przyglądać. I do dziś mogą jedynie patrzeć i mieć nadzieję. Trudno to wytłumaczyć, ale jesteśmy ich dziećmi. Czują to. Jesteśmy ich nadzieją, tym, co zapoczątkowały tamtej nocy.

– Ostatni rysunek?

Sasha spojrzała na Doyle'a.

– Nocny koszmar.

Riley wyszła, a po chwili wróciła ze szkicownikiem i podała go właścicielce.

– Wygląda na to, że będzie gorąco.

Sasha uśmiechnęła się słabo i popatrzyła na swój rysunek. Stali między domem a klifem, uzbrojeni. Była ciemna noc, Nerezza rozpętała burzę ognia. Płomienie spadały z nieba, paląc wszystko wokół, w ziemi pojawiły się szczeliny, z których też wystrzeliwały języki ognia. Spłonęły nawet skrzydlate stwory, które pikowały i atakowały ich sześcioro.

Siedząc na swojej bestii, Nerezza ciskała włócznie ognia, jej czarne włosy z pasmami siwizny rozwiewał wiatr. Uroda złej bogini rozmyła się i zbladła.

Zastąpiło ją szaleństwo.

– Nie wiem, kiedy się pojawi, lecz się pojawi. Chce mieć gwiazdy, pożąda ich, ale zamierza nas zniszczyć, nawet jeśli w ten sposób miałyby zniweczyć swoje szanse na ich zdobycie. Kiedy już się pojawi, to przede wszystkim spróbuje spalić nas na popiół.

– Dam sobie z nią radę.

Wszyscy przenieśli wzrok na Brana, który gładził Sashę po włosach.

– A z całą pewnością mogę się do tego przygotować. Ta burza ogniowa wydaje się potężniejsza, bardziej gwałtowna od tej, z którą mieliśmy do czynienia na Capri. Ale ostatecznie zawczasu ostrzeżony jest zawczasu uzbrojony. Zatem wszyscy będziemy uzbrojeni.

– Doceniam twój optymizm – powiedziała Riley. – Lecz wiesz, że nawet czarownice mogą spłonąć. Przynajmniej płonęły w przeszłości.

– Ten prosty fakt świadczy, że powinniśmy wyczarować ochronę, tarczę i zaklęcia, właśnie żeby się przed tym zabezpieczyć. A ponieważ nie chodzi o zwykły pożar, będzie wymagał niezwykłego zaklęcia. Popracuję nad tym.

Nachylił się, by pocałować Sashę w czubek głowy.

– A wracając do chwili obecnej, wydaje mi się, że dziś Sawyer ma dyżur w kuchni.

– Po treningu – odezwał się beznamyślnie Doyle. – Najpierw trening, potem jedzenie. Z jednym wyjątkiem – dodał, nim Riley zdążyła otworzyć usta. – Riley musi się wzmocnić. Zjedz coś, tylko się pośpiesz – powiedział i znów spojrzał na szkic. – Czeka nas dużo pracy.

*

Żeby nie tracić czasu, Riley przygotowała sobie koktajl energetyczny, do którego dodała dwa surowe jajka. Nie wyszło zbyt smaczne i z całą pewnością nie było to coś, na co miała ochotę, ale zaspokoiła pierwszy głód.

Kiedy wyszła na dwór, zobaczyła, że Doyle już rozpoczął z nimi rozgrzewkę – rozciąganie, a także lekki trucht. Stojąc przez chwilę z tyłu, ujrzała z innej perspektywy ich zespół. Sasha wyglądała na trochę wyczerpaną – nic dziwnego – ale nadrabiała miną. Annika... Cóż, Annika jak to Annika, śmiała się, robiąc przysiady i wypady. Bran i Sawyer? Obaj byli w doskonałej formie, zanim zaczęła się ta cała misja. A teraz? Tylko pozazdrościć.

Doyle? Sam zainaugurował te mordercze treningi i je prowadził. Chociaż według niej

wyglądał na trochę rozkojarzonego, zgodnie z obietnicą już zaczął im dawać porządnie w kość.

Riley dołączyła do nich, postanawiając ćwiczyć bez taryfy ulgowej. Ogniste szczeliny w ziemi, niebo buchające ogniem, bardzo rozzłoszczona bogini o skłonnościach psychopatycznych stanowiły wystarczającą motywację.

Po kalistenice był bieg na dziesięć kilometrów i Riley nieźle się zmachała. Lecz nie protestowała, kiedy Doyle polecił im, żeby udali się do sali gimnastycznej. Do diabła, przecież dopiero się rozgrzała.

Podzielił ich na grupy. Podnoszenie sztangi, wyciskanie, podciąganie się, a potem zmiana, i jeszcze raz.

– Ile potrafisz unieść? – spytał Riley, która leżała na ławeczce.

– Sześćdziesiąt kilo.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– To więcej, niż sama ważysz.

– Potrafię wycisnąć sześćdziesiąt kilo. Pięć serii po dziesięć razy.

Nałożył obciążniki.

– Zademonstruj.

Przygotowała się, wyrównała oddech i przystąpiła do ćwiczeń. Gdy wykonała ostatnią serię, mięśnie ją paliły, a pot lał się ciurkiem. Ale dała radę.

– Nieźle. Wytrzymaj się, nawodnij organizm. Twoja kolej, Blondynko.

– Naprawdę zamierzasz mnie zmusić do czegoś takiego?

– Jesteś silniejsza, niż sądzisz. – Ale zmniejszył wagę obciążników do czterdziestu kilogramów. – Spróbuj. Na początek trzy razy, odpoczynek, znów trzy razy.

Pijąc wodę, Riley przyglądała się, jak Sasha ćwiczy, zacisnąwszy zęby. I stwierdziła, że przyjaciółka jest lepiej umięśniona niż dwa miesiące temu.

– Jeszcze trzy razy.

– Sukinsyn z ciebie, Doyle.

– Jeszcze trzy razy.

Wykonała ćwiczenie, a potem opuściła ręce.

– Czy mogę na tym poprzestać?

– Dobra robota. Odpocznij i weź prysznic.

– Dzięki Bogu. – Sasha zsunęła się z ławki, usiadła na podłodze.

Riley wzięła dla niej butelkę wody i usiadła obok.

– Tamtego dnia, kiedy wyszłaś na hotelowy taras na Korfu, ani razu nie wycisnęłaś czterdziestu kilogramów, zapewniam.

– Nigdy nie miałam zamiaru wycisnąć chociażby raz czterdziestu kilogramów. Lubię jogę, pilates.

– Jedno i drugie jest świetne prawie w każdych okolicznościach. Później będziemy musiały trochę poćwiczyć z Anniką fikołki.

– Tak, tak. Pozwól mi chwilę pławić się we własnym pocie.

Riley pomacała palcem biceps Sashy.

– Całkiem nieźle.

Sasha napięła mięśnie.

– Niczego sobie, prawda?

– Niczego sobie? Dziewczyno, prawdziwa z ciebie kulturystka.

Sasha wsparła głowę na ramieniu Riley.

– Dziękuję. Zamieniłabym to na dwugodzinną drzemkę, a potem kubek kawy. Ale dzięki.

– Wstawaj. – Riley podniosła się i podała jej rękę. – Weźmiemy prysznic, napijemy się

kawy. I wreszcie coś zjemy. Umieram z głodu.

*

Nim zmyła z siebie noc i trening, wygrzebała bluzę, spodnie, włożyła na nogi ukochane chucksy, poranny koktajl był już jedynie odległym wspomnieniem. Musiała się najęść, i to porządnie. I wypić morze kawy. Zbiegając po schodach, poczuła jej zapach, podążyła więc za tą upojną wonią. Sawyer mieszał coś w olbrzymiej misie, a Annika – w mniejszej.

Riley spojrzała na niego spode łba.

– Myślałam, że do tego czasu już będzie usmażone.

– Musiałem wziąć prysznic.

– Seks pod prysznicem jest taki fajny – powiedziała Annika, uśmiechając się bez odrobiny skrępowania. – Ale pochłania więcej czasu.

– Pięknie. Możemy umrzeć z głodu, a wy oddajecie się miłosnym igraszkom w łazience.

Nalała sobie kawy do kubka.

– Racuszki, bekon, parówki, krem jogurtowo-owocowy. – Sawyer odwrócił się w stronę piekarnika. – Nakryj do stołu, to szybciej siądziesz do jedzenia.

Riley wzięła talerze. Wiedziała, że gdyby Annika miała czas nakryć stół, z pewnością oryginalnie by go udekorowała. Jeśli o nią chodzi, o wiele bardziej interesował ją bekon.

Gdy tylko Sawyer przełożył go z patelni na półmisek, złapała plasterek i zaczęła go przerzucać z ręki do ręki, żeby szybciej wystygł. Pierwszym kawałkiem oparzyła sobie język, ale uznała, że było warto.

A kiedy zsunął racuszek z blachy, zwinęła go jak burrito i zjadła na jeden raz. Nim zjawili się pozostali, zdążyła zaspokoić pierwszy głód.

Bran przyjrzał się uważnie stołowi z trzema wazonikami, które postawiła na nim Annika. Do każdego włożyła jedną różę – białą, żółtą, czerwoną, ozdobiła wazoniki białymi serwetkami, które przymocowała wstążką, i dołożyła drewniane szpikulce, udające miecze.

– Trzy boginie.

– Pomyślałam, że powinny do nas dołączyć.

Bran rzucił Annice szeroki uśmiech.

– Jedzenie godne bogów.

Riley uznała, że jest również jej godne, usiadła więc i nałożyła sobie wszystkiego na talerz.

– Zamierzam pokopać trochę w bibliotece w wieży. Czy jest tam jeszcze coś o gwiazdach albo o wyspie?

– Prawdę mówiąc, nie przeczytałem nawet niewielkiej części tego, co tam zgromadziłem, ale wiem, że jest tam kilka pozycji na ten temat. W różnych językach – odrzekł Bran. – Pokażę ci po śniadaniu.

– Trening z bronią w południe. – Sawyer spróbował swoich racuszków i skinął głową z uznaniem.

– Przyda mi się przerwa w środku dnia. Dziś ja szykuję południowy posiłek, więc będą kanapki.

– A później walka wręcz. – Doyle przyjrzał się nieufnie kremowi jogurtowemu.

– Jest bardzo smaczny – zapewniła go Annika, nakładając sobie pełną łyżkę. – Sawyer mówi, że również zdrowy. Sama go przyrządziłam.

Ponieważ czuł do niej słabość, nie miał innego wyjścia, tylko spróbować.

– Dobrze – przyznał, chociaż osobiście mógł żyć wiecznie bez jogurtu.

– Będę pracował w wieży nad sztuczkami wspomagającymi obronę i atak, więc w razie

potrzeby wiecie, gdzie mnie szukać.

– Ja przestudiuję mapy – powiedział Sawyer – żebym mógł nas za pomocą swojej busoli przenieść tam, gdzie trzeba się będzie udać.

– Annika i ja możemy pomagać Branowi albo Riley, albo Sawyerowi, w zależności od tego, komu będziemy potrzebne. – Sasha rzuciła okiem na grafik prac domowych. – Annika robi dziś pranie.

– Lubię pracować. Fajnie jest składać czyste rzeczy. I ładnie pachną.

– Możesz pracować do woli – powiedziała Sasha. – Ponieważ dom jest taki duży, przydzieliłam każdemu jego część do bieżącego sprzątnięcia. – Uniosła brwi, patrząc na Doyle'a. – Kiedy się mieszka i pracuje w czystych pomieszczeniach, ma to pozytywny wpływ na morale.

– Nic nie powiedziałem.

– Na głos – zauważyła. – I dziś wieczorem to ty szykujesz kolację.

Chrząknął i spojrzął na Brana.

– Można tu gdzieś niedaleko kupić pizzę?

– No cóż, chyba będziesz musiał wybrać się po nią do Ennis. Chyba że zadowolisz się mrożoną. Być może jest jakaś pizzeria bliżej, ale nie potrafię powiedzieć tak z głowy.

– W takim razie Ennis. I tak najwyższa pora, żebym przejechał się gdzieś motorem.

– Czy to wioska? Ze sklepami? – Annika niemal podskoczyła na krześle. – Mogę pojechać z tobą? Lubię jazdę na motorze.

Riley nawet nie kryła rozbawienia, czym zachęciła Doyle'a do uśmiechu.

– Po śniadaniu zabiorę cię na przejażdżkę. – Lubił jej towarzystwo i czysty zachwyt, jaki okazywała, jadąc na tylnym siodełku. – Ale skoro mam pojechać aż do Ennis, Sawyer powinien nam towarzyszyć. Potrzebna nam amunicja.

– W takim razie lepiej się wybierz z Riley. – Sięgając po dzbanek z kawą, Sawyer nie zauważył niezadowolonych min obojga. – Ona ma wszędzie znajomości. Przeprowadziłem remanent – ciągnął. – I zrobiłem dla was listę zakupów. Nie wiem, czy masz aż tak dobre kontakty, ale pomyślałem sobie, że z uwagi na położenie domu mamy kilka doskonałych miejsc do obserwacji, co się dzieje na zewnątrz. Dobrze byłoby mieć dwa karabiny z celownikami optycznymi.

– Na wieżach. – Riley skinęła głową, rozważając tę propozycję. Dobra broń dalekiego zasięgu, dobry strzelec... Tak, to mogło zapewnić przewagę. – Umiesz strzelać z karabinu, snajperze?

– Jasne. A ty?

– Też. Podzwonię tu i tam.

Po śniadaniu przekartkowała dwie książki, które dał jej Bran. Postanowiła, że najpierw przestudiuje tę w języku angielskim, a potem weźmie się do napisanej odręcznie po łacinie. Może się to okazać ciekawe. Na koniec zostawiła sobie dwie w gaelickim, bo nie władała płynnie tym językiem.

Włączyła laptop, wyjęła tablety, a także telefon. I zaczęła dzwonić.

Zdziwiła się, kiedy czterdzieści minut później wszedł Doyle. Sądziła, że będzie wolał znaleźć sobie jakieś inne zajęcie, niż pracować z nią w bibliotece. Trzymając telefon przy uchu, wzięła jedną książkę ze stosu, przesunęła ją po stole, zakreśliła palcem kółko.

– Nie ma sprawy – rzuciła do słuchawki. – Ale wolałabym je obejrzeć i wypróbować. – Wstała, podeszła do okna, odwróciła się i wróciła do stołu, cały czas słuchając. – Zgoda. Mam też listę potrzebnej amunicji. Gdybyście mogli ją dostarczyć, być może udałoby nam się wynegocjować to, co nazywacie rabatem ilościowym. – Roześmiała się. – Nie pytaj, nie mów, Liamie. Jasne, chwileczkę.

Wyciągnęła z kieszeni listę sporządzoną przez Sawyera i zaczęła ją czytać. Uniosła oczy w górę, sięgnęła po wodę, napiła się.

– Jak powiedziałam, jesteśmy swego rodzaju stowarzyszeniem i organizujemy coś, co można nazwać turniejem. Zadzwoń do Seana, poręczy za mnie. To nie ulega wątpliwości, ale jest równie wiarygodny jak inni. Jak wspomniałam, pracowałam z nim w Meath przy wykopaliskach na terenie klasztoru dominikanów i trzy lata temu w Caherconnell w Burren. Skontaktuj się z nim i daj mi znać. Tak, dzwoń pod ten numer. Do usłyszenia.

Rozłączyła się i odetchnęła głęboko.

– Załatwione, ale musimy poczekać jeszcze godzinę, dwie na potwierdzenie.

– Kolejny znajomy handlarz bronią?

– Niezupełnie, ale Liam zna pewnych ludzi dostarczających pewne towary.

– Ale ciebie nie zna.

– Nie osobiście. To kuzyn byłej dziewczyny mojego współpracownika. On, jego była i kuzyn pozostają w przyjaźni. Mój współpracownik przedstawił swoją byłą jej obecnemu mężowi, z którym ta kobieta ma już dwoje dzieci. Kuzyn jest chrzestnym starszego. Mój współpracownik i kuzyn polują wspólnie raz, dwa razy do roku. Kuzyn prowadzi również działalność uboczną, tylko za gotówkę, w swojej stodole, która znajduje się dwadzieścia kilometrów na wschód od Ennis, co jest nam bardzo na rękę. Bo za jednym zamachem zaopatrzymy się w pizzę, broń i amunicję.

Nie da się tego przywieźć na motorze, pomyślał Doyle, wyraźnie rozczarowany. Trzeba będzie skorzystać z samochodu Brana.

– Ja prowadzę.

– A niby dlaczego? Ja znam lepiej drogi.

– A czemuż to?

– Bo przyjeżdżałam tu często w ciągu ostatnich dziesięciu lat, prawdę mówiąc, przez jakiś czas byłam konsultantką przy tworzeniu muzeum w Craggaunowen, obok którego przejeździemy w drodze do tej stodoły.

– W takim razie możesz być pilotem, ale ja będę kierował.

– Zagramy o to, kto będzie prowadził.

– Nie.

– Kamień, papier, nożyce?

Nie zaszczycił jej odpowiedzią, tylko wrócił do lektury.

– Ten opis jest diabła wart. Mowa tu o czterech siostrach w Irlandii, którym powierzono opiekę nad królową-dzieckiem. Trzy były dobre, a czwartą skusiła zła czarownica. Obiecała jej władzę i wieczną urodę i skłoniła, by ta zwróciła się przeciwko trzem pozostałym.

– Wcale nie jest diabła wart – sprzeciwiła się Riley. – To jak zabawa w głuchy telefon. Jest w tym ziarno prawdy.

– Głęboko zakopane. Autor pisze, że trzy siostry-boginie ukryły niemowlę w szklanym zamku na niewidzialnej wyspie i wzniosły się do nieba, gdzie przemieniły się w gwiazdy. Wtedy czwarta siostra w przypływie wściekłości strąciła je z nieba i te pe, i te pe, i te de. Jedna spadła jak błyskawica, powodując na ziemi pożar, druga wleciała do morza podczas trąby powietrznej, a ostatnia gdzieś na północy, gdzie ziemia pokryła się lodem.

– Wcale niedaleko.

Rzucił jej spojrzenie pełne irytacji i frustracji.

– Wystarczająco daleko, kiedy ma się królową – najwidoczniej szybko dorastającą – która uciekła z niewidzialnej wyspy na uskrzydłonym koniu, żeby stoczyć walkę ze złą siostrą. Królowa pokonała ją i przemieniła w kamień.

– Pomiń przypuszczalną hiperbolę i dotrzesz do ziarnka prawdy. Nerezza została przemieniona w kamienną kolumnę w jaskini na Korfu.

Doyle odłożył książkę na bok.

– Długo żyję, ale nigdy jeszcze nie widziałem uskrzydłonego konia.

– Założę się, że chociaż długo żyjesz, dopiero niedawno zobaczyłeś Cerbera.

Nie mógł nie przyznać jej racji. Ale...

– To wersja braci Grimm, do tego wypaczona.

– Kiedy powtarza się zasłyszane gdzieś opowieści, siłą rzeczy ulegają one zniekształceniu, zazwyczaj są upiększane – zwróciła mu uwagę Riley. – Dlatego trzeba się dokopać do korzeni. Cztery siostry. – Uniosła w górę cztery palce. – Cztery boginie. Nie pierwszy raz słyszę czy czytam o tym, że są siostrami. Może więc rzeczywiście nimi były. Niewidzialna wyspa, Szklana Wyspa, która pojawia się i znika. Trzy gwiazdy – Ognia, Wody i Lodu.

– To nic nie wnosi.

Laicy, pomyślała z pewnym politowaniem.

– Na razie nie. Bycie dociekliwym niekiedy wydaje się nużące, Doyle, ale tylko dociekliwość pozwala nam dostrzec to, co zostało przeoczone lub zlekceważone. Istnieją gorsze zajęcia niż siedzenie w wygodnym fotelu w bibliotece i czytanie książek.

– Odrobina seksu i przemocy sprawiłaby, że przestałoby to być takie nużące.

– Czytaj. Może będziesz miał szczęście. – Rozległ się sygnał jej telefonu, informujący, że dostała wiadomość. Uśmiechnęła się, patrząc na wyświetlacz.

– Właśnie nam się poszczęściło. Cześć, Liamie – powiedziała. Podeszła do okna, żeby wynegocjować szczegóły ich kontraktu.

Ponieważ najwyraźniej doskonale sobie radziła z pertraktacjami, Doyle wrócił do lektury. Cieszył się, że ta opowieść jest przynajmniej stosunkowo krótka. Chociaż królowa pokonała złą boginię, utrata gwiazd wielce ją zasmuciła. Wróciła na swoją wyspę, postanowiwszy, że tam pozostanie, póki jasnowiedzka, syrena i wojowniczką nie odnajdą gwiazd, by znów mogły świecić na niebie.

Wziął notes Riley, coś w nim zapisał.

Zaczął kartkować książkę z podaniami ludowymi, żeby się przekonać, czy nie znajdzie innej opowieści o gwiazdach, ale odłożył ją, kiedy wszedł Sawyer.

– Czy mogę skorzystać z drugiego końca stołu? Chciałbym tu poeksperymentować z mapami.

– Proszę bardzo. Właściwie wolę popracować z tobą, a książki zostawić Gwin.

– Nie tylko to możesz mi zostawić. – Zadowolona z negocjacji Riley uśmiechnęła się, chowając telefon do kieszeni. – Właśnie załatwiłam dla nas amunicję ze sporządzonej przez ciebie listy, Snajperze.

– Do pistoletów podwodnych też?

– Tak, do nich też. I dwa karabiny automatyczne Ruger AR-556 z dwoma tuzinami magazynków o pojemności trzydziestu nabojów.

– Nigdy nie strzelałem z tego modelu – przyznał się Sawyer.

– Ja też nie. Dlatego nasza umowa dojdzie do skutku po tym, jak obejrzę broń i ją wypróbuję. Ale wygooglowałam ją podczas rozmowy i powinna być w porządku. Mogę odebrać broń i amunicję razem z Doyle'em, a potem pojechać po pizzę i sprawa załatwiona.

– Chyba że ty chcesz pojechać – rzucił Doyle do Sawyera. Niech się wybiorą we dwoje, pomyślał, oszczędzi mu to jazdy z Riley.

– Chętnie bym tak zrobił, ale z pewnością nie udałoby mi się odwieść Anni od

towarzyszenia nam. – W szarych jak mgła oczach Sawyera można było dostrzec lekki strach i rozbawienie. – A kiedy poszłaby w Ennis na zakupy, to koniec.

– Czyli nie ma o czym mówić. Trzeba jak najszybciej obrócić tam i z powrotem. Dobrze, że na Capri skorzystałam z bankomatu, bo zabrakłoby pieniędzy. – Riley sprawdziła, która godzina. – Posiedzę tu do południa.

– A ja postudiuję z Sawyerem mapy – powiedział jej Doyle.

– Proszę bardzo. – Usiadła i zmarszczyła czoło, patrząc na jego odręczną notatkę. – Co to za historia z tą jasnowidzką, syreną i wojowniczką?

– Zgodnie z bajką, którą kazałaś mi przeczytać, królowa z własnej woli postanowiła zostać na wyspie, póki te trzy nie odnajdą gwiazd, by znów mogły zabłysnąć na niebie.

– Zawsze jakieś ziarnko prawdy – mruknęła Riley, biorąc książkę do ręki.

I z zapalem przystąpiła do jej studiowania.

ROZDZIAŁ 7

Zarobiwszy kilka siniaków podczas ćwiczeń z walki wręcz – Sasha się nie patyczkowała – Riley zarzuciła na ramię mały plecak i ruszyła do samochodu Brana.

Wolała prowadzić, niż być wożona, i naprawdę nie rozumiała tych, którzy uważali inaczej. Ale Doyle był pierwszy, a ponieważ szanowała zasadę „kto pierwszy, ten wybiera”, usiadła na miejscu obok kierowcy i nastawiła się na to, że sobie odpocznie.

Irlandia jest bardzo malownicza, ale gdy się prowadzi samochód – przynajmniej tak jak ona to robiła – nie sposób podziwiać widoki.

Kiedy Doyle zajął miejsce za kierownicą, postanowiła, że będzie dla niego miła.

– Szkoda, że nie możemy pojechać motorem. Jak się udała przejażdżka z Anni?

Cofnął wóz, zakręcił i ruszył nierównym podjazdem w kierunku szosy.

– Jakieś osiem kilometrów w bok od drogi, którą wybrałem, leży wioska. Jest tam parę sklepów. Nadal się zastanawiam, jak mnie nakłoniła, żebym tam skręcił i się zatrzymał.

– Cóż, niczego jej nie brakuje.

– Ale należy do innego mężczyzny.

– To nie zmienia postaci rzeczy. Poza tym Annika ma wiele uroku. – Riley zmieniła pozycję, żeby odciążać lewe biodro.

– Pod koniec walki nieźle oberwałaś.

– Sasha lepiej się bije niż kiedyś. Popełniłam błąd, oszczędzając ją.

– Bran mógł się zająć twoimi siniakami.

– Jeśli się nie zarobi kilku siniaków, to znaczy, że walka nie była dobra.

Jak tu ślicznie, zachwyca się. Przyroda pozostała tutaj dziewicza, krajobraz był surowy, nawet pomimo zielonych pastwisk i stadek owiec pasących się na nich. Miało się wrażenie, że czas się tu zatrzymał, co zawsze do niej przemawiało.

Rolnik na traktorze... Czyż przodkowie Doyle'a nie uprawiali tej właśnie ziemi, używając pługów ciągniętych przez konie? I prostota tych kamiennych murków. Czyż nie takie same kamienie wykopali na tych polach ci, którzy teraz leżeli na cmentarzach?

Jeśli pominąć brukowaną drogę, samochody, tu i ówdzie nowoczesne domy, niewiele się tu zmieniło od czasów, jak mieszkał tu Doyle. Riley pomyślała, że z pewnością to zauważył.

Błękitne niebo w górze zasnuły chmury. Po drodze złapał ich deszcz, ale wkrótce przestało padać.

– Największy wynalazek lub odkrycie?

Spojrzał na nią, zmarszczywszy czoło.

– Słucham?

– Jaki jest według ciebie największy wynalazek albo odkrycie? Bo w ciągu tych trzech stuleci trochę ich widziałeś.

– Nie zamierzam brać udziału w quizie.

– To nie quiz, tylko pytanie. Interesuje mnie twoja opinia na ten temat.

Wolałby jechać w milczeniu, ale poznał już Riley na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie da mu spokoju.

– Elektryczność, bo otworzyła drogę nowym urządzeniom, do których jest niezbędna.

– Tak, to wielki skok. Ja głosuję za odkryciem ognia. Ale w dziedzinie postępu technicznego elektryczność bezsprzecznie zajmuje pierwsze miejsce.

– Jeśli chcesz się cofnąć do zamierzchłych czasów, czyli znacznie dalej niż wtedy, kiedy

pojawiłem się na tym świecie, mamy wynalazek koła i powszechnie używanych narzędzi.

– Odkrycie soli i jej zastosowania – dodała. – Leczenie ziołami, wypalanie cegieł, obrabianie kamienia, kopanie studni i budowanie akweduktów. Chodziłeś do szkoły? Teraz powinieneś skrócić w lewo.

Skręcił, ale nic nie powiedział.

– Komuś, kto wykonuje mój zawód, trudno nie interesować się człowiekiem żyjącym w czasach, o których studiowałam. Po prostu.

– Mam wykształcenie.

– Ciekawa jestem, czy z uwagi na długie życie i możliwości uczyłeś się nowych rzeczy?

– Uczyłem się tego, co uznałem za interesujące.

– Aha. – Droga się zwężyła, stała się kręta. Riley kochała takie drogi z licznymi zakrętami, żywopłotami i ogródkami przydomowymi po obu stronach. – Języki. Masz zdolności do nauki języków.

– Dłużej szukam gwiazd, niż ty żyjesz. Zacząłem, kiedy jeszcze twojej babki nie było na świecie. Więc podróżowałem. A podróże są bardziej efektywne, kiedy zna się języki.

– Niewątpliwie. W następną drogę w prawo. Dlaczego miecz? Dobrze strzelasz z broni palnej.

– Jeśli już mam zabić człowieka, wolę mu spojrzeć prosto w twarz. I – dodał po długiej chwili milczenia – pomaga mi to nie zapomnieć, kim jestem. Łatwo o tym nie pamiętać.

– Nie sądzę. Według mnie wszystko pamiętasz.

Nie chciał o to pytać, specjalnie nie zrobił tego wcześniej. Ale teraz nie potrafił się powstrzymać.

– Dlaczego ostatniej nocy przysłaś na groby?

– Wracałam do domu i zobaczyłam cię tam. Szanuję zmarłych – to, kim byli, co zrobili, jak żyli, co po sobie zostawili. Powiedziałaś, że ich tam nie ma. Masz rację, choć zarazem jej nie masz.

– Jak to możliwe?

– Poszli dalej, rozpoczęli nowy cykl, bo w ten sposób traktują reinkarnację. Według mnie tak to działa. Ale nadal tu są, bo ty tu jesteś. Bo nadal jest ziemia, na której żyli, którą uprawiali, gdzie wzniesli dom.

Mówiąc to, Riley przyglądała się krajobrazowi, bo uznała, że wtedy Doyle'owi będzie łatwiej.

– W lesie są drzewa, które wyrosły jeszcze za ich życia. Craggaunowen, przy którego tworzeniu byłam konsultantką, jest niedaleko stąd. Podobnie jak Dysert O’Dea. To niesamowite miejsca. W Irlandii jest wiele niesamowitych miejsc, ponieważ tutaj szanuje się historię, długie i skomplikowane dzieje oraz tych, którzy byli przed nami, to, co zrobili, jak żyli i umarli. Dlatego można ich tu czuć, jeśli człowiek tylko sobie na to pozwoli. Inne miejsca na świecie są puste, bo tam się liczy tylko to, co będzie, a nikt się specjalnie nie przejmuje tym, co było.

Riley wyciągnęła rękę.

– To tam. Duża, biała stodoła, stary żółty dom. No i naprawdę duży, brązowy pies.

– Chyba nie masz kłopotów z psami.

– Nigdy nie spotkałam psa, który by mnie nie polubił. Poradzę też sobie z Liamem.

Doyle skrócił w długi zwirowy podjazd, na którego końcu stał dom. Stodoła była jeszcze kawałek dalej. Pies kilka razy szczeknął gardłowo, ostrzegawczo, lecz kiedy Riley wysiadła i na niego spojrzała, zbliżył się do niej na sztywnych łapach.

– Przestań.

– Tylko tak groźnie wygląda. – Mężczyzna, który wyszedł ze stodoły, miał na sobie

roziągnięty sweter i dzinsy. Na stalowoszarych włosach nosił tweedową czapkę. Był chudy jak szczapa. Uśmiechał się szeroko, podparłszy się pod boki, wyraźnie rozbawiony.

Riley odpowiedziała mu uśmiechem, a potem zwróciła się do psa:

– Chodź, powąchaj.

Pies zamerdzał ogonem i zbliżył się do niej. Obwąchał jej nogi, a także pomarańczowe chucksy, a potem polizał dłoń.

– No, no. – Liam ruszył w ich stronę. – To coś nowego. Wprawdzie nikogo nie ugryzie, jeśli mu nie każę, nigdy jednak nie zaprzyjaźnia się z nieznajomymi.

– Psy mnie lubią. – Riley nachyliła się i lekko potarła psa. – Jak się wabi?

– Rory. A kto jest pani psem stróżującym w to śliczne popołudnie?

– To Doyle, jeden z naszego zespołu. – Podała rękę Liamowi.

– Miło mi panią poznać, doktor Riley Gwin. Nasz wspólny przyjaciel Sean mówi, że jest pani inteligentna i bystra. A pan, panie Doyle... – Liam podał mu rękę.

– McCleary.

– McCleary? Moja matka wyszła za mąż za Jamesa McCleary'ego. Poległ podczas drugiej wojny światowej. Owdowiała, będąc w ciąży z moim bratem, Jimmym. Trzy lata później poślubiła mojego ojca, ale mamy krewnych McClearych. Ma pan tutaj rodzinę, panie McCleary?

– Niewykluczone.

Liam wyciągnął ku niemu długi, kościsty palec.

– Oprócz jankeskiego słyszę akcent z Clare. A pani, sławna doktor Gwin?

– Jestem kundlem, jak Rory, ale część moich przodków pochodzi z Galway i Kerry.

– Według mnie kundle są najmądrzejsze i najlepiej się przystosowują do warunków. Jak długo zamierzacie pozostać w Irlandii?

Ponieważ wiedziała, że nie uniknie tej rozmowy, Riley starała się, by jej głos brzmiał swobodnie. Pies oparł się o jej nogę.

– Trudno powiedzieć, ale bardzo nam się tu podoba. Zatrzymaliśmy się u przyjaciela, Brana Killiana.

Liam uniósł brwi.

– Przyjaźnicie się z Killianem? Ciekawy gość. Zdaje się, że jest iluzjonistą. Przynajmniej tak ludzie gadają.

– Z pewnością to lubi.

– Słyszałem, że wzniósł okazały dom na klifie. Kiedyś te ziemie należały do McClearych.

Czy to pana krewni, Doyle?

– Niewykluczone.

– Doyle niezbyt się interesuje historią swojej rodziny. W przeciwieństwie do mnie – powiedziała Riley. – Pan nosi nazwisko O'Dea. To stary i znamienity ród. Prawdopodobnie przodkowie pańskiego ojca mieszkali w Clare, może w wioskach, w których nazwach jest pańskie nazwisko. Dysert O'Dea, Tully O'Dea. Dawna forma tego nazwiska to O'Deaghaidh, co znaczy „poszukiwacz”. Prawdopodobnie to ukłon w stronę świętych mężów, pochodzących z waszego klanu. Straciliście sporo ziemi podczas siedemnastowiecznych powstań.

– No tak, Sean mówił, że prawdziwa z pani uczona. – W jasnoniebieskich oczach Liama pojawiło się rozbawienie. – Moją matką jest Agnes z domu Kennedy.

Dobrze, pomyślała Riley, niech będzie.

– Kennedy to zangielszczona forma przezwiska Cinnéide albo Cinneidigh. *Cinn* znaczy głowa, *eide* tłumaczy się jako ponury albo w hełmie. Cinnéide był bratankiem króla Irlandii, Briana Śmiałego. W *Kronikach Czterech Mistrzów* z dwunastego wieku wspomniany jest O' Cinnéide, pan na Tipperary. – Pokiwała głową. – Pochodzi pan ze znamienitego rodu, Liam.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– A pani ma wybitny umysł, doktor Riley Gwin. Cóż, spodziewam się, że przyjechali tu państwo w interesach, przejdźmy więc do stodoły i zobaczmy, co mamy dla państwa.

W stodole mocno pachniało sianem, co jest naturalne. Znajdował się tam najprzeróżniejszy sprzęt i narzędzia, a także niepozorny, stary traktor. Lodówka, którą niewątpliwie podłączono do prądu w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, służyła do przechowywania piwa i drobnych przekąsek, jak przypuszczała Riley. Były tu także dwa puste boksy.

W głębi urządzono mały arsenał, w którym panował idealny porządek. Strzelby, śrutówki, krótką broń palną umieszczono na dwóch dużych stojakach. Amunicja leżała na metalowych półkach. Na długim stole warsztatowym położono narzędzia do wyrobu śrutu.

– Sam pan robi śrut?

Liam uśmiechnął się do Riley.

– To moje hobby. A tu mam to, co państwa interesuje. – Zdjął ze stojaka rugera, zamierzając go podać Doyle'owi, ale Riley przechwyciła broń.

Sprawdziła magazynek – był pusty – zważyła karabin w rękę, wycelowała w boczną ścianę.

– Nie chcę się wyrwać jak filip z konopi – powiedział Liam – ale to spory ciężar dla tak drobnej kobiety jak pani.

– W pewnym barze w Mozambiku pewien pijaczek sądził, że jestem zbyt drobna, by się sprzeciwić, kiedy położył mi łapska tam, gdzie sobie tego nie życzyłam. – Opuściła karabin, podała go Doyle'owi. – Ale kiedy złamałam mu rękę, chyba zmienił zdanie. Mogę zobaczyć drugą sztukę?

– Mozambik – powiedział Liam, chichocząc, i podał jej drugi karabin.

– Nigdy wcześniej nie strzelałam z tego modelu. Chciałabym go wypróbować.

– Tylko głupcy tego nie robią. – Liam wziął z półki dwa magazynki. – Chodźmy za stodołę. – Podał im ochraniacze na uszy. – Moja żona akurat coś piecze w kuchni. Pozwólcie, że wysłę jej SMS, żeby wiedziała, co się dzieje.

Wyszli ze stodoły tylnymi drzwiami. Ciągnęły się tam pola pogrodzone kamiennymi murkami, para kasztanków pasła się na łące.

– Jakie piękne – zachwyciła się Riley.

– Moja dumka i radość. Nie ma obaw, są przyzwyczajone do huków, podobnie jak nasz Rory. Lubię tu sobie postrzelać do rzutków, a czasem do papierowych tarcz.

Wskazał nowe okrągłe tarcze, przymocowane do desek, za którymi były grube bele siana.

– Jak pani wie, to broń o dużym zasięgu, ale ponieważ nie zna jej pani, może będzie pani chciała podejść trochę bliżej.

– Taka odległość jest w sam raz. – Z pięćdziesiąt metrów, oceniła. Kiedy przyjdzie im strzelać naprawdę, będą musieli trafić w cele znajdujące się znacznie dalej. Ale teraz może być.

Włożyła magazynek, uniosła broń, przyjęła pozycję strzelecką, wycelowała. Spodziewała się odrzutu i nie zawiodła się.

Nie trafiła w środek tarczy, ale pocisk przeszedł w odległości nie większej niż dwa centymetry od środka.

– Gratuluję – powiedział Liam, a w jego głosie dało się usłyszeć przyjemne zaskoczenie.

Riley jeszcze raz się przymierzyła i strzeliła. Trafiła w sam środek tarczy.

– Lepiej – mruknęła i oddała serię pięciu strzałów. Wszystkie pociski przeszły niedaleko środka tarczy. – Jest szybka – stwierdziła. – Dobrze dopasowuje się do dłoni, podoba mi się też opór stawiany przez spust. Jest właściwie wyważona i wcale nie taka ciężka. – Spojrzała na

Doyle'a. – Twoja kolej.

Idąc za przykładem Riley, załadował drugi karabin, wycelował, strzelił. Raz trafił poza pierwszy biały okrąg, raz w sam środek tarczy, a kiedy wystrzelił serię, okazało się, że pociski nie utkwily tak blisko siebie jak wtedy, kiedy strzelała Riley.

– Może być. – Doyle wyjął magazynek.

– Cóż, ponieważ nie grymasicie, dorzucę futerały na karabiny. Czy życzą sobie państwo wybrać jeszcze coś na wasz... Turniej?

– To nam wystarczy. Plus amunicja, którą wyszczególniłam.

– Zapowiada się niezła impreza. – Liam ograniczył się tylko do tego jednego komentarza. Karabiny w brezentowych futerałach i amunicję umieścili na tylnym siedzeniu samochodu Brana, przykryli wszystko kocem, a potem pożegnali się z Liamem i psem.

Riley zajęła miejsce obok Doyle'a.

– Nieźle strzelasz z karabinu, ale celujesz odrobinę za bardzo w lewo.

Ponieważ wiedział, że Riley ma rację, nic nie mówił.

– Czy te wiadomości o jego nazwisku i o nazwisku jego matki wyciągnęłaś z tyłka?

– Z głowy – poprawiła go. – Możesz to sprawdzić. Przed wyjazdem na wszelki wypadek jeszcze odświeżyłam pamięć. Jeśli chodzi o Kennedy, to łatwe. Na ogół, jak o czymś czytam, zapamiętuję to. Przynajmniej większość informacji. Ciekawe, że on też ma krewnych z rodu McCleary. Uwzględniając miejsce jego zamieszkania, jest więcej niż prawdopodobne, że są spokrewnieni z twoją rodziną.

– Zwyczajny zbieg okoliczności.

– Możesz chcieć w to wierzyć, ale chyba zbyt długo żyjesz, żeby uwierzyć. Zbyt wiele tych związków z tobą, McCleary. Ziemia, położenie domu, bezpośredni związek z Arianrhod. Nasza jasnowidzka znalazła Gwiazdę Ognia, nasza syrena – Gwiazdę Wody. Ty jesteś wojownikiem, wymachujesz mieczem. Założę się, że ty, kolego, znajdziesz Gwiazdę Lodu. A jeśli Nerezza też jest z tobą jakoś powiązana, w pierwszej kolejności skupi swoją uwagę na tobie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Pokonamy ją. Dokończę to, co zaczęłam. Przysięgam, że z największą ochotą bym ją zgładziła. Ale odczytuję znaki i uwzględniam, że się tak wyrażę, to, co mówi jasnowidzka, więc najprawdopodobniej tobie przypadnie ten zaszczyt. Przepowiednia mówi, że zginie od miecza.

– Jeśli mi się uda ją zniszczyć, sprawi mi to największą przyjemność w życiu.

A zapewniam cię, że doskonale znam to uczucie.

– Naprawdę? – Ponieważ otworzył drzwi, odwróciła się przodem do niego. – Czyli w krainie nieśmiertelnych nie wszystko jest ponure i mroczne?

– Prawdziwy z ciebie wrzód na tyłku, Gwin.

– Dostałam medal. Naprawdę – powiedziała, kiedy Doyle na nią spojrzał. – Srebrny krążek z wygrawerowanym skrótem WNT. Dostałam go od profesora, gdy robiłam studia licencjackie. Przypięłam ten medal, jak wygłaszałam mowę pożegnalną. A pięć, sześć lat później prowadziłam razem z nim wykopaliska. Skończyło się na tym, że jedną noc spędziliśmy razem w łóżku.

– Tylko jedną?

Wzruszyła ramionami.

– Żadne z nas nie traktowało tego poważnie. Doszliśmy do wniosku, że fascynuje nas to, co mamy w głowach, nic poza tym. Było dziwnie. – Wymierzyła w niego palec. – A twoje najdziwniejsze doświadczenie seksualne?

– Nie.

– Daj spokój! – powiedziała ze śmiechem, nic a nic niespeszona. – Spałam z mózgiem mojego profesora antropologii w namiocie w Mazatlán. Przebij to.

Ledwo się powstrzymał, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– No dobrze, pierwszy przykład z brzegu. Spałam z kobietą, która występowała w wędrownym cyrku. Była linoskoczką, powietrzną akrobatką.

– Co w tym takiego osobliwego?

– Była szalona jak wściekła kotka, twierdziła, że właściwie jest wężem, a przybrała postać kobiety w celach prokreacyjnych.

– Hm. W którym to było wieku?

– Zaraz... – Musiał się zastanowić. – W dziewiętnastym. Na początku dziewiętnastego wieku, jeśli to istotne.

– Jestem po prostu ciekawa. Z którą częścią jej ciała spałeś? Tak, tak, wiem, ale mam na myśli siebie i mózg mojego profesora.

– Była nieustraszona.

– Być może pociągają cię szalone, nieustraszone kobiety. Zatrzymaj się.

– Dlaczego?

– Stań – poprosiła.

Mruknął coś pod nosem, ale zjechał na pobocze.

– Jeśli zachciało ci się siusiu, będziemy w Ennis...

– Widzisz tamtego ptaka? – przerwała mu. – Na znaku drogowym?

– Widzę jakiegoś przeklętego kruka.

– To nie kruk. Siódmy ptak, odkąd wyjechaliśmy ze stodoły.

– Wygląda jak zwykły kruk. – Ale poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach, gdy patrzył, jak to ptaszysko siedzi i ich obserwuje. – W hrabstwie Clare jest więcej niż siedem kruków.

– To nie kruk – powtórzyła Riley i wysiadła z samochodu.

Kiedy Doyle zobaczył, jak wyciągnęła broń spod koszuli, wyskoczył z wozu.

– Chyba nie zamierzasz strzelać do jakiegoś przeklętego ptaka tylko dlatego, że...

Jeszcze nie skończył, a ptak zakrzeczał i skierował się prosto w ich stronę. Riley strzeliła do niego w powietrzu i przemienił się w popiół.

– To nie kruk – znów powtórzyła, zrobiła obrót i zastrzeliła kolejne dwa, które nadleciały od tyłu.

– Przyznaję się do błędu.

– I bardzo słusznie. – Czekala, rozglądając się, lecz kolejne nie nadleciały. – Zwiadowcy. Widocznie lepiej się poczuła. – Schowała broń i ruszyła w kierunku samochodu.

Doyle chwycił ją za ramię.

– Skąd wiedziałas? Przecież ja też mam oczy.

– Czy pełnia księżycy, czy nie, zawsze jest we mnie trochę z wilczycy. A wilczyca wie, kiedy kruk nie jest krukiem. – Umilkła i oparta o karoserię, spojrzała na pobliskie pastwisko, gdzie pasły się owce pomiędzy grobami i ruinami czegoś, co uznała za małą kaplicę.

Panowała absolutna cisza, jak w pustej katedrze.

– Nie intryguje cię, kto to zbudował i dlaczego właśnie tutaj? Kto się tu modlił i do kogo?

– Niezbyt. – Ale małostkowość tego kłamstwa sprawiła, że się poprawił. – Tak. Od czasu do czasu, kiedy gdzieś się znajduję. Masz rację, mówiąc, że można wyczuć, kto był lub co było tu kiedyś. W niektórych miejscach, w określonym czasie.

– Według mnie szczególnie na polach bitewnych. Byłeś kiedyś w Culloden?

– Tak, w tysiąc siedemset czterdziestym szóstym roku.

Riley wyprostowała się, oczy jej zabłyśły, teraz to ona złapała go za ramię.
– Szesnastego kwietnia? Byłeś tam? Właśnie tam? Och, musisz mi o tym opowiedzieć.
– Bitwa była krwawa i bezpardonowa, ludzie ginęli, krzycząc. Jak w każdej bitwie.
– Tak, ale... – Zreflektowała się. Nigdy nie mówił o wojnach, raczej unikał takich tematów. – Mógłbyś mi przynajmniej powiedzieć, po czyjej stronie walczyłeś?

– Przegraliśmy.
– Walczyłeś w szeregach wojsk jakobinów, brałeś udział w powstaniu... – Całkowicie zafascynowana, nie odrywała od niego wzroku. – Trafiłeś do niewoli czy zginąłeś?
– Schwymano mnie, a następnie powieszono. To bardzo nieprzyjemne.
– No myślę. Czy...

Kiedy odszedł, by uniknąć dalszych pytań, postanowiła porzucić temat wojny, nim Doyle zupełnie zamknie się w sobie.

– Najważniejsze osiągnięcie w sferze społecznej – powiedziała, kiedy wsiadła do samochodu.
– Nie myślę o takich sprawach.
– Stanowimy część społeczeństwa.
– Staram się od niego odcinać.
– Ruchy społeczno-polityczne, bez względu na to, czy zrodziły się w wyniku rewolucji w przeszłości, czy też teraz, zawsze są jej efektem. Magna Carta, elżbietański Akt o ujednoczeniu i Akt o zwierzchnictwie, Deklaracja Praw, Proklamacja Emancypacji, Nowy Ład. A można się cofnąć do...

Doyle złapał ją i podniósł z fotela. Ponieważ zupełnie się tego nie spodziewała, padła mu prosto w ramiona. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, poczuła na ustach jego wargi.

Zareagowała żywiołowo, bo jego usta były gorące i pozwoliły dojść do głosu jej pragnieniom, z takim trudem wypieranym. Jego pocałunek i pieszczoty były szorstkie, gwałtowne.

Ale jej to nie przeszkadzało.

Nie ulegało wątpliwości, że dał się ponieść emocjom, lecz przynajmniej miał teraz to, czego chciał. Mógł ją smakować, mógł zaspokoić swoje pożądanie, chociaż wywołało to jeszcze większy głód. Wiedział, po prostu wiedział, że raczej mu ulegnie, niż go odepchnie. Wiedział, że zatopi się w jej dzikim zapachu.

Złapał ją za włosy i pocałował namiętnie jeszcze raz.

A potem ją puścił i posadził z powrotem na fotelu tak niespodziewanie, jak poprzednio ją z niego podniósł.

Mogła się założyć, że w środku cała jest rozpalona, lecz odezwała się opanowanym tonem:

– No cóż, to było ciekawe doświadczenie.
– Od jakiegoś czasu korciło mnie, żeby to zrobić, a ty jeszcze to spotęgowałaś, bo nie chciałaś się zamknąć.

– Cóż, w moim świecie ciekawość nie jest wadą. – Nieco dotknięta, Riley trąciła go mocno w ramię. – Nie wyobrażam sobie, żeby można było siedzieć obok człowieka liczącego sobie trzysta lat i nie mieć do niego pytań.

– Inni nie zasypują mnie pytaniami.

– Gdyby Annika zasypywała cię pytaniami, uznałbyś to za czarujące. I trudno byłoby mieć ci to za złe. Sawyer ma swoje subtelne sposoby dotarcia do tego, co chce i musi wiedzieć. Jeśli Bran nie zadał ci kilku bezpośrednich pytań, kiedy byliście sam na sam, to jestem tancerką z Tupelo. A Sasha nie musi pytać, a kiedy już pyta, to – nie wiem dlaczego – jest w tym coś

z macierzyńskiej troski.

Odczekał chwilę.

– Z Tupelo?

– To miejsce urodzenia Elvisa Presleya. Chwileczkę. – Tym razem tylko opuściła szybę, wychyliła się i strzeliła do czarnego ptaka, który przysiadł na znaku drogowym.

Zadowolona z siebie, schowała broń, podniosła szybę i rozsiadła się wygodnie na fotelu.

– Co teraz?

Czy to dziwne, że tak go korciło, by ją pocałować?

– Teraz pojedziemy kupić pizzę.

– Zgodna.

*

Lepiej uznać, że to się nie wydarzyło, powiedział sobie Doyle. Dotarli do wioski w błogim milczeniu, bo Riley wyjęła telefon i zaczęła coś w nim sprawdzać.

Jazda wąskimi uliczkami pełnymi samochodów, z tłumem przechodniów na chodnikach, wymagała sporo zręczności.

Przypuszczał, że turyści uważają tę miejscowość za uroczą z jej pubami, sklepami, malowanymi murami, kwiatami wprost wylewającymi się z koszyków.

Jeśli chodzi o niego, wołał otwartą przestrzeń.

Ale w przeciwieństwie do Anniki Riley nie wydawała okrzyków zachwytu za każdym razem, kiedy mijali wystawę sklepową, czy to jadąc samochodem, czy kiedy ruszyli piechotą, zostawiwszy samochód na parkingu.

Riley szła energicznie, jak ktoś, kto ma do wykonania jakąś misję, co mu się bardzo podobało.

– Powinny być już gotowe – powiedziała, kiedy lawirowali między przechodniami, korzystającymi z ładnej pogody. – Wysłałam SMS, kiedy tu jechaliśmy.

Musiał przyznać, że to też cenna cecha. Myślała naprzód, nie traciła czasu.

Zamówiła cztery duże pizze z różnymi dodatkami, a ponieważ dziś była jego kolej przygotowania kolacji, zaczęła, by zapłacić. Wzięli pizze i wrócili do samochodu.

Położyli pudła na broni.

– Miałem dużo czasu, żeby zdobyć majątek i to, co mi potrzebne.

Riley przechyliła na bok głowę, zsunęła okulary przeciwsłoneczne i utkwiała w nim wzrok.

– Niemal słyszę pytania, które chodzą ci po głowie. Skąd masz pieniądze, McCleary? Co z nimi robisz? Co myślisz o zmianach przepisów podatkowych?

– Ale ich nie zadałam, panie Ponury. – Dźgnęła go palcem w pierś.

– Zadasz. Mogłem cię na chwilę od tego odwieść, lecz znów zaczniesz.

Teraz to ona złapała go za koszulę i stanawszy na palcach, pocałowała go mocno, namiętnie.

– Czy wyglądam na spłoszoną? – Odepchnęła go, otworzyła drzwi, by wsiąść do samochodu.

Doyle przyznał, że ją sprowokował. Rozmyślnie ją sprowokował, bo chciał jeszcze raz poczuć smak jej ust.

I na tym lepiej poprzestać, przestrzegł sam siebie.

Wsiadł i uruchomił silnik.

– Nie mam zwyczaju wiercić nikomu dziury w brzuchu.

Wyjechali z zatłoczonego parkingu i znaleźli się na równie zatłoczonej ulicy.

– Wkurza cię to wyrażenie – zauważył Doyle.

– Tak. To, co ono insynuuje. Lubię poznawać nowe rzeczy, a ty masz wiedzę i doświadczenie, zdobywane przez stulecia. Ale rozumiem, że są sprawy, do których wolisz nie wracać. Dlatego wkurza mnie, kiedy określasz to, co jest u mnie czymś naturalnym, w sposób niegrzeczny i bezduszny.

– Możesz być niegrzeczna, nie przeszkadza mi to. Nie pomyślałem, że to bezduszne.

Kiedy wyjechali z zatłoczonej miejscowości i znaleźli się wśród pól i wzgórz, wreszcie mógł swobodnie odetchnąć.

– Podziwiam Deklarację Niepodległości – powiedział – jako dokument, będący wynikiem ludzkiego intelektu, odwagi i współczucia.

– Zgadzam się. Dzięki. – Znów zsunęła okulary, uśmiechnęła się. – Najlepsze czasy dla muzyki.

– Chcesz mnie nakłonić do stwierdzenia, że czasy Mozarta albo Beethovena były epoką świetności i innowacji?

– Bezsparnie.

– Ale powiem: połowa dwudziestego wieku i narodziny rock and rolla, bo to się bierze z lędzwi. To muzyka zrodzona z buntu.

Poprawiła okulary na nosie, usiadła prosto.

– Masz zadatki, McCleary. Masz zadatki.

ROZDZIAŁ 8

Ponieważ Sawyer akurat wyszedł z domu, kiedy Doyle zatrzymał samochód, Riley go zawołała.

– Zadanie wykonane – powiedział Sawyer, gdy Riley wyjęła pizzę. – Razem z Branem ustaliliśmy, gdzie to wszystko umieścić... Poza pizzą. Uznaliśmy, że najlepiej w salonie na pierwszym piętrze od strony północnej.

– Ponieważ atak rozpocznie się w nocy, macie rację, że lepiej, by to było na tym samym piętrze, co sypialnie. – Riley skinęła głową. – Ja wezmę pizzę, wy zajmijcie się resztą.

Zaniosła pudła prosto do kuchni i zobaczyła Annikę i Sashę, które siedziały na murku, popijając wino. Uznawszy, że też zasłużyła na kieliszek, nalała sobie i wyszła do nich na dwór.

– Wróciliście. – Sasha poklepała murek, zapraszając przyjaciółkę. – Usiądź.

– Chętnie bym z wami posiedziała, ale proponuję, żebyście weszły do środka i zobaczyły, co kupiliśmy.

– Lubię pizzę. – Annika zgrabnie zeskoczyła na ziemię. – Ale nie sędzę, że kupiłaś coś fajnego, na przykład sukienkę. A reszta to broń.

– Tak. Wiem, że jej nie lubisz, ale powinnaś wiedzieć, co to takiego i gdzie jest. – Riley spojrzała na Sashę. – A ty, chociaż jesteś równie dobrą łuczniczką jak Katniss z *Igrzysk Śmierci*, także powinnaś się zapoznać z rugerami.

– Masz rację. – Sasha zsunęła się z murka i uściśnęła dłoń Anniki. – Miło było posiedzieć chwilkę.

– Widziałyście kruki? – spytała Riley.

Sasha zmarszczyła czoło.

– Kruki?

– Wyjaśnię później. Nie tylko mamy pizzę i broń, ale również nowe wieści. – Ruszyła przodem; po krótkim namyśle wzięła butelkę wina i poszła na górę.

– Podczas waszej nieobecności – zaczęła Annika – razem z Sashą pomagałam Branowi. Robi tarczę przeciwogniową.

– Świetnie. Czy to tarcza przeciwogniowa, czy tarcza ognia?

– Jedno i drugie. Ale jesteś bystra.

– Jeśli uda mu się zrobić tę zaporę ogniową, to według mnie Bran zasłuży sobie na nagrodę za bystrość. – Weszła tam, skąd dobiegały męskie głosy, i znalazła się w salonie pomiędzy sypialnią jej i Doyle'a, gdzie trzej mężczyźni umieszczali skrzynki z amunicją w zabytkowej witrynie.

– Edwardiańska – zauważyła Riley. – Z około tysiąc dziewięćsetnego roku. Ładna.

– Wiesz wszystko – skomentowała Sasha.

– Przynajmniej się staram. Wprawdzie pierwotnie nie służyła do tego celu, ale idealnie się nadaje. I łatwo będzie śledzić stan zapasów. Chociaż może powinniśmy część umieścić na parterze.

– Doyle mówi to samo. – Bran cofnął się o krok. – Rozważamy szpizarnię.

– Idealne miejsce. – Riley odwróciła się, kiedy Sawyer otworzył jeden futerał z karabinem. – Ma spory odrzut.

– Wygląda groźnie – zauważyła Annika.

Rozumiejąc przyjaciółkę, Riley poklepała ją po plecach.

– To niebezpieczna broń. I właśnie takiej potrzebujemy.

– Ty pozostań przy swoich bransoletach, Wonder Woman. – Na słowa Sawyera Annika potarła miedziane bransolety, które wyczarował dla niej Bran. – Nie musisz tego dotykać.

Sawyer otworzył drzwi na taras, wyjął karabin, zważył go w dłoniach i kilka razy przymierzył się do strzału.

– Sprawdziliśmy je na odległość pięćdziesięciu metrów. Musimy poćwiczyć strzelanie na większą odległość. – Riley rozpakowała drugi karabin, podała go Sashy. – Potrzymaj go.

Już dawno pogodziwszy się z używaniem broni, Sasha wzięła od niej karabin.

– Ciężki.

– W porównaniu z twoim łukiem czy krótką bronią palną, owszem. Ale nie jak na karabin. Jutro, po powrocie z nurkowania, poćwiczymy strzelanie z rugerów.

– Popływamy jutro! – Annika w jednej chwili przestała być taka spięta. – To dużo przyjemniejsze. Mogę wam pokazać kilka jaskiń, ale woda będzie znacznie zimniejsza niż koło Capri czy Korfu.

– Jakoś wytrzymamy. – Riley dołąła Annice i Sashy wina do kieliszków, a potem napelniła swój. – Co powiecie na to, żeby umieścić w spiżarni pudełko naboju każdego kalibru i kołczan beltów? Zniesiemy je tam, kiedy będziemy iść na dół.

Ponieważ Doyle uznał, że też zasłużył sobie na coś mocniejszego, a kieliszek Riley był pod ręką, wziął go i opróżnił do połowy.

– Dobrze. Ale teraz sobie myślę, że powinniśmy byli kupić trzeci karabin. Widziałem w magazynie remingtona. Umieścilibyśmy go w spiżarni, żeby w razie potrzeby mieć broń na parterze.

– Słusznie. – Riley odebrała mu kieliszek. – Możemy tam pojechać, jeśli uznamy, że potrzebny nam jeszcze jeden karabin.

– Powiedziałaś, że macie jakieś nowe informacje – przypomniała jej Sasha.

– Owszem. Proponuję, żebyśmy poszli na dół i usiedli do pizzy. Musiałam wdychać jej zapach przez całą drogę do domu, więc zgłodniałam.

– Nie dam się dwa razy prosić. Zabiorę go na dół – powiedział Sawyer, trzymając w rękę karabin. – Chciałbym go wypróbować po posiłku.

Kiedy reszta poszła na dół, Sasha na chwilę zatrzymała Brana.

– Do czegoś między nimi doszło... Między Riley i Doyle'em.

– Pokłócili się? To nic nowego.

– Nie to miałam na myśli.

– Ach. – Uśmiechnął się. – Nie uważam, żeby to było coś dziwnego. Zgadzasz się ze mną? Dwójka zdrowych, atrakcyjnych ludzi, która znalazła się w niezwyklej sytuacji. Raczej nieuniknione niż zaskakujące. Dlaczego cię to niepokoi? – Dotknął palcem jej czoła. – Bo widzę, że się martwisz.

– Jeśli to tylko seks, to zrozumiałe. Chociaż wykonujemy zwykłe domowe prace, wspólnie spożywamy posiłki, Annika robi zakupy, staramy się zachować ład i poczucie normalności, ale odkąd się poznaliśmy, codziennie ryzykujemy życie. Więc seks, no cóż, można uznać za coś normalnego. Lecz... Doyle zamknął swoje serce, Bran. To jego jedyny sposób obrony w sytuacji, kiedy on wciąż żyje i żyje, a wszyscy wokół niego umierają. Nawet zaufanie, więź, sympatia, którą czuje do nas wszystkich, to dla niego trudne wyzwanie.

– Wiem. I Riley też o tym wie.

– Ale Riley jest... No cóż, zwierzęciem stadnym. Taką już ma naturę. Lubi samotność i swoją pracę naukową, lecz w głębi duszy jest osobą ceniącą towarzystwo i rodzinę. A wilki dobierają się w pary raz na całe życie, prawda?

– Jestem prawie pewien, że Riley już wcześniej miała partnerów.

– Jest dla niej odpowiedni.
Bran zmarszczył czoło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?
– Czułam to od samego początku. U niej, nie u niego. Jest taki zamknięty w sobie, że rzadko kiedy ujawnia jakieś reakcje czy emocje. A ja staram się to uszanować.

– Wiem.
– Raczej to czuję, kiedy na nich patrzę albo o nich myślę. Ona go pragnie, czy Doyle to wie, czy nie, czy to przyjmuje do wiadomości, czy nie. Chce się z nim związać na poważnie. Myślę, że może się w nim zakochać, a to sprawi jej ból.

Bran położył dłonie na ramionach Sashy.

– To twoja pierwsza prawdziwa przyjaciółka w życiu.
– Tak. I to ona zaproponowała mi przyjaźń. Jest pierwszą osobą, która to zrobiła, wiedząc, kim jestem.

– Więc to zrozumiałe, że martwisz się o nią. Ale przecież Riley jest dorosła, do tego mądra i silna. Musi sama wybrać drogę, którą podąży. A ty będziesz przy niej, bez względu na to, dokąd ją ta droga zaprowadzi.

Sasha skinęła głową i z całej siły objęła Brana, pragnąc, żeby jej pierwsza prawdziwa przyjaciółka była równie szczęśliwa jak ona.

– Ej! – Z dołu rozległ się pełen zniecierpliwienia głos Riley. – Może byście odłożyli na później te czułości? Bo zaczniemy jeść bez was.

– Już schodzimy. – Sasha odsunęła się od Brana, wzięła go za rękę.

Otworzyli drugą butelkę wina, a Annika nawet na taki zwyczajny posiłek zrobiła z serwetek łabędzie, ozdobiła ich szyje malutkimi kwiatkami i urządziła im staw na jasnyniebieskim talerzu.

– Jest tu zwykła pizza z samym serem – zaczęła Riley – z pepperoni, jedna z mięsem, druga z mięsem i trzecia z mięsem. No i wegetariańska.

– Chyba zacznę od zwykłej, a potem spróbuję kolejnych. – Sasha usiadła i roześmiała się, kiedy Bran wyciągnął rękę nad jej kawałkiem i ser znów się roztopił.

– Riley i Doyle mają nam coś do powiedzenia. – Annika wybrała pizzę wegetariańską, bo bardzo ładnie wyglądała. – My też. Kto zacznie?

– Mnie zostało jeszcze dużo pracy do wykonania – odezwał się Bran – więc oddaję pierwszeństwo Riley i Doyle’owi.

– Ponieważ nasz Pan Oszczędny w Słowach krótko by to skwitował, ja pozwolę sobie przejąć pałeczkę. – Riley wzięła kawałek pizzy z mięsem. – Okazuje się, że ojciec najstarszego, przyrodniego brata mojego dostawcy broni i amunicji w Clare nazywał się McCleary.

– Jak Doyle – powiedziała Annika.
– No właśnie. Pan Cynik chce to uznać za zbieg okoliczności.
– Wykluczone. – Sasha z lekkim współczuciem spojrzała na Doyle’a. – Zwyczajnie wykluczone.

– Nie twierdzę, że w Clare, Galway czy innych częściach kraju nie można się natknąć na McClearych – dodał Bran. – Ale racja, to wykluczone. Znałaś wcześniej tego gościa?

– Nie. – Riley napiła się wina; uznała, że jest wyśmienite. – To kuzyn byłej dziewczyny mojego znajomego. Ciekawy gość. Słyszał o tobie, Bran. Jest pełen szacunku dla ciebie i intrygujesz go. Streszczając: matka Liama, czyli naszego gościa od broni, najpierw poślubiła niejakiego Jamesa McCleary’ego, który poległ podczas drugiej wojny światowej, zostawiając ciężarną żonę. Urodziła syna, a kilka lat później ponownie wyszła za mąż. Chcę powiedzieć, że miałam kilka możliwości nabycia tego, co nam potrzebne, ale wybrałam akurat Liama.

Zaproponował dobrą cenę, nie zadawał za dużo pytań. I okazało się, że jest spokrewniony z klanem McClearych.

– Chciałem coś zauważyć – odezwał się Sawyer z pełnymi ustami. – Nie natknęliśmy się na żadne dowody pokrewieństwa, póki nie znaleźliśmy się tutaj. Chcę powiedzieć, że widać wcześniej nie był po temu odpowiedni czas ani miejsce.

– Ale już byliśmy rodziną.

Nachylił się, by pocałować Annikę.

– Masz rację. I może o tym wiedzieliśmy, zanim się tu znaleźliśmy.

– Jesteśmy teraz nie tylko zespołem – oświadczył Bran. – Ale *clannem*.

– Co po irlandzku znaczy tyle co dzieci albo potomstwo. I stąd mamy klan czy ród – ciągnęła Riley – czyli grupę ludzi naprawdę spokrewnionych ze sobą lub poczuwających się do pokrewieństwa. Pasuje.

– Każde z nas zaczęło samotnie. – Sasha położyła rękę na dłoni Brana. – A potem zawarliśmy sojusz, początkowo wcale nie byliśmy zespołem.

– Zostaliśmy nim dzięki tobie. – Sawyer uniósł kieliszek w toaście. – Głównie dzięki tobie.

– To zasługa nas wszystkich, ale dziękuję. I Annika ma rację, potem staliśmy się rodziną. Nadal nią jesteśmy, nawet jako klan.

– Powinniśmy wymyślić herb dla nas.

Annika spojrzała na Sawyera, wyraźnie zdezorientowana.

– To tyle co symbol, godło.

– Znak heraldyczny – dorzuciła Riley. – Podoba mi się ten pomysł. Sasha powinna zaprojektować nam herb.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale oczywiście mogę spróbować.

– Symbole są ważne. – Doyle wzruszył ramionami, kiedy wszyscy utkwili w nim wzrok.

– Dość często się o tym mówiło w tym gronie. Klan. Czyli to ważne.

– Popracuję nad tym.

– Możemy nawet zamówić odpowiednie koszulki, ale na razie... – Riley urwała, żeby wziąć kolejny kawałek pizzy. – Jestem pewna, że Nerezza czuje się lepiej.

– Zaatakowała cię. – Sasha aż podskoczyła na krześle. – Nie czułam...

– Nie bezpośrednio – przerwała jej Riley. – Wysłała zwiadowców. Kruki. Kilka z nich zabiłam.

– Zabiłaś ptaki? – Annika, wyraźnie zmartwiona, położyła rękę na piersi.

– Ptaki nie przemieniają się w popiół, kiedy je się zastrzeli. A te się przemieniły.

– Nasza wilkołaczka nie dała się oszukać. – Kiedy Riley spojrzała na niego groźnie, Doyle tylko się uśmiechnął. – Widocznie wilki odróżniają kruki od sługusów Nerezy.

– Zwiadowców – poprawiła go Riley. – Nie twierdzę, że nie wydrapałyby nam oczu, gdyby miały okazję, ale były słabe. Mam nadzieję, iż to oznacza, że ona wciąż jest słaba.

– Ale wie, gdzie jesteśmy – wtrącił Sawyer.

– Niewątpliwie. Jeszcze nie jest gotowa, by coś zrobić, ale wie, gdzie jesteśmy.

– A jak będzie gotowa – powiedział Bran – my też będziemy gotowi. Klan, herb, a z mojej strony tarcza. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zwalczymy ogień ogniem.

– I ogniem broni palnej. Ja też trochę się pokręciłem po domu – oznajmił Sawyer. – I według mnie lepiej byłoby umieścić broń długiego zasięgu na dachu niż na wieżach. Nie będziemy tam kryci, ale zyskamy widok na wszystkie strony. A kiedy ci, których na nas ześle, znajdą się, powiedzmy, w odległości dwudziestu metrów, będziemy się mogli ukryć. Starczy nam na to czasu.

– Dobrze kombinujesz. Też chciałabym to sprawdzić.
– Już to zrobiłem – zwrócił się Doyle do Riley. – Sawyer ma rację. Lepiej stamtąd mierzyć do wszystkich celów na ziemi, w powietrzu i w wodzie.
Riley zamyśliła się na chwilę.
– Bran, wiesz, jak robić te latające kule dla Anni do jej cudownej broni?
– Tak, wiem. Też dobrze kombinujesz. Mogę stworzyć dla was cele, które zaatakują was z ładu, powietrza i wody.
– Świetnie. Spróbujemy dziś wieczorem, po kolacji.
– Ja dziś posprzątam. – Annika spojrzała błagalnie na wszystkich wokół stołu. – Nie lubię huku broni palnej. Zostanę tutaj i posprzątam.
– W porządku. – Sawyer uściśnął jej dłoń pod stołem.
– Jutro nurkujemy. – Riley zmieniła temat na taki, który tamta lubiła, żeby przyjaciółka znów się uśmiechnęła. – Powinniśmy być gotowi do wyjazdu o ósmej trzydzieści, żeby wynająć łódź, sprzęt. Albo dwoje z nas pojedzie po łódź i ściągnie ją tutaj, a Sawyer przeniesie pozostałych na pokład. Zacumujemy łódź tutaj na cały czas naszego pobytu, będziemy musieli tylko jakoś zorganizować napełnianie butli.
– Tak będzie sprawniej. – Sawyer, jedząc, zakreślił kółko palcem. – Riley i Doyle najlepiej znają się na pilotowaniu łodzi, więc sprowadzą ją tutaj. Kiedy zobaczymy, że już się zbliżacie, przeniosę naszą czwórkę na pokład.
– Może być. Ósma trzydzieści – powiedziała Riley do Doyle’a, który tylko skinął głową.

*

Udali się na górę, zostawiając Annikę z bałaganem, i wyszli na dach, żeby popatrzeć przez zwieńczony blankami mur na zapadający zmierzch.
– Dni są tu dłuższe z uwagi na położenie geograficzne – powiedziała Riley. – Nerezza lubi ciemności, ale może częściej atakować w ciągu dnia. To ostatnia runda, a dwie pierwsze przegrała.
– W dzień czy w nocy odeprzemy ich. – Sawyer naładował broń. – Stwórz dla mnie cel w odległości przynajmniej pięćdziesięciu metrów.
– Gdzie ma być? – spytał Bran.
– Niech to będzie niespodzianka.
Bran posłał świetlistą kulę w powietrze daleko nad morzem. Sawyer błyskawicznie zmienił pozycję, wypalił, trafił w sam jej środek.
– Ładnie. – Riley wzięła drugi karabin. – Ja też poproszę o kulę.
Tę Bran umieścił wysoko na północy. Riley ją zestrzeliła.
– No dobrze, a teraz kilka celów w odległości stu metrów. Jesteś gotowa? – zwrócił się Sawyer do Riley.
– To był mój pomysł. Zaczynamy.
Oddawszy serię strzałów, Riley opuściła broń.
– Nie chybiasz, kowboju.
– Ty też nie.
– Ja parę tylko drasnęłam, a ty trafiłeś wszystkie w sam środek. Muszę więcej poćwiczyć. Powinnaś spróbować. – Riley podała karabin Sashy.
– Nie wiem, jak mam trafić w coś, co ledwo widzę.
– Bran stworzy dla ciebie cele bliżej. Bran, na początek nad wodą, w odległości dwudziestu metrów.
Doyle stanął za Sashą.

– Szarpnie, więc musisz tak go trzymać. – Pokazał, jaką ma przybrać pozycję, położył ręce na jej dłoniach. – Korzystaj z przyrządu celowniczego, mocno trzymaj karabin. Widzisz cel?

– Widzę w siatce.

– Spokojnie – powtórzył. – Nie szarp za spust. Twoje ruchy muszą być płynne, jakbyś rysowała linię. Nie przestawaj jej rysować, nawet kiedy będziesz strzelać. Wolno naciskaj spust. Nabierz powietrza, wstrzymaj oddech, wypal.

Zrobiła tak, jak jej powiedział, i pisnęła zawstydzona, kiedy odrzut sprawił, że wpadła na niego.

– Przepraszam. Chybiłam.

– Za wysoko i za bardzo w prawo – powiedziała jej Riley.

– Spokojnie – powtórzył Doyle. – Spróbuj jeszcze raz.

Tym razem nie pisnęła, tylko syknęła. A za trzecim razem musnęła kulę pociskiem.

– To nie będzie twoja główna broń – uznał Doyle.

– Dzięki Bogu. – Szczęśliwa, że może zrezygnować, oddała karabin Doyle'owi.

– Ale nauczysz się nią posługiwać, czyścić ją, ładować i celnie z niej strzelać.

– Dobrze. – Poruszyła lekko napiętymi ramionami. – Nauczę się.

– I ty. – Doyle wskazał Brana. – Nawet nie przypominaj broni, w której jesteś najlepszy.

– A mimo to... – Bran zgodził się z nim.

Przez dwadzieścia minut niszczyli kule, nim odłożyli broń.

– Zabiorę Anni na dół, żeby popływała. Uspokoi się po całej tej strzelaninie.

– O świcie, jak zwykle – przypomniał Sawyerowi Doyle.

– Na pewno nie zapomnę.

– Ja muszę jeszcze godzinkę popracować – oświadczył Bran.

– A ja wezmę się do tego herbu.

Kiedy wszyscy wyszli, Riley zamknęła drzwi na dach. Doyle schował broń.

– Jutro pojedziemy motorem.

– Zgoda. Ponieważ Sawyer przeniesie pozostałych na łódź, powinniśmy zacząć nurkować koło dziewiątej trzydzieści. Annika ma rację, jeśli chodzi o temperaturę wody, więc musimy skrócić czas przebywania pod powierzchnią. Może jutro zanurzymy się dwa razy na trzydzieści minut, żeby się oswoić.

Ponieważ nie zareagował, spojrzała na niego uważnie.

– Czy nurkowałeś kiedyś w północnym Atlantyku?

– Kilka razy.

– Chyba mi nie powiesz, że służyłeś w „Fokach”.

– Wtedy mi się wydawało, że to dobry pomysł.

– Poważnie? – Cisnęły jej się na usta pytania, ale tylko pokręciła głową.

– Pięć lat. Dłuższe pozostawanie w jednej grupie ludzi jest zbyt ryzykowne.

– Wyobrażam sobie. Ale teraz nie jesteśmy grupą ludzi i już wiemy, kim jesteś. Powinno ci być łatwiej.

– Ale nie jest – powiedział i wyszedł.

Riley westchnęła.

– A powinno – mruknęła.

*

Rano, po godzinie morderczych ćwiczeń pod okiem Doyle'a, obfitym śniadaniu, podczas którego ustalili szczegóły planu nurkowania, Riley włożyła podniszczoną skórzaną kurtkę. Ponieważ słońce przebiło się przez chmury, z których wcześniej nawet trochę popadało, wyjęła

okulary przeciwsłoneczne.

Pod bluzę i spodnie włożyła piankę do nurkowania, pistolet schowała pod kurtką, a telefon komórkowy umieściła w wewnętrznej kieszeni.

I uznała, że jest gotowa do drogi.

Wyszła przed dom o ósmej dwadzieścia siedem. Właściwie nie wiedziała, dlaczego poczuła irytację, kiedy zobaczyła, że Doyle już czeka koło swojego motocykla.

Podał jej czarny kask, ozdobiony małym smokiem, takim samym, jaki widniał z boku motoru.

– Po co w ogóle go wkładasz? – spytała. – Przecież nawet pęknięcie czaszki nie jest dla ciebie niczym groźnym.

– W wielu krajach wymagają tego przepisy, a zwracasz na siebie mniejszą uwagę, jeśli nie łamiesz przepisów. I nie zginąłbym, doznawszy pęknięcia czaszki, ale to cholernie bolesne.

Włożyła kask.

– Nie miałam tej wątpliwej przyjemności, ale jestem skłonna się z tobą zgodzić.

Wsiadł na motor.

– Będziesz pilotem.

– Mógłbyś mi pozwolić kierować.

– Wykluczone. Którędy mam jechać?

– Na południe drogą wzdłuż wybrzeża w kierunku Spanish Point. Z pół kilometra wcześniej powinna być strzałka do ośrodka dla nurków Donahue. Pojedziesz tak, jak wskazuje, na plażę. Mam prawo jazdy na motocykle – dodała, siadając za nim.

– Nikt nie kieruje moim motorem.

Uruchomił silnik. Głośny ryk motocykli zawsze do niej przemawiał, podobnie jak szybkość i poczucie wolności, kiedy mknęła drogą, czując na twarzy pęd powietrza.

Chociaż kiedy się siedzi na tylnym siodełku, nie robi to już takiego wrażenia.

Ale jego motor, on decyduje.

Objęła go w pasie i wyobraziła sobie, że kieruje motocyklem.

Pojechali krętą, wyboistą drogą, wzdłuż której krzewy fuksji tworzyły żywopłot. Uparte kwiatki porastały poboczne. Za lasem zaczynała się droga brukowana.

Riley rozkoszowała się szybkością i mocą silnika, zapachem zieleni, jeszcze wilgotnej po porannym deszczu, ale wypatrywała kruków i wszystkiego, co wydawałoby się nie na miejscu.

Nie można rozmawiać przy ryku silnika i gwałtownym wietrze, nie musiała też pilotować Doyle'a, bo bez jej pomocy dojechał do nadmorskiej drogi. Przypuszczała, że nieraz jeździł tędy konno albo wozem drabiniastym.

Czy jako chłopiec bawił się na plaży, chlapał się w wodzie, pisał ze śmiechu, kiedy zalewały go chłodne fale? Wypływał łodzią, łowił ryby w morzu?

Potrafiła sobie to wyobrazić, widziała go – wysokiego chłopaka z długimi, ciemnymi włosami, o oczach zielonych jak wzgórze, biegającego ze swoimi braćmi po kamieniach i piasku, po płycznach.

Dobre życie, pomyślała, kiedy motor przechylił się na wirażu.

Poprawiła się na siodełku, spojrzała na wzburzoną wodę, niebieską, o zielonkawym odcieniu. Szare i białe mewy pikowały, w oddali dojrzała białą łódź rybacką.

Doyle zwalniał, gdy jechali przez wioski, tonące w kwiatkach, a potem znów dodawał gazu.

Postukała go w ramię i pokazała mu strzałkę, którą w oddali dostrzegła. Tylko skinął głową, a potem zwolnił, żeby zakręcić.

Kiedy ruszyli wąską wstęgą drogi, podmuchy wiatru stały się silniejsze. Riley poczuła

zapach morza, chłodny i słony, a także woń róż w ogrodzie przed jakąś chatą i dymu, unoszącego się z komina innej chaty.

Kury, pomyślała. Chociaż ich nie widziała ani nie słyszała, zapach ich piór połaskotał ją w nos. Wyczuła psa, nim wybiegł na drogę, a potem gonił ich wzdłuż rozsypującego się, kamiennego murka, nie spuszczać z nich wzroku.

Znów szturchnęła Doyle'a w ramię, gdyż zobaczyła niebieski budynek i długie molo. Zobaczyła łódź do nurkowania, kuter rybacki i śliczny, mały jacht, na którym jakiś człowiek cierpliwie polerował metalowe okucia.

Doyle zatrzymał się obok dwóch ciężarówek i samochodu typu compact, wyłączył silnik.

– Zaczekaj tu – powiedziała, zsiadła z motoru i ruszyła w kierunku łodzi. Mężczyzna się wyprostował i podparł pod boki.

To z nim ubiła interes, stwierdził Doyle i skierował się po kamieniach do cienkiego pasa ciemnozłotego piasku.

To było tutaj, prawda? – pomyślał. Los dał mu prztyczka w nos. Tutaj przychodził jako chłopiec. Miał z dziewięć, dziesięć lat, o ile pamięć go nie myliła. W pobliżu mieszkał jego kuzyn. Chryste, jak mu było na imię? Ronan. Tak, Ronan był mniej więcej w jego wieku. Był siostrzeńcem jego ojca. I przyjeżdżali tu w odwiedziny, rzut beretem od tego miejsca.

Jego dwie siostry biegały za ptakami. Brat rozchlaprywał wodę, a najmłodsza siostrzyczka kurczowo trzymała się spódnicy matki. Jego mały braciszek, którego czekał tragiczny koniec, ledwo umiał chodzić. A w brzuchu matki rosło kolejne dziecko, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedział.

Wszyscy tu bywali: jego rodzice, dziadkowie, wujek, ciotka, kuzyni.

Zostawali na trzy dni, żeby łowić ryby, ucztować, grać na różnych instrumentach i tańczyć do późna w nocy. A on z Ronanem pływali w morzu jak foki.

Następnej zimy ciotka, której imię umknęło mu z pamięci, umarła podczas porodu. Jego ojciec ją opłakiwał.

Śmierć sprawia, że wszyscy płaczą jak dzieci, pomyślał Doyle.

– Byłeś tutaj już wcześniej. – Riley podeszła do niego.

– Tak.

– Razem ze swoimi bliskimi?

– Tak. Wszystko załatwiłaś?

Przypatrywała mu się jeszcze przez chwilę, a potem skinęła głową.

– Tak. Możemy ładować sprzęt.

Nie rozmawiali ze sobą, wymieniali jedynie praktyczne uwagi, kiedy razem z Donahue zwozili butle, pianki, sprzęt do nurkowania.

Riley zagadnęła Donahue. Doyle zorientował się, że rozmawiali o jakimś wspólnym znajomym, który kilka lat temu nurkował niedaleko stąd.

Kiedy Donahue zapytał o motor, Riley tylko się uśmiechnęła i powiedziała, że ktoś później go stąd zabierze. I wróć tu, żeby napełnić butle, jak zajdzie taka potrzeba.

Ponieważ to ona wynajęła łódź, stanęła teraz za sterem, odbiła od nabrzeża i pomachała Donahue, który już szedł do jachtu, by znów polerować metalowe okucia.

– Takie rozmowy o błahostkach też odwracają uwagę – zauważyła.

– Rozmawiałaś za nas oboje. Dobra łódź.

– Przyjaciel, o którym rozmawialiśmy, jest biologiem morskim, a jego partnerka – antropolog morską. Nie mogli się nachwalić Donahue. Pani antropolog też jest lykanem. To córka przyjaciółki mojej matki.

– Świat jest mały.

– Czasami.

Łódź była dobra, Riley wiedziała, jak nią sterować. Skierowała się na północ i płynęła tak, żeby cały czas widzieć brzeg, aż wypatrzyła jakąś zatoczkę.

– Dobre miejsce – uznała – żeby wylądować tu z trzema osobami.

Wpłynęła do zatoczki, w której można było wykorzystać wysoki brzeg jako osłonę, i wyjęła telefon.

– Mam aplikację, podającą długość i szerokość geograficzną. Lepiej podejdź bliżej, żeby nikt na tobie nie wylądował.

Podszedł do niej, kiedy ustalała współrzędne.

Wciąż pachniała lasem, uznał, jeśli las mógł wyrastać z morza.

– Ej, Sawyer, jesteśmy mniej więcej w połowie drogi. – Odczytała współrzędne. – Taka sama łódź, jaką pływaliliśmy wcześniej. Tak. Jesteśmy w sterówce, dziób łodzi skierowany jest w stronę zatoki, rufa w stronę wysokiego klifu. Resztę pokładu masz do dyspozycji. Lepiej, żebyś nie chybił – dodała, rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

– Będą tu za chwilę. Wiesz co, uwzględniając to, kim jestem i czym się zajmuję, zawsze byłam otwarta na wszystko, co jest, powiedzmy, niezwykle. Ale jeszcze do niedawna nie pomyślałabym, że będę czekała, aż czwórka kumpli spadnie z nieba.

– Mały jest ten świat.

– Masz rację.

Fale rozбивały się o burtę, lekko kołysząc łodzią, i Doyle, który potrafił spędzać całe tygodnie, nie zamieniwszy z nikim jednego słowa, stwierdził, że cisza go drażni.

– Czy lykany zwykle poświęcają się pracy naukowej?

– Nie powiedziałabym. Znam nauczycieli, artystów, biznesmenów, szefów kuchni, obiboków, polityków...

– Polityków?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Mamy kilku swoich w kongresie, w parlamencie.

Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat temu był pewien gość, który miał większe ambicje. Chciał zostać liderem Wolnego Świata, ale rada mocno mu to odradzała. Kiedy ktoś tak wysoko mierzy, ludzie zaczynają kopać, i to głęboko. Lepiej nie ryzykować. Właściwie szkoda, że nim nie został.

– Lykan prezydentem.

– Można trafić znacznie gorzej.

– I trafiamy.

– Niewątpliwie – odpowiedziała i roześmiała się głośno. – Ale przez trzy noce w miesiącu lykan nie mógłby odbierać telefonów o trzeciej nad ranem, więc lepiej nie ryzykować.

– I kryptonim „Sierściuch” w ustach agentów Secret Service brzmiałby uwłaczająco.

Spojrzała na niego, rozmyślnie zsuwając okulary przeciwsłoneczne z nosa.

– Właśnie zażartowałeś.

– Rozważałem karierę aktora komediowego.

– Drugi raz. Będę musiała zaznaczyć ten dzień w kalendarzu.

Jej oczy się śmiały i były takie złote w promieniach słońca, co razem sprawiło, że miał ochotę jej dotknąć. Poczuc pod palcami włosy, skórę Riley.

Już zaczął podnosić rękę, żeby to zrobić, kiedy wszystko się zatrzęsło w silnym podmuchu wiatru i pozostała czwórka wylądowała na pokładzie, ratując Doyle'a przed tym, co, uświadomił sobie, byłoby wielkim błędem.

– Snajper jest niezawodny – powiedziała Riley. – Idealne lądowanie.

– Ćwiczenie czyni mistrzem. – Sawyer się rozejrzał wkoło. – Wybrałaś dobre miejsce.

– Też tak myślę. Rozgoście się, przyjaciele i sąsiedzi. – Riley odwróciła się w stronę

steru. – Dokąd teraz, Anni?

– Och. – Annika wyglądała seksownie nawet w płaszczu przeciwdeszczowym, pożyczonym od Brana. – Popłyn tak, jakbyśmy mieli zawrócić do domu Brana. Powiem ci, kiedy masz się zatrzymać.

– Dobrze. Rozkoszujcie się teraz ciepłą bryzą, póki jest okazja.

– Nazywasz to ciepłą bryzą? – Kiedy Riley skierowała łódź na pełne morze, Sasha skuliła się i przytuliła do Brana.

– W porównaniu z tym, jak będzie pod wodą, to niemal tropiki.

ROZDZIAŁ 9

Chociaż nurkowali w piankach, szybko przekonali się, że Atlantyk jest zimny. I ciemny. Riley, tak jak Sawyer uzbrojona w podwodny pistolet, włączyła czołówkę na kominiarce i jasne światło nieco rozproszyło mroczne wody.

Płynęli parami, Annika z Sawyerem na przedzie. Annika co rusz wykonywała przewroty w wodzie. Za nimi byli Sasha z Branem, i Riley ucieszyła się, kiedy Bran zatoczył koło ręką i pojawiło się światło. Ona z Doyle'em płynęli ostatni.

Wszyscy wiedzieli, co mogło ich zaatakować w morzu, o ile Nerezza była już wystarczająco silna. Zmutowane rekiny i żądne krwi ryby o ostrych zębach. Dlatego i Doyle, i Sasha wzięli ze sobą harpuny.

Tylko spójrzcie na nią, pomyślała Riley, obserwując Sashę w wodzie. Pamiętała, jak nerwowym nurkiem-nowicjuszem była ich jasnowidzka, kiedy pierwszy raz znalazła się pod wodą u brzegów Korfu.

Szybko się uczyła. Wszyscy sześcioro musieli pokonać własne słabości podczas tych poszukiwań. Może to część planu, pomyślała, czynić atuty ze słabości i nauczyć się ufać pozostałym na tyle, by razem stali się klanem.

Obserwowała ławicę makreli, zwyczajnych ryb, które uciekały na boki, gdy kierując się za snopem srebrzystego światła Brana, zmierzali w stronę jaskini. Nim Annika do niej wpłynęła, zrobiła wdzięczny obrót i im pomachała.

Płynęli jedno za drugim, bo wylot był wąski. Dopiero gdy jaskinia zrobiła się szersza, znów utworzyli dwójki. A potem rozproszyli się, żeby szukać... Czegoś, pomyślała Riley. Poświaty, błysku, przecucia, czegokolwiek, co zaprowadziłoby ich do ostatniej gwiazdy.

Jest tu dla niej wystarczająco zimno, przemknęło jej przez głowę. Z cierpliwością, niezbędną w jej zawodzie, przeszukiwała podwodną jaskinię centymetr po centymetrze, oglądała każdy skrawek przestrzeni, sprawdzała każdą nierówność palcami w rękawiczkach, jednocześnie przez cały czas starając się zachować czujność.

Skinęła głową, gdy Sawyer postukał się w nadgarstek, i znów razem z Doyle'em zawróciła na łódź, płynąc z nim na końcu.

Kiedy Riley wyszła z wody, zobaczyła, jak Bran tuli i całuje Sashę.

– O Boże, jak cudownie. Znów mi ciepło.

– Magiczny pocałunek?

Bran roześmiał się, patrząc na Riley, która stała na pokładzie, ociekając lodowatą wodą.

– Premia uznaniowa. – Wziął ją za ramiona i lekko uściskał. Natychmiast zalała ją fala ciepła.

– Cudownie, nawet bez pocałunku.

Zwrócił się do Anniki.

– Lubię się całować – powiedziała i musnęła wargami jego usta. – I lubię ciepło.

Bran klepnął Sawyera i Doyle'a w ramię.

– Nie ma sensu, żebyśmy się trzęśli z zimna. Coś poczułaś, *fáidh*?

– Nie, przykro mi. Tu jest zupełnie inaczej niż na Morzu Śródziemnym. Mroczno i surowo. Ale niczego nie poczułam. A wy?

– Czuję się dobrze – oświadczyła Annika. – Ale nie słyszałam śpiewu, jak wtedy, kiedy szukaliśmy Gwiazdy Wody.

– Gotowi do drugiej rundy? – spytała Riley.

Sasha odwróciła się tyłem do Brana, żeby pomógł jej zmienić butle.

– Po to tu jesteśmy.

Zanurkowali drugi raz, lecz nic nie znaleźli. Dla Riley oznaczało to, że dwie jaskinie można już skreślić z listy.

Rutyna, powiedziała sobie, kiedy zacumowali łódź poniżej wysokiego klifu, na którym stał dom Brana. Ważna część odkryć to rutyna.

Poszli na łatwiznę i pozwolili, żeby Sawyer przeniósł ich do domu. Riley wzięła z lodówki resztki pizzy i zamknęła się z książkami.

W nocy znów spadł ulewny deszcz, któremu towarzyszył pomruk grzmotów od strony morza. Sztorm ją obudził. Nasłuchując łoskotu fal i szumu wiatru, wątpiła, czy uda jej się usnąć.

Wciągnęła bluzę i flanelowe spodnie. Chciała zobaczyć sztorm szalejący na morzu, więc wymknęła się z pokoju i cichutko przemknęła do salonu, którego okna wychodziły na Atlantyk.

Cudownie, pomyślała, otwierając drzwi na taras. Błyskawice przecinały niebo, wiatr smagał ziemię, zawodząc głośno. Zupełnie jak upiór zwiastujący śmierć, stwierdziła Riley.

Żywioty zawsze ją fascynowały. Groźny sztorm, szalejący nad ciemnym morzem, surowy krajobraz sprawiły, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Wyszła na taras i zwróciła twarz ku niebu, żeby poczuć na niej deszcz.

Gdy spojrzała w dół, zobaczyła jakiś ruch, czyjąś postać w pobliżu murku na klifie. Odruchowo sięgnęła po broń, ale wcześniej nie pomyślała, żeby wziąć pistolet.

W świetle błyskawicy dostrzegła w dole Doyle'a. I ogarnęło ją nagłe pożądanie.

Stał zamyślony, nie zważając na burzę, a wiatr szarpał poły jego płaszcza. W ręku ścisnął miecz, jakby chciał się zmierzyć z żywiółem. Cudowny, znów pomyślała. I taki seksowny.

Tak, zawsze fascynowało ją to, co dzikie.

Akurat kiedy to pomyślała, odwrócił się ku niej. Niebo przecięła błyskawica, a w jej blasku ich spojrzenia się spotkały. Własne myśli niemal ją zadławiły niczym pętla zarzucona na szyję.

Duma i silna wola kazały Riley postać jeszcze chwilę i wpatrywać się w jego oczy, nawet kiedy ciemności sprawiły, że przemienił się w cień.

Wtedy cofnęła się, zamknęła drzwi na taras przed sztormem i przed tym mężczyzną, a potem wróciła do sypialni.

*

Rutyna, mówiła sobie Riley, kiedy nazajutrz od rana robili wszystko to co zwykle.

O świcie bieg przez mokry las, przeskakiwanie przez konary, połamane w czasie nocnego sztormu. A potem ćwiczenia w sali gimnastycznej, kiedy blade słońce przedzierało się przez chmury.

Prysznic, jedzenie, znowu nurkowanie w morzu, ćwiczenia z bronią.

Później poszła do biblioteki i usiadła z książką przy kominku. Bran pracował na samej górze w wieży, Sasha malowała w salonie w drugiej wieży. Sawyer i Doyle pojechali napełnić butle i uzupełnić zapasy żywności. Annika, wykorzystując swój urok, nakłoniła ich, żeby ją zabrali z sobą, bo jazda do wioski oznaczała zakupy.

Riley od czasu do czasu słyszała jakieś dudnienie nad głową i przypuszczała, że Bran robi postępy. Ale po dwóch godzinach ślęczenia nad książkami miała dosyć. Uznała, że brak jej świeżego powietrza. Potrzebny jej ruch, a także musiała pomyśleć. Kiedy się zbiera dane, w pewnej chwili trzeba przerwać i zająć się czymś innym.

Ponieważ późnym popołudniem pogoda się poprawiła, Riley postanowiła przejść się po lesie. Naturalnie uzbrojona. Poklepała się po broni za pasem, jak zawsze czujna.

Było znikome prawdopodobieństwo, że spacerując po lesie, natknie się na gwiazdę, ale czas poświęcony na rozmyślania nigdy nie jest stracony. Włożyła zniszczoną bluzę z kapturem, zapinaną na zamek błyskawiczny, zeszła po schodach i niemal się cofnęła, kiedy zobaczyła przed domem samochód i motor.

Wrócili, kiedy pracowała, domyśliła się. A ponieważ tylne drzwi samochodu były otwarte, najwidoczniej nadal rozładowywali zakupy.

Przypuszczalnie przyda im się pomoc. Riley skierowała się w stronę auta, kiedy usłyszała, jak Sasha woła ją po imieniu.

– Hej! – Spojrzała w tamtą stronę i pomachała przyjaciółce, stojącej na ścieżce, która prowadziła do lasu. – Zdaje się, że wpadłaś na taki sam pomysł, co ja. Zamierzałam pospacerować, ale...

– To dobrze. Znalazłam coś... Chodź, pokażę ci.

– Tylko najpierw wniosę część zakupów do środka.

– Muszę ci coś pokazać. Sama nie wiem, co o tym myśleć... Powinnaś to zobaczyć.

– Co takiego? – Zaintrygowana Riley szybko ruszyła w jej stronę.

– Trudno to wytłumaczyć. Zboczyłam ze ścieżki, niemal zabłądziłam. Ale znalazłam jakieś symbole wyryte na drzewie. Nie wiem, co oznaczają.

– Wyryte? – Usłyszawszy to słowo, Riley przyspieszyła kroku. – Świeże?

– Nie sądzę. – Sasha spojrzała w głąb lasu. – Powinnam była zrobić zdjęcia komórką. Nie pomyślałam o tym, tylko zawróciłam, żeby wszystkim o tym powiedzieć. Zaprowadzę cię tam, zrobimy kilka zdjęć, pokażemy je pozostałym.

– Sash, nawet nie masz przy sobie noża.

– Och. Nie wiem, co sobie myślałam, ale cóż, teraz będę z tobą. – Sasha wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą. – Naprawdę chcę, żebyś to zobaczyła. To musi coś znaczyć.

– No dobrze. Prowadź.

Doyle właśnie wyszedł z domu. Zobaczył Sashę i Riley, kierujące się w głąb lasu. Pokręcił głową, wziął dwie torby zakupów spożywczych.

– Dzięki za pomoc – mruknął, wchodząc do środka.

*

Riley odetchnęła głęboko.

– Chciałam się oderwać od książek i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Nie przypuszczałam, że znajdę coś ciekawego. Czy poczułaś jakieś wibracje?

– Co? Wibracje?

– No wiesz, czy do ciebie przemówiły?

– Poczułam, że są stare... Starsze, niż to ma sens. Jeśli to w ogóle ma jakiś sens. – Sasha szła szybko, gestykulując. Zboczyła ze ścieżki. – Tak jakby... Chyba poczułam, że coś mnie tam ciągnie.

– Musi być tego jakiś powód. Czy to litery, symbole?

– I jedno, i drugie. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– Przez dwie noce biegałam po tym lesie, ale nic nie zauważyłam. A powinnam – dodała Riley, kiedy przedzierały się przez krzaki jeżyn i zarośla. – Dobrze widzę w ciemnościach. Dlatego myślę, że to ty miałaś je znaleźć. Ale nie miałaś żadnego przeczucia, żadnej wizji, więc...

Odwróciła głowę. Kiedy otrzymała cios, poczuła ból kości policzkowej i aż wyrzuciło ją w powietrze. Z impetem wpadła na drzewo, zobaczyła wszystkie gwiazdy, w prawym ramieniu coś jej trzasnęło.

Odruchowo sięgnęła po broń i krzyknęła, czując nieznośny ból. Sasha skoczyła przez zarośla, odbiła się od porośniętego mchem pnia powalonego drzewa.

Oczy jej błyszczały.

Riley próbowała się przeturlać, by móc sięgnąć po broń. Ale nie mogła złapać tchu, kiedy spadły na nią silne kopniaki w zębra, plecy i brzuch.

Wtedy Sasha się roześmiała.

Koszmar, sen. To się nie dzieje naprawdę. Sparaliżowana bólem, zszokowana, Riley próbowała lewą ręką wyciągnąć nóż z pochwy.

Kiedy but Sashy z całych sił przydeptał jej dłoń, z ust Riley wydobył się piskliwy krzyk. Wszystko się rozmyło przed jej oczami. Żołądek jej się ścisnął.

Najlepsza przyjaciółka zacisnęła dłoń na jej szyi.

*

Doyle wszedł do kuchni, gdzie Annika z radością układała zakupy spożywcze na półkach, a Sawyer wachał dorodnego pomidora.

– Jeszcze coś zostało, prawda? – Sawyer odłożył pomidor. – Pójdę po to.

– Przygotujesz tę salsę?

– Jak obiecałem.

– To weź się do niej. – Doyle wyjął z lodówki zimne piwo, pociągnął długi łyk. – Ja przyniosę resztę.

– Zgoda.

Pociągnąwszy jeszcze jeden łyk piwa, Doyle odstawił butelkę i skierował się do wyjścia. Piwo, pomyślał, trochę chipsów z salsą Sawyera to dobry sposób, by się odprężyć po zakupach z Anniką.

Tak czy owak, mieli dość jedzenia na dobry tydzień. A następnym razem ktoś inny pojedzie z syreną.

Uniósł wzrok i zdziwił się, widząc Sashę zbiegającą po schodach.

– Nie słyszałam, kiedy wróciliście. Malowałam w drugiej części domu. Jak...

– Byłaś cały czas na górze?

– Tak. A teraz wstąpiłam do biblioteki w wieży, żeby spytać, czy mogę jakoś pomóc Riley, ale...

– Jezu Chryste. Zawołaj Brana i pozostałych. Riley ma kłopoty.

– Jak to?

– Zawołaj ich! – Już w biegu wyciągnął miecz z pochwy na plecach. – Jest w lesie!

Kiedy znalazł się na skraju lasu, usłyszał jej krzyk.

Nie myślał, tylko działał. Ten krzyk był rozdzierający. Może już za późno na pomoc.

Dobiegł go śmiech, okropny, triumfujący, ruszył więc na przełaj w tamtą stronę. Nie było czasu na skradanie się – instynkt mu podpowiadał, że należy jak najwięcej hałasować. Może wtedy ów ktoś czy coś przerwie to, co robiło Riley.

Nie zatrzymał się, kiedy zobaczył ją zwiniętą na ziemi, zakrwawioną, nieruchomą, i Sashę – albo to, co przybrało jej postać – stojącą nad Riley i uśmiechającą się z satysfakcją.

– Umiera – powiedziało to coś głosem Sashy, a potem w jej ustach błysnęły długie zęby, palce przemieniły się w szpony. – Wkrótce wszyscy umrzecie.

Nawet kiedy Doyle natarł na owego stwora, ten zdążył jeszcze kopnąć bezlitośnie Riley w głowę. Doyle zamachnął się mieczem, lecz broń jedynie przecięła powietrze, bo to coś skurczyło się i pobiegło między drzewami z nadnaturalną szybkością.

Padł na ziemię i przycisnął palce do szyi Riley, żeby zbadać puls. Był słaby, nitkowaty, ale bił.

Czując strach, wściekłość, rozpacz, chociaż przysięgał sobie, że nigdy więcej sobie na takie emocje nie pozwoli, przesunął dłońmi po jej ciele, badając obrażenia. Twarz, chorobliwie szara, pokryta sińcami, otarciami, zakrwawiona, okazała się najmniej poturbowana.

Usłyszał, że ktoś biegnie, krzycząc, więc mocniej zacisnął dłoń na mieczu, gotów bronić Riley, gdyby wróg sprowadził swoich sojuszników.

Wyłonili się spomiędzy drzew gotowi do walki. Lecz Doyle wiedział, że na razie do niej nie dojdzie.

– Oddycha, ale próbował ją udusić. Ma połamaną rękę i żebra. Zdaje mi się, że zmiażdżył jej prawy łokieć. I...

Sasha wydała jęk rozpaczony i niemal padła na ziemię obok Riley.

– Nie, nie, nie, nie!

– Pozwól, że ją obejrzę. – Bran ukląkł obok niej.

– Musimy ją zanieść do domu, opatrzyć rany. – Annika, z oczami błyszczącymi od łez, klękła po drugiej stronie Riley, pogładziła ją po wymazanych krwią włosach.

– Chyba lepiej jej nie ruszać, póki nie stwierdzimy... – Palce Sawyera pobiełały, tak mocno zacisnął je na broni. – Chyba nie powinno się jej ruszać, bo to może jej zaszkodzić, prawda?

– Sawyer ma rację. To rozsądne. – Opanowawszy się, Bran położył dłonie na głowie Riley. – Musimy sprawdzić, czy nie ma uszkodzonego kręgosłupa.

– Mogę to zrobić.

Bran spojrział w oczy Sashy, w których malował się szok.

– Uspokój się, *fáidh*. Powoli, powoli. Teraz tylko to, co na wierzchu.

– Dobrze. – Sasha zamknęła oczy, nabrała powietrza i wypuściła je, żeby wyrównać oddech. Posługując się dłońmi, sercem, korzystając z pomocy Brana, który położył palce na jej ramionach, pozwoliła sobie poczuć obrażenia Riley.

– O Boże, o Boże, tyle złamań, tyle uderzeń.

– Kręgosłup, Sasha – powiedział cicho Bran. – Zaczynaj od tego.

– Potłuczony, nadwerżony. Ale nie złamany.

– W takim razie możemy ją zabrać do domu. – Po policzkach Anniki płynęły łzy. – Nie powinna leżeć na ziemi. Jest zimno. Zimno jej.

– Tak, możemy ją zabrać. – Bran zamierzał wziąć ją na ręce, ale Doyle go odsunął.

– Ja to zrobię. – Jęknęła, kiedy ją podnosił, i zatrzepotała powiekami. Jedno i drugie wziął za dobry znak. Na chwilę otworzyła oczy, nieprzytomne z bólu i szoku, a wtedy ich spojrzenia się spotkały. – Już dobrze, *ma faol*.

Wzrok uciekł jej gdzieś w górę; znów zamknęła powieki, kiedy poniósł ją przez las.

– Prosto do jej pokoju – poleciał Bran. – Pójdę po swój zestaw medyczny. Anni, ręczniki i gorąca woda. Sawyer, dzbanek chłodnej wody. Nie zimnej, tylko chłodnej. I szklanka. Sasha, zdejmij pościel z jej łóżka, zostaw tylko prześcieradło.

Tamci się rozbiegli, a Sasha podążyła po schodach za Branem. Chociaż też chciał biec i mógłby to zrobić, bo według niego Riley była lekka jak piórko, Doyle szedł wolno, starając się oszczędzać jej wstrząsów.

Kiedy wszedł do pokoju, Sasha już zdążyła odsunąć na bok pościel i poduszki.

– Mogę jej pomóc.

– Zaczekaj na Brana. – Ostrożnie, jakby była z cienkiego, kruchego szkła, Doyle położył Riley na łóżku.

– Mogę pomóc. Jeśli odzyska przytomność, zanim... Nie wiem, jak może znosić taki ból.
– Jest twarda. Wytrzyma. – Doyle ostrożnie rozpiął jej bluzę, nie zwracając uwagi na krew, odpiął kaburę z bronią i pochwę z nożem. – Zaczekaj na Brana.

Walcząc ze łzami, Sasha usiadła na brzegu łóżka, ujęła zdrową rękę Riley.

– Skąd wiedziałeś?

– Widziałem, jak szła do lasu, kiedy wnosiłem zakupy do domu. Widziałem ją razem z tobą kilka minut przed tym, nim wyszedłem po resztę zakupów, a kiedy zaniósłem je do kuchni, zobaczyłem, jak schodzisz na dół.

– Ze mną? Ze mną?

– Uspokój się – powiedział ostrym tonem. – Nie pomożesz jej, jeśli się nie uspokoisz.

– Masz rację. I jeśli Bran nie pojawi się tutaj w ciągu pół minuty...

– Już jestem. – Wszedł ze swoim zestawem i torbą lekarską. – Musiałem wziąć więcej rzeczy. Napełnij tym szklankę do połowy – poprosił Sawyera, kiedy ten się pojawił. – Muszę ją ocucić na tyle, by to połknęła.

– Nie w ten sposób, Bran, nie w ten sposób. Pozwól, że najpierw ja jej pomogę.

Spojrzał na Saszę.

– Jest poważnie ranna. Pamiętaj o tym i postępuj delikatnie. Zrób tylko tyle, żeby uśmierzyć najgorsze, rozumiałeś?

– Będę ostrożna.

Położyła dłoń na posiniaczonym, spuchniętym policzku Riley i wstrzymała syknienie, kiedy poczuła ból.

– Tylko tyle, ile trzeba – powtórzył Bran.

Naprawdę próbowała postępować delikatnie, tylko uśmierzyć ból, nie zajmować się poważnymi obrażeniami wewnętrznymi, połamanymi kośćmi.

Ale miłość wzięła górę i uciekła się do umiejętności, z których dopiero co nauczyła się korzystać.

Położyła dłoń na zmiażdżonej ręce Riley, poczuła mocne kopnięcie butem, ból miażdżonej kości. I nie kryjąc przerażenia, ujrzała siebie nad leżącą na ziemi Riley. Własną twarz, na której malowała się nienawiść i triumf.

Przeszył ją przejmujący ból.

Bran zaklął, kiedy osunęła się na podłogę.

– Mam ją, mam ją! – Sawyer złapał Saszę, a do pokoju wpadła Annika z ręcznikami pod pachą i czajnikiem wody w rękach.

– Przypomniałam sobie, że ty ją zagotujesz szybciej niż ja na kuchni.

– Masz rację, nie pomyślałem o tym. Postaw go tutaj – powiedział Bran do Anniki.

– Przepraszam. – Sasha potarła twarz dłońmi. – Za bardzo się wczułam. Pozwólcie mi spróbować jeszcze raz.

– Zaczekaj. Doyle, Sawyer, przytrzymajcie Riley.

– Nie. – Sasha zaczęła protestować. – O nie.

– Postaram się, żeby to trwało jak najkrócej, ale musi wypić. Unieś jej głowę, żeby mogła to wypić – Bran zwrócił się do Doyle'a. – I trzymaj ją, żeby się nie poruszyła.

Sasha klęczała obok łóżka, ściskając zdrową dłoń Riley.

– Żeby wiedziała, że tu jesteśmy. Mogę jej przekazać, że wszyscy tu jesteśmy. To pomoże.

– Racja. – Bran podwinął rękawy. – Anniko, osiem kropli z niebieskiej buteleczki, dwie z czerwonej. Najpierw z niebieskiej, potem z czerwonej.

Sawyer trzymał Riley za nogi, a Doyle podtrzymywał jej głowę i unosił ramiona. Bran

usiadł na niej okrakiem, ujął ją jedną ręką za siny podbródek.

Jego oczy, czarne jak onyks, jeszcze pociemniały. Riley poruszyła się, próbowała się wyrwać. Jęknęła.

– Cholera – mruknął Sawyer, zmuszony mocniej ścisnąć jej nogi. – Jasna cholera.

– Wlej jej to do gardła – polecił Doyle i na tyle stracił kontrolę nad sobą, że wtulił twarz we włosy Riley. – Połknij to cholerne lekarstwo, Gwin, i nie pieść się.

Wyglądał, jakby sam też cierpiał, gdy zaczął jej coś cicho szeptać do ucha.

Bran wziął od Anniki szklankę i bezceremonialnie wlał jej zawartość do gardła Riley.

Otworzyła oczy, odwróciła głowę. Wygięła się cała w łuk, jej ręce i nogi drżały. A potem opadła bezwładnie, przez jakiś czas jej ciałem wstrząsały konwulsje, wreszcie znieruchomiła i zbladła jak śmierć.

Bran wstał z łóżka, otarł pot z czoła.

– Teraz możemy zaczynać.

*

Budziły ją nieznośne cierpienia, uciekała przed nimi w sen. W koszmarach staczała walki, szukała spokoju.

Od czasu do czasu go czuła, kiedy słyszała głosy swoich przyjaciół.

Sawyera... Czytającego? Tak, czytał jedną z wcześniejszych książek Terry'ego Pratchetta, o policjantce, która okazała się wilkołakiem.

Tak jak ona.

Annikę śpiewającą... arie operowe i przeboje Adele. Siedziała skulona na łóżku, nucąc melodyjnie; pachniała wiosennym deszczem.

Potem śniły jej się koszmary i do głosu dochodził ból. Pojawiała się Sasha, mówiła jej, że nie jest sama, a wtedy ból stawał się znośniejszy.

Bran przesuwiał dłońmi po jej ciele, czasami coś śpiewnie recytował po irlandzku lub po łacinie, czasami mówił do niej albo do kogoś innego, kto mu odpowiadał z równie silnym irlandzkim akcentem.

I Doyle, bardzo często był przy niej Doyle. Czytał Szekspira. Kto by przypuszczał, że miał tak dobry głos do Szekspira? A kiedy pojawiały się demony o twarzach jej przyjaciół, tulił ją.

– Pokonaj je, *ma faol* – mówił jej, nakazywał jej. – Wiesz jak. Walcz!

Więc walczyła i zasypiała, a cierpienia przemieniały się w dojmujący ból.

Doyle był przy niej, kiedy pojawiła się kobieta, która wmusiła w nią zawartość jakiejś fiołki.

– Nie. Nie chcę...

– Liczy się to, co ci potrzebne. Połknij to, bądź grzeczną dziewczynką.

Miała rude włosy i zielone oczy, jej uroda była odporna na upływ czasu.

– Arianrhod.

– Skądże znowu. Ale zdaje się, że jedna z jej córek. Tak jak ty. Prześpij się jeszcze trochę, a ten wspaniały młody człowiek będzie przy tobie czuwał.

– Jestem starszy od ciebie, i to o wiele lat.

Kobieta się roześmiała, słysząc jego słowa, i pogłaskała policzek Riley.

– Śpij – powiedziała.

I Riley usnęła.

Kiedy się obudziła... Po kilku minutach? Godzinach? Dniach? Doyle siedział obok niej na łóżku, wsparty na poduszkach, i czytał na głos przy świetle nocnej lampki *Dużo hałasu o nic*.

– Napisałam referat o Beatrice, przedstawiając ją jako feministkę. Spojrzał na nią zmęczonymi oczami, opuściwszy książkę.

– To do ciebie podobne.

– Dlaczego jesteś ze mną w łóżku?

– Zalecenie lekarza. A właściwie znachorki. Wyglądasz okropnie, Gwin.

– I tak się czuję. Co się stało? Co się stało, do cholery? Nie... – Nagle sobie przypomniała, chciała zerwać się z łóżka, ale Doyle przytrzymał ją jedną ręką. – Sasha. Jest opętana. Musisz...

– Nie, mylisz się. To nie była Sasha.

– Przecież mnie skatowała, więc chyba wiem... Nie. – Riley zamknęła oczy i zmusiła się, żeby sobie przypomnieć, co się stało, przynajmniej wyrywkowo. – Nie, to nie była Sasha, tylko Malmon.

– Też tak uważamy.

– Jestem tego pewna. Wyglądał i mówił jak Sasha, póki mnie nie zaatakował. Miałam wrażenie, że uderzył mnie cegłówką. – Ostrożnie podniosła rękę do policzka, pomacała go. – Teraz chyba wszystko w porządku. Nie mogłam sięgnąć po broń. Nie mogłam... Moja ręka... – Uniosła lewą rękę i zobaczyła na niej bandażę. – A-ha.

– Już prawie wszystko w porządku. Ale na razie nie chcę, żebyś za mocno poruszała palcami.

– Nadepnęła... Nadepnął mi na nią. Chyba zemdlałam.

– W dłoni jest dużo kości. Kiedy wszystkie ulegają złamaniu lub zmiążdżeniu, najrozsądniej jest stracić przytomność.

Popatrzyła na niego.

– Bardzo ze mną źle?

– Żyjesz, a gdyby nie Bran i Sasha, umarłabyś. Chociaż i tak mało brakowało. Obrażenia wewnętrzne – nerki, śledziona, wątroba – były na tyle poważne, że już niemal wieźliśmy cię do szpitala, ale Bran znalazł inne rozwiązanie. Sprowadził swoją babkę.

– Wyglądała jak Arianrhod. Rozmawiałam z nią. Chyba.

– Tak, i to nie raz, jak mi powiedziano. Jest uzdrowicielką. Bran zaręczał, że jest niezrównana, i nic a nic nie przesadził. Nie wiem, czy gdyby nie ona, odzyskałabyś pełnię władzy w tej ręce.

– W takim razie jestem jej wdzięczna. Od jak dawna leżę w łóżku? Dzień? Dwa? – spytała, a on tylko pokręcił głową.

– Wybrałaś się do lasu pięć dni temu.

– Pięć?

Podciągnęła się na łóżku i zgrzytnęła zębami, bo poczuła gwałtowny ból. Doyle zerwał się szybko i nalał coś do szklanki.

– Wypij to.

– Nie chcę znów usnąć. Pięć dni?

– Niech ci będzie.

– Dokąd idziesz? – spytała, bliska paniki, kiedy skierował się ku drzwiom.

– Zawołać pozostałych.

– Nie rób tego. Zaczekaj. Chcę wstać.

– A ja chcę zatańczyć z nagą Charlize Theron. Wszyscy musimy się liczyć ze swoimi możliwościami.

– Mówię poważnie. Która godzina? Gdzie są wszyscy?

– Wprawdzie często mówisz przez sen, ale i tak było znacznie spokojniej, kiedy leżałaś

nieprzytomna. Dochodzi wpół do jedenastej w nocy i przypuszczam, że wszyscy są na dole.

– W takim razie chcę zejść na dół. Gdybyś tylko pomógł mi wstać, podał mi rękę.

Sapnął, zawrócił i wziął ją na rękę.

– Nie prosiłam, żebyś zaniósł mnie na dół. – Co za wstyd! – Nie chcę, żebyś mnie dźwigał.

– Albo pójde do nich i poproszę, żeby tu przyszli, albo zaniosę cię na dół. Wybieraj.

– No dobrze, zanieś mnie. Chwileczkę... Lustro.

Odwrócił się tak, żeby mogła się przejrzeć w lustrze toaletki, stojącej w kącie pokoju.

Zobaczyła potężnego mężczyznę, ubranego na czarno, który trzymał ją w ramionach, jakby ważyła nie więcej od szczeniaczka. Była blada, słaba... Wychudzona.

– Rzeczywiście okropnie wyglądam. Powinam ci podziękować za szczerłość.

– Nie ma sensu cię oszukiwać. Ale jeszcze wczoraj wyglądałaś znacznie gorzej. Niemal cię udusił.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze, jego stało się obojętne.

– Nie pamiętam tego. Dlaczego mnie nie udusił?

– Chyba usłyszał, że biegnę.

– Ty? Skąd wiedziałeś, że masz pójść do lasu?

– Widziałem cię, jak szłaś ścieżką z kimś, kogo wziąłem za Sashę – powiedział, wynosząc ją z pokoju. – A potem zobaczyłem Sashę idącą po schodach. Łatwo było skojarzyć te dwa fakty. Nie przybiegłem wystarczająco szybko, żeby mu przeszkodzić i nie dopuścić, by kopnął cię w głowę. Przez pierwsze dwa dni widziałeś podwójnie, kiedy odyskiwałaś przytomność. Wymiotowałaś nawet bulion, jak próbowali cię karmić. Dopiero wczoraj po południu coś zjadłaś.

– Cieszę się, że tego nie pamiętam. Nie znoszę rzygać. Czytałeś mi. Ty i Sawyer, i...

– Brigid powiedziała, że czytanie, rozmowy, przebywanie na tyle blisko ciebie, żebyś czuła naszą obecność, przyspieszy proces zdrowienia. Zmienialiśmy się jak wtedy, kiedy Sawyer wracał do zdrowia.

– Torturowali go, kroili nożem, bili i przypalali, ale nie był nieprzytomny tak długo jak ja.

– Bo ucierpiał z rąk ludzi... Tak tłumaczą to Bran i Brigid. Ciebie zaatakowało coś, co stworzyła Nerezza. Miałaś w sobie truciznę. Ciesz się, że Bran nas przekonał, by cię nie odstawiać do szpitala. Nigdy nie znaleźliby antidotum na truciznę.

– Tym bardziej jestem wam wdzięczna. – Kiedy usłyszała głosy, napięła wszystkie mięśnie.

– To nie była Sasha.

– Wiem.

Doyle przystanął.

– Cierpiała. Powinnaś o tym wiedzieć. Wszyscy się martwiliśmy i baliśmy o ciebie przez kilka ostatnich dni, ale ona martwiła się i bała najbardziej.

– To nie była jej wina.

– Spróbuj ją przekonać – powiedział jedynie Doyle, a potem skierował się tam, skąd dobiegały głosy.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy wszedł, niosąc Riley na rękach, wszyscy znieruchomieli.

Sawyer, który akurat demonstrował Annice, jak należy trzymać kij bilardowy, wyprostował się gwałtownie i uśmiechnął od ucha do ucha. Annika roześmiała się radośnie i jakimś cudem udało jej się wykonać przewrót do tyłu mimo stosunkowo ograniczonej przestrzeni.

Bran właśnie stał koło barku i nalewał whisky do niskiej szklaneczki. Odstawił butelkę, podszedł do Sashy i położył dłoń na jej ramieniu. Siedziała na kanapie z babką Brana, która rzeczowo tłumaczyła, jak czytać karty tarota.

– Teraz będzie już tylko lepiej – oświadczyła Brigid, a Sasha zerwała się na równe nogi, na chwilę straciła oddech, a do jej oczu napłynęły łzy.

– A oto i ona! – Sawyer odłożył kij bilardowy, wsparł się jedną ręką na fotelu i przeskoczył przez niego. Ujął twarz Riley w obie dłonie, pocałował ją mocno i głośno. – Tak, oto ty.

– Postaw mnie na ziemi. – Lekko szturchnęła Doyle'a w ramię. – Robisz z tego wielkie halo.

– Bo to jest wielkie halo. Daj no mi ją. – Sawyer wziął ją od Doyle'a i wykonał pełny obrót. – Proszę państwa, wróciła!

– Przestań – powiedziała ze śmiechem Riley, a Sasha zalała się łzami. – Naprawdę przestań. Puść mnie – mruknęła do Sawyera. – Proszę, puść mnie.

Posadził ją bardzo delikatnie na kanapie.

– Sash...

– Przepraszam. Przepraszam. – Ocierając łzy, Sasha uklękła przed Riley i złapała ją za rękę. – Bardzo przepraszam.

– Nic nie zrobiłaś, więc przestań. Nie, źle mówię. Zrobiłaś. Wszyscy zrobiliście. Za co jestem wam niezmiernie wdzięczna. Czy mogłabym dostać coś do jedzenia? Cokolwiek.

– Na kuchni stoi zupa. – Brigid nie przestała rozkładać kart na niskim stoliku przed sobą. – Sasha dziś przyrządziła rosół z kurczaka. To coś w sam raz dla ciebie.

– Zaraz ci przyniosę. Riley, tak się cieszę – powiedziała Annika, tanecznym krokiem kierując się do kuchni.

– Ja też się cieszę. – Riley uważnie przyjrzała się Brigid. – Wyglądasz zupełnie jak ona.

– Widziałam szkice naszej Sashy i muszę się z tobą zgodzić. Tylko kilkadziesiąt lat starsza.

– Chyba uratowałaś mi życie. Dziękuję.

– Nie ma za co. Bran, nalejesz mi tej whisky, czy też będziesz czekał latami, a szklaneczka pozostanie do połowy próżna?

Nalał whisky na wysokość czterech palców i podał babce. Ucałował ją w oba policzki.

– Jestem ci nieskończenie wdzięczny, *mórai*.

– Polecam się na przyszłość. Jesteś jeszcze blada – zauważyła Brigid, przyglądając się Riley nad szklaneczką. – Ale masz jasne spojrzenie. Sasha?

– Och, nie...

– Tak. – Brigid ucięła jej protesty. – Wiesz, jak patrzeć, jak widzieć. Więc spójrz na swoją siostrę i nie marudź.

Sasha wzięła głęboki oddech, zamknęła pełne łez oczy.

– Nadal cierpi, ale ból jest do zniesienia. Nie jest jeszcze zupełnie zdrowa, lecz jest z nią coraz lepiej. Czuje głód, a to dobry znak. Musi jeść, na razie po troszeczkę, i jeszcze przez dzień, dwa odpoczywać.

– A ręka? – spytała Brigid.

– Ach... Będzie bolała, kiedy usuniemy opatrunek... Bran sprawił – zwróciła się do Riley – żeby uśmierzał ból. Ale wszystko dobrze się goi. Bandaże zdejmujemy jutro. – Sasha spojrzała na uzdrowicielkę. – Naprawdę?

– Tak. Sama nie doceniasz swoich zdolności. Wie, co się stało – zwróciła się Brigid do Riley – lecz w głębi duszy wini za to siebie.

– W takim razie jest głupia. Bo to bzdura.

– Naturalnie. – Tamta pogłaskała Sashę po włosach. – Ale miłość często odbiera nam rozum, prawda?

– A oto i jedzenie! – Promienna jak słońce Annika weszła z tacą. – Sasha ugotowała rosół na kurczaku z makaronem i warzywami, a *mórai* upiekła razowy chleb.

– Śpiewałaś mi – powiedziała Riley, kiedy Annika postawiła przed nią tacę.

– Słyszałaś mój śpiew? *Mórai* powiedziała, że będziesz słyszała sercem, jak będziemy rozmawiali i śpiewali, i że powinniśmy leżeć z tobą, być jak najbliżej siebie.

– Słyszałam. – Odwróciła się do Sawyera. – Terry Pratchett.

– Znalazłem *Straż nocną* wśród twoich książek. Wyglądała, jakbyś czytała ją milion razy.

– Niewiele się pomyliłeś. – Riley przełknęła kilka łyżek rosółu i ogarnęła ją błogość. –

O mój Boże.

– Jedz powoli – ostrzegła ją Brigid. – Bo wszystko zwymiotujesz.

– Zaczekajcie chwilę, aż zjem, i wtedy wszystko omówimy, ale czuję się, jakbym nie jadła od tygodni. – Starła się jeść powoli. – Posłałeś po posiłki – zwróciła się do Brana.

– Za mało wiedziałem. Traciliśmy cię.

– Widziałem na polu bitwy śmiertelnie rannych, w których tliło się więcej życia niż w tobie, jak cię tu przynieśliśmy. – Doyle podszedł do barku i nalał sobie whisky.

– Można było to powiedzieć bardziej oględnie – mruknął Sawyer.

– Lepiej nie owijać w bawełnę. – Riley zjadła jeszcze jedną łyżkę rosółu i usadowiła się wygodnie. – Miałaś rację. Lepiej, jak się je powoli. To był Malmon.

– Jesteś pewna? – spytał Bran.

– Absolutnie. Wyszłam z domu... Nie wszystko dobrze pamiętam, ale wiem, że wyszłam. Musiałam sobie zrobić przerwę, zamierzałam się przejść. Zobaczyłam samochód. Nie słyszałam, jak Doyle i pozostali wrócili, ale widziałam auto. I zakupy w bagażniku. Więc podeszłam, żeby pomóc wnieść je do środka. A Sasha...

Urwała, bo Sasha usiadła na piętach, objęła się ramionami.

– Nie ty, jasne? Przybrał twoją postać. Albo Nerezza sprawiła, że wyglądał jak ty.

– To mógł być każdy z nas – powiedział Doyle, kiwając głową. Oparł się o barek. – Iluzja dopasowana do okoliczności.

– Tak. – Wdzięczna za wyjaśnienie, Riley wzięła kawałek chleba. – Sądzę... Sądzę, że gdybym od razu poszła do lasu, tak jak zamierzałam, czekałby na mnie gdzieś w głębi. Jako Sasha czy któreś z was. Ale zboczyłam w stronę samochodu, więc musiał mnie zwabić. Powiedział, że znalazł coś, co powinnam zobaczyć. Nie wahałam się, bo czemu miałabym się zawahać? Poszłam za nim. Mówił o jakichś rytach na pniach drzew.

Wspomnienia się zacierały, rozboleła ją głowa.

– Coś w tym rodzaju. Szliśmy, a potem zboczyliśmy ze ścieżki. Niczego się nie spodziewałam, zwyczajnie niczego się nie spodziewałam, a on dzielił mnie z całych sił. Aż mnie

wyrzuciło w górę. Uderzyłam o coś. O skałę czy o drzewo. Poczułam, jak wszystko w środku mnie trzaska, pęka. A ręka... Nie mogłam nią ruszyć. Nie mogłam sięgnąć po pistolet ani po nóż. Nie mogłam stawić mu oporu, po prostu nie mogłam się bronić, a on zaczął mnie kopać gdzie popadnie. Myślałam, że już po mnie. Że nie ujdę z życiem.

– Sasha nas zawołała. – Annika przyniosła Riley kubek herbaty. – Przybiegła, powiedziała, żeby się pospieszyć. Doyle powiedział, że nas potrzebujesz, więc wszyscy pobiegliśmy ile sił w nogach. Ale...

– Zanim tam dotarliśmy, już go nie było – dokończył za nią Sawyer. – Doyle był pierwszy. To on cię znalazł. I widział go. Widział Malmona.

– Nie mógł albo nie chciał dłużej udawać kogoś innego. – Doyle wzruszył ramionami. – Jak przybiegłem, postać Sashy zniknęła. Nie miał odwagi walczyć. Uciekł.

– Doyle zaniósł cię do domu, Bran zastosował swoje sztuczki magiczne, Sasha próbowała cię uzdrowić, ale było z tobą tak źle, że... Jak to się mówi? – spytała Annika Sawyera.

– Straciła przytomność.

– Nie... Nie miałam dość sił – udało się wydusić Sashy.

– Ja też nie – przypomniał jej Bran. – Rozległe obrażenia, to, jak do nich doszło, i trucizna, która już cię zaatakowała. Uzdrawianie nie jest moją specjalnością.

– A mogła być. – Brigid pogroziła mu palcem. – Ale wolałeś coś bardziej efekciarskiego. Jesteś kochana, *sí-mac tíre*.

To po irlandzku „wilkołak”, przetłumaczyła sobie rozbawiona Riley.

– Bardzo kochana i ceniona. Mój wnuk posłał po mnie. I w samą porę. Masz mocne serce, duszę, organizm. Dobrze ci się przysłużyły. I ja też. – Brigid uniosła szklaneczkę w toaście, napiła się.

– Dziękuję ci, *máthair*, za uratowanie życia.

Uzdrowicielka skinęła głową.

– Jesteś szanowana. Bran, nalej naszej dziewczynie pół kieliszka wina.

– Kiedy mnie skopano tyłek, nie pozwolili mi napić się nawet piwa – poskarżył się Sawyer, a Brigid się roześmiała.

– No widzisz, powinieneś posłać po mnie. Piwo nigdy nie zaszkodzi takiemu wspaniałemu, rosłemu mężczyźnie jak ty.

– Następnym razem posłę. Zabiliśmy kilkanaście kruków, kiedy byłaś nieprzytomna – dodał Sawyer.

– Kruków? – powtórzyła Riley.

– Myślę, że Nerezza chciała triumfować. Ale nie miała po temu specjalnego powodu. – Bran podał jej wino. – Już nie jesteś taka blada. Cieszę się, że cię widzę, moja droga.

– Yeats – przypomniała sobie Riley. – Czytałeś mi Yeatsa.

– Uznałem to za stosowne. Potrzebujesz więcej snu.

– Czuję się lepiej.

– Jak się prześpisz, poczujesz się jeszcze lepiej.

– Nie jestem...

– Pośpij sobie. – Brigid tylko klepnęła ją w ramię i Riley zapadła w sen. – Zanieś tę dziewczynę z powrotem na górę, Doyle. – *Mórai* pogładziła ją po włosach, uśmiechnęła się i pokiwała głową. – Wyzdrowieje. Teraz na pewno wyzdrowieje.

*

Kiedy Riley się obudziła, jej pokój był skąpany w słońcu. Otwartymi drzwiami balkonowymi wpadał słodki wietrzyk, pachnący kwiatami i lasem.

Przez chwilę tamto wszystko wydawało jej się jakimś koszmarnym snem, póki nie spróbowała wstać. I wtedy poczuła tę falę słabości, której powodem jest choroba lub ciężkie obrażenia.

Z balkonu weszła do pokoju Sasha.

– Zaczekaj. – Podbiegła do łóżka, żeby podłożyć Riley poduszki pod plecy. – Powoli. Boże, lepiej wyglądasz. O wiele lepiej.

– Jeśli mi powiesz, że znów przespałam pięć dni, oberwiesz.

– Nie minął nawet jeden dzień. Niewiele ponad pół – odpowiedziała radosnym tonem. Zmieszała w szklance coś, co wlała z fiolki, z tym, co wlała z butelki.

Riley podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Co to takiego?

– Środek wzmacniający. Brigid powiedziała, że można ci go podać, kiedy sama się obudzisz.

Teraz Riley uważniej przyjrzała się szklance.

– Jak ten, który Bran zrobił dla Sawyera?

– Brigid zmniejszyła jego moc.

– I zepsuła całą zabawę. – Ale posłusznie wzięła szklankę i wypila lekarstwo. – Ile czasu potrzeba na... No dobrze. – Nieznośny kac po długim śnie nieco zelżał i w końcu poczuła, że lepiej jej się myśli. – Chcę kilka próbek tego, kiedy następnym razem wybiorę się na popijawę.

– Riley.

– Nie zaczynaj od nowa, Sash. Może wczoraj wieczorem nie byłam do końca przytomna, ale zapamiętałam dość. To nie twoja wina.

– Muszę to z siebie wyrzucić. – Sasha przysiadła na skraju łóżka. – Mam do ciebie prośbę. Pozwól mi to zrobić.

– No dobrze, ale jeśli znów zaczniesz wygadywać głupoty, przerwę ci.

– Wiem, że to mógł być każdy, kto wyszedł sam z domu. Że to było przypadkowe, niezaplanowane.

– Na razie mówisz rozsądnie.

– Ale to byłaś ty. Wiem, że twarz każdego z nas mogła zostać wykorzystana, żeby odciągnąć cię dalej od domu, w głąb lasu. Ale to byłam ja. Przeraza mnie i złości świadomość, że widziałas, jak cię atakuję, jak sprawiam ci ból, niemal cię zabijam. Zamieńmy się na moment miejscami i powiedz, że nie czułabyś tego samego, co ja.

Zadowolona, że umysł ma jasny, Riley milczała chwilę, żeby uporządkować myśli – a wraz z nimi uczucia.

– Myślałam, że to ty. Wtedy, kiedy mnie zawołałaś, jak z tobą poszłam. Myślałam, że to ty, kiedy zadałaś mi taki cios, że miałam wrażenie, iż ktoś młotem dwuręcznym przybija mnie do betonowego muru. Myślałam, że to ty – powtórzyła, chociaż Sashy zaczęły drżeć usta. – I że jesteś opętana, że zawładnęła tobą Nerezza. Oberwałam w głowę, i to mocno. Wtedy, leżąc na ziemi, patrząc na ciebie, pomyślałam, że jakoś cię opętała. Próbowałam sięgnąć po broń – pamiętam to. Pamiętam, jak sobie pomyślałam, że gdybym miała sprawną rękę, strzeliłabym do ciebie. Staralabym się celować w nogi, ale strzeliłabym do ciebie.

– Broniąc się przed...

– Przeraza mnie i budzi moją wściekłość świadomość, że strzeliłabym do ciebie. Obie będziemy musiały przetrwać to przerażenie i wściekłość, Sash. Po prostu zapomnieć o tym, bo w przeciwnym razie wygrają tę rundę.

– Chcę czuć wściekłość. – Rzeczywiście widać ją było w niebieskich oczach Sashy. – Chcę zadawać ból, chcę, żeby cierpiała i czuła przerażenie za to, że sprawiła, iż pomyślałaś,

choćby przez moment, że mogłabym zrobić ci krzywdę. Za to, że sprawiła, iż ty przez chwilę dopuściłaś możliwość sprawienia bólu mnie.

– Dobrze. – Riley skinęła głową. – Wściekłość jest dobrym bodźcem. Niech w nas zostanie. Ale uważam, że jesteśmy kwita.

– Jesteśmy kwita.

– Świetnie. Muszę wstać.

– Nadal potrzebny ci odpoczynek.

– Naprawdę muszę zrobić siusiu. I to porządne siusiu.

– Pomogę ci.

– Pozwól mi spróbować samej wstać. Czuję się całkiem dobrze.

Udało jej się. Może trochę się chwiała, ale pokój nie wirował jej przed oczami.

– Na razie dobrze. Nie chodzi mi o skromność – nigdy nie byłam przesadnie wstydliva – ale spróbuję sama opróżnić pęcherz. Bądź w pogotowiu.

Nie pobiegła do łazienki, ale przeszła szybkim krokiem i cieszyła się, że jej się to udało. Lecz nawet trudno sobie wyobrazić, co czuła, kiedy opróżniła pęcherz.

– Udało się! Czy teraz mogę wziąć gorący prysznic? – Weszła do pokoju, wyciągnęła przed siebie obandażowaną rękę. – Może najpierw mi to zdejmij.

– Sprowadzę Brana albo Brigid.

– Po co?

– Są bardziej ode mnie doświadczeni.

Riley tylko uniosła brwi.

– Stoję. Jestem przytomna. Wypiłam środek wzmacniający, przygotowany specjalnie dla mnie. Zdejmij mi te bandaże, obejrzymy moją rękę.

Sasha zrozumiała ją – istota z jej twarzą zmiażdżyła dłoń Riley, przyjaciółka oceni jej stan. Odwinęła bandaż, zaczarowany przez Brana.

– Nie poruszaj nią – powiedziała łagodnie, ujmując dłoń Riley w swoje obie ręce. – Wydaje się, że jest... W porządku. Obolała, sztywna, ale w porządku. Możesz poruszyć palcami.

Czując je, widząc, jak się poruszają, Riley poczuła tak ogromną ulgę, że aż zaniemówiła. Kiedy w końcu odzyskała mowę, głos jej drżał.

– Bałam się, że stracę w niej władzę, przynajmniej częściowo.

Zacisnęła dłoń w pięść, rozprostowała palce, znów zacisnęła dłoń.

– Tak, obolała. Może półtora punktu w dziesięciopunktowej skali. – Odważyła się podnieść ramię, napięła bicepsy, sprawdziła, czy może swobodnie poruszyć całą ręką. – Może dwa punkty na tej samej skali, ale minie, kiedy znów zacznę się posługiwać tą ręką.

Podeszła do lustra. Zapadnięte oczy, mizerna, pomyślała. Słaba.

– Jezu, wyglądam żałośnie.

– Nie licząc zupy wczoraj wieczorem, prawie przez tydzień nie jadłaś nic konkretnego.

– Nadrobię to. Czy zostało trochę rosołu?

– Tak.

– Chcę go zjeść... Po prysznicu, kiedy się ubiorę jak człowiek.

– Będę czuwać obok.

Uznała prysznic za coś cudownego, podobnie jak fakt, że mogła posługiwać się dłońmi, rękami, odczuwając jedynie minimalny ból. Kiedy się ubrała, zauważyła na balkonie sztalugi Sashy i obraz lasu, który ta akurat malowała.

– Byłam też zła na las – powiedziała przyjaciółka. – To głupie, ale tak się czułam. Pomyślałam sobie, że jak go namaluję, pozbędę się tych uczuć. Rzeczywiście mi pomogło. A widząc cię na nogach, zupełnie pozbyłam się złości.

– Poczekaj, aż zobaczysz, jak będę jadła. Kiedy będę się pożywiała, możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło, gdy byłam nieprzytomna.

– Bran poczynił prawdziwe postępy z tarczą, którą tworzy. Doyle nas musztrował, kiedy nie zajmował się książkami.

Riley wyobraziła sobie Doyle'a, jak sam z siebie zbiera informacje, i aż przystanęła.

– Książkami?

– Głównie ich tłumaczeniem. Kilka fragmentów po grecku, kilka po irlandzku czy po łacinie o gwiazdach i wyspie. Ale wciąż brak ostatecznych odpowiedzi.

Kiedy zeszły po schodach, z sieni wyłonił się Sawyer.

– Ej! Właśnie zamierzałem sprawdzić, jak się czujesz. Zbliź się, niech ci się przyjrzę.

– Tylko nie przyglądaj się zbyt uważnie – poradziła mu Riley, ale objął ją i uściskał. – Och, brakowało ci mnie, jak widzę.

– Tak. Nikt nie chciał rozmawiać o szczegółach, ważnych i błahych, filmowego pastiszu, jakim są *Gwiazdne wojny*.

– Naprawdę cierpiałeś.

– I to jak. – Chociaż był bardzo delikatny, nie zabrał ręki i obejmując Riley w pasie, podszedł z nią do stołu. – Podobno szukasz jedzenia.

– I to bardzo.

– Słuchaj, Sasho – zwrócił się do niej. – Bran nadal jest z Doyle'em i ćwiczą strzelanie do celu. A Annika siedzi z Brigid, która uczy ją robić na drutach – zwrócił się do Riley, wyjmując z lodówki pojemnik z zupą.

– Na drutach?

– Tak. Okazało się, że robienie na drutach bardzo je zbliżyło. Ale z pewnością chętnie usłyszysz, że wracasz do formy.

– Pójdę do nich. – Sasha po raz ostatni spojrzała na Riley i wyszła.

Zaintrygowana Riley rozsiadła się wygodnie.

– No dobrze, pozbyłeś się Sashy.

– Chciałem ci powiedzieć, że martwi się, że teraz będziesz inaczej na nią patrzyła.

– Nie będę. Już sobie wszystko wyjaśniłyśmy.

– Wiedziałem, że to zrobicie. – Kiedy zupa się podgrzewała, ukroił pokaźną pajdę chleba, zgrabnie obrał jabłko, pokroił w kostkę trochę sera.

– Na przystawkę.

– Dziękuję. Też mi ciebie brakowało. Domyślałem się, że wstrzymaliście poszukiwania gwiazdy.

– Niezupełnie. Rozmawialiśmy o nurkowaniu, skoro Brigid się tobą opiekowała, ale uznaliśmy, że to nie ma sensu i byłoby nie w porządku. Musi być cała nasza szóstka, więc zrezygnowaliśmy z poszukiwań. Jednomyślnie. Razem z Doyle'em wyznaczyliśmy kilka rejonów na lądzie. Annika mówi, że jest trochę w tobie zakochany.

– Jakie rejonony... Co? Co?

Najwyraźniej rozbawiony jej reakcją, Sawyer uśmiechnął się znacząco.

– Może dlatego, że Sasha dała jej *Dumę i uprzedzenie*, żeby ci poczytała. Annika uważa, że Doyle przypomina pana Darcy'ego.

– Och, proszę...

– Jak powiedziałem. – Machnął ręką w powietrzu. – Ma romantyczną naturę. Dla mnie to lepiej. A Doyle bardzo przeżywał to, co cię spotkało. Wszyscy się martwiliśmy, ale...

Spojrzał na drzwi – na wszelki wypadek – nalewając zupę na talerz.

– Chyba sam też coś zauważyłem. Musieliśmy cię trzymać. – Sawyer postawił przed

Riley talerz z zupą. – Nie lubię do tego wracać. Naprawdę to było coś okropnego pod każdym względem. No więc musieliśmy cię trzymać, kiedy Bran z Sashą się tobą zajmowali po tym, jak cię zanieśliśmy na górę. Ja trzymałem cię za nogi. Doyle usiadł za tobą na łóżku i unosił ci głowę, żeby Bran mógł ci wlać do ust jakąś miksturę.

– Nie pamiętam tego dokładnie. Wszystko jest zamazane.

– To chyba dobrze. Nie staraj się tego zobaczyć wyraźnie. No więc wyglądał okropnie.

Jak wiesz, jest bardzo skryty, ale wyglądał na zdruzgotanego. Chyba wszyscy bardzo się przejęliśmy, więc nie zwróciłem na to zbytnej uwagi, póki Annika nie wspomniała o panu Darcym i całej reszcie. Doyle mówił do ciebie, głównie po irlandzku, bardzo cicho, więc nie wiem dokładnie, co powiedział, ale chodzi o to, jak to mówił. To tylko takie sobie przypuszczenia. Potraktuj je, jak chcesz. Pomyślałem tylko, że chciałabyś wiedzieć.

– Stajesz się taki sam jak Anni.

– Staram się jak najwięcej z nią przebywać.

Śmiejąc się, Riley zakończyła ten temat, wzięła się do zupy.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy byłeś ponury i się dąsałeś dlatego, że jesteś słaby i ranny?

– Wcale się nie dąsałem. – I Sawyer nadał się lekko, przypomniawszy to sobie. – Może byłem trochę ponury.

– Ustaw mnie do pionu, kiedy zacznę się zachowywać jak ty wtedy.

– Masz moje słowo.

– Jak blisko śmierci byłem? Powiedz mi prawdę.

Przyjrzał jej się uważnie swoimi szarymi oczami.

– Byłaś już jedną nogą na tamtym świecie.

Nie przestając jeść, pokiwała głową.

– W takim razie nie będę się zbyt dąsać, bo hura, żyję.

– Bardzo słuszne postanowienie – powiedziała Brigid, wchodząc z Anniką. – Dobrze na tym wyjdiesz. Niech ci się przyjrę. – Okrążyła stół, jedną ręką ujęła Riley pod brodę, drugą położyła jej na głowie. – Jasno myślisz, trochę jesteś słaba, trochę obolała. Jeszcze przez dzień, dwa będziesz się męczyła szybciej, niż chciałabyś. Ale jedynym lekarstwem na to jest odpoczynek i środek wzmacniający. Ból i osłabienie miną. Dziś masz zjeść czerwone mięso.

– Moja wdzięczność nie ma granic.

– Czy może jeść ciasteczka? *Mórai* mi pokazała, jak je robić. Są bardzo dobre.

– Kilka słodkich ciasteczek nigdy nikomu nie zaszkodziło, a do tego herbata, mój aniele – dodała Brigid. – Z dwiema kroplami tylko z tej fiołki. Dobry z ciebie chłopak, Sawyerze Kingu, i bardzo dzielny. Prawie na nią zasługujesz.

– Staram się.

Kiedy weszli pozostali, Riley starała się nie myśleć o słowach Sawyera i obojętnie spoglądała na Doyle'a. Pomogło jej to, że Bran podszedł do niej, by tak jak jego babka sprawdzić jej stan zdrowia.

– Prawie wszystko w porządku. Proponuję dziś wieczorem krwisty befsztyk.

– Już o tym wiem.

– Zjemy ciasteczka i napijemy się herbaty – oznajmiła Annika.

– Nie odmówię ani jednego, ani drugiego. Sasha trochę mi opowiedziała o tym, co się działo w ciągu kilku ostatnich dni. Twierdzi, że zrobiłeś duże postępy.

Bran usiadł, wyciągnął nogi przed siebie.

– Będziemy gotowi na jej atak, kiedy nadciągnie, tak jak to przepowiedziała Sasha. Może porobiły nam się zaległości z nurkowaniem, ale dzięki temu miałem więcej czasu na zajęcie się

swoją robotą. A Doyle i Sawyer wykorzystali ten czas na spenetrowanie najbliższej okolicy.

– Powinniśmy uwzględnić kilka rzeczy – dodał Sawyer. – Annika znalazła jeszcze parę jaskiń wzdłuż wybrzeża.

Riley wzięła ciasteczko z tacy, którą Annika postawiła na stole.

– Słyszałam, że zabawiałeś się w bibliotekarza – powiedziała do Doyle'a.

– Znalazłem jedynie strzępy informacji, nic, czego nie wiedzieliśmy wcześniej. Teraz, kiedy wróciłaś do zdrowia, z chęcią ci ustąpię miejsca.

Spróbowała ciasteczka; okazało się, że jest pyszne.

– Nie uważacie, że to dziwne, że nas nie zaatakowano, kiedy jedno z nas nie mogło walczyć?

– Przyleciały kruki – powiedziała Annika, wciąż zajęta herbatą.

– Więcej kruków... Wspomniałaś o tym wczoraj wieczorem, ale niezbyt dobrze pamiętam.

– Zaatakowały dwa dni po tym, jak na ciebie napadnięto. – Doyle nie usiadł. – Wkrótce po nastaniu świtu. Poprzedniego dnia nie wychodziliśmy z domu.

– Bran posłał po *mórai*. – Annika postawiła imbryk na stole. – Bardzo cierpiełaś, musieliśmy się tobą opiekować, więc nie mieliśmy kalisteniki ani treningu.

– A kiedy wróciliście do ćwiczeń, przysłała kruki?

– Dwadzieścia kilka. – Doyle wyjrzał przez okno, jakby sprawdzał, czy nie nadciągnęły kolejne. – Raczej irytujące niż groźne.

– Jest słaba.

Wszyscy skupili uwagę na Sashy.

– Nie bój się tego – mruknęła Brigid.

– Nie boję się. Boję się tylko, że znajdzie sposób, żeby mnie wykorzystać. Ale czuję... Że jest słaba. Nabiera sił, ale... Ach. Przemiana Malmona, tak żeby wyglądał jak ja, pochłonęła jej wszystkie siły. Zawiodł ją. Pomimo tego wszystkiego, co mu dała, zawiodł ją. Chce jego śmierci. Ale wciąż jest jej potrzebny. Karmi ją, służy jej. Kocha ją bezgranicznie. Zupełnie stracił dla niej głowę. Ona jest dla niego wszystkim. A Kula Wszystkiego... Chwileczkę, chwileczkę.

Sasha wyciągnęła przed siebie obie ręce wnętrzem dłoni do góry.

– Nerezza pije krwawy koktajl, który dodaje jej sił. A Kula Wszystkiego jest ciemna, widać w niej coś tylko przez moment. I dużo ją to kosztuje. Widzi dom na klifie i to, co było wcześniej. Och, gdyby zniszczyła to, co było przedtem, teraz nie miałaby kłopotów. Nie byłoby strażników. Dlaczego nie wykończył kobiety wilka? Jak zniszczy kogoś z nas, to tak jakby zniszczył wszystkich. Dlaczego jej nie zabił, nim nadbiegł Nieśmiertelny? „Przynieś mi jej ciało, z którego ulatuje życie, przynieś mi jej krew. Krew wilczycy, krew strażniczki. Ich krew, moja krew. Będę ją piła i zabiorę gwiazdy tam, gdzie panują ciemności”.

Sasha westchnęła i usiadła.

– Jedna kropla również do herbaty Sashy, moja droga – powiedziała Brigid do Anniki.

– Nic mi nie jest. Poczula mnie i odepchnęła, ale jest jeszcze za słaba. On... Malmon nie miał cię zabić, tylko zanieść cię do niej. Ciebie albo tego, kogo z nas udałoby mu się dopaść. Żeby piła twoją krew i dzięki temu odzyskała pełnię sił. Żeby odzyskała nie tylko siły, ale również młodość. Chcieli cię utrzymać przy życiu, żeby mogła pić twoją krew. Krew żywych ludzi ma większą moc od krwi zmarłych.

– Zawsze tak było. – Brigid wzięła swoją herbatę. – Okropne.

– Tak okropne, że niemal straciłam ochotę na ciasteczka. – Riley specjalnie ugryzła kawałek ciasteczka.

– Po raz pierwszy, odkąd doznałaś obrażeń, udało mi się przedostać przez jej

zabezpieczenia. Nie wiem, czy to świadczy, że wcześniej byłam zbyt rozkojarzona, czy po prostu musiałas wyzdrowieć. Tak czy owak... – Naśladując Riley, Sasha wybrała sobie ciasteczko i je ugryzła. – Znow jesteśmy wszyscy razem.

– Zgadza się – powiedziała Riley. – I teraz dopieprzymy jej. Przepraszam – zwróciła się do Brigid.

– W pełni popieram. Rano wyjadę i zostawię wam to zadanie.

– Och, nie wyjeżdżaj, *mórai*. – Annika stanęła za Brigid i ją objęła.

– Wrócę, jak się z tym uporacie, i oczekuję, że wtedy znajdziecie czas, żeby mnie odwiedzić. Ale znow chcę spać w swoim łóżku, z moim mężem. A reszta? – Poklepała Annikę po dłoni, patrząc w oczy swemu wnukowi. – Należy do was. Do waszej szóstki. Cały czas myślami będę przy was. Wypij herbatę – powiedziała do Riley. – I niech jedno z nich pójdzie z tobą na krótki spacer. Dobrze ci to zrobi.

– Tak, proszę pani.

– *Mórai* – poprawiła ją Brigid. – Bo jestem też twoją babką.

– *Mórai*. – Babciu, pomyślała Riley i posłusznie wypila herbatę.

ROZDZIAŁ 11

Doyle, jak to miał w zwyczaju, po północy zrobił ostatni obchód. Padał słaby deszcz, przesłaniając księżyc, zasnuwając świat ciemną, nieruchomą mgiełką. Przytłumił szum morza, więc miarowe uderzanie fal o brzeg przypominało puls świata.

Za nim wznosił się dom za cienką zasłoną deszczu, tu i ówdzie w oknie paliło się światło, widomy znak, że dom żyje.

Chociaż wszedł mu w krew wieczorny obchód, pozostał czujny i gotowy. Więc kiedy ujrzał zakapturzoną postać, stojącą między nagrobkami, wyjął miecz.

Nie Nerezza, pomyślał, podchodząc bliżej cicho jak kot. Zbyt drobna na Nerezze. Przez chwilę przeszło mu przez myśl: Riley. I zaraz się rozżłościł, że sterczy tu na deszczu, kiedy ledwo stanęła na nogi.

Ale postać się odwróciła. A wtedy jego pierwszą myślą było: mama.

Z mgły wyłonił się duch jego matki. Żeby go pocieszyć? Żeby dręczyć? Czasami nie dostrzegał różnicy między jednym a drugim.

Potem przemówiła i zorientował się, że to człowiek z krwi i kości.

– Poruszasz się jak duch – zauważyła Brigid. – Ale twoje myśli są głośne niczym krzyk.

– Wziąłem cię za Riley i nie tylko moje myśli omal nie krzyczały. Ty też nie powinnaś tu stać na deszczu, w ciemnościach.

Kropelki deszczu na jej kapturze tworzyły ciemną, wilgotną ramę dla twarzy – silnej i o nieprzemijającej urodzie.

– Jestem Irlandką, więc deszcz mi niestraszny. A która czarownica boi się ciemności? To słodkie dziewczę składa hołd twoim zmarłym.

Doyle spojrzał na mogiły. Annika oprócz kamyków przyniosła muszelki i świeże kwiaty.

– Wiem.

– Żyją w tobie oraz w innych. We mnie i w moich krewnych. Szczególnie lubiłeś mojego stryja, brata mojego ojca, Neda. Był buntownikiem, zginął w walce. Widziałam jego zdjęcia, kiedy był w twoim wieku.

– Mam ponad trzysta lat.

Brigid wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Świetnie się trzymasz, nie ma co. Z tego, co wiem o Nedzie, brakowało mu twojej dyscypliny, chociaż wierzył w sprawę, oddał za nią życie. Próbowałam zobaczyć, czy wy też oddacie swoje, ale mi się nie udało. Nie mam takich zdolności jak Sasha.

Uśmiechnęła się, widząc jego zdumienie.

– Ja też zajmuję się magią. Lubię myśleć, że Bran nauczył się tego ode mnie. I uzdrawiam ludzi. Czasami znajduję odpowiedzi w kartach, ale Sasha jest najlepszą jasnowiedzką, jaką spotkałam w swoim długim życiu. A nie wykorzystuje w pełni swoich możliwości. Jeśli chodzi o ciebie, mój chłopcze, wiem tylko, że nie osiągniesz spokoju, póki nie zburzysz muru, który wokół siebie wzniosłeś.

– Nie obdarzono mnie żadnymi nadprzyrodzonymi mocami.

Brigid pogroziła mu palcem.

– No właśnie, to jeden z tych murów. Każde z was zostało czymś obdarzone, czy tego chciało, czy nie. Od ponad pół wieku kocham jednego mężczyznę. Może to nic wyjątkowego dla kogoś, kto liczy sobie tyle lat, co ty, ale to nie drobiazg. Rodziłam dzieci, poznałam, co to radości i smutki, bezsilność i zachwyt, duma i rozczarowanie, które dzieci przynoszą ze sobą do świata

matki. Stojąc tutaj, na tej poświęconej ziemi, zaręczam ci, że dałeś to swojej matce. A to wszystko, o co kobieta może prosić syna.

– Nie byłem jej jedynym synem.

– Zły duch zabrał twojego młodszego brata. A ona wzięła swoją rozpacz, wywołaną jego śmiercią, do grobu. Ale nigdy o nic ciebie nie obwiniała. Nigdy. – Wskazała głową dom, uśmiechnęła się. – Twoja wilczyca jest niespokojna.

Obejrzał się, zobaczył światło w oknie pokoju Riley.

– Nie jest moją wilczycą.

Brigid tylko westchnęła.

– Ktoś, kto żyje tak długo jak ty, nie powinien być taki tępy. Ale chyba tacy są mężczyźni, czy mają dwadzieścia, czy dwieście dwadzieścia lat. Życzę ci szerokiej drogi, Doyle'u, synu Clearych, i szczęścia. Dobranoc.

– Dobranoc. – Patrzył, jak idzie, póki bezpiecznie nie weszła do domu.

A potem kontynuował swój obchód. Nim wrócił do domu, zobaczył, że w pokoju Riley jest ciemno. Miał nadzieję, że usnęła.

*

Riley wstała o świcie z mocnym postanowieniem, że wróci do codziennych obowiązków, weźmie udział w treningu. Kiedy wyszła przed dom, rzuciła pozostałym wyzywające spojrzenie.

Może ćwiczenia rozciągające spowodowały kilka ukłuć, ale zapewniała samą siebie, że jej mięśnie podziękują za to. I może w efekcie przysiadów i wypadów serce mocno jej biło, a mięśnie drżały, ale zacisnęła zęby i wytrzymała do końca.

Wykonała jeszcze kilkanaście pompek, nim jej drżące mięśnie się zbuntowały i upadła twarzą w wilgotną trawę.

– Zrób sobie przerwę – odezwała się Sasha.

– Nie traktuj mnie jak małe dziecko – wyszczała Riley i z trudem podparła się na rękach. Ale kiedy je zgięła w łokciach, przekonała się, że znów ją zawiodły.

Zakłęła, kiedy Doyle wsunął rękę pod jej bluzę z kapturem, złapał ją za pasek i kilka razy uniósł i opuścił. Kiedy ją puścił, nie patyczkując się zbytnio, podparła się na dłoniach i kolanach, gotowa warczeć i gryźć.

Sawyer przykucnął przed nią, dotknął palcem jej czoła.

– Czy mam ci wygłosić kazanie?

W pierwszej chwili miała ochotę mu przywalić. Ale potem złość jej minęła.

– Nie. I nie zrobię sceny.

– Zrobiłaś więcej, niż można wymagać od kogoś w takim stanie jak ty – zwróciła jej uwagę Sasha. – Wkurza mnie to.

– Zawsze to coś.

– Bieg na pięć kilometrów – zapowiedział Doyle.

– Przecież biegamy dziesięć kilometrów – przypomniała mu Riley.

– Ale dziś przebiegniemy pięć.

– Mogę przebiec dziesięć.

– Bredzisz. Jeśli dziś zmusisz się do przebiegnięcia dziesięciu kilometrów, jutro będziesz w gorszej formie. Pięć kilometrów. I my nadajemy tempo.

Już chciała coś odszczeknąć, ale zobaczyła uniesione brwi Sawyera i doszła do wniosku, że właściwie nie chce, by jej wygarnął, że nie dotrzymała słowa. Wstała.

– Proponuję, żebyście przebiegli dziesięć kilometrów, jak zwykle. A ja przebiegnę pięć kilometrów na ruchomej bieżni w sali gimnastycznej. Tylko będę was spowalniała.

– Mogę zostać z Riley – zaproponowała Annika.
– Nie ma takiej potrzeby. Będę w sali gimnastycznej. Przebiegnę pięć kilometrów na ruchomej bieżni. – Riley położyła rękę na sercu.
– Zgoda. Ruszamy – powiedział Doyle.

Była wściekła, że miał rację. Doskonale wiedziała, że dałaby radę pokonać dziesięć kilometrów tylko wtedy, gdyby się czołgała. Lepiej się ograniczyć do pięciu kilometrów w umiarkowanym tempie, a jutro spróbować więcej.

Z trudem przebiegła pięć kilometrów, mimo że słuchała muzyki, by nie myśleć o zmęczeniu.

Ociekając potem, usiadła na ławce, żeby się napić wody. Przeciągnęła się i ucieszyła, uznając, że już odzyskała oddech.

Wtedy jej wzrok padł na stojak ze sztangami.

Nie obiecywała, że nie będzie podnosiła ciężarów.

Wzięła dwa obciążniki dziesięciokilogramowe i zaczęła ćwiczyć.

– Zmień na pięciokilogramowe – rzucił od progu Doyle.

– Dam radę poćwiczyć z dziesięciokilogramowymi.

– I nadweryżysz mięśnie, zamiast je wzmocnić.

Tylko przez czysty upór podniosła sztangę jeszcze raz, nim zmieniła obciążniki na pięciokilogramowe.

– Masz rację. – Przygotowała się do ćwiczenia tricepsów. – Niepotrzebna mi widownia.

– Raczej strażnik. Jesteś przecież inteligentna, Gwin. Wiesz, że forsując się, tylko przedłużysz proces rekonwalescencji.

– Nie będę się forsować, ale muszę trochę ćwiczyć. Właściwie nigdy nie chorowałam. Najwyżej parę dni z powodu grypy żołądkowej czy przeziębienia. Albo kaca. Ale pozbieram się. Muszę się pozbierać.

Doyle bez słowa podszedł do stojaka, wziął pięćdziesięciokilogramowe obciążniki. I przystąpił do ćwiczeń.

– Szpaner.

Zaczęła wyciskać sztangielką i stwierdziła, że ćwiczy w takim samym tempie jak Doyle.

– Wystarczy – oznajmił Doyle, kiedy wykonała dwie powtórki.

Sprzeciwiłaby się dla zasady, ale nie zdołałaby wykonać trzeciej serii.

– Chcę tylko wykonać serię wyciskania na leżaco. Jedną serię. Jestem trochę zmęczona, ale to zdrowe zmęczenie. Wiesz, co mam na myśli.

Podszedł do ławki.

– Jedna seria.

Odniosła obciążniki i otarła twarz ręcznikiem.

– Nie powiem, że niepotrzebny mi widz, bo nie jestem idiotką.

Nałożył obciążniki, skinął głową.

– Już dobrze.

Riley odniosła wrażenie, że już kiedyś słyszała te słowa, ale odsunęła tę myśl na bok, skupiając się na ćwiczeniach.

– Czuję to – mruknęła, wyciskając pierwszy raz. – Powtórzę to trzy razy, bo więcej nie dam rady.

Za trzecim razem mięśnie jej trochę drżały, ale i tak była zadowolona z siebie.

– No dobrze, wystarczy. – Dopiero kiedy usiadła, zobaczyła obciążniki. – Zmniejszyłeś ich wagę do dziewięćdziesięciu kilogramów.

– Jestem pod wrażeniem, że udało ci się tyle wycisnąć. Pojutrze możesz spróbować

wycisnąć sto.

Doszła do wniosku, że w jej obecnym stanie wycisnąć dziewięćdziesiąt to nie żaden wstyd. Poza tym czuła się dobrze, zdrowo zmęczona, a nie wyczerpana.

– Odzyskam formę.

– Według babki Brana twoja wilcza natura przyspiesza proces rekonwalescencji.

– Prawdopodobnie tak. Jak powiedziałam, nigdy w życiu nie byłam poważnie chora.

Przeciągnęła się, on też. I zauważyła, że wszystkie jego mięśnie napięły się jak należy, idealnie.

Musiała uczciwie przyznać, że facet jest zbudowany jak kulturysta.

A jeśli rzeczywiście coś do niej czuje? Przecież ona też ma zdrowe myśli – co absolutnie naturalne – kiedy na niego patrzy.

Nawet udało im się razem ćwiczyć, nie docinając sobie nawzajem. Może inna forma zdrowego wysiłku fizycznego dokonywanego w duecie załatwi sprawę.

– Co powiesz na małe bara-bara?

Lewą ręką trzymał się za prawą, rozciągając mięśnie.

– Słucham? – Odwrócił ku niej głowę.

– Przecież też o tym myślałeś. – Poszła po drugą butelkę wody, a potem przyjrzała mu się jak potencjalnemu partnerowi w łóżku.

Był nie mniej spocony od niej, gęste, ciemne wilgotne włosy lekko mu się kręciły, twarz miał jak wyciosaną. Patrzył na nią nieco podejrzliwie.

A jego ciało? Jezu, jaka kobieta nie miałaby ochoty się z nim zabawić?

– Jestem singielką, ty jesteś singlem. Ja tu jestem i ty tu jesteś. – Mówiąc, wskazywała palcem to siebie, to jego. – Już się pocałowaliśmy i było całkiem fajnie.

– Całkiem fajnie?

– Jestem dobra w łóżku. – Napiła się wody. – Tak mi przynajmniej mówią. Założę się, że ty też jesteś dobry. Zwyczajny seks, Doyle, którego nie miałam od ośmiu miesięcy i pięciu dni.

– Bardzo dokładnie to wiesz.

– Pracowałam przy pewnym projekcie w Bretanii, spotkałam starego przyjaciela, przespaliśmy się. Mój rekord bez seksu to osiem miesięcy dwadzieścia trzy dni. I szczerze mówiąc, nie chciałabym go pobić.

– Czyli chcesz, żebym ci pomógł w utrzymaniu dotychczasowego rekordu?

Wzruszyła ramionami. Nie przeszkadzało jej, że dalej się rozciągał, patrząc na nią zielonymi oczami. Jeśli nie można mówić o seksie bez owijania w bawełnę, po co być dorosłym?

– O ile się nie mylę... Wątpię w to, ale nie wykluczam... Ty też dawno nie uprawiałeś seksu. Poza tym pomyślałam sobie, że w każdej chwili czeka nas krwawa bitwa. Nie chcę zginąć, nie zaznawszy wcześniej przyjemności z mężczyzną. O ile to możliwe. Uważam więc po prostu, że ty możesz zaspokoić moje potrzeby, a ja – twoje. Bez żadnych zobowiązań.

Zakręciła butelkę.

– Zastanów się nad tym. Jeśli ci to nie odpowiada, nie ma sprawy.

Nie zdążyła dojść do drzwi, kiedy ją dogonił, złapał za rękę, obrócił.

– Ludzie spędzają za dużo czasu, myśląc o seksie.

– Cóż, seks jest nieskończenie fascynujący i przyjemny.

Unióś ją lekko w górę.

– Rozmyślanie o seksie i rozmowa o nim oznacza, że się go nie uprawia.

– Zgadzasz się z tobą.

Rozbawiona i podniecona Riley odbiła się od podłogi i objęła go nogami w pasie.

– No to jak? Chcesz dłużej o tym myśleć i rozmawiać?

– Nie.

Pocałował ją w usta, w te usta, które za dużo mówiły. Smakowały chłodną wodą i gorącą solą. I, dzięki Bogu, tym razem nic nie powiedziała, tylko jęknęła, nie kryjąc zadowolenia.

Przyłgnęła do niego całym ciałem, ciepłym, zwinnym, wilgotnym, i złapała go za włosy.

Za mało, uznał. O wiele za mało. Zrobią to, zrobią to, czego od dawna sobie odmawiał.

Odwrócił się, zamierzając zanieść ją do swojego pokoju.

I akurat wtedy weszła Sasha.

– Och. Och, przepraszam! O Boże.

Nim podniecona Riley zdołała jakoś zareagować, Doyle postawił ją na podłodze.

– Zdaje się, że śniadanie gotowe. Musisz dużo jeść – odezwał się do niej i wyszedł.

– Riley, Boże, Riley, chyba pojawiłam się w najmniej odpowiedniej chwili.

– No cóż, moglibyśmy być nago. – Riley machnęła ręką. – W porządku. Nie powinniśmy tego robić w miejscu publicznym. Wiesz co, chyba muszę usiąść na chwilę.

I klapnęła na podłogę.

– Nie wiedziałam... Znaczy się, wiedziałam. – Sasha usiadła obok niej. – Ale nie wiedziałam. Weszłam, żeby powiedzieć, że zaraz jemy i... Powinnam była wiedzieć. Czuję... Myślałam, że ćwiczycie, jakbyście... Rytmicznie się poruszali.

Teraz Riley ukryła twarz w dłoniach i się roześmiała.

– Bo to robiliśmy. Ćwiczyliśmy wyciskanie. Ale bezwzględnie to zrobimy. Wykluczone, żebyśmy tak to zostawili. Jestem wstrząśnięta i zmieszana, i, na Boga, wypiję to martini.

– Słucham?

– Odniesienie do kultury masowej. Nie zawracaj sobie tym głowy. – Poklepała Sashę po ramieniu. – Muszę coś zjeść. Muszę być w szczytowej formie podczas kolejnych rund.

Wstała i wyciągnęła rękę do przyjaciółki.

– Co na śniadanie?

*

Jadła jak wilk. Razem z innymi pożegnała się z Brigid, a potem poszła popracować w bibliotece przed treningiem z bronią.

Doyle nie przyszedł, co jej nie zdziwiło. Wiedział, równie dobrze jak ona, że po tym, do czego między nimi doszło, z chwilą, kiedy oboje się znajdą za zamkniętymi drzwiami, nie minie dziesięć minut, a będą się tarzać nago na podłodze.

Zaczekają. Jeśli dziś w nocy nie przyjdzie do jej sypialni, ona pójdzie do jego.

Sytuacja była klarowna.

Niecierpliwe wyczekiwanie nakręciło ją. Wybrała książki, otworzyła notes.

I zaczęła rozszyfrowywać zapiski Doyle'a. Mimo kilkusetletniego doświadczenia nie miał czytelnego ani wyraźnego pisma.

Patrz w przeszłość, by poznać przyszłość.

Czeka w ciemnościach zimna i nieruchoma.

Krew z krwi ją uwolni. I lód rozbłyśnie jasno jak słońce.

Znów przeczytała jego notatki. Przynajmniej zapisał tytuły książek i strony, więc mogła wszystko sprawdzić.

Pracując, marszczyła czoło. Przy niektórych jego przekładach spisała swoje pytania, własne interpretacje.

W końcu poczuła znużenie, więc ucięła sobie dziesięciominutową drzemkę. Potem zaparzyła kawę i pokopała głębiej.

– „Zobacz imię, przeczytaj imię” – mruknęła, czytając. – „Wymów imię”. Czyje imię?

Czytała, kiedy Annika wpadła do biblioteki.

– Sasha mówi, że coś nadciąga. Że nie ma czasu.

Riley zerwała się z miejsca, pozostawiając swoje pytanie bez odpowiedzi.

Nim znalazła się na dole i wybiegła przed dom, pozostali już czekali w pełni uzbrojeni.

– Od strony morza. – Sasha wskazała ręką. – To nie ona. Nie jest jeszcze gotowa. Ale wysyła całą armię. Przypomina ciemną chmurę. Widzę ciemną chmurę, przesłaniającą słońce.

– Możemy iść na wieże. Ja i Sawyer.

– Nie tym razem. – Doyle utkwił wzrok w jasnobłękitnym niebie, w białych i szarych obłokach. – Zostawimy to sobie, kiedy zaatakuje z pełną mocą. To tylko próba. – Wskazał mieczem trzymanym w dłoniach. – Tam, na zachodzie.

Nadciągnęły, tworząc wysoki lejek, który przesłonił obłoki. A potem same zmieniły się w czarne, żywe chmury. Wirowały, przypominając bicz, ich fala przemieniła jasny błękit w granat.

– Imponujące. – Sawyer uniósł obie ręce. – Ale jaki w tym cel?

Po jego słowach bicz strzelił, od huku gromu aż zadrżała ziemia, a słońce zniknęło.

– Oto cel – powiedział, kiedy świat ogarnęły kompletne ciemności. – Nie możemy uderzyć w coś, czego nie widzimy. Bran?

Rozległ się ogłuszający szum skrzydeł, powstała trąba powietrzna. Bran wystrzelił błyskawicę i przemienił czerń mroku w zielonkawą szarość.

– Tyle wystarczy. – Riley wystrzeliła z pistoletu, który trzymała w prawym ręku, w lewym ścisnęła nóż bojowy. Nadciągały czerwonoookie kruki, nietoperze o długich kłach, o nienaturalnie wielkich głowach i poskręcanych ciałach.

Wiedziała, że ich skrzydła są ostre jak brzytwa.

Ale pociski, zaczarowane przez Brana, dosięgnęły celu. Skrzydlatą armię Nerezy spalił ogień, na ziemię spadł deszcz krwawego popiołu. Annika wystrzeliła kule światła ze swoich bransolet, zrobiła przerzut, znów wystrzeliła. Bełty, celnie wypuszczone z kuszy przez Saszę, siały śmierć, a Bran palił napastników dwoma bliźniaczymi piorunami.

I przez cały ten czas pomimo szumu wiatru słychać było szczęk miecza, którym Doyle siekł napastników na prawo i lewo, brutalną muzykę bitwy.

Czy są powolniejsze niż poprzednio? – zastanawiała się Riley. Nie ulegało wątpliwości, że zjawiła się ich cała chmara. I chociaż wszyscy sześcioro byli wytrawnymi wojownikami, bez nadprzyrodzonej mocy Brana ulegliby wrogom. A ona sama nie trafiła do paru celów, poruszała się nie zgrabniej od swoich towarzyszy.

Uchylała się przed atakiem, ładowała broń i strzelała, leżąc na ziemi. Potem zerwała się i zaczęła zadawać ciosy nożem, kiedy jeden z przeciwników znalazł się tuż obok niej. W pewnej chwili porwał ją wiatr, uniósł w górę i cisnął na ziemię. Poczula w ciele, jeszcze niezupełnie wyleczonym, świeży ból.

Rozwścieczona, znów wypaliła, udało jej się przykucnąć. Krew stężała jej w żyłach, kiedy fala za falą zaczęła na nią nacierać armia Nerezy.

Za mało pocisków, pomyślała, ale strzelała dalej. Przeturlała się, chociaż opór wiatru spowalniał jej ruchy. Poczula, jak skrzydło przecina jej łydkę, a potem drugie rozorało ramię, kiedy kopała i cięła nożem.

Wróg padał gęsto dookoła, jej towarzysze też nie próżnowali, ale nadciągały nowe zastępy.

Znów wypaliła do nadlatującego ptaszyska, zakłuła drugiego nożem, nim zdołał jej rozorać twarz skrzydłem i szponami. Trzy stwory otoczyły ją szczelnie, w ich błyszczących ślepiach malowało się szaleństwo. Zaatakowały, kiedy ładowała broń.

Doyle rozplątał je mieczem, pokonawszy szalony pęd powietrza. Złapał Riley za bluzę i pociągnął za sobą.

– Leż!

Nie miała zamiaru leżeć. Wykorzystując go jako osłonę przed wiatrem, podniosła się i załadowała broń. Stała plecami do niego, na poły ogarnięta szaleń, i strzelała raz za razem.

Doskoczyła do nich Annika, błyskając bransoletami, potem Sawyer, na końcu Sasha.

– Bran? – zawołała Riley.

– Powiedział, żebyśmy tutaj zostali! – odkrzyknęła Sasha i przeszła bełtem atakującego stwora. – A on...

Na moment oślepił ich błysk. Potem pojawiła się fala gorąca, która spaliła wszystko na swojej drodze. Ci z wrogów, którzy zginęli, nawet nie zdążyli krzyknąć przed śmiercią.

Niebo nad ich głowami znów zrobiło się błękitne.

Zaszokowana Riley pochyliła się, oparła ręce na udach, próbując złapać oddech.

– Jesteś ranna. – Annika ją objęła.

– Nie. To tylko drobne draśnięcia.

Chociaż nic to nie dało, protestowała, kiedy Doyle zdarł jej bluzę, by przyjrzeć się uważnie ranie na ramieniu.

– Draśnięcie.

– Jak powiedziałam. – Zakryła ramię bluzą.

– Otoczyły cię. – Sasha opuściła kuszę, obejrzała się za siebie. Bran już szedł w ich stronę. – Zdałam sobie z tego sprawę niemal za późno.

– Myślę, że tym razem wybrała ilość, a nie jakość. – Sawyer otarł krew z policzka. – Dość, żeby nas czymś zająć, ale widać, że jeszcze jest słaba.

– Tak. – Riley skinęła głową. – Pomyślałam sobie to samo. Potem porwał mnie podmuch wiatru i cisnął na ziemię. Zupełnie jak trąba powietrzna. I ze dwie setki jej slugusów natarło na mnie. – Odetchnęła głośno. – Wiedziała, że odniosłam obrażenia, uznała, że jestem słaba. Pieprzyć to.

– Byliśmy za daleko, żeby ci pomóc. – Annika pomasaowała ramię Riley. – Gdyby Doyle'a nie było bliżej, gdyby nie...

Riley uświadomiła sobie, że wciąż ścisną w dłoni pistolet. Schowała go, spojrzała na Doyle'a.

– Tak. Dzięki za pomoc.

– Normalka – mruknął lekceważąco.

Jego oczy mówiły jednak zupełnie co innego, pomyślała, i nie były tak obojętne. Nie spuszczała z niego wzroku, kiedy Bran badał jej ramię.

Usłyszała, że Bran coś mówi, ale nie zrozumiała co. On i pozostali mogli się przenieść do innego świata. Jej świat wirował, napędzany pożądaniem i adrenaliną.

Doyle złapał ją za ramię i rzucił: „Teraz”.

Schowała nóż do pochwy.

– Teraz.

Razem z nim skierowała się w stronę domu. Widocznie nie szła wystarczająco szybko jak dla niego, bo podniósł ją z ziemi. Ponieważ nie miała nic przeciwko temu, objęła go nogami w pasie, przyciągnęła jego twarz do swojej.

– Och. – Zachwycona Annika objęła się rękami. – Będą uprawiać seks.

Sasha przyglądała się, jak Doyle wnosi Riley po schodach na taras.

– Czy nie powinniśmy najpierw opatrzeć jej ran...

Bran wziął ją za rękę.

– Na razie nic jej nie będzie. Umyjmy się, napijmy się piwa i pozwólmy... Żeby zatroszczyli się o siebie nawzajem.

– Kąpiel. Dobry pomysł. – Sawyer złapał Annikę za rękę.

– Och, też będziemy uprawiać seks.

Bran, śmiejąc się, objął Saszę.

– Doskonały pomysł – powiedział i porwał ją prosto do sypialni.

Doyle nawet nie doszedł do łóżka. Gdy tylko zamknął za nimi drzwi, obrócił się i przycisnął Riley do ściany.

– Powiedziałaś: bez zobowiązań.

– Niekoniecznie. – Znow pocałowała go w usta, a potem lekko ugryzła, zmagając się z jego mieczem i pochwą.

Chciała poczuć jego ciało, jego zapach, smak. Pozwoliła, żeby miecz w pochwie upadł z głuchym stukotem na podłogę, i zdarła z Doyle'a koszulę.

On już zdążył wsunąć dłonie pod jej bluzę i przesuwał nimi bardzo blisko piersi. Miał duże, szorstkie dłonie – właśnie takie, jakie lubiła.

Ale chciała czegoś więcej, chciała, żeby w nią wszedł. Chciała poczuć w sobie jego gorący, twardy członek, przeżyć niewypowiedzianą rozkosz po tym, jak byli o krok od śmierci.

On też miał tu i ówdzie zadrażnienia. Obydwoje pachnieli bitwą – krwią, potem i walką.

Niecierpliwym, nie zdjął z niej koszuli, tylko ją rozerwał. Ta gwałtowność jeszcze bardziej rozpałała Riley. Zmagała się z jego paskiem, kiedy on zmagał się z jej.

Jęknęła głucho, ogarnięta pożądaniem, czując dziwne łaskotanie w żołądku.

Doyle ściągnął jej dzinsy, a potem – co za szczęście – wniknął w nią ostro.

Przerwa, uderzenie serca, oddech. Poczula rozkosz i miłosne upojenie. Ich spojrzenia znów się spotkały.

Nie odrywała od niego oczu, kiedy brał ją w posiadanie. Poczula orgazm, błogosławiony orgazm, a potem złapała Doyle'a za te jego gęste włosy, pozwoliła mu znów w siebie wnikać, a sama poruszała się pod nim, żeby teraz osiąść jego.

Kiedy znów osiągnęła orgazm, który przypominał gorące smagnięcie biczem, poczuła, jak jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Oboje znieruchomieli.

ROZDZIAŁ 12

Nie musiała go trzymać. Wciąż przyciskał ją do ściany, tak że nie dotykała stopami podłogi. Ale i tak go nie puściła. Po takim czymś nie była pewna, czy nie uleci w powietrze jak drobinka kurzu.

To był szybki i szalony seks, pomyślała więcej niż zadowolona. Cholernie dobrze się spisali. A to, że Doyle był wyraźnie wykończony, sprawiło jej dodatkową satysfakcję.

Ostatecznie zawsze była dumna z tego, co robiła.

Ponieważ wciąż go obejmowała, pomacała mięśnie jego pleców. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie było czasu na delectowanie się szczegółami. A miał naprawdę wyjątkowe plecy. A także tors, którym teraz mocno na nią napierał.

Prawdę mówiąc, oceniając wyłącznie wygląd zewnętrzny, musiała przyznać, że nigdy nie widziała równie doskonałego przedstawiciela rodu męskiego, nie mówiąc już o uprawianiu z nim seksu. Dodatkowe punkty, pomyślała, i w końcu otworzyła oczy. Zobaczyła, że Doyle patrzy na nią.

– Dobra robota, przystojniaczku. Daj mi znać, kiedy zechcesz mnie postawić na podłodze. Udało mu się wciągnąć spodnie, nie puszczając jej. Odwrócił się i zaniósł ją na łóżko.

Padł na nie razem z nią.

– Uff – jęknęła. Wyjątkowy przystojniaczek trochę ważył.

– Przepraszam. – Zsunął się z niej, przez chwilę leżał na plecach.

– Żadnych zobowiązań – powtórzył.

– Czy wyglądam na taką, która chce usidlić faceta?

– Nie, ale jest coś... O czym nie pomyślałem. Chodzi o zabezpieczenie.

– Rozumiem. Właśnie uprawiałam seks po ośmiu miesiącach abstynencji. Jestem zdrowa.

Zakładam, że ty też.

– Jestem odporny na wszelkie choroby czy zaburzenia. Są jeszcze inne powody zabezpieczania się.

– Stosuję długodziałającą antykoncepcję odwracalną. Możesz być spokojny.

– Dobrze.

Spojrzała na siebie, z jej bluzy pozostały żalosne strzępy.

– Lubiłam tę bluzę.

– I tak była już do niczego. Poza tym nie zauważyłem, żebyś protestowała.

– Nie protestowałam, bo byłam podniecona, a rozrywanie ubrań jeszcze zwiększa podniecenie. Mówię tylko, że ją lubiłam.

Nic z niej nie zostało, pomyślała, i zdjęła poszarpane strzępy.

– Będę musiała coś od ciebie pożyczyć, póki się nie będę mogła przebrać. Nie żeby nikt nie wiedział, co właśnie robiliśmy, ale wolę nie biegać nago przy Sawyerze i Branie.

– Weź sobie, co chcesz. – Usiadł na łóżku, zdjął buty i spojrzał przez ramię. Studiował wzrokiem jej nagą postać w dzinsach na wysokości kolan.

– Trochę schudłaś.

– Odzyskam to, co straciłam.

– Jasne. Jesteś silna i zwinna. Drobna, ale wytrzymała.

Rozbawiona Riley zatrzepotała rzęsami.

– Dziewczyny kochają słuchać, że są wytrzymałe.

– To komplement, kiedy mowa o wojnie i żołnierzach. Chciałem tego. Pragnąłem cię.

– Mogę powiedzieć to samo. Z wyjątkiem tego, że jesteś drobnej budowy ciała. Wyglądasz jak kulturysta.

– Znow będę cię chciał.
– Nie mam nic przeciwko temu. Właściwie... – Usiadła, żeby rozsznurować wysokie buty. – Skoro trochę odpocząłeś, może to powtórzmy?

– Szybko zdrowieję i odzyskuję siły.
– Tym lepiej. No więc... – Uniosła brwi, kiedy Doyle wstał, żeby zdjąć spodnie. – No cóż... – Śmiejąc się, rzuciła buty na podłogę. – Założę się, że to dodatkowa korzyść z bycia nieśmiertelnym, na którą nie narzekasz.

– Przekonamy się, czy mi dorównasz.
– Och, spokojna twoja głowa – powiedziała, kiedy usiadł na niej okrakiem. Dorównała mu, a potem jeszcze raz, kiedy zmywali pod prysznicem seks i wojnę. Nie mając pewności, czy da radę po raz czwarty, złapała jedną z jego koszul i pobiegła do swojego pokoju.

Przebrała się, rzuciła koszulę na krzesło, żeby ją odnieść później, a potem odwróciła się do lustra, by się sobie przyjrzeć.

Doszła do wniosku, że wygląda na tak odprężoną, jak tylko może wyglądać kobieta, która nie jest pogrążona w śpiączce. Ogarnęło ją zmęczenie. Prawdę mówiąc, przyznała w duchu, mogła się rzucić na łóżko i zapaść w długi sen. Istniała tylko jedna przeszkoda – umierała z głodu.

Poza tym musieli porozmawiać o niedawnej bitwie przed kolejnymi atakami. Zsunęła czystą bluzę i obejrzała ramię. Doyle posmarował jej rany balsamem Brana, podobnie jak ona posmarowała mu drobne skaleczenia. Jej ramię wyglądało już lepiej; Riley ucisnęła lekko zranione miejsce, ale nie poczuła najmniejszego bólu.

Ledwo draśnięcie, pomyślała. Niebo przesłonięte śmiercią i ledwo draśnięcie. Przeciwnicy okazali się słabi. To miała być tylko próba, tak jak powiedział Doyle. Ale podczas tej walki skupili się na niej. Dwa razy z rzędu Riley stała się celem ich ataków. Zamierzała im odpłacić, zanim zakończy tę misję.

Przypięła pas z pistoletem na jednym biodrze, nóż na drugim i poszła na dół, by poszukać czegoś do jedzenia i picia, a potem porozmawiać z przyjaciółmi.

Zastała wszystkich w kuchni. Najpierw rzuciła się na półmisek z przekąskami na pokrzepienie sił po bitwie, zjadła jajko faszerowane.

– Sasha przygotowała koktajl Bellini! – Annika napełniła kieliszek dla Riley, która wydała pomruk zadowolenia, chrupiąc krakersa z salami i serem. – Udał się seks?

– Tak, dziękuję. – Riley posłała szeroki uśmiech Doyle'owi, który pił piwo.
– Ja z Sawyerem też mieliśmy udany seks. I Bran z Sashą także. Według mnie to bardzo dobrze, że wszyscy teraz możemy się cieszyć dobrym seksem. *Mórai* powiedziała, że to służy ciału, umysłowi i duszy, szczególnie podczas naszych poszukiwań.

Bran aż się zakrztusił piwem.
– Co? Moja babka?
– Jest bardzo mądra. Brakuje mi jej. Nauczyła mnie dziergać na drutach. Zrobię dla wszystkich szaliki. Kiedy nie będziemy razem, jak teraz, będą jak mój uścisk.

Riley objęła ją jedną ręką.
– Dokądkolwiek się udasz, odwiedzę cię. Gdzie Sasha?
– Chciała coś dokończyć – powiedział Bran. – Niedługo do nas zejdzie. Boli cię?
– Nie, nic a nic. To tylko parę zadraśnięć, już się goją. Pozwólcie, że wam to powiem: doskonale zdaję sobie sprawę, że nie dałabym rady, gdyby nie wy. Nie tylko dlatego, że nie

jestem w pełni sprawna – oceniam swoją sprawność na dziewięćdziesiąt procent – ale dlatego, że szczególnie skupiła się na mnie. Nawet gdybym była w pełni sił, w pojedynkę nie wyszłabym z tego obronną ręką.

– Nie rozumie nas, naszej jedności. – Bran zatoczył koło ręką, w której trzymał piwo. – Że nie tylko razem walczymy, razem szukamy gwiazd, ale także bronimy się nawzajem i chronimy bez względu na grożące niebezpieczeństwo.

– To prawda. – Sasha weszła, niosąc obraz. – I nigdy nie przestaniemy. Chciałam to dokończyć, bo, jak powiedzieliśmy, symbole są ważne. Według mnie to symbol naszej jedności. Tego, kim jesteśmy, każde z nas osobno i wszyscy razem.

Podeszła do stołu i odwróciła płótno. Oparła swoje dzieło o wazon z kwiatami, ściętymi tego ranka w ogrodzie.

– Herb – powiedział Sawyer.

– Właściwie to osiągnięcie, bo zawiera wszystkie elementy, nie tylko znaki na tarczy, i... – Riley urwała, zauważywszy zaskoczone miny pozostałych. Doyle wpatrywał się chłodno w obraz.

– Mamy herb. – Riley odstawiła swój kieliszek i podeszła bliżej. – Wspaniały herb.

– To ja, syrena. – Annika chwyciła Sashę za rękę i uściśnęła. Wskazała namalowaną kobietę z opalizującym ogonem ryby, z miedzianymi bransoletami na obu nadgarstkach, siedzącą na skale pośrodku morza. – A to Sawyer.

Mężczyzna miał za pasem dwa rewolwery, a busola, którą trzymał w wyciągniętych rękach, zdawała się świecić na tle nieba.

– I ty, Riley!

– Tak, widzę.

Sasha namalowała ją z twarzą kobiety, zwróconą ku tarczy księżycy w pełni, i ciałem wilka.

– Powiedziałam ci, że chciałam cię namalować w chwili transformacji – przypomniała jej. – To było niezbędne.

– Uchwyciłaś to. Chciałam powiedzieć, że nigdy nie przyglądałam się sobie podczas przemiany, bo jestem wtedy zbyt zaabsorbowana, ale uchwyciłaś radość, jaka temu towarzyszy. Ty też tu jesteś, Doyle. Ze smętną miną, w rozwianym płaszczu, z mieczem w dłoni.

– Nie jestem smętny, tylko zamyślony. A oto i ona – dodał – z kuszą i pędzlem, z oczami pełnymi wizji.

– I ty. – Sasha zwróciła się do Brana. – Czarnoksiężnik na wysokim brzegu, władca piorunów.

– Każde z nas w osobnym polu – zauważył – a tutaj, pod koroną, cała szóstka stoi razem jak jedność.

– Tarczę podtrzymują smoki – dodał Doyle.

– Podobają mi się. – Sasha przyjrzała się uważnie swemu dziełu. – Chciałam dodać coś silnego i mistycznego.

– Trzy gwiazdy i księżyc tworzą koronę – odezwał się Sawyer. – Trafiałaś w dziesiątkę, Sasha. A co to znaczy? No wiesz, dewiza. To po łacinie?

– Brzmi: „Szukać gwiazd. Służyć światłu. Strzec światów”.

Sasha spojrzała z ulgą na Riley.

– Dobrze to napisałam po łacinie? Bałam się, że coś pokręcę. Początkowo nie mogłam się zdecydować, czy ma być w języku gaelickim, po łacinie, czy po grecku. Ale wciąż wracałam do łaciny, więc wybrałam ten język.

– I bardzo dobrze.

– Piękny herb – oceniła entuzjastycznie Annika. – Kolory są mocne, bo my tacy jesteśmy. I ma sześć pól, bo jest nas sześcioro. Nawet... – Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, więc powiodła palcem po otoczce herbu.

– Bordiura – podpowiedział jej Sawyer.

– Tak, bordiura. Trzy podwójne sznury, splecione razem. To symbol naszej jedności. Możesz zrobić rysunek herbu dla każdego z nas?

– Chyba mogę zrobić coś innego – wtrącił się Bran. – Zostawcie to mnie. To jest cudowne, *fáidh*, i ma niezwykłą moc. Użyczysz mi tego?

– Naturalnie.

– Sprawiałaś, że obcy sobie ludzie spotkali się w określonym celu.

– Nic nie...

– Za sprawą swoich wizji – przerwał jej. – I odwagi. Sądzę, że się spotkaliśmy, bo tak miało być. Ale bez ciebie nie doszłoby do tego tam i wtedy, kiedy się spotkaliśmy. Ani, moim zdaniem, nie w taki sposób.

Odwrócił się do niej i pocałował ją delikatnie.

– Zamierzałem to zrobić, kiedy będziemy sami. Dziś wieczorem, przy blasku świec, z winem, w świetle księżyca. Ale chyba zrobię to teraz, tutaj, w obecności wszystkich.

Sięgnął do kieszeni, wyjął małe białe pudzeczko z symbolem wieczności, wygrawerowanym w srebrze na wieczku.

– Bran!

– Dała mi to *mórai*, nim wyjechała dziś rano. Myślałem, że sam stworzę dla ciebie pierścionek, ale ten należał do jej babki, a zrobił go zakochany w niej dziadek, ślubując jej miłość. Czy przyjmiesz go, będziesz zawsze nosić ten symbol miłości?

– Tak. Oczywiście, że tak. – Sasha ujęła jego dłoń. – Kocham cię.

Otworzył pudełeczko, a jej aż zaparło dech. Kiedy światło padło na pierścionek, klejnot błysnął wszystkimi kolorami tęczy, a potem zaczął świecić spokojnym, równym światłem.

– Jest piękny. Jest...

Cudowny, elegancki, biały kamień w kształcie serca otaczały malutkie brylanciki, błyszczące jak tęcza.

– Daję ci to serce, ponieważ jesteś moja.

– Będę go nosić, ponieważ jesteś mój. Och, jest w sam raz. W sam raz.

– Czary – powiedział Bran, przyciągnął ją do siebie i długo pocałował.

– No, wystarczy. Niech mu się dobrze przyjrzę. – Riley złapała Sashę za lewą rękę.

– Niczego sobie kamień. Ładny – powiedziała do Brana.

– Jak facet ma się teraz zachować? – zapytał Sawyer i lekko uderzył Brana w ramię.

– Chciałabym dostać od ciebie pierścionek. Jestem tyle szczęśliwa. – Annika ze łzami w oczach objęła Brana i Sashę. – Jestem tyle szczęśliwa.

– Dobrze pasuje ci do dłoni.

Sasha uśmiechnęła się do Doyle'a.

– A jeszcze lepiej się w nim czuję. – Potem wtuliła się w ramiona Brana. – Ja też jestem tyle szczęśliwa. I dzięki niemu czuję się silna. – Odsunęła się od niego. – Czuję się dzielna.

I wierzę bardziej niż kiedykolwiek, że dokonamy tego, co głosi dewiza naszego herbu. Odszukamy gwiazdy.

– I będziemy służyć światłu – dodał Bran.

– I strzec światów – zakończyli razem pozostali.

Riley cofnęła się, wzięła swój koktajl.

– Żeby tego wszystkiego dokonać, trzeba będzie walczyć, przeżyć i zniszczyć Nerezzę.

Nie tylko jej sługusów i Malmona, kimkolwiek teraz jest.

– Racja. Skoro jesteśmy tu teraz wszyscy – powiedział Bran – może usiądźmy i porozmawiajmy o naszej ostatniej bitwie.

– Dobrze, ale wstrzymaj się pięć minut. – Sawyer otworzył szufladę, w której były nożyce kuchenne. – Muszę przynieść coś do tej marynaty z ogródka ziołowego. Kiedy postanowiłem przyrządzić łopatkę jagnięcą, nie wiedziałem, że będziemy czcić oficjalne zaręczyny. Chłopaki i dziewczęta, dziś będzie coś wykwintnego. – Wybiegł z kuchni.

Riley przeszła do części wypoczynkowej, żeby usiąść. Położyła nogi na stoliku kawowym.

– Zawsze chętnie uczestniczę w uroczystym posiłku – oświadczyła – ale moim zdaniem dzisiejszy wieczór wyjątkowo się do tego nadaje.

Sasha usiadła obok niej.

– Naprawdę?

Zrozumiawszy aluzję, Riley się roześmiała.

– Tak, wszyscy uprawialiśmy seks. Rozsypać konfetti! Miałam na myśli to, że Sasha dostała pierścionek, a my herb i zajefajną dewizę. A najważniejsze, że wszyscy żyjemy.

– Odniośłszy zaledwie drobne zadraśnięcia – uzupełnił Bran.

– Nasz przeciwnik był powolny i słaby. Sawyer mówił... – Annika urwała i spojrzała w stronę drzwi. – Może powinniśmy z tym poczekać... Ale to dla niego nie nowina, bo sam tak powiedział. Nasz przeciwnik był powolny i słaby.

– Nie pomyślałabym tak, gdyby chodziło o pierwszy atak. – Sasha napiła się koktajlu. – Było ich tym razem bardzo dużo, więcej niż poprzednio. Ale... Ale nie walczyli zbyt zaciekle. I skupili się na Riley.

– Powinniśmy... O, już jest! – powiedziała Annika, kiedy wszedł Sawyer z koszykiem ziół.

– Mówcie. Mam podzielną uwagę.

– Dobrze. Chciałam najpierw powiedzieć, że początkowo nie wyczułam, że skoncentrowali się głównie na Riley. A kiedy się zorientowałam... – Sasha położyła rękę na wyciągniętej nodze Riley, pogłaskała ją. – Było prawie za późno.

– One... Albo Nerezza uznała, że jestem w gorszej formie.

– Bo byłaś – wtrącił bezlitośnie Doyle.

Miała ochotę się najeżyć, ale tylko wzruszyła ramionami.

– W minimalnie gorszej. Chciałabym zobaczyć, jak sobie radzisz z paroma setkami zmutowanych ptaków z piekła rodem, pragnących cię zadziobać na śmierć.

– Prawie to zrobił – powiedział Sawyer, nie przerywając siekać ziół. – Pozostali byli za daleko od ciebie.

– No dobrze, zgoda, i jeszcze raz dziękuję za uratowanie mi życia.

– Nie zależy mi na twoich podziękowaniach. Nie byłaś w formie – powtórzył Doyle. – Ale żołnierz i tak walczy. Bardziej chciałem podkreślić fakt, że zostaliśmy rozproszeni. Nerezza może też nie jest w formie, ale się przygotowała. Skłoniła nas do rozproszenia się, a mówiąc ściśle, odciągnęła nas od Riley, mając nadzieję, że wyeliminuje tę, która w jej mniemaniu jest najsłabsza.

– I prawie jej się to udało. – Bran, siedząc w fotelu, utkwił wzrok w swoim piwie. – Nie wolno nam zapominać, że musimy się nawzajem chronić.

– I robiliśmy to. Nie przeczę, że mało brakowało, a zrealizowałyby swój zamiar – ciągnął Sawyer. – Ale chroniliśmy się nawzajem. I wygraliśmy. Próbowła nas zaszokować i wzbudzić w nas strach, prawda? Dlatego przesłoniła słońce. I przez jakiś czas jej się udało, byliśmy tak

pochłonięci zabijaniem napastników, że nie pilnowaliśmy swoich tyłów. Lecz później naprawiliśmy błąd.

– Widziałam, jak leciałaś – wtrąciła Annika. – Ten wiatr był jak żywa istota. Porwał cię i cisnął tobą o ziemię.

– Takie miałam wrażenie – przyznała Riley. – Wprawdzie nigdy nie porwała mnie trąba powietrzna, ale wyobrażam sobie, że właśnie tak to wygląda.

– Ta trąba powietrzna odrzuciła cię jeszcze dalej od nas – powiedziała Annika. – Widziałam, jak upadłaś, i bałam się. Ale przede wszystkim byłam bardzo, bardzo zła.

– Ja też byłam trochę wkurzona. Przybiegliście do mnie. Wszyscy. Nie przewidziała tego. Nie przewidziała zasady „wszyscy za jednego”. I czuję się znacznie lepiej.

– Ona też będzie się czuła coraz lepiej – zauważyła Sasha. – Ci, których następnym razem na nas naśle, nie będą ani tacy powolni, ani tacy słabi.

– Popracujemy nad pozycjami. – Doyle skinął głową, kiedy Sawyer wyjął kolejne piwo z lodówki, potrząsnął nim. – Nikt nie może zostać odcięty, odizolowany czy też odciągnięty. Może byli wolniejsi i słabsi, ale my nie byliśmy przewidujący. I wystarczająco przenikliwi.

– Gdybym się zorientowała w jej zamiarach choćby pięć sekund wcześniej...

– Nie możesz winić za wszystko siebie, Blondynko – powiedział Doyle. – Zostaliśmy oskrzydleni.

Ponieważ na stole leżał jeden ze szkicowników Sashy, wziął arkusz papieru i jeden z jej ołówków. I narysował coś szybko.

Według Riley bardziej to przypominało stodołę niż dom Brana, ale wiadomo było, o co chodzi. Podobnie jak kręte linie i zawijasy, które miały przedstawiać ścieżki w ogrodzie, krzewy, drzewa, mur wzdłuż klifu.

Musiała przyznać, że wszystko było na właściwym miejscu, zachowana została też skala.

– Zaczęliśmy tak ustawieni. – Posłużył się ich inicjałami, żeby zaznaczyć, gdzie kto był. – Annika przesunęła się tutaj, a Bran tutaj. – Linijką kropkowaną zaznaczył zmianę pozycji poszczególnych osób. I jeszcze raz, aż ukazał ich w miejscach, jakie zajmowali, kiedy wiatr porwał Riley.

– Skąd wiesz, gdzie każdy był, skoro sam musiałeś walczyć? – spytała Sasha.

– Zawsze wiem, gdzie są moi ludzie.

Riley nachyliła się, studiując rysunek.

– Robi wrażenie. I zakładając, że jest dokładny, w co wierzę – dodała szybko, nim Doyle zdążył na nią warknąć – ukazuje, z jaką łatwością nas rozdzieliła. Bran jest o całą długość pola ode mnie, kiedy grzmotnęłam tyłkiem w ziemię. Cokolwiek Nerezza o nas myśli, czuje respekt przed jego czarnoksięską mocą. Sawyer stoi bliżej, ale i tak za daleko. Co zmniejsza szanse na to, by wyciągnął busolę i zabrał mnie stamtąd.

– Sasha jest pod murem od strony morza.

– W dodatku zwrócona w drugą stronę. Byłam odwrócona w drugą stronę.

Prawdopodobnie to też było rozmyślne.

– Znajdowałam się bliżej, ale... – Annika spojrzała na Doyle'a. – Uważa, że jestem silniejsza w morzu niż na lądzie, prawda?

– Myli się, ale tak.

– A ty stoisz tutaj, bliżej niż wszyscy poza mną. Chociaż też daleko. To bardzo pomocne zobaczyć to tak rozrysowane. Czy możesz narysować, co powinniśmy zrobić? Nasze pozycje?

Doyle uśmiechnął się do niej.

– Tak. Ale rzecz w tym, że nie możemy tkwić w jednym miejscu. Trzeba reagować w zależności od sytuacji. Możesz zostać trafiona i musisz się cofnąć albo powinnaś się

przesunąć, żeby pomóc komuś innemu. Ale...

Kiedy rysował, wyjaśniając strategię na polu bitwy, Riley wstała, żeby wziąć coś do picia. Popatrzyła, jak Sawyer kończy nacierać ziołami, czosnkiem – i być może musztardą – dużą łopatkę jagnięcą.

– Pachnie bardzo smakowicie.

– Po paru godzinach w marynacie... – Połał łopatkę oliwą i umieścił w dużej plastikowej torbie. – Będzie smakowało jeszcze lepiej – obiecał, obracając torbą, żeby marynata pokryła mięso ze wszystkich stron.

– Wmanewrowała nas – powiedział do Riley, a potem powtórzył, zwracając się do pozostałych: – Nerezza nas wmanewrowała, a my jej nie doceniliśmy. Dostaliśmy nauczkę na przyszłość.

– Ma to dużą wartość. – Bran wskazał szkice. – Podobnie jak ćwiczenia, którymi Doyle będzie nas zamęczał, jak przypuszczam.

– Zaczynając od teraz.

– Od teraz? – Riley mało się nie udławiła oliwką, którą wzięła do ust. – Piliśmy – przypomniała mu.

– A gdyby nas teraz zaatakowano, musielibyśmy się bronić, chociaż piliśmy. Powinniśmy wiedzieć, jak się dzielić na drużyny. Już to ćwiczyliśmy, ale dziś zupełnie nam nie wyszło. Więc trzeba więcej ćwiczyć.

– Ile mamy czasu, nim będziesz musiał się zająć szykowaniem kolacji? – spytał Bran Sawyera.

– Godzinę.

– W takim razie mamy godzinę. – Wstał i pomógł wstać Sashy. – A potem muszę jeszcze godzinę spędzić sam nad obrazem.

Ćwiczyli. Riley, niestety, musiała przyznać, że Doyle miał rację, treningi są niezbędne. Może to dziwne, że zaczęła traktować bitwy z siłami zła jak coś zwyczajnego, ale ponieważ mało brakowało, a dziś by poległa, musiała przyznać, że pokpili sprawę.

Walczyła byle jak. I nie ona jedna.

Kiedy ogłosił koniec ćwiczeń, wymknęła się do biblioteki. Nie żeby wertować książki, ale żeby odpocząć. Wyciągnęła się na kanapie i ucięła sobie drzemkę przy ogniu trzaskającym w kominku.

Odświeżona wróciła do kuchni, gdzie unosił się cudowny zapach pieczonego mięsa i ziemniaków.

– Jesteś w samą porę – powiedział jej Sawyer. – Jagnięcina odpoczywa. Siadamy do kolacji za dziesięć minut.

Obejrzała się i zauważyła, że Annika już nakryła stół. Z młynków do soli i do pieprzu zrobiła pannę młodą i pana młodego. Z białej serwetki upięła tren sukni Sashy, z czarnej wstążki – muszkę dla Brana. Nawet zrobiła ukwieconą altankę.

– Sama słodycz – zachwyciła się Riley.

– Taka właśnie jest. Zastanawiałem się nad akwamarynem.

– Słucham?

– Do pierścionka dla Anni.

– Och. Bo jest przecież symbolem morza. Bardzo trafnie, Sawyerze.

– Przypuszczam, że wiesz, gdzie mógłbym go kupić. Chodzi mi o sam kamień.

Pomyślałem, że Sasha mogłaby mi pomóc zaprojektować pierścionek, a Bran potrafi... – Poruszył palcami.

Jakie to słodkie, westchnęła w duchu.

– Podzwonię tu i tam.

*

Zjedli uroczystą kolację przy stosownie udekorowanym stole i napili się szampana. Doyle może wolałby piwo, ale uznał, że są chwile wymagające bąbelków.

Nie rozmawiali o wojnie, tylko o ślubie, a chociaż przez całe życie był żołnierzem, wiedział, że są również chwile, kiedy należy odsunąć na bok krwawe bitwy, by zrobić miejsce dla miłości i życia.

Może nie miał zbyt dużo do powiedzenia na ten temat, lecz tamci jakby wcale nie potrzebowali jego komentarzy, bo rozmowa gładko się toczyła.

– Zgodzisz się na ślub tutaj? – spytał Bran. – Kiedy oddamy gwiazdy i wszystko wróci do normy?

– Tutaj? Nie wyobrażam sobie piękniejszego ani odpowiedniejszego miejsca. Moja matka...

– Ściągniemy ją do nas, przybędzie też cała moja rodzina, możesz mi wierzyć.

– *Mórai*. – Ta myśl zachwycała Annikę. – Pokażę jej szaliki, które robię na drutach. Ale...

– Martwisz się, że nie będziesz mogła tu być, bo wrócisz do morza – powiedziała Sasha. – Branie?

– Zrobię dla ciebie basen – obiecał. – Jeśli zakończy się twój czas pobytu na lądzie, dostaniesz swój basen, by móc być z nami.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

Bran wyciągnął rękę, ujął dłoń Anniki i pocałował.

– Jesteś moją siostrą.

– I moją. Tak samo jak Riley. Dlatego będziecie moimi druhnami. Zgadzacie się, prawda?

– Nic nas nie powstrzyma, no nie, Anni?

– Och, będziemy bardzo szczęśliwe jako druhny. A co to znaczy?

Sasha się roześmiała, a Riley sięgnęła po dokładkę ziemniaków.

– To jakby asystentki. To stara tradycja, ale oszczędzę wam dokładnego opisu.

Udała, że nie słyszy oklasków przyjaciół.

– Ograniczę się jedynie do wyjaśnienia, że będziemy towarzyszyć Sashy, zrobimy, co tylko można, by ten dzień był dla niej wyjątkowy. A potem będziemy się bawić do białego rana.

– Bardzo mi się to podoba.

– A ja mam tutaj swoich друзbów, czyli Doyle'a i Sawyera. Będą robili to samo, co ty i Riley dla Sashy.

– Możesz na nas liczyć, brachu. Bądź pewny, że urządzimy ci niezapomniany wieczór kawalerski, prawda, Doyle?

– Co to takiego? – spytała Annika.

– Wieczór kawalerski to pretekst dla pana młodego i jego kumpli, żeby się upić i wynająć striptizerkę – wyjaśniła jej Riley.

– Mają za dużo klasy na striptizerki – oświadczyła Sasha.

– Wcale nie – powiedział Doyle i sięgnął po szampana.

– My urządzimy ci wieczór panieński – zapewniła ją Riley.

– Podzwonisz tu i tam – domyślił się Doyle.

– Znam, kogo trzeba.

*

Bran zaczekał, aż skończyli jeść.

– Chciałbym, żeby za godzinę wszyscy dołączyli do mnie przed domem. Na coś w rodzaju ceremonii, można powiedzieć. Weźcie ze sobą broń.

– Jeśli to kolejna musztra po posiłku... – Riley jęknęła, wstając od stołu.

– Coś innego. Za godzinę – powtórzył Bran. – Koło muru na klifie.

Spędziła większość tej godziny, dzwoniąc, a potem włożyła telefon do kieszeni i wzięła broń. Ponieważ Bran nie powiedział dokładnie, co mają przynieść, postanowiła zabrać wszystko.

Kiedy Sawyer wszedł do salonu, przerobionego na arsenał, domyśliła się, że wpadł na taki sam pomysł.

– Zamierzałam cię odszukać po zniesieniu pierwszej partii.

– Nie ma takiej potrzeby. We dwoje powinniśmy wziąć resztę na jeden raz.

– A skoro już cię widzę... – powiedziała, przewiesiwszy przez ramię karabin o długim zasięgu. – Znalazłam kogoś, kto ma akwamaryn.

– Już? Tak prędko?

– Dostaniesz to, co sobie wymarzyłeś. Bran nie wspomniał o amunicji, ale... – Włożyła do kieszeni zapasowe magazynki.

– Zaczekaj. Gdzie? Jak?

– Tak się składa, że znam gościa, który zna dziewczynę, której rodzina ma sklep jubilerski w Dublinie. Nie tylko sprzedają, ale również projektują i sami robią biżuterię, więc mają drogie kamienie luzem.

– W Dublinie.

– Tak, na drugim końcu wyspy. Ale nie uważam, żeby to był jakiś problem dla kogoś, kto podróżuje w czasie i przestrzeni. Właściciel sklepu, wuj dziewczyny, którą zna ten gość, zgodził się za parę dni pokazać ci kilka kamieni. Jeśli chcesz, możemy się tam wybrać, obejrzeć kamienie, a potem wrócić.

– Tak... Nie spodziewałem się, że to będzie tak szybko.

– Twój ruch, kowboju.

– Racja. Mój ruch. Wchodzę w to. Rety!

– Dobrze. Chodźmy z tym koksem. Zobaczymy, co takiego upichcił Bran.

Riley uznała, że się nie pomyliła z tym pichceniem, bo nad ziemią unosił się kociołek Brana. Wisiał nad nim w powietrzu herb, namalowany przez Sashę.

– Zaczęliście przedstawienie bez nas – poskarżyła się Riley.

– Jeszcze nic was nie ominęło. – Bran spojrział na pozostałych, którzy szli przez trawnik.

– Mówiliśmy o jedności. Pokazaliśmy naszą jedność. Sasha namalowała dla nas symbol jedności. Jeśli wszyscy się zgodzą, teraz możemy zrobić krok dalej.

– Jesteśmy z tobą – powiedział Sawyer. – Wszyscy, jak tu się znajdujemy.

Riley skinęła głową.

– Potwierdzamy.

– W takim razie zakreślę krąg. – Bran wyciągnął zza pasa athame i wskazał nim północ, południe, zachód i wschód. – Na tej ziemi, o tej godzinie, rzucamy nasze światło, zbieramy moc. Rozpalamy ogień, poruszamy powietrze.

Pod kotłem zapłonął ogień. Zerwał się wiatr, aż zamigotał krąg światła wokół całej szóstki.

– Przeciwko złu zmówiliśmy się, by wytrwać na dobre i na złe. Ziemio, zakwitnij, wodo, rozlej się. Słońce i księżyc pokonują mrok, więc w walce z ciemnościami wypróbujemy naszą wolę.

Nagle w trawie wewnątrz kręgu pojawiły się kwiaty. Krystalicznie niebieska woda wytrysnęła w górę, jej strumień skierował się prosto do kociołka.

– Jesteśmy spokrewnieni, w naszych żyłach płynie ta sama krew, nasze serca biją jednym rytmem. Działamy jak jeden człowiek, czy jesteśmy razem, czy osobno. Stworzyliśmy ten symbol, żeby uczcić naszą jedność.

Rozległo się dudnienie. Riley poczuła, jak krew jej pulsuje miarowo, jak tkwiąca w niej wilczyca otwiera się na moc, na piękno. Bran wyciągnął ręce nad kotłem, a potem zwrócił je ku niebu. W jego dłoniach pojawiły się dwie białe, lśniące buteleczki.

Według niej w obu było płynne światło.

Uniosła się mgła. Zawartość kociołka zabulgotała.

– Przekazano mi to z ręki do ręki, od maga do maga, od syna do córki, od córki do syna. – Bran uniósł w górę athame, a potem zanurzył go w kociołku. – Twoja kusza, *fáidh*.

Sasha podała mu ją. W jej oczach Riley zobaczyła nie tylko miłość i bezgraniczną wiarę, ale również spore zaintrygowanie, jakie sama też odczuwała.

Bran umieścił kuszę w kociołku i zwrócił się do Anniki, która bez słowa wyciągnęła obie ręce. Zdjął jej bransolety, wrzucił do kotła.

Ufając mu w pełni, Riley podała swoją broń, wyciągnęła nawet nóż zza pasa. Sawyer zrobił to samo, a potem wyjął busolę.

– Powinieneś wziąć i to.

– Jesteś pewien? – spytał go Bran.

– Tak. Przekazano mi ją z ręki do ręki.

Bran umieścił busolę w kotle i zbliżył się do Doyle'a. Wziął jego łuk.

– Czy jeszcze raz powierysz mi swój miecz?

– Tobie i wszystkim w tym kręgu, jak nikomu go nie powierzyłem w ciągu trzystu lat.

Bran włożył miecz do kociołka, co wydawało się niemożliwe.

– Walczymy o światło, o nasze prawa. Wszyscy jesteśmy związani ciałem, duszą, umysłem na dłużej niż na czas szukania gwiazd. Tej nocy, pod tym znakiem staliśmy się *clannem* i pod tym symbolem stoimy zjednoczeni.

Mgła nad kociołkiem przybrała postać herbu.

– Chcecie, żeby tak się stało?

Zamiast przytaknąć, Riley ujęła dłoń Sawyera, a potem Doyle'a. Cała szóstka, stojąc w kole, wzięła się za ręce.

– W takim razie niech się stanie to, czego pragniemy.

Unoszący się nad kociołkiem herb rozbłysnął, przemienił się w płomień, a potem opadł do środka.

Wszystko znieruchomiało.

– Rety. Czy mogę usłyszeć „amen”? – spytał Sawyer.

Riley głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Amen, bracie. Jesteś niezwykle przekonujący, Irlandczyku.

– Cóż, staramy się, jak możemy. – Bran wyciągnął miecz, który błysnął w świetle księżycy. W stali, tuż pod rękojeścią, został wryty herb.

– Jest nasz – mruknęła Annika. – Naszej rodziny.

Bran wyjął bransolety i wsunął je z powrotem na jej ręce. Przesunęła palcem po herbach.

– Teraz są jeszcze ładniejsze.

– I przypuszczalnie mają większą moc. – Bran wręczył Riley pistolet i nóż. – W jedności siła. Wierzę, że tak się stanie.

Sawyer wziął swoją broń, przyjrzał się herbom na kolbach, podobnie jak na broni Riley.

– Mocna rzecz. – Wziął swoją busolę, teraz ozdobioną herbem. – Naprawdę mocna.

Niech się pojawi, pomyślała Riley, spoglądając w niebo. Niech się pojawi i wystawi na

próbę Klan Strażników.

ROZDZIAŁ 13

Nerezza nie pojawiła się ani tamtej nocy, ani następnej. Nie nasłała na nich swoich wściekłych sługusów, kiedy nurkowali w zimnych wodach Atlantyku, szukając gwiazdy.

Nic się nie czaiło w lesie, nie krążyło na niebie.

Sasha nie miała żadnych wizji.

Riley wykorzystała ten czas dla siebie. Ćwiczyła, trenowała, aż odzyskała dawną formę. Ślęczała nad książkami, przy komputerze, nad notatkami.

I spędziła wiele godzin z Doyle'em w łóżku. Albo na podłodze.

Wybrała się z Sawyerem do Dublina pod pretekstem, że muszą uzupełnić zapasy we wsi. Annika się nadała, bo nie zabrali jej z sobą. A skoro już byli w mieście, Riley kupiła sobie nową bluzę w miejsce tamtej zniszczonej.

I gdy już wszystko załatwili, zaciągnęła trochę zdenerwowanego Sawyera do pubu na piwo.

– Może powinienem był się zdecydować na kupno gotowego pierścionka.

– Specjalnie zaprojektowany ma większą wymowę.

– Tak, ale... Wtedy miałbym to już z głowy.

Rozsiadła się, żeby się delektować swoim guinnessem, bo według niej nie było nic lepszego od guinnessa sączonego powoli w irlandzkim pubie, pogrążonym w półmroku.

A jeśli dodać do tego talerz jeszcze gorących frytek prosto z patelni, posypanych solą i polanych octem? Ideal.

– Zaczynasz mieć pietra?

– Nie. Nie, tylko... – Sawyer pociągnął spory łyk piwa. – Zamierzam się zaręczyć...

Pierścionek i tak dalej. To wyjątkowa chwila.

Zadowolona, że może za to wypić, Riley uniosła swój kufel.

– Za tę wyjątkową chwilę.

– Tak. – Stuknął się z nią i popatrzył wkoło, jakby zapomniał, gdzie są. – Dziwnie się czuję, siedząc tutaj, wśród tych wszystkich ludzi, i popijając piwo. Nikt poza nami nie ma o niczym zielonego pojęcia, Riley.

Riley ugryzła frytkę i też się rozejrzała. Słyszała wokół rozmowy, widziała żywe kolory, czuła radosną atmosferę.

Włączono światło, ponieważ słońce nie mogło się zdecydować, świecić czy nie, w powietrzu unosił się zapach piwa, smażonych ziemniaków i przecieranej zupy jarzynowej.

Słyszał było różnorodny gwar – goście mówili po niemiecku, japońsku, włosku. Z amerykańskim, kanadyjskim, brytyjskim i irlandzkim akcentem.

Zawsze uważała, że dobry europejski bar trochę przypomina ONZ w miniaturze.

– Stęskniłam się za ludźmi – uświadomiła sobie – a nie zawsze mi ich brakuje. Ale stęskniłam się za gwarem i tą atmosferą. Twarzami i głosami nieznanymi wokół. Dobrze, że o niczym nie mają zielonego pojęcia. Nic nie mogliby na to poradzić. Więc to też wyjątkowa chwila siedzieć tutaj jak zwyczajni goście, pić zwyczajne piwo w zwyczajnym pubie.

– Masz rację. Właściwie o to właśnie walczymy.

– O świat, w którym każdy może się napić piwa o czwartej we wtorkowe popołudnie.

– Albo zaręczyć się z syreną.

– No, może niezupełnie każdy, ale z pewnością ty w tym pubie albo w Dublinie. Ale tak, mogę za to wypić. – Spojrzała na kelnerkę, młodą dziewczynę o świeżej twarzy,

z ciemnofioletowymi włosami. – Dziękujemy, niczego nam nie potrzeba.

– Gdy skończę i świat ogarną ciemności, wypiję twą krew.

Dziewczyna uśmiechała się, mówiła śpiewnym głosem. Ale miała szalone, niewidzące oczy. Riley wsunęła rękę pod kurtkę, otworzyła kaburę.

– Nie – szepnął Sawyer, nie odrywając wzroku od twarzy kelnerki. – Jest niewinna.

– Jesteś słaba. Uważasz, że to, co trzymasz, może mnie zniszczyć? Ja stoję się coraz silniejsza.

Na ich oczach fioletowe włosy dziewczyny urosły, zmieniły się w siwe z czarnymi pasemkami. Niebieskie oczy zrobiły się czarne, kiedy utkwiała wzrok w Riley.

– Może zachowam cię przy życiu i pozwolę Malmonowi się z tobą zabawiać.

Riley, trzymając dłoń na pistolecie, drugą ręką podniosła do ust piwo.

– Ale nudy – powiedziała i się napiła.

Stół się zatrzęsł; krzesła zatrzęszczały. Inni goście jak gdyby nigdy nic pili, rozmawiali, niczego nie widząc.

Sawyer rozmyślnie zakreślił palcem kółko w powietrzu.

– Ej, skoro już udajesz kelnerkę, może przyniosłabyś nam trochę orzeszków do piwa i frytek.

Wściekłość zabarwiła jasną irlandzką cerę dziewczyny na ciemny róż.

– Obiorę twoje kości z mięsa i rzucę je moim psom!

– Tak, tak. No więc co z tymi orzeszkami?

– Nadciąga burza.

Kelnerka zamruwała i podniosła ręce do swoich fioletowych włosów.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Czy jeszcze coś państwu podać?

– Nie, dziękujemy. – Riley pociągnęła długi łyk piwa; zaczęła, aż dziewczyna się oddali. – Niezła zabawa.

– Nie dostaniemy orzeszków.

Roześmiała się i nadstawiła pięść, żeby Sawyer w nią stuknął.

– Potrafisz zachować zimną krew, Sawyer. Proponuję, żebyśmy się stąd wynieśli i ogłosili nowinę. Nerezza prawie odzyskała siły i szykuje się do akcji.

Kiedy wstali od stolika, Sawyer westchnął.

– Teraz będziemy im musieli powiedzieć, że byliśmy w Dublinie.

– To nieuniknione – zgodziła się z nim Riley. – Pozwól, że ja to załatwię.

– Z największą przyjemnością zostawię to tobie.

*

W tych okolicznościach Sawyer chętnie pozwolił Riley przejąć inicjatywę. Kiedy wrócili i udali się do kuchni, jedynie włożył dłoń do kieszeni, zacisnął palce na pudełeczkach od jubilera, które tam miał, i trzymał buzię na kłódkę.

Sasha była sama, zagniatała ciasto na bagietki.

– O, wróciliście.

– Tak. I czuję, że coś ładnie pachnie.

– Gotuje się sos do lazanie, a ja próbuję upiec prawdziwy, włoski chleb. To bardzo zabawne. Mam nadzieję, że kupiliście ricottę i mozzarellę.

– Och. – Kurde. Teraz Riley też wcisnęła ręce do kieszeni. – Jeśli o to chodzi...

– Potrzebna wam pomoc przy wnoszeniu zakupów? Annika jest na górze z Branem, a Doyle... Nie wiem, gdzie jest. – Sasha wzięła nóż i zrobiła nim skośne nacięcia na bochenkach.

– Tylko je przykryję, żeby urosły, i zaraz wam pomogę.

– Prawdę mówiąc, niczego nie kupiliśmy.
– Jako to? Dlaczego? Gdzie byliście?
– Annika jest w wieży, tak? Sawyer chciał kupić kamienie do pierścionka zaręczynowego, więc...

– Sawyerze! – Sasha rzuciła ściereczkę do naczyń, podbiegła do niego i mocno go uściskała. – To takie... Kamienie? Nie pierścionek?
– Widzisz, pomyślałem sobie, że mogłabyś mi zaprojektować pierścionek, a potem Bran być może...

– Och! To doskonały pomysł! – Znów go uściskała. – Bardzo jej się spodoba. Już się nie mogę doczekać, kiedy się do tego wezmę. Powiedz mi tylko, jak chciałbyś, żeby wyglądał.
– Szczerze mówiąc, musimy trochę się z tym wstrzymać. Prawda? – zwrócił się do Riley.
– Prawda. Kiedy byliśmy w Dublinie...
– W Dublinie? – Sasha aż otworzyła usta i lekko pchnęła Sawyera. – Byliście w Dublinie?

– Żeby się zbytnio nie rozwodzić, znam tam kogoś, więc udaliśmy się do Dublina, kupiliśmy kamienie i akurat piliśmy piwo, gdy... – Riley umilkła, bo Sasha podniosła palec w górę.

– Udaliście się we dwójkę do Dublina... Nie ma znaczenia, jak krótko zajęła wam podróż tam i z powrotem... – powiedziała, wytrącając Riley z ręki główny argument. – Nikomu o tym nie wspomnieliście. A potem wstąpiliście na piwo?
– Może powinnaś tam być. No dobrze, kupiłam bluzę. Potrzebna mi była bluza. Nie wybraliśmy się tam, żeby spacerować po Grafton Street.
– Każdy, kto opuszcza dom, musi meldować, dokąd się udaje. Widocznie coś zaszło, kiedy tam byliście. Zawołam pozostałych i wytłumaczycie się ze swojego postępku. – Ostrożnie przykryła bochenki ściereczką.

Sawyer przestąpił z nogi na nogę.
– Możemy przemilczeć powód, dlaczego się tam udaliśmy? Przynajmniej przy Anni. Sasha rzuciła mu chłodne spojrzenie.
– Wystarczyło, gdybyście poinformowali mnie, Brana albo Doyle’a. Potrafimy dochować tajemnicy. Zawołam ich.

Kiedy Riley została sama z Sawyerem, westchnęła głęboko.
– Rozczarowaliśmy mamusię.
– Czuję się jak idiota. Jak udało jej się sprawić, że czuję się jak idiota, chociaż wcale nie podniosła głosu?
– Wie, jak to robić. Otworzę wino. Nie dopiliśmy piwa, a odnoszę wrażenie, że przyda nam się coś mocniejszego.
– I nie zrobiliśmy zakupów. Jak mogliśmy o tym zapomnieć?
– Chcieliśmy szybko tutaj wrócić – przypomniała mu Riley. Otworzyła butelkę czerwonego wina, wyjęła kieliszki. I przygotowała się na wypicie piwa, którego nawarzyła.

Annika tanecznym krokiem zbiegła po schodach – dawno zapomniała o swoich dąsach – a Doyle wszedł do domu.
– Napijemy się wina? Bardzo ciężko pracowaliśmy z Branem. Wino jest dobre. – Annika objęła Sawyera, przytuliła się do niego. – Wy też.
Głaszcząc ją po włosach, rzucił Riley błady uśmiech.
– Okaż odrobinę solidarności – powiedziała do Doyle’a, gdy chciał wziąć piwo. Nalała wina do sześciu kieliszków.
Nim wziął jeden, przyjrzał jej się uważnie.

– O co chodzi?

– Powiem, kiedy się wszyscy zbiorą. – Po minie Brana, kiedy wszedł do kuchni, zorientowała się, że Sasha już mu coś powiedziała.

– No więc słuchajcie. – Żeby dodać sobie odwagi, Riley wzięła kieliszek i pociągnęła łyk wina. – Razem z Sawyerem wybraliśmy się do Dublina.

– Co to Dublin? – spytała Annika.

– Stolica Irlandii. – Spojrzenie Doyle’a stało się twarde. – Na wschodnim wybrzeżu wyspy.

– To bardzo daleko jak na zakupy spożywcze. To duże miasto? – pytała dalej Annika, odsunawszy się od Sawyera. – I nie wzięłeś mnie ze sobą?

– Nie. Ja... My...

– Musiał tam się udać, żeby coś ci kupić. To niespodzianka.

Annika, wcale nie udobruchana, spjrzała na Riley, marszcząc czoło.

– Niespodzianka dla mnie? Co to takiego?

– Anni, niespodzianka oznacza, że jeszcze nie możesz się tego dowiedzieć. Udałam się tam z nim, żeby mu pomóc.

– Nieważne – przerwał im Bran równie surowym tonem, co wcześniej Sashy. – Podróż tak daleko, bez względu na powód, bez poinformowania o tym pozostałych, jest sprzeczna z tym, co robimy i kim się staliśmy.

– To moja wina... – zaczął Sawyer, ale Riley mu przerwała.

– Nie, oboje jesteśmy tak samo winni. I masz rację, Bran. Powiem więc tylko, że nas przyłapaliście, i poprzestańmy na tym. Sawyer może się tłumaczyć później.

– Ejże.

– Uważam po prostu, że jesteś w tym lepszy ode mnie. Możemy dalej rozprawiać o tym, jakie to było głupie i nieodpowiedzialne. Albo możemy wam powiedzieć, co się wydarzyło, a to jest znacznie ważniejsze.

– Kiepsko ci wychodzi tłumaczenie się – mruknął Sawyer.

– Mówiłam ci.

– Nerezza. To była Nerezza. – Sasha wystąpiła krok do przodu. – Teraz to czuję.

– Żywa i we własnej osobie. A raczej pod postacią kelnerki w pubie w bok od Grafton.

– Poszliście na piwo? – spytał Doyle.

– Och, jakbyś ty nie zrobił tego samego na naszym miejscu. Załatwiliśmy to, co... mieliśmy załatwić i wybraliśmy się na piwo przed powrotem do domu. Ledwo zaczęłam pić guinnessa, kiedy podeszła do nas kelnerka. Początkowo mówiła swoim głosem, miała własną twarz i wygląd. Ale jej tekst?

Riley na chwilę zamknęła oczy, żeby sobie wszystko przypomnieć.

– Powiedziała: „Kiedy skończę, a świat pogrąży się w mroku, wypiję twoją krew”. – Riley spojrzła na kieliszek czerwonego wina, który trzymała, zastanowiła się, a potem napiła niemal na złość. – I jeśli sądzicie, że nie doznalibyście szoku, słysząc, jak mówi to z irlandzkim akcentem ładna, młoda dziewczyna, to zapewniam was, że się mylicie.

– Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami – dodał Sawyer. – Nie mogliśmy z nią walczyć. To była zwykła dziewczyna, Nerezza ją wykorzystała, więc nie mogliśmy nic zrobić.

– Na przykład zastrzelić jej, na co zwrócił mi uwagę Sawyer. Powiedziała, że jesteśmy słabi, a ona nabiera sił.

– Zademontrowała nam to. Dziewczyna się zmieniła i ujrzelśmy Nerezzę, stojącą w zatłoczonym pubie. Teraz jej włosy już nie są zupełnie siwe. Widać w nich czarne pasma. Posunęła się w latach, ale nie wygląda tak staro jak wtedy, kiedy pochwyliłem ją nad Capri.

– Odzyskuje formę – mruknęła Sasha. – Odzyskuje siły i moc.
– Riley ją obraziła. Powiedziała: „Ale nudy”.
– Nawiązanie do Willow z serialu *Buffy: Postrach wampirów*.
Doyle lekko pchnął Riley.
– Nie masz nic przeciwko temu?
– Słuchaj, wtedy, widząc przed sobą Bogu ducha winną dziewczynę, mogłam jedynie drwić z Nerezy. Tylko tyle mogliśmy zrobić.
– Powiedziała, że być może zatrzyma Riley i da ją Malmonowi, żeby się z nią zabawiał.
– Jeśli zdoła.
– Nie lekceważ tego. – Sawyer się zdenerwował. – Z jakiegoś powodu obrała sobie teraz na cel siebie. Kiedy wkurzyła się na Riley, cały pub aż się zatrzęsł. Butelki, szklanki zadzwęczały. Nikt tego nie zauważył.
– Potem Sawyer porządnie jej dopiekł, mówiąc, że mogłaby nam przynieść orzeszki do piwa. Jeszcze bardziej się wpieniła, powiedziała, że obedrze nasze kości z mięsa i da je na pożarcie swoim psom. Ponieważ nie mogliśmy jej nic zrobić, zlekceważyliśmy te słowa. Ostatnie, co powiedziała, to: „Nadciąga burza”. Potem kelnerka znów stała się sobą, była oszołomiona i zdeorientowana.
– Nie próbowała zrobić wam krzywdy. – Bran skinął głową i w końcu wziął wino. Podał kieliszek Sashy. – Dopadła was, kiedy byliście we dwójkę, w publicznym miejscu, nie chcieliście tam stosować przemocy, ale was nie zaatakowała.
– Bo nie mogła – oświadczyła Sasha. – Nie jest na to jeszcze wystarczająco silna. Mogła stosować iluzję, uciekać się do innych metod. Ale sama nie może jeszcze nas osiągnąć.
– Właściwie to nie było jej tam, czy dobrze zrozumiałem? – Doyle zwrócił się do Brana.
– To tylko iluzja.
– Tak, też tak to sobie tłumaczę.
– Gdyby stała się silniejsza, a nas nie byłoby w pobliżu... – Annika podeszła do Sashy, zostawiając Sawyera. – Nie mieliśmy pojęcia, że jesteście tak daleko. Gdyby was porwała albo raniła, nie wiedzielibyśmy o tym.
– Ale nic takiego się nie stało. – Sawyer uznał, że należy to podkreślić. – Przykro mi, źle postąpiliśmy, ale nic nam się nie stało. Zresztą ciągle któreś z nas jest samo albo tylko z jedną osobą.
– Ale nie w cholernym Dublinie! – wybuchnął Doyle.
– Dlatego przyznaję, że źle postąpiliśmy. Źle to rozegraliśmy, jednak dzięki temu zdobyliśmy informacje. Możecie nadal nam wyrzucać, że źle postąpiliśmy, albo możemy wykorzystać to, czego się dowiedzieliśmy.
– Tobie też kiepsko wychodzi tłumaczenie się – zauważyła Riley.
– Najwidoczniej. Słuchajcie, to, co postanowiłem zrobić, jest dla mnie naprawdę bardzo ważne. Źle to załatwiłem, przepraszam. Moja wina, szczerze żałuję. I tyle.
– Może wszyscy powinniśmy nieco ochłonąć, żeby móc o tym porozmawiać na spokojnie. – Sasha podeszła do kuchni, żeby zamieszać sos. – No i potrzebujemy tego, czego nie kupiliście.
– Nie zrobiliście zakupów?
– Trochę się zdenerwowaliśmy – odwarknęła Riley Doyle’owi. – Teraz pojedziemy do wsi.
– Nie, ja z Anniką zrobimy zakupy.
– Tak. – Annika wzięła Doyle’a pod rękę. – Pojedziemy, ochłoniemy, żeby móc spokojnie porozmawiać.

Wyciągnęła rękę do Sawyera.

– Masz listę potrzebnych rzeczy.

Wyciągnął kartkę z tylnej kieszeni, wręczył ją Annice i mruknął: „Gówno prawda”, kiedy odeszła razem z Doyle’em.

– Minie jej. Wszyscy będziecie musieli przejść nad tym do porządku dziennego – oświadczyła Riley. – Zrobiliśmy, co zrobiliśmy, przyznaliśmy się. Jeśli chcecie jeszcze nam wymyślać, muszę się napić wina.

Sasha, stojąca przy kuchni, obejrzała się za siebie.

– To było niepotrzebne ryzyko.

– Nie uważaliśmy tak. – Riley wzruszyła ramionami.

– Nawet jak czekaliście, żeby bogini ciemności przyniosła wam orzeszki do piwa? – spytał Bran.

– Nawet wtedy. Najwyraźniej próbowała nas zastraszyć, Irlandczyku. Czy przeżyliśmy szok? Jasne, że tak. Ale co mogła zrobić? Nie walczy osobiście. Powinniśmy wszystkim wam, z wyjątkiem Anni, powiedzieć, co zamierzamy. Postąpiliśmy głupio, nie mówiąc wam. Po prostu głupio. Mogę tylko powiedzieć, że byliśmy tak przejęci naszą sekretną misją, że nie pomyśleliśmy o tym.

– Krótkowzroczne, porywcze. I zrozumiałe.

– Zrozu... – Sashy niemal odjęło mowę. Odwróciła się i wlepiła wzrok w Brana.

– *A ghrá*, zakochany mężczyzna często myśli sercem, a nie głową.

Sawyer rzucił jej uśmiech i poklepał się po sercu.

Prychnęła.

– Ale Riley nie jest zakochanym mężczyzną i powinna być rozsądniejsza – zauważyła.

– W imię przyjaźni też popełnia się głupstwa.

– Głupstwa nie... Nie powiem już ani słowa – uznała Riley. – Daj spokój, Sash, wszystko dobre, co się dobrze kończy. I wiem, że masz ochotę obejrzeć kamienie. Naprawdę chcesz zobaczyć te cudenka, które Sawyer kupił do pierścionka.

– Naprawdę nie... Cholera, jasne, że chcę je zobaczyć.

Korzystając z okazji, Sawyer wyjął z kieszeni woreczki.

– To wielka kahuna.

Wytrząsnął kamień na dłoń. Idealnie okrągły, nieziemsko błękitny, połyskiwał jak mały staw.

– Akwamaryn. – Bran się uśmiechnął i pogładził Sashę po ramieniu. – Według legend syreny kiedyś ceniły sobie te kamienie.

– Woda morska... Ich nazwa znaczy „woda morska”. Czyli pasuje – dodała Riley.

– Jest prześliczny. Mogę? – Sasha wzięła od Sawyera kamień i uniosła go pod światło. – Och, spójrz tylko, ile odcieni błękitu. Nie mogłeś wybrać dla niej niczego lepszego.

– Tak sądzisz? Mam jeszcze te małe kamyki. – Z drugiego woreczka wysypał garść malutkich brylancików, różowych szafirów i kilka drobnych akwamarynów. – Pomyślałem sobie, że mogłabyś coś zaprojektować. Mam jeszcze to. – Z trzeciego woreczka wyjął dwie platynowe obrączki. – A Bran mógłby to wykonać.

– Zrobię to z największą radością.

– A ja już mam parę pomysłów. – Sasha jeszcze raz przyjrzała się uważnie kamieniowi, a potem oddała go Sawyerowi. – To nie znaczy, że przeszła mi złość na was.

– Zawsze jakiś postęp. – Sawyer schował kamienie i obrączki. – Chciałbym dodać jedno. Kiedy ta suka powiedziała, że nadchodzi burza, zjeżyły mi się włosy na karku.

Spojrzał na Riley.

– Tobie też?

– O tak. Szykuje się coś poważnego. Nie przechwalała się. Według mnie wymknęło jej się to w przypiływie złości, ale miało swoją wagę. Może jakoś ci to pomoże.

– W tej chwili nic nie czuję – powiedziała Sasha.

– Ale mamy o czym myśleć. Będę o tym myślała podczas lektury książek. To moja pokuta.

– Zbieranie informacji nie jest dla ciebie pokutą. Ale przygotowanie sałatki...

– Ja lepiej sobie radzę z sałatkami, a ona – z książkami. – Sawyer znów spróbował ułagodzić Sashę tym swoim ujmującym uśmiechem. – Wykorzystajmy nasze mocne strony.

– Dobry pomysł. Będę w swoim pokoju, gdybym była potrzebna. – Riley uciekła, korzystając z okazji.

Może nie była zbyt zadowolona z tego, że Doyle i Annika nadal się wściekają, ale uznała, że Annika ma taki charakter, że nie potrafi długo się gniewać. A jeśli chodzi o Doyle'a, miała pewien plan.

Ponieważ zostawiła drzwi na balkon otwarte, usłyszała, jak wrócili. Ale nadal pracowała, robiąc notatki. Nie musiała długo czekać.

Kiedy Doyle wszedł do pokoju, siedziała za biurkiem. Miała na sobie jedynie koszulę. Zdecydowanym ruchem zamknął drzwi.

– To twój strój roboczy?

– To? – Odwróciła się na krześle. Tak, wciąż wkurzony, ale... Zaintrygowany. – Pomyślałam sobie, że będziesz chciał odzyskać koszulę. I dlatego wolałam ją mieć pod ręką.

– Sądziś, że możesz odwrócić moją uwagę seksem?

– Naturalnie. – Wstała. – Chciałam ci oddać koszulę, ale skoro masz drugą na sobie, niezbyt ma to sens.

Podeszła do niego, odpięła mu pochwę z mieczem, położyła ją obok łóżka. Wróciła do niego i zaczęła mu rozpinać koszulę.

– Jesteś taka pewna swoich powabów?

– Powabów? No wiesz! Mam wszystko, co powinna mieć dziewczyna. To wystarczająco kuszące, szczególnie dla mężczyzny, który już tego posmakował.

Odrzuciła koszulę na bok, a potem pchnęła go lekko w stronę łóżka.

– Siadaj, mój zuchu, rozbiore cię.

– Nie wzięłaś pod uwagę tego, że mógł tu wejść Sawyer albo Bran, a nie ja?

Jeszcze raz go trąciła.

– Po pierwsze, byłam zasłonięta biurkiem. A po drugie, tylko ty wchodzisz bez pukania.

Siadaj – powtórzyła.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby uprawiać seks. – Ale usiadł na skraju łóżka.

– Życie jest pełne niespodzianek. – Uśmiechając się, ściągnęła mu buty i rozpięła pasek. – Niespodzianka.

– Mogę uprawiać z tobą seks i nadal być wkurzony.

– Doskonale się składa. – Pchnęła go tak, że przewrócił się na plecy. Szybko zdjęła mu dzinsy, cisnęła je przez pokój.

A potem go dosiadła.

– Co powiesz na to, żebyśmy porozmawiali później?

Złapał ją za włosy, bynajmniej nie delikatnie, i przyciągnął do siebie. Kiedy ich usta się zetknęły, przewrócił Riley na plecy.

Przypuszczała, że po prostu w nią wejdzie, i nie zgłosiłaby zastrzeżeń. Ale Doyle złapał ją za nadgarstki i uniósł jej ręce nad głowę.

Riley odruchowo chciała się oswobodzić.

– Ejże.

– Zamknij się.

Zaczął ją namiętnie całować, rozpalając do białości. Wyrwała się, nie żeby protestować, ale pragnąc go pieścić.

Lecz musiałyby powiedzieć „nie”, kazać mu przestać albo ulec. Nadal był zły, ale poza tym czuła jego pożądanie. Pomyślała, że mogłaby to wykorzystać – i, na Boga, zrobiłaby to – lecz nim skończył, zorientowała się, czego od niej chciał.

Chciał, żeby dla odmiany była bezbronna, unieruchomiona pod nim, nie mogła poruszać rękami. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, kiedy Doyle zamknął usta na jej piersi. I lekko ją ugryzł.

Mogła go zniewalać oczami. Teraz wiedziała, jak to jest, kiedy nieposkromione pragnienie przesłania wszystko.

Opuścił jej ręce, cały czas ściskając je w przegubach. I zsunął się niżej. Krzyknęła, kiedy poczuła jego język. Wygięta w łuk, wiła się i znów krzyknęła, gdy nie przestawał.

Lecz z jej ust nie padło słowo „nie”.

Tylko „tak”.

Wiedziała, jak to jest płonąć. Wiedziała, jak to jest ulec potrzebie, bez względu na to, jak atawistycznej. Ale czegoś takiego jeszcze nie doświadczyła. Doprowadzał ją na sam szczyt, a potem na kolejny. I znowu, aż ją paliły płuca, a serce mało nie wyskoczyło z piersi.

Kiedy puścił jej ręce, żeby móc ją pieścić, mogła jedynie zacisnąć dłonie na prześcieradle i poddać się emocjom, które w niej wywoływał.

Gdziekolwiek ją dotknął, przechodził ją dreszcz, jakby miała nerwy na wierzchu.

Kiedy ją unióś, opuściła głowę do tyłu. Dygotała na całym ciele, czekając na dalszy ciąg.

– Nie, nie, patrz. Otwórz oczy i patrz na tego, który cię bierze tak, jak należy cię brać.

Patrz na mnie, do jasnej cholery, patrz na tego, kto wie, co w tobie tkwi.

Uniosła powieki i spojrzała w jego oczy, tak zielone, że niemal ją oślepiły. Ale dostrzegła w nich pragnienie i świadomość tego.

Złapała go za biodra.

– Patrzę na ciebie.

Na pół oszalały, wniknął w nią. Poruszał się w niej gwałtownie, krew w nim wrzała, serce mu waliło jak młotem. Znał ją, a ona знаła jego.

I dlatego bał się, że obydwójce są przekłęci.

Pokonał ją, pomyślała, kiedy obydwójce opadli z sił. Pozwoliła mu na to, na co nie pozwoliła nikomu innemu. Żeby ją wziął, żeby zawładnął jej ciałem, umysłem i całą resztą.

Skoro zrobiła ten krok, jak miała się teraz cofnąć?

Czy w ogóle mogła się cofnąć?

Kiedy się z niej zsunął i upadł na wznak obok, Riley miała ochotę zwinąć się w kłębek. Ale powstrzymała się i leżała wyprostowana.

Potraktuj to lekko, nakazała sobie. Wiedziała, jak to się robi.

– Może zatrzymam tę koszulę. Najwidoczniej mi służy.

– Możesz zachować to, co z niej zostało.

Popatrzyła wokoło zaskoczona i zobaczyła rozerwaną koszulę na podłodze koło łóżka.

– Jak będziemy tak się zachowywać, oboje zaczniemy chodzić nago.

Przekręcił się na bok, wziął butelkę wody z jej nocnego stolika i wypił połowę. A potem, jakby sobie przypomniał o Riley, podał jej butelkę.

– Masz przeze mnie siniaki.

Obejrzała się. Dostrzegła siniaki na nadgarstkach, kilka więcej tu i tam.

– Nic specjalnego.
Ale Doyle wstał i przyniósł do łóżka słoiczek balsamu.
– Wkurzyłaś mnie – powiedział, smarując zasinione miejsca balsamem.
– Możesz na mnie krzyknąć, ile tylko chcesz, i tak nie osiągniesz tego, co Sasha swoją milczącą dezaprobatą. – Riley syknęła. – Zmiażdżyła mnie. Powinniśmy byli powiedzieć komuś, co zamierzamy, dokąd się wybieramy. Sawyer chciał załatwić pierścionek zaręczynowy dla Anni i...
– Sam się tego domyśliłem. Ale to was nie usprawiedliwia.
– Zrozumiałam to aż za dobrze. To było bezmyślne, niezgodne z naszą całą ideą jedności. Ale... Górę wzięły dawne przyzwyczajenia. Przepraszam. Jedyne, co mogę zrobić, to przeprosić. Ponieważ nadal trochę słabo się czuła, wstała z łóżka i włożyła jego porwaną koszulę.
– Zamierzam... Chwileczkę. Powiedziałaś, że się domyśliłeś, po co się wypuściliśmy do Dublina. Anni też?
– Całkiem możliwe, bo nie jest głupia, ale skierowałem jej myśli na inny tor. Powiedziałem, że wyrwaliście się we dwójkę do Dublina, żeby Sawyer mógł jej kupić nową sukienkę, może kolczyki. W prezencie.
– Bardzo sprytnie.
– Udobruchałem ją. A już zupełnie odzyskała dobry humor, kiedy spędziła pół godziny w małym sklepiku, gdzie sprzedają różne błyskotki.
– Powiedziałabym, że jestem twoją dłużniczką, ale uwzględniając to, co właśnie zrobiliśmy, uważam, że jesteśmy kwita. Wezmę prysznic, a potem dokończę pokutę, pomagając przy pracach domowych.
Kiedy Doyle nie wstał, żeby iść razem z nią, poczłapała do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.
Przymknęła oczy.
Uświadomiła sobie, że naprawdę nią wstrząsnął. Wstrząsnął, podrzucił ją w powietrze, a kiedy spadła, zupełnie nie rozumiała, co się z nią stało.
Jakoś to rozkmini, zapewniła samą siebie. Bez względu na to, jaki powstał problem, jaka zagadka, jaki szyfr, w końcu to rozgryzie.
Zdjęła koszulę i poczuła, że materiał pachnie Doyle'em.
Położyła ją na szafce i zrobiło jej się głupio, bo wiedziała, że nie wyrzuci tych strzępów.

ROZDZIAŁ 14

Po kilku dniach spokojnych, wypełnionych treningami i nurkowaniem, Doyle uznał, że najwyższy czas coś zmienić. Odwiedził Brana w jego wieży. Przez chwilę stał i obserwował przyjaciela, który zapisywał coś w grubej księdze zaklęć.

Magia to nie zawsze błyskawice i trąby powietrzne, pomyślał. Niektóre sztuczki wymagają żmudnej pracy, a większość, jak widać, czegoś tak zwyczajnego jak pióro i papier.

Bran odłożył pióro, przeczytał to, co napisał. Potem położył dłoń na stronicy księgi. Błysnęło światło, które po chwili zgasło.

A znakomita większość, doszedł do wniosku Doyle, niezwyklej mocy.

– Masz chwilkę? – spytał, kiedy przyjaciel uniósł wzrok.

– Teraz tak. Musiałem wszystko zapisać i przypieczętować magią. Dla nas i dla tych, co przyjdą po nas.

Zaintrygowany Doyle podszedł, żeby zobaczyć, co Bran zapisał.

– W starym języku.

– W języku mojej krwi... I twojej. Prastarych bogów, prastarych mocy.

– Rodzaj zaklęcia do lokalizacji – powiedział Doyle, tłumacząc tekst. – Wykorzystujący herb jako... Urządzenie samonaprowadzające.

– Mniej więcej. Napijemy się herbaty. – Wstał, zostawiając otwartą księgę, i włączył elektryczny czajnik.

– Możesz się obejść bez elektryczności i czajników.

– No cóż, można powiedzieć, że bóstwa pomagają tym, którzy sami sobie pomagają.

Lepiej nie być zbyt wygodnickim na co dzień.

– Inni by byli.

– Masz rację. Ale mnie inaczej nauczono. To nowe zaklęcie... – powiedział Bran, wracając do tematu, kiedy już odmierzył herbatę. – Zastanawiałem się nad tym, co spotkało Riley i co zrobili, ona i Sawyer. Dzięki temu zaklęciu będę mógł odszukać każdego z nas, jeśli się oddzieli od pozostałych. Trochę nad tym pracowałem po tym, jak Annika i Sawyer zostali uwięzieni w jaskini na Capri, ale później zostawiłem tę sprawę, bo były inne, pilniejsze rzeczy. Aż do teraz.

– Bo przez kilka ostatnich dni mamy trochę więcej czasu.

– I cieszymy się, póki tak jest. Niecierpliwisz się?

– Bracie, mogę mieć tyle czasu, ile tylko zechcę, ale jeśli nadeszła pora, w co wszyscy wierzymy, nie powinniśmy go marnować.

– Zgadzam się, chociaż muszę przyznać, że cieszę się, iż Sasha ma czas na malowanie, że nie przesładują jej w dzień i w nocy wizje.

Zaparzył herbatę, podał Doyle'owi kubek. Swój odstawił na bok i zamknął księgę z zaklęciami.

– Usiądźmy. Powiedz mi, co cię trapi.

– Sawyer siedzi razem z Sashą w drugiej wieży.

– Tak, przygotowują projekt pierścionka. – Bran z uśmiechem wyciągnął się wygodnie w fotelu. Domyślając się, co oznacza ów uśmiech, Doyle tylko wzruszył ramionami.

– Szanuję kobiety. Ale bardziej jestem przyzwyczajony do rozmów o wojnie z mężczyznami.

– My wszyscy razem wzięci mamy mniej doświadczeń wojennych od ciebie.

Chociaż kiedyś Doyle przyznałby mu rację, teraz pokręcił głową.

– To i tak za mało, przynajmniej teraz. Ale odkładając na bok to i równouprawienie...

– Czasami facet musi porozmawiać z facetem. A kobieta z kobietą.

– Niewiele się zmieniło. Badanie podmorskich jaskiń nie dało nic poza możliwością wykreślenia ich z listy.

– Zgadzam się. Tak samo było na Korfu i Capri.

– Ale tutaj jest jakoś inaczej. – Doyle, nie mogąc usiedzieć na miejscu, spojrzął w stronę okna. – Nie wiem, czy tylko ja odnoszę takie wrażenie, czy też rzeczywiście jest tu inaczej.

– Cofnąłbyś się w czasie? – spytał Bran. – Zastanawiałem się nad tym. Wiedząc, że nie mogłeś wtedy uratować życia bratu, postąpiłbyś inaczej, gdybyś mógł się cofnąć do tamtego dnia?

– Czy bym nie spróbował? Oczywiście wtedy żyłbym jak zwykły człowiek, ale co by to było za życie ze świadomością, że nie zrobiłem nic dla niego, a tylko myślałem o sobie? Miałem aż nadto czasu, by stwierdzić, że zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie udało mi się i cały czas muszę żyć ze świadomością tego. Lecz zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. I zrobiłbym to jeszcze raz.

Doyle utkwiał wzrok w swojej herbacie, ciemnej i mocnej.

– Zastanawiasz się, dlaczego nie poprosiłem Sawyera, żeby mnie przeniósł w czasie, bym mógł zabić wiedźmę, zanim skrzywdziła mojego brata... Albo przynajmniej spróbować. Sawyer by się zgodził, dla przyjaciela zrobiłby prawie wszystko. Ale zapytam ciebie, czarnoksiężnika, czy można odmienić przeznaczenie?

– Nie wiem. Lecz wiem jedno. Mógłbyś uratować życie temu bratu, a stracić innego. Albo zapoczątkować wojnę, która kosztowałaby życie tysięcy ludzi. Według mnie lepiej nie zmieniać niczego w przeszłości. Nawet bogowie tego nie robią.

– Jeśli zmieni się jedno, zmieni się wszystko. – Doyle utkwiał wzrok w płomieniach na kominku. – Tak samo uważam. Nie udało mi się i już nigdy się nie dowiemy, jakie byłoby jego życie. A zarazem jakie mogłoby być moje.

– Wystarczy, że jesteś tym, kim jesteś. Ja i ty, a także czworo pozostałych do pewnego stopnia zostaliśmy przywiani tu wiatrem przeznaczenia. Ale według mnie w większym stopniu znaleźliśmy się tutaj dzięki temu, co sami zrobiliśmy, jakich dokonaliśmy wyborów po drodze. Dlatego tu teraz jesteśmy. – Bran odczekał chwilę, uniósł brwi. – Co chcesz zrobić?

– Rozmyślałem o słowach, jakie padły, o wizjach Sashy. O tym, że ze wszystkich miejsc na ziemi trafiliśmy właśnie tutaj. Bogowie każą nam płacić za wszystko, co robimy, za wszystkie nasze wybory.

Doyle wiedział, że będzie to jedno z jego najbardziej bolesnych doświadczeń.

– Znam jaskinię, w której umarł mój brat. Pora, żebym tam wrócił. Pora, żebyśmy tam poszukali.

Zmrużył oczy, patrząc Branowi w twarz.

– Doszedłeś do takiego samego wniosku.

– Nieważne, co ja myślałem, inicjatywa musiała wyjść od ciebie. Jeśli jesteś na to gotowy, możemy się tam udać razem.

– Jutro.

– Jutro – zgodził się Bran. – Ale myślałem też o innych słowach, skierowanych do ciebie, a wypowiedzianych przez rudowłosą wiedźmę. Że miłość rozedrze ci serce kłem i pazurem.

Doyle niemal wybuchnął śmiechem.

– Riley? Nie myśli o rozdarciu mi serca. Rozumiemy się nawzajem.

Bran może by coś odpowiedział, ale wbiegła Sasha.

– Och, przepraszam. Przeszkodziłam wam.
– Nie, już skończyliśmy. – Doyle zaczął wstawać.
– Zostań jeszcze chwilę, to dorzucisz swoją opinię. Po wielu próbach zaprojektowałam pierścionek, który niemal w pełni spodobał się Sawyerowi. Rzuć okiem. Poszedł teraz się upewnić, że Annika nie jest już na niego zła. I by nad tym pomyśleć.

Przerzucała kartki w swoim szkicowniku, na każdej z nich znajdowało się kilka projektów, które według Doyle'a były aż nadto dobre. A potem zatrzymała się na stronie, pośrodku której znajdował się rysunek jednego pierścionka.

Posłużyła się kredkami, by wydobyć ciemny błękit głównego kamienia, otoczonego jak aureolą białymi brylancikami i dwoma różowymi szafirami. Obrączka skrzyła się różowo, biało i niebiesko, jak obrączka ślubna.

– Jest prześliczny i w sam raz dla niej – zawyrokował Bran. – Jedyne w swoim rodzaju – dodał. – Tak jak ona.

– Trudno mi Sawyera do niego nie przekonywać, bo według mnie ten projekt jest idealny. Chcę go pokazać Riley. A co ty o nim sądzisz? – zwróciła się do Doyle'a.

– Nie znam się na tym. Według mnie jest dobry. Bardzo błyszczący, co z pewnością jej się spodoba.

– Ale usłyszałam coś... – Sasha utkwiała w nim wzrok. – Słyszę jakieś „ale”.

– Nie znam się na tym – powtórzył. – Przypomniałem sobie tylko, jak spodobała jej się bordiura wokół herbu, te warkocze. Gdyby obrączka też była spleciona jak warkocz...

– Och! – Sasha klepnęła go w ramię. – Och, to doskonały pomysł. Zaraz to poprawię. I jeśli teraz Sawyer zgłosi jakieś zastrzeżenia, to coś z nim nie tak.

Wybiegła równie szybko, jak się pojawiła.

– No cóż, czyli sprawa załatwiona. – Bran znów wziął swoją herbatę i uśmiechnął się do Doyle'a. – Wygląda na to, że obaj mieliśmy w tym swój udział. Wszystko ma być tak, jak ma być.

Doyle pomasaował sobie ramię.

– Twoja kobieta ma silniejszy cios niż kiedyś.

– Nie tylko cios.

*

Nie zajęło jej to dużo czasu. Sasha postanowiła nie zwlekać i odnalazła Sawyera w bibliotece, pracującego razem z Riley.

– Gdzie Annika?

– Robi pranie. Nigdy nie spotkałem nikogo, komu sprawiałoby to większą przyjemność. – Sawyer położył busołą na mapie i pokręcił głową. – Lepiej sobie z tym radzi niż ja z tym.

– A ja poradziłam sobie doskonale. Zrobiłam jedną poprawkę w projekcie.

– Właściwie przekonałaś mnie, że jest dobry.

– Ale nie całkiem. Według mnie pomysł Doyle'a to zmieni.

Riley uniosła wzrok znad książki.

– Doyle'a?

– Zgłosił propozycję. Spójrz tutaj, Sawyerze. Możemy na obrączce zrobić taki sam warkocz, jaki zrobiłam wokół tarczy herbowej.

– Nie wiem, czy to... – Spojrzał. – O tak. Doskonale. W sam raz. Dlaczego sami na to nie wpadliśmy?

– Nie wiem. Riley?

– Jeśli na widok tego pierścionka nie zrobi przewrotu w przód, to tylko dlatego, że robi

przewrót do tyłu. Trafiłaś w dziesiątkę, Sash. Akceptujesz projekt, Snajperze?

– Akceptuję.

– Powinieneś to zanieść Branowi, żeby przystąpił do działania.

– Racja. Masz rację. – Schował busolę do kieszeni i wziął rysunek, który Sasha wydarła ze szkicownika. – Dzięki.

Sasha patrzyła za nim, jak wychodził.

– Chciałaś, żeby ci pomógł.

– I tak nie zrobiliśmy żadnych postępów. Całkowity impas. Potrzebuję trochę ruchu. Może uda nam się wyciągnąć Anni z pralni, poćwiczymy te przewroty do przodu i do tyłu.

– Nadal jestem słaba w jednych i drugich.

– No właśnie.

– Ale chodzi ci o coś więcej.

Riley wstała od stołu, poruszyła ramionami.

– Może porozmawiamy o tym, jak się trochę rozruszam.

*

Kiedy Riley wyciągnęła swoje przyjaciółki na trening, musiała przyznać, że jest trochę podenerwowana. I nie mogła się opanować – nie pomagała ani praca, ani nurkowanie, ani seks, ani sen. W chwili, gdy przestawała myśleć o tym, czym akurat była zajęta, podenerwowanie wracało.

Więc może jak spędzi trochę czasu bez mężczyzn tylko z przyjaciółkami i zafunduje sobie forsowne ćwiczenia, wymagające koordynacji umysłu i ciała, poczuje się lepiej.

Niebo był błękitne, niemal bezchmurne, słońce jasno świeciło. Riley z zadowoleniem zrzuciła bluzę, którą złapała, wychodząc z domu, i podparła się pod boki. Miała na sobie spłowiałą, czerwoną koszulkę z napisem: ROZKMIŃ TO!

Chociaż nie było to Capri ani Korfu, ale irlandzkie lato mogło trwać nawet cały dzień.

Wzięła rozbieg, wykonała potrójne salto i zgrabnie wylądowała.

O tak, odzyskiwała formę.

Sasha też była znacznie lepsza niż kiedyś. Wprawdzie nadal lądowała dość niepewnie, ale odbijała się wyżej. Oczywiście nic i nikt nie dorównałby Annice. Wyskakiwała w górę tak, jakby miała skrzydła zamiast ogona.

Zgodnie z poleceniem Anniki Riley wykonała przewrót do tyłu, a potem zrobiła wymach nogą w bok. Boże, jakże chciałyby z kimś powalczyć.

Następne polecenie Anniki wywołało lekkie mdłości u Sashy, ale podbiegła do Riley, która splotła dłonie. Kiedy noga Sashy znalazła się na rękach Riley, splecionych w koszyczek, ta z całych sił wyrzuciła ją w górę.

Przewrót do tyłu był więcej niż przyzwoity, lądowanie według Riley słabe, ale Sasha szybko odzyskała równowagę i wyrzuciła w górę dłoń zaciśniętą w pięść.

– Udało mi się! Zrobię to jeszcze raz. Lepiej.

Tym razem, lecąc w powietrzu, Sasha zamarkowała strzelanie z kuszy. Riley się uśmiechnęła, chociaż Sashy nie udało się dobrze wylądować i klapnęła na pupę.

– Jeszcze raz! – zawołała Riley.

Za trzecim razem Sashy bardzo dobrze wyszedł przewrót, więc wykonała krótki taniec zwycięstwa.

Po godzinie Riley była spocona, trochę bolały ją mięśnie, ale umysł miała czysty. I jak zwykle wróciło podenerwowanie.

– No dobrze, trochę poćwiczyliśmy. – Sasha usiadła na ziemi, żeby się porozciągać. – Co

teraz?

– Właściwie nie wiem. – Riley poruszyła ramionami, jakby chciała je rozprostować.

– Nadal cię boli?

– Nie. – Pokręciła głową, patrząc na Annikę, rozciągnęła mięśnie łydek i ścięgna podkolanowe. – Czuję się dobrze, wróciłam do formy. Jestem gotowa do walki. To czekanie mnie męczy. Jesteśmy tak blisko celu. Chciałabym już zakończyć naszą misję.

Kiedy rozciągała mięśnie uda, podniosła wzrok. Doyle stał na tarasie, wiatr rozwiewał mu włosy. Patrzył na nią. Po dłuższej chwili wrócił do środka.

– Kurde.

– Pokłóciłaś się z Doyle'em? – Annika współczującym gestem pomasowała ramię Riley.

– Lubisz się kłócić z Doyle'em. To jak gra wstępna.

– Tak. Nie. To znaczy wcale nie pokłóciliśmy się. Prawdopodobnie się pokłócimy, ale nie szkodzi. To... – Spojrzała na Sashę. – Już się domyślasz.

– Przepraszam. Trudno mi tego nie widzieć. Coś do niego czujesz. Dlaczego miałabyś nie czuć?

– Dam sobie radę z tym, co czuję. Ale się nie spodziewałam, że uczucie będzie takie silne, i nie wiem, co z tym zrobić. Nie szukałam czegoś takiego, a teraz nie mogę się od tego uwolnić.

– Och! Jesteś zakochana. To cudownie! – Annika ją objęła.

– Nie dla każdego.

– A powinno być.

– I wcale nie wiem, czy jestem zakochana. Po prostu... Dlaczego nie możemy się ograniczyć do seksu? Seks jest nieskomplikowany. Wiem, jak się zachować. Natomiast nie wiem, jak się zachować w takiej sytuacji.

– Idealnie do siebie pasujecie.

Słyszając słowa Sashy, Riley aż otworzyła usta.

– Co?

– Naprawdę. Zwyczajnie pasujecie do siebie. Przyznam się, że trochę się martwiłam, bo obydwójce jesteście uparci i lubicie walczyć.

– Nie jestem uparta. Jestem rozsądna.

– A uczucia nie kierują się rozsądkiem. Pomogłaś mi dostrzec, co czuję do Brana, docenić swój potencjał, kiedy jestem sama i razem z nim. Dlatego ci powiem: jeśli pragniesz Doyle'a, nie wahaj się.

– Jesteśmy razem.

– Lubię seks – powiedziała Annika i odrzuciła na plecy długi warkocz.

– Oj, słyszeliśmy. – Riley wzniosła oczy do góry. – Dosłownie.

– To takie radosne i podniecające. Ale przy Sawyerze przekonałam się, że to coś więcej. Kiedy się kocha, seks nabiera nowego znaczenia. Kiedy już nie będę miała nóg, nadal będziemy mogli się kochać. Cieszę się z tego. Jednak smutno mi, że nie będę mogła z nim spacerować ani szykować mu jedzenia, ani leżeć z nim w łóżku i spać.

– Och, Anni. – Sasha podeszła do niej i ją przytuliła. – To takie niesprawiedliwe.

– Ale możemy być razem. Naprawdę. Znaleźliśmy sposób, żeby jak najwięcej czasu spędzać razem, i będziemy szczęśliwi. Jeśli Doyle da ci szczęście, powinnaś posłuchać Sashy.

– Skąd mam wiedzieć, czy da mi szczęście?

– Przekonaj się – odrzekła Sasha. – Jesteś zbyt inteligentna i... Tak, tak, uparta, żeby tego nie zrobić. Poza tym jesteś mu potrzebna.

– Jestem... Co?

– Może o tym nie wie, może jeszcze tego nie zaakceptował, ale jesteś mu potrzebna. A kiedy mężczyzna spotka chłopca, kiedy chłopiec zobaczy mężczyznę, zabrzmią ciemne echa, stara krew na nowo się przeleje.

– Anni – powiedziała Riley. – Biegnij po pozostałych. Szybko. Co widzisz, Sasho?

– Wspomnienia i żal, na nowo przeżywane. Dawne rany, dawne szramy rozdrapane na nowo. Karmi się bólem, rozjątrza dawne cierpienia, żeby powstać i uderzyć. Kłamie. Trzymaj się mocno, nie oszukuj, a zdasz ten egzamin. Bo gwiazda czeka w ciemnościach w niewinnym. Przynies światło mężczyźnie, chłopcu. Zobacz imię, odczytaj imię, wypowiedz imię. Odszukaj jasność i biel.

Sasha zamknęła oczy, uniosła rękę w górę.

– Dajcie mi chwilkę. To było bardzo intensywne. – Kiedy poczuła, jak Bran ją obejmuje, oparła się na nim.

– Pamiętasz, co powiedziałaś? – spytała ją Riley.

– Tak. A także co widziałam. Jaskinię, ale niewyraźnie. Zmieniła się. Może to było światło. Początkowo twoje światło, takie czyste, takie białe – powiedziała, ujmując dłoń Brana. – A potem cienie. Nie cienie. I pojawiła się ona, Nerezza. Ale to nie ona. Niezupełnie ona. Nic z tego nie rozumiem.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Sawyer. – Usiądziesz, odpoczniesz sobie chwilkę.

– Nie, prawdę mówiąc, dobrze mi tutaj. Tam było tak zimno. Jaskinia, ale nie pod wodą, jestem tego pewna. Początkowo wydawała się duża, a potem mała. Lecz wystarczająco duża, żeby pomieścić nas wszystkich. To złe miejsce. Bardzo złe. – Palce jej pobielaly, tak mocno zacisnęła rękę na dłoni Brana. – Są tam straszne rzeczy, stare i straszne. Właśnie to, czego ona chce i potrzebuje. Ale... Boże, potem wszystko stało się na odwrót. Było szczęśliwe i ciche.

– Może zabierzemy to, co stare i straszne, dlatego wszystko się zmieni.

Sasha skinęła głową do Riley.

– Być może. Nie wiem. Wiem tylko, że musimy tam się udać. – Teraz zwróciła się do Doyle'a: – Bardzo mi przykro. Musimy tam pójść. Tam, gdzie straciłeś brata.

– Wiem. Rozmawiałem o tym z Branem.

– Robiliście plany bez nas? – oburzyła się Riley.

– Tylko wstępne przymiarki. Znam tę jaskinię i wiem, jak do niej dotrzeć. To niespełna pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Możesz mi pokazać na mapie – powiedział Sawyer – żebym wprowadził współrzędne. Na wszelki wypadek.

– Znajdziemy to miejsce na mapie. – Bran pomasaował ramię Sashy. – Już się uspokoiłaś?

– Tak.

– Uważam, że powinniśmy coś zjeść. I napić się wina.

– Nie powiem „nie”.

– Zupa już się gotuje. Anni, może zajrzyj do kuchni i sprawdź, czy wszystko w porządku. Ja pójdę po mapę. – Sawyer pociągnął Annikę za sobą, zostawiając Doyle'a samego z Riley.

– Nie lubię się tłumaczyć... – zaczął.

– To się nie tłumacz. – Odwróciła się w stronę domu; złapał ją za rękę.

– Chciałem porozmawiać z przyjacielem i czarnoksiężnikiem, bo zamierzam wrócić tam, gdzie straciłem swojego brata i zabiłem wiedźmę, która rzuciła na mnie klątwę.

– W porządku.

– To wszystko?

– Jezu, Doyle, domyśl się. Wszyscy dobrze wiemy, że to do dupy, i wszyscy wiemy, że to okrutne. Dlatego najpierw musiałeś porozmawiać z Branem. I świetnie. Rozumiem...

Rozumiemy cię.

- Porozmawiałbym z Sawyerem przed rozmową z tobą.
- Teraz znów mnie wkurzasz.
- Dlaczego tu przyszłaś z pozostałymi kobietami?
- Chciałam poćwiczyć. Sashy potrzebny jest trening. – Zakłęła pod nosem. – No dobrze, chciałam spędzić trochę czasu w damskim towarzystwie. W porządku, rozumiem cię.
- Doyle zawahał się, a potem przestał tak mocno ścisnąć jej ramię.
- Gdyby groziło mi niebezpieczeństwo, złożyłbym swoje życie w twoje ręce. To dowód zaufania i szacunku.
- Mogłabym się zachować jak kretyńka, oświadczyć, że łatwo ci coś takiego powiedzieć. Ale nie jestem kretynką i wiem, że nie jest ci łatwo. Więc spoko. – Wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć mu dłoń.

Złapał ją za łokcie, podniósł do góry i pocałował.

- Nie jesteś dla mnie siostrą.
- I bardzo dobrze.
- Ale jesteś... Kimś bardzo ważnym. Chcę, żebyś była ze mną tam, dokąd się wybieram jutro.

Wzruszona i zaskoczona Riley położyła dłoń na jego policzku.

- Będę.

Postawił ją na ziemi, zastanowił się chwilę, a potem wziął ją za rękę. I nie puszczając jej dłoni, skierował się do domu.

*

Dobrze uzbrojeni, wyruszyli wczesnym rankiem. Riley pojechała z Doyle'em na motorze. Zostawili za sobą wybrzeże, znaleźli się wśród zielonych wzgórz pod letnim, błękitnym niebem.

Wyobraziła sobie, jak Doyle jechał podobną trasą na koniu tamtego fatalnego dnia. Podkowy uderzały o ziemię, wiatr rozwiewał płaszcz, kiedy Doyle poganiał wierzchowca. Teraz jechał szybciej, pomyślała, gdy z maksymalną prędkością pokonywał zakręty, gdzie się żółciły dzikie lilie, tańcząc w promieniach słońca. Ale teraz było mu trudniej. Wtedy wierzył, że uratuje brata, wróci z nim do domu, do bliskich.

Dziś wiedział, że tak się nie stało.
Lecz gdyby znaleźli gwiazdę...
Czy to miejsce, gdzie kiedyś działy się tak okropne rzeczy, mogło posłużyć do ukrycia Gwiazdy Łodu?

Tak czy owak, czekała ich bitwa. I Riley była na nią więcej niż gotowa.
Jest dla niego ważna. Powiedział jej to. Starła się za dużo o tym nie myśleć, tak samo jak wołała nie zgłębiać swoich uczuć. Teraz to naprawdę nie jest najważniejsze, upomniała samą siebie. To, co ona czuje, to, co on czuje, nie ma znaczenia dla losu światów.

Zwolnił i skręcił w wąską, wyboistą drogę.

- Stąd pójdziemy pieszo – powiedział. – Samochód Brana tędy nie przejedzie.

Riley zsiadła z motoru.

- Jak to daleko stąd?
- Nieco ponad kilometr.

Umilkł, spojrział w lewo, nad kamiennym murkiem, na małe gospodarstwo, gdzie łaciaty pies drzemał na słońcu, a krowy pasty się na łące.

I kiedy tak stał, pomalowany na niebiesko dom, zabudowania gospodarza, stary traktor, nawet łaciaty pies zniknęły.

Na łące i na zboczu wzgórza pasły się owce. Pastuszek siedział i drzemał, oparty o skałę. Otworzył jasnyniebieskie oczy i popatrzył na Doyle'a.

– Widzisz go tam?

– Psa?

– Chłopca. Przyglądał mi się tamtego dnia. I przygląda mi się teraz.

– Nie ma żadnego chłopca. – Riley, trzymając dłoń na ramieniu Doyle'a, obejrzała się, gdy nadszedł Bran z pozostałymi.

– Ma niemal białe włosy pod czapką. Drzemie, trzymając kij na kolanach.

– Coś jest w powietrzu. – Bran podniósł rękę, przesunął nią. Zmrużył oczy, czując opór, znów przesunął rękę.

Malownicze gospodarstwo było ciche, pies spał nadal.

– Próbuje na tobie swoje sztuczki.

Doyle skinął głową, słysząc uwagę Sawyera.

– Tą drogą jakiś kilometr. Jaskinia znajduje się w porośniętym darnią wzgórze. Przed nią jest mały staw. Tamtego dnia woda wydawała mi się czarna.

A to, co w niej było, przypominał sobie, kiedy ruszyli, przemykało pod powierzchnią niczym węże.

Teraz wzdłuż wąskiej drogi zółciły się lilie, a wyrośnięty żywopłot kapał fuksjami.

Przemknęła obok nich sroka.

Jedna zwiastuje smutek.

Kiedy się zbliżyli, zobaczył znaki i amulety – wryte w drewnie lub kamieniu, ułożone z patyków i słomy. Ostrzeżenia i zabezpieczenia przed złem.

Ponieważ pozostali nic nie powiedzieli, domyślił się, że widzieli jedynie rozsypujący się kamienny mur, polne kwiaty, krowy na pastwisku.

Jakiś kruk zniżył lot, przysiadł na murku. Kiedy Riley sięgnęła po broń, Doyle wziął ją za rękę.

– Widzisz przynajmniej to. – Wyjął miecz i rozplątał ptaka.

Pojawiły się drzewa, w których śpiewały ptaki. Wesole, wiejskie ptaszki, które nikomu nie czyniły krzywdy. Pomiędzy drzewami dostrzegł wodę, połyskującą w stawie. Skreślił w prawo, ruszył przez dający schronienie zagajnik.

Ciemnoniebieska woda pośród traw i liści lilii wodnych.

A potem czarna, błyszcząca, marszczyła się od tego, co w niej było.

– Co widzisz? – spytał Riley.

– Staw z liliami wodnymi, który wymaga oczyszczenia.

– Kolejna smuga. – Bran znów podniósł rękę. – A za nią woda gęsta i czarna.

– Jaskinia. – Sasha wskazała mroczny otwór wysoko w górze. – Krew i kości. Kocioł, w którym się gotują. Nie jest czysta. Kłamie i wszystko, co jest w środku, to kłamstwo. – Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Czeka.

– Powinienem tam wejść sam. Sam – powtórzył Doyle, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować. – Mnie nic nie może zrobić.

– Bzdura.

– Zgadza się z Riley – powiedział Sawyer. – Wszystko albo nic. Głosuję za pierwszym. Riley wyjęła broń.

– Może mógłbyś ją oświetlić, Branie. Dobrze byłoby widzieć, gdzie idziemy.

Wejście do jaskini rozbliżyło jasnym, białym światłem. Razem skierowali się w tamtą stronę.

Była wysoka i obszerna, jak ją zapamiętał. Jej dno pokrywały liście i sosnowe igły.

Zwierzęta, które się w niej chroniły, pozostawiały swoje odchody. Skalne ściany porastał mech i zielsko.

– Może się rozdzielimy – zaproponowała Riley. – Żeby się rozejrzeć.

– Trzymajcie się blisko – ostrzegła ich Sasha. – Tak będzie lepiej.

– Będziemy chodzić dwójkami. Sasha ma rację. – Bran spojrział poza swoje światło. – Tak będzie lepiej.

Przystąpili do poszukiwań. Riley przykucnęła i badała centymetr po centymetrze kwadratową ścianę jaskini. Dwa kroki od niej Doyle przesuwał dłońmi po skałach, rozgniatając mech.

Miał wrażenie, jakby szponiaste palce zaciskały się na jego szyi. Napiął mięśnie brzucha jak przed bitwą.

Słyszał Annikę, która mówiła coś cicho do Sawyera, a także skrzywienie butów Riley, przesuwał się wzdłuż ściany.

Światło się zmieniło, stało się brudnoszare, wewnątrz wypełnił chłód.

Odwrócił się gwałtownie.

Kości zaścielały dno jaskini, poczuł krew, która wsiąkła w ziemię. W samym środku zobaczył czarny kocioł zawieszony nad płomieniami czerwonymi jak świeża rana.

Wiedźma, którą zabił, stała i mieszała w kotle chochlą zrobioną z ludzkiej ręki. Miała czarne, kręcone włosy i twarz o oślepiającej urodzie, kiedy się uśmiechnęła.

– Możesz go uratować. Cofnij czas tu i teraz. Wzywa cię. – Wskazała ręką.

Na dnie jaskini leżał jego brat, biały jak śnieg, zakrwawiony.

Wyciągnął drżącą rękę.

– Doyle. Ratuj mnie, bracie.

Doyle odwrócił się z mieczem w dłoni, by wymierzyć cios wiedźmie, ale zniknęła, śmiejąc się jak opętana. Podbiegł do brata, padł obok niego na kolana, jak to zrobił wtedy, dawno temu. Poczuł na rękach jego krew.

– Umieram.

– Nie. Jestem tutaj. Feilimie, jestem tutaj.

– Możesz mnie uratować. Powiedziała, że tylko ty możesz mnie uratować. Zabierz mnie do domu. – Z ust spłynęła mu kropla krwi i wstrząsnął nim dreszcz. – Tak mi zimno.

– Trzeba powstrzymać krwawienie.

– Jest tylko jeden sposób, żeby mnie uratować. Zabij ich. Musi być ich krew za moją. Zabij ich, a będę żył. Razem wrócimy do domu. – Feilim zacisnął rękę na jego dłoni. – Nie zawieź mnie znowu, *deartháir*. Nie pozwól mi tu umrzeć. Zabij ich. Zabij ich wszystkich. Za moje życie.

Trzymając mocno w ramionach brata, Doyle obejrzał się za siebie.

Tamci walczyli, pistoletem i kuszą, piorunami i bransoletami, nożem i pięściami. Skrzydlata śmierć unosiła się w wypełnionej dymem jaskini.

Nie słyszał ich. Ale słyszał błagania swojego Feilima.

– Jestem twoim bratem, którego przyszedłeś chronić. W naszych żyłach płynie ta sama krew. Najpierw zabij jasnovidzkę. Reszta będzie łatwa.

Doyle delikatnie położył dłoń na jego policzku. I wstał, unosząc w górę miecz.

ROZDZIAŁ 15

Rozgorzała w nim zimna wściekłość, lodowata furia, kiedy wokół strzelały gorące języki krwi i szaleństwa. Jego brat – młody, niewinny, cierpiący. Życie, wyciekające z niego, ciało skręcane bólem.

Wokół niego toczyła się bitwa.

Kolejna walka.

W cuchnącym powietrzu zobaczył, jak Riley godzi jednego z napastników nożem, a potem drugiego. Krzyczała coś do niego, ale nie słyszał co.

Nawet nie wie, nie widzi, że on już nie należy do zespołu. Został wykluczony, odłączony i odseparowany od nich.

Ani błyskawice Brana, ani bełty Sashy nie mogły pokonać dzielącej ich przeszkody.

Jego brat, pomyślał. Jego krew. Jego klęska.

– Ratuń mnie.

Doyle znów spojrział na twarz, która prześladowała go przez stulecia. Taka młoda, taka niewinna, przepelniona bólem i strachem.

Pojawiały się w jego umyśle obrazy, radosne i smutne. Feilim drepczący niepewnie na nadmorskiej plaży. Próbujący nie płakać, kiedy Doyle wyciągał mu drzazgę z palca. Jak się śmiał, jadąc na grubiućkim brązowym kucyku. I jak, wyrósłszy na szczupłego młodzieńca, nadal siadał przy ogniu, by z błyszczącymi oczami słuchać opowieści ich dziadka.

Ale wszystkie te wizje przesłonił teraz obraz brata z twarzą białą jak płótno, z oczami oszalałymi z bólu, wykrwawiającego się u jego stóp.

Chłopiec wyciągnął drżącą rękę do mężczyzny.

– Tylko to jedno... Zrób tylko to jedno, a będę żył. Tylko ty możesz mnie uratować.

– Oddałbym życie, żeby uratować swojego brata. Ale nie jesteś moim bratem!

I z zimną krwią zatopił ostrze miecza w sercu kłamstwa. Rozległ się przeraźliwy, nieludzki krzyk. Bryznęła czarna krew i przemieniła się w popiół.

Teraz miecz stał się narzędziem zemsty, ciął bezlitośnie, kiedy Doyle wymachiwał nim na prawo i lewo, uderzając we wszystko, co się pojawiło. Nawet jeśli stwory Nerezy drapały go albo gryzły, nie czuł tego. W środku słyszał inny głos, okrzyk wojenny. Rozbrzmiewał mu w uszach, czuł go przy każdym uderzeniu serca.

Tysiące walk kłębiło się w jego głowie, kiedy wymachiwał mieczem, godząc nim napastników. Tysiące pól bitewnych. I dziesiątki tysięcy wrogów tak pozbawionych twarzy jak te szalone stwory, powołane do życia przez mściwą boginię.

Nie ma odwrotu. Musi zabić je wszystkie.

Zobaczył, jak czarna bestia zatapia pazury w plecach Sawyera. Gołą ręką pochwycił ją i stał butem na proch odrażający łeb.

Odwrócił się, żeby uśmiercić kolejne, i stwierdził, że nic z nich nie pozostało, tylko krew i popiół. Zobaczył, jak Sasha macha ręką i pada na kolana, a Bran do niej biegnie. Annika obejmowała Sawyera zarówno żeby go podtrzymywać, jak i się na nim wesprzeć.

I Riley, która opuściła pistolet, ale wciąż ścisłała w dłoni zakrwawiony nóż.

Doyle uświadomił sobie, że oddycha szybko, a w głowie huczą mu bębny. I chociaż brał udział w niezliczonych bitwach, niemal zadrżał, widząc zwycięstwo.

Zmusił się, by zawołać do Brana:

– Oczyść to.

– Sawyer jest ranny.
– Nic mi nie jest. – Sawyer złapał Annikę za ramię i ścisnął je, przyglądając się badawczo Doyle'owi. – Nic mi nie jest.

– Oczyszczyć to – powtórzył Doyle. – Nie wystarczy ich zgładzić.
– Masz rację. – Bran pomógł wstać Sashy. – Podaj mi rękę, *fáidh*. I ty. I wy wszyscy.
Ciało do ciała, krew do krwi.

Zebrał w dłoń krew z ich ran, uniósł nad nią drugą dłoń. Wypełniła ją czysta, biała sól.
– Przelewając krew, pognębiliśmy mrok. – Zatokował krąg wokół pozostałych, kropiąc ziemię ich krwią. – Teraz solą pobłogosławioną znaczymy swój ślad – powiedział i wrócił po swoich śladach, pozwalając, by sól sypała się między jego palcami. – Światłem, które rozbłyśnie.
– Wyciągnął ręce nad ziemią. – Niech ogień wypali nieczne kłamstwo. Buchnijcie, płomienie, oczyszćcie to miejsce.

Wystrzelił ogień, zapłonął wokół nakreślonego przez Brana kręgu, posypały się iskry. Początkowo był gorący i czerwony, potem zimny i biały, w końcu niebieski.

– Zło zostało z tego miejsca wypędzone, pokonane walecznością, światłem i dobrem.
Cała nasza szóstka z ochotą to poświadczy. Co ma być, niech się stanie.

Ognisty krąg wystrzelił w górę, sprawiając, że powietrze stało się jasnoniebieskie, a potem zgasł.

– Gotowe.

Doyle skinął głową i wsunął miecz do pochwy.

– Jeśli jest tu gwiazda, zaczeka. Musimy się zająć rannymi.

– Tak po prostu? – spytała Riley, gdy odszedł sztywnym krokiem. Chciała pospieszyć za nim, ale Bran ją powstrzymał.

– Jeszcze przyjdzie na to czas. Wszyscy jesteśmy mocno poturbowani. Mam w samochodzie apteczkę, ale... Sawyerze, możesz nas tam przenieść? Wolałbym nie ryzykować nawet takiego krótkiego spaceru.

– Jest ranny w plecy i w rękę.

– Niezbyt poważnie – zapewnił Annikę Sawyer. – Dam radę nas przenieść.

Ruszyli do wyjścia, Sasha szła, utykając, wsparta na ramieniu Brana. Riley starała się nie zwracać uwagi na swoje obrażenia, chociaż ramię piekło ją jak diabli. Annika prowadziła Sawyera.

Doyle stał przed jaskinią, jego twarz przypominała maskę zbryzganą krwią.

– Sawyer przeniesie nas tam, gdzie zostawiliśmy samochód i motor – powiedział mu Bran. – Musimy zająć się rannymi.

– Zbliżcie się – poprosił Sawyer. – Wtedy będzie mi łatwiej.

Niezupełnie pewną ręką wyjął busolę. Wziął głęboki oddech, a potem skinął głową.

Riley poczuła krótkie szarpnięcie i zobaczyła, że stoi obok motocykla Doyle'a.

Zauważyła, że Sawyer nie oponował, kiedy Annika i Sasha pomogły mu wsiąść do samochodu.

– Ja poprowadzę – powiedziała Doyle'owi.

– Nikt nie prowadzi mojego motoru.

– Dzisiaj ja go poprowadzę. Spójrz na swoje ręce, do jasnej cholery. – Z tylnej kieszeni wyjęła chustę, rzuciła mu ją. – Obwiąż najgorsze rany i nie zachowuj się jak skończony krety.

Wsiadła na motor, uruchomiła silnik.

– Zanim dotrzemy na miejsce, wszystko się zagoi.

– Gwiżdżę na to. Wsiadaj albo idź na piechotę.

Ponieważ wiedział, że nie jest taki opanowany, jakby tego chciał, jak powinien być, zajął miejsce za nią.

Prowadziła motor tak, jak prowadziła wszystkie pojazdy, szybko i brawurowo. Umiała jeździć na motorze, co zresztą Doyle'a nie zdziwiło. Pokonywała zakręty i wiraże, mknęła wzdłuż kamiennych murków i żywopłotów.

Nawet mu odpowiadało, że jada tak szybko, bo nie zwracał uwagi na klucie i pieczenie swoich gojących się ran. Na razie szybka jazda pozwalała mu zapomnieć o niedawnym koszmarze.

Kiedy z rykiem silnika zajechała przed dom i wyłączyła motor, Doyle uznał, że jego rany są zagojone i że się uspokoił. Zajął mu kilka chwil, nim zrozumiał, że Riley jeszcze nie ochłonęła.

– Zapomniałeś, że w tamtej jaskini oprócz ciebie było jeszcze pięć osób? – spytała. – Czy uznałeś, że tylko ty jeden jesteś w stanie to zrobić?

– Zrobiłem to, co należało zrobić. – Odszedł od niej, bo słysząc własne słowa, przypomniał sobie twarz Feilima, śmiertelny cios swego miecza, godzącego w serce brata.

– Bzdura, bzdura, bzdura. – Pobieglaby za nim, gdyby nie zawołała jej Sasha.

– Riley. On cierpi!

– Przestała mu lecieć krew, kiedy byliśmy w połowie drogi do domu.

– Nie mówię o takim bólu.

– Pomóż mi przy Sawyerze, dobrze? – Bran najpierw wziął Sashę na rękę. – Najpierw zajmujemy się ranami ciała, rany duszy zostawimy sobie na później.

– Nic mi nie jest. Tylko trochę... – Sawyer, podtrzymywany przez Annikę, zachwiał się nagle. – Kręci mi się w głowie.

Ponieważ był biały jak ściana, a źrenice miał wielkie jak spodki, Riley uzmysłowiła sobie, że wcale nie jest z nim wszystko w porządku.

– Czekaj no, kolego.

Wdzięczny za pomoc, wsparł się na jej ramieniu i poczuł krew.

– To nie moja krew, pani doktor, tylko twoja.

– Trochę oberwałam. Anni?

– Mam kilka obrażeń, ale byłyby znacznie poważniejsze, gdyby Sawyer mnie nie osłonił przed napastnikami. Jeden wczepił mu się w plecy i wtedy Doyle...

– Tak, widziałam to.

Powlekli się do domu i skierowali do kuchni, gdzie Bran już opatrywał rany na nodze i ramionach Sashy. Pomagał mu Doyle.

– Chcę piwa – powiedział Sawyer, nim osunął się na krzesło.

– Kto by nie chciał? Anni, zdejmij mu koszulę. Założę się, że wiesz jak.

Annika uśmiechnęła się blado do Riley i delikatnie zsunęła porwaną i zakrwawioną koszulę Sawyera.

– Pomożesz mi... Och! Och, Branie, to bardzo głęboka rana.

Riley spojrzała i aż syknęła.

– Wygląda, jakby już się wdało zakażenie.

– Jedną chwilkę. Wypij to, *a ghrá*.

– Już lepiej się czuję. – Sasha wypita lekarstwo. – Naprawdę. Zajmij się Sawyerem.

– Anniko, pomóż Doyle'owi. A ty, Sasho, spróbuj opatrzeć jej rany. Anni, teraz jest potrzebny tylko balsam – powiedział Bran. – Nawet na najdrobniejsze zadrażnienia. Są zatrute.

Podszedł do Sawyera i rzucił Riley ponure spojrzenie nad jego głową. Wyjął ze swojej torby nóż, fiolkę, trzy świece. Zapalił świece siłą woli, sięgnął po małą miseczkę.

– Najpierw muszę usunąć truciznę.

– Jest w szoku – powiedziała Riley, kiedy Sawyer zaczął szczekać zębami.

– Przytrzymaj go, bo będzie to bolało jak sto diabłów. Weź się w garść, Sawyer.
– Dobra. Zaczynaj.
– Spójrz na mnie. – Riley przytrzymała go za obie dłonie. – Mam dla ciebie pytanie. Iron Man kontra Hulk. Kto wygra?
– Iron Man.
Riley pokręciła głową.
– Hulk go rozniesie.
– No cóż, jest silniejszy, ale brak mu strategii. Iron Man jest sprytny, łebski.
– Hulk kieruje się instynktem.
– To nie... *Bljadź*. Ja pierdolę! Kurde!
– Wytrzymaj – powiedział Bran przez zaciśnięte zęby. Nacisnął ranę nożem, zebrał zatrutą krew do miseczki.
Annika zaszlochała, zostawiła Doyle'a i padła na kolana obok ukochanego.
Riley miała wrażenie, że Sawyer zmiażdży jej kości, tak mocno zacisnął palce na jej dłoniach, ale nie przestała z nim rozmawiać.
– Umysł kontra instynkt. Trudna decyzja.
– Tak mówi... Ja pierdolę, ja pierdolę... Wilkołaczka.
– Tak, czyli wiem, co mówię. Zastanów się nad tym. A teraz Spock kontra Hulk.
Sawyer zacisnął zęby. Oddychał z trudem, dygocząc na całym ciele.
– Za daleko się posuwasz. Skurwysyn!
– Prawie skończyłem – odezwał się Bran. – Już oczyściłem ranę.
– Dobra. Dobra.
Zobaczyła, że Sawyer odzyskuje kolory. Już nie ścisnął jej ręki.
– Teraz jeszcze tylko balsam.
Kiedy Bran nałożył balsam, Sawyer zamknął oczy, westchnął głęboko.
– O tak, rzeczywiście działa. Nie płacz, Anni. – Puścił rękę Riley i pogładził Annikę po włosach. – Już wszystko dobrze. A teraz pozwól, żeby Sasha skończyła cię opatrywać.
– Wszystko w porządku? – Annika uniosła głowę, spojrzała zapłakanymi oczami na Brana.
– Przysięgam ci, że tak. Co dwie, trzy godziny smaruj mu rany balsamem, przed położeniem się spać jeszcze raz go obejrzę. Ale rany są oczyszczone i już się goją. Mogę ci powiedzieć, że byłoby gorzej, znacznie gorzej, gdyby ten cholerny drań głębiej wbił mu pazury albo gdyby to trwało dłużej.
– Dziękuję.
Doyle popatrzył na Sawyera.
– Nie ma sprawy. Piwa?
Sawyer tylko uniósł kciuk w górę.
– Jesteś moim sercem. – Annika wstała i pochyliła się, żeby go delikatnie pocałować. – A wy wszyscy jesteście moimi bohaterami. Ja mam niewiele skaleczeń, Sasho. Riley bardziej ucierpiała.
– Kurde. Ma sporą ranę na ramieniu. – Sawyer wstał nieco niepewnie. – Zmiana miejsc. Zrezygnowana Riley ściągnęła bluzę, która już nigdy nie będzie taka sama. Siedziała w czarnym podkoszulku i dżinsach, a Bran oglądał uważnie jej ranę.
– Z radością cię informuję, że nie jest taka głęboka jak Sawyera i nie będzie mi potrzebny nóż do jej oczyszczenia.
– Świetnie.
– Piwa? – spytał ją Sawyer.

– Tequili. Niech będzie podwójna.

– Załatwione.

Bolało, i to tak, że od razu opróżniła pierwszy kieliszek, a potem uniosła go w górę.

– Jeszcze raz poproszę.

Po chwili ból przestał być tak dotkliwy; Riley wypila drugą porcję i siedziała spokojnie, kiedy Bran opatrywał jej mniejsze rany i zadraśnięcia.

– W porządku, teraz twoja kolej – powiedziała Sasha do Brana. – Siadaj. Anni, zajmijmy się uzdrowicielem.

– Też chętnie napiję się piwa.

Doyle wyjął jedno piwo dla Brana. Przynajmniej to dobre, pomyślał, że dzięki klątwie, którą na niego rzucono, wszystkie jego obrażenia błyskawicznie się goiły. A tamci nawzajem sobie pomagali. Stał teraz równie od nich odizolowany jak podczas tego koszmaru w jaskini. Odwrócił się i skierował ku drzwiom.

– Nikomu nie wolno stąd wyjść – warknęła Riley.

– Muszę zaczerpnąć powietrza.

– To musi poczekać.

– Nie będziesz mi rozkazywać, Gwin.

– W takim razie ja to zrobię – przemówiła zimnym głosem Sasha i spojrzała na niego, nie przestając opatrywać Brana. – Nikt nie wyjdzie, póki nie porozmawiamy o tym, co się wydarzyło.

– A co takiego się wydarzyło? – próbował bagatelizować. – Stoczyliśmy walkę, której się spodziewaliśmy, i tyle.

– Nieprawda. Rozdzieliła cię z nami – wtrącił się Bran. – Wykorzystała przeciw tobie to miejsce i twoje wspomnienia z nim związane.

– Zrobiła ci pranie mózgu, stary. Albo przynajmniej próbowała – uściślił Sawyer. – I nie mogliśmy się do ciebie zbliżyć. Jakby był między nami jakiś cholerny mur albo pole siłowe. My po jednej stronie, a ty po drugiej z...

– Widzieliście go?

Riley zdecydowała się na jeszcze jedną tequilę.

– Mężczyznę... Właściwie chłopca. Młodego, wykrwawiającego się. Nic nie słyszeliśmy, ale coś mówiłeś. Jakbyś był w transie. Krążyła wokół was cała chmara jej sługusów, ale zostawiły cię w spokoju. Byłeś...

– W potrzasku – powiedziała Sasha. – Według mnie zwabiono nas tam, żeby cię odseparować, rozdzielić z nami. Żebyś jeszcze raz przeżył to, co było.

– Pytałem cię, czy gdybyś mógł wrócić do przeszłości i go uratować, zrobiłbyś to?

Doyle pokręcił głową, patrząc na Brana.

– To nie był on. – Podał się i usiadł. – Wyglądał jak mój brat, mówił jak on.

I w pierwszej chwili... Zupełnie jakbym się cofnął w czasie, jakby dano mi jeszcze jedną szansę. Nie słyszałem was i nawet kiedy zobaczyłem, że walczycie, wydało mi się to nieistotne. Ważne było, żeby uratować Feilima, zabrać go do domu.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś? – spytała Riley.

– Powiedział, że mogę go uratować, tylko zabijając was. Wasza krew za jego. Wtedy uniknie śmierci. Poprzednio go zawiodłem, ale teraz mogę go ocalić. Wystarczy, żebym was zabił. Zamordowałem wielu ludzi. Co znaczy uśmiercenie jeszcze pięciu, by uratować życie bratu, którego przysięgałem chronić?

– Prosił cię, żebyś zrobił coś bardzo złego – oświadczyła Annika.

– Masz rację. Ale wiedziałem to, co na początku. To nie był Feilim. On nigdy by mnie

o coś takiego nie poprosił. Nigdy. Miał gołębie serce. Jego imię znaczy „zawsze dobry” i taki był. Był... Był taki jak wy – uświadomił sobie Doyle. – Więc zrobiłem to, co musiałem zrobić.

– Czyli co? – Riley głośno odstawiała kieliszek. – W jednej chwili stałeś tam jakby pogrążony w transie, a w następnej niczym szalowiec rzuciłeś się w wir walki.

– Przebiłem mu serce mieczem.

– To nie było jego serce – powiedziała łagodnie Sasha. – Tylko serce stwora Nerezy, Doyle.

– Tak, jej stwora. Stwora, który miał twarz mojego brata. – Wstał. – Potrzebuję powietrza.

Sasha odłożyła balsam i pocałowała Brana w skroń.

– Jeśli nie pójdziesz za nim, Riley, rozczarujesz mnie.

– Chce być sam.

– To, czego chce, a czego potrzebuje, to dwie zupełnie różne rzeczy.

– Nie wiem, co...

– To się zastanów, ale idź za nim.

– Cholera. – Riley złapała swoją zniszczoną bluzę i wciągnęła ją, wychodząc.

– Jesteś mądra i dobra, *fáidh*. – Bran uniósł dłoń Sashy do ust.

– Wiem, jak to jest czuć się wykluczonym. I wiem, co to znaczy kochać, kiedy miłość wydaje się niemożliwa.

Riley nie odczuwała szczególnej miłości. Na miejscu Doyle’a kopnęła i pobiła każdego, kto by wszedł jej w drogę. Świadoma, że może od niego oberwać, wcisnęła ręce do kieszeni i ruszyła przez trawnik tam, gdzie przy murze stał Doyle.

– Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Nie chcę rozmawiać ani z tobą, ani z nikim.

Pomyślała, że to całkiem uczciwe stwierdzenie, więc go nie skomentowała.

– Idź do diabła.

Przyznała, że byłoby to najłatwiejsze i chętnie by to zrobiła. Ale wybrała trudniejsze rozwiązanie. Usiadła na murku obok Doyle’a i spojrzała nań bez słowa.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Buzująca w nim złość bardziej zabolęła jego niż ją. – Nie muszę się usprawiedliwiać przed tobą ani przed nikim.

Nic nie powiedziała, a jej milczenie tylko bardziej go rozwścieczyło. Złapał ją za rękaw, ściągnął z muru.

– Zrobiłem to, co musiałem zrobić. I tyle. Niczego od ciebie nie potrzebuję.

Nie zmył jeszcze z siebie krwi, podobnie jak ona. Jego twarz była ciemna od kilkudniowego zarostu. Jego spojrzenie – mroczne.

Instykt kontra umysł, pomyślała Riley. Wybrała instykt. Doyle próbował jej się wyrwać, kiedy go objęła, więc tylko go trzymała. Gdy poczuła ból w gojącym się ramieniu, zacisnęła zęby i jeszcze mocniej go objęła.

Okazało się, że instykt dobrze jej podpowiedział, bo po jakimś czasie Doyle przestał się z nią szarpać i oparł głowę na jej głowie.

– Nie chcę twojego współczucia.

– Będziesz musiał je zaakceptować. Razem z moim szacunkiem.

– Szacunek, akurat. – Uwolnił się z jej objęć, cofnął się.

– Mam ci coś do powiedzenia i wysłuchasz mnie, czy tego chcesz, czy nie.

– Nie, jeśli cię zaknebluję.

Riley zaparła się nogami, uniosła brodę.

– Spróbuj, to poleje się krew. Wykorzystała twoją rozpacz, zmusiła cię, żebyś się cofnął

do chwili, kiedy ta rozpacz osiągnęła apogeum, i zaproponowała ci kłamstwo. Kłamstwo, które padło z ust tego, kogo kochałeś, kogo straciłeś. Oszukała cię, Doyle, tak samo jak oszukała mnie w lesie, jak Sashę w tamtej pierwszej jaskini na Korfu – ale nie uciekła się do przemocy.

W stosunku do ciebie posunęła się do okrucieństwa.

– Wiem, co zrobiła. Byłem tam.

– Nie zachowuj się jak fiut. Szczególnie kiedy chcę ci zwrócić uwagę na coś istotnego, czego nie dostrzegasz, taki jesteś wkurzony. Byłeś od niej silniejszy. Owszem, zrobiłeś to, co musiałeś zrobić, ale zrobiłeś to dlatego, że okazałeś się silniejszy.

– To nie był mój brat. . . – zaczął, a wtedy uderzyła go pięścią w tors.

– Bzdura. Wyglądał jak on, mówił jak on, wykrwawiał się na śmierć w tej samej jaskini, w której go straciłeś. Miałaś wybór i nie mów mi, do jasnej cholery, że przez ułamek sekundy nie przeszło ci przez myśl, że gdybyś zrobił to, czego chciała, mógłbyś go odzyskać. I przestałaby działać klątwa. Nie mów mi, że w ciągu tych kilkuset lat, jakie przeżyłeś, wybór, którego dziś dokonałeś, nie był najtrudniejszy.

– Żeby go ratować, podciąłbym sobie gardło, gdyby to coś pomogło. Ale nawet gdybym rzeczywiście miał wybór, nawet gdyby to był mój brat, nie poświęciłbym ciebie ani nikogo, kto znajduje się w tym domu.

– Wiem.

Było to tak ważne, że nawet nie potrafił tego wyrazić.

– Rozdzieliła mnie z wami, sprawiła, że poczułem tę odległość, mogłem stać i patrzeć, jak walczycie, zastanawiać się, jaki to ma cel. Oni żyją, umrą, a ja dalej będę żył. Tym się od nich różnię.

– Przez trzy noce w miesiącu ja też się od nich różnię.

– To nie to samo.

– No pewnie. Ja muszę żyć wiecznie, przeżywać swoje cierpienie. – Teatralnym gestem złapała się za serce. – Muszę żyć wiecznie, młody, napalony i silny, czuć swoje męczarnie. Weź się w garść, starcze.

– Nie masz pojęcia, co. . .

– Bajuj, bajuj, bajuj. Dlaczego nie chcesz dostrzec drugiej strony klątwy wiecznego życia? Masz czas.

– Chryste, ale jesteś upierdliwa.

– Chcesz, żeby cię pogłaskać po policzku, poklepać po ramieniu? To pójdę po Sashę albo Annikę.

Odwróciła się i uśmiechnęła w duchu, kiedy złapał ją za ramię, szarpnął ku sobie.

Odpowiedziała na jego pełną furii minę szyderczym uśmiechem i podobało jej się, nawet bardzo, jak się rozprawił z jej uśmiechem.

Jego gorące wargi niemal zmiażdżyły jej usta. Obejmował ją – mocno, władczo.

A zaraz potem doznała wstrząsu, kiedy te wargi, te dłonie stały się delikatne i przez chwilę była w nich prawdziwa czułość.

Mocno zacisnęła powieki, gdy ją przytrzymał, gdy lekko przesuwał dłońmi po jej plecach.

– Kochałem go bardziej, niż potrafię to wyrazić.

– Wiem to. Każdy to widzi.

– Jak tylko nauczył się chodzić, podążał za mną krok w krok jak piesek. Był taki pełen światła i. . . Zachwytu. Gdybym go odepchnął, czułbym się jak skończony drań. Był taki jak Annika. Myślałem sobie, że dlatego od samego początku tak ją polubiłem.

– I nie miało to nic wspólnego z jej oszałamiającą urodą?

– Pewnie, że miało. Nie słyszałem was w tej mgłę, za tym murem. Wydawało się, że

jesteście tak bardzo daleko ode mnie. Ale znam was. – Odsunął się nieco i spojrzał uważnie w jej twarz. – Ona tego nie rozumie.

– To dla niej niepojęte. I dlatego wygramy. Poza tym jesteśmy od niej sprytniejsi.

Przynajmniej ja jestem od niej o wiele sprytniejsza.

– I kto teraz zachowuje się jak fiut?

– Taka jest prawda. Masz dość świeżego powietrza?

– Chętnie wypiję jeszcze jedno piwo.

– A ja coś zjem. Dziś ja szykuję lunch, więc będą kanapki. Możesz mi pomóc.

– Ja dziś przygotowuję kolację.

– Pojadę z tobą po pizzę – zaproponowała Riley.

Spojrzał na dom, na nią i poczuł się lepiej.

– Zgoda.

*

W podziemnej komnacie Nerezza szalała z wściekłości. Istoty, które stworzyła, rozpierchły się. Tylko Malmon stał przygotowany – nawet szczęśliwy – czekając, żeby się na nim wyżyła.

– Powinien ich pozarzynać jak świnię. Powinien zrobić to, co mu powiedziałam! Gdzie ta ludzka miłość? Gdzie ten ludzki żal? To wszystko słabe, słabe i fałszywe.

Urwała głowę nietoperzowi i cisnęła jego konwulsyjnie drgającym ciałem o ścianę.

– Zmęczysz się, moja królowo.

Rzuciła się na niego, zakrzywiwszy palce jak szpony. Ale kiedy jej dłonie znalazły się tuż koło jego chorobliwie żółtych ślepi, opanowała się. Pogłaskała go po zimnym, szorstkim policzku.

– Znów jestem silna. Dobrze się mną opiekowałeś.

– Jesteś moją królową, moją miłością.

– Tak, tak. – Cofnęła się i zaczęła chodzić po komnacie. Widziała swoje odbicie w zwierciadłach na ścianie.

Jej włosy były teraz bardziej czarne niż siwe i niemal tak jedwabiste jak kiedyś. Tak, Malmon dobrze się nią opiekował. Nie wpatrywała się uważnie w swoje odbicie, więc miała wrażenie, że zmarszczki na jej twarzy stały się mniej wyraźne, niemal zniknęły.

Odzyska młodość i urodę. I nie tylko. Będzie miała wszystko.

– Daj mi wina – poleciła Malmonowi. – Samego wina. Na uspokojenie, nie na wzmocnienie.

Siedząc na wysadzanych klejnotami tronie, bawiła się, zmieniając kolor swoich szat: z czarnego na czerwony, a potem znów na czarny. Dziecinnie proste, ale po tamtym upadku nie mogła zrobić nawet tego.

Teraz, pomyślała, pijąc wino, jestem wystarczająco silna.

– Pozwoliłam, żeby moje pragnienie zemsty przesłoniło prawdziwy cel. Naturalnie zabiję ich. Zabiję ich wszystkich i będę się tym napawać. A nieśmiertelny? Stanie się moją zabawką, którą wiecznie będę mogła dręczyć. Ale najpierw gwiazdy. Straciłam z oczu gwiazdy.

– Byłaś bardzo chora.

– Ale już nie jestem. Wynagrodzę cię kiedyś, mój mały. Pójdziemy do nich. Jestem silniejsza, lecz zbyt dużo mnie kosztuje przesyłanie mocy na odległość. Musimy być bliżej, żeby ich zaatakować, kiedy znajdą Gwiazdę Łodu.

– Podróż cię zmęczy.

– Ich śmierć, kiedy gwiazdy znajdą się w moich rękach, przywróci mi młodość. Mam

plany, mój mały. Cudowne plany. Wkrótce, już wkrótce światy będą krzyczeć w ciemnościach. Wkrótce gwiazdy będą świeciły tylko dla mnie. I wrócę na Szklaną Wyspę, wypiję krew bogiń, fałszywych siostr, które mnie wypędziły. I stamtąd będę wszystkimi rządziła.

Uśmiechnęła się i wzięła do ręki swoją kulę.

– Widzisz, jak mgła się rozprasza, a zastępuje ją mrok? Głęboko wykopimy swoją twierdzę i uderzymy z taką siłą, że pęknie ziemia i niebo.

Spojrzała z tym okrutnym uśmiechem na Malmona.

– Przygotuj się.

– Moja królowo, zabierzesz mnie na Szklaną Wyspę i zasiądnę obok ciebie?

– Naturalnie, mój mały. – Dała mu znak, żeby odszedł.

Tak długo, aż przestaniesz mi być potrzebny, pomyślała, albo póki się tobą nie znudzę. A wtedy nagrodzi jego wierność, zadając mu szybką, czystą śmierć.

ROZDZIAŁ 16

Parę dni ulewnych deszczów dodało światu barw i pobudziło kwitnienie w ogrodach, ale zarazem sprawiło, że trenowali w błocie. Nie powstrzymało to szóstki upartych strażników przed badaniem jaskiń i miejsc wskazanych w starych tekstach. W morzu ksiąg Riley znalazła wzmianki o kamieniach, na których wyryto napis – nigdzie nieprzytoczony – mówiący o „miejscu spoczynku gwiazdy”. Podążając tym tropem, przeczesywali ruiny, cmentarze, ściany jaskiń, badali je w strugach nieustającej ulewy, która przemieniła wzgórze w lśniąca szmaragdy.

Riley stała w trawie porastającej cmentarz. Jej buty skrywała mgła, krople deszczu spływały z runda kapelusza. Za nią wznosiły się szare ruiny starego opactwa, zbudowanego nad wijącą się rzeką o brunatnych wodach, pod niebem ponurym od chmur.

Jej zdaniem taka atmosfera wydobywała każdy szczegół gotyckiej architektury. Doktor Gwin miała nadzieję, jak podczas każdego postoju w ciągu dwóch ostatnich deszczowych dni, że ów nastrój wywoła u Sashy jakieś wizje.

– Początek dwunastego wieku – powiedziała Riley. – Urodzajne ziemie i pastwiska, rzeka obfitująca w ryby. Niezłe miejsce. Więc naturalnie armia Cromwella musiała złupić opactwo.

– Ładnie tu. I czy może być jeszcze bardziej deszczowo? – Sawyer spojrzał na niebo.

– Lubię deszcz. – Annika pokazała fioletowe pędy, wysuwające się ze szczelin w murze.

– Dzięki niemu kwiaty rosną na kamieniu.

– Jeśli dłużej popada, będziesz mogła tutaj pływać nie gorzej niż w morzu.

– Imię na kamieniu – przypomniała im Riley. – Najpierw przyjrzyjmy się nagrobkom.

– Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, jakiego imienia szukamy – zauważył Doyle.

– Miej pretensje do tajemniczych bóstw i ich posłańców. – Ponieważ narzekanie na pogodę zaprowadziłoby ich donikąd, Riley ruszyła przed siebie, po drodze czytając napisy na nagrobkach.

W tej chwili wcale nie uważała za egocentryzm przypuszczenia, że szukane imię może należeć do któregoś z nich. Albo być imieniem ich przodka. Z całą pewnością na nagrobku byłoby to najbardziej logiczne.

Odsunęła na bok tę myśl, zastanawiając się, czy w którymś momencie nie znajdą wyrytych gdzieś imion trzech bogiń albo młodej królowej.

Albo...

– Może to nazwa gwiazdy. – Przykucnąwszy, przesunęła palcami po literach wyrytych w porośniętym mchem kamieniu. – Najprawdopodobniej po irlandzku – *réalta de orghor* – byłoby to od Arianrhod. Ale niewykluczone, że po grecku lub łacinie.

– Wydaje mi się mało prawdopodobne, żebyśmy je znaleźli na tak otwartej przestrzeni – odezwał się Doyle. – A ponieważ i tak leje, równie dobrze moglibyśmy nurkować.

– Kamienie, imiona, woda, mamy tu wszystko. Warto się rozejrzeć. I nie powiedziałabym, że turyści ciągną tu tabunami.

– Każdy szanujący się turysta spędza taki dzień jak dziś w pubie.

Trudno nie przyznać mu racji, pomyślała Riley, kierując się w stronę ruin.

Wszystko, co stare, zawsze ją intrygowało – podwaliny tego, co nastąpiło później.

Potrafiła sobie wyobrazić życie tutaj, w obrębie kamiennych murów. Życie wypełnione modlitwą i rozmyślaniami, pracą na roli i posługą.

Oraz przesądami.

Kogoś pochowano niegdyś pod tymi kamiennymi płytami, było to tak dawno temu, że

imiona i daty przemieniły się w niewyraźne linie papilarne, zatarte przez czas i pogodę. Ale dla niej wokoło rozbrzmiewały echa życia i śmierci, trzasku płonącego ognia, gotujących się potraw, przyciszonych głosów wypowiadających modlitwy.

Zapach kadzidła, dymu, ziemi.

Zaczęła wchodzić po wąskich, kamiennych stopniach, patrząc, gdzie belki stropowe, których już dawno nie było, podierały pierwsze i drugie piętro.

Weszła przez otwór na szeroką półkę, z której rozciągał się widok na leniwie płynącą rzekę. Dostrzegła jakiegoś ptaka ukrytego na drzewie i sięgnęła pod kurtkę po broń.

Ale po chwili się odprężyła.

To tylko gawron przesypiający deszczowe popołudnie.

W dole zobaczyła Annikę, która kręciła się wkoło, z rękami w górze, jakby chciała złapać deszcz.

– Zawsze znajdzie powód, żeby się cieszyć.

– Gdziekolwiek jest – powiedział Doyle, stając za nią.

Riley odwróciła głowę.

– Buty powinny głośniej stukać na takich kamieniach.

– Nie, kiedy się wie, jak stąpać. Nic tu nie ma, Gwin.

– Jest historia i tradycja, architektura i trwałość. Stoimy tu, gdzie kiedyś stał ktoś z tych dawno pogrzebanych na cmentarzu w dole. To nie jest nic. Ale masz rację, nie sądzę, żeby to było właściwe miejsce.

Patrzyła, jak Sasha z Branem chodzą po ruinach.

– Czuje presję ze strony nas wszystkich. Jesteśmy tu już prawie od trzech tygodni.

Riley podążyła za jego wzrokiem z powrotem ku Annice.

– Ma czas. Został jej jeszcze ponad miesiąc. Nie dotarliśmy razem tak daleko, żeby utknąć w martwym punkcie, drepcąc w miejscu, by musiała wrócić do morza, nim zakończymy naszą misję.

– Na miejscu Nerezy obrałbym jedyną właściwą taktykę: poczekałbym, aż nadejdzie chwila, kiedy jedno z nas z przyczyn naturalnych zostanie wyeliminowane z zespołu. – Pogodziwszy się z deszczem, Doyle spojrział na mgły i kamienie. – Nawet jeśli zdążymy znaleźć gwiazdę, będziemy jeszcze musieli odnaleźć wyspę i dostać się tam. A zegar tyka.

– Do diabła z właściwą taktyką.

– Mogłoby to być motto Custer.

– Naprawdę? Byłeś w Terytorium Montany w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku?

– Ominęło mnie to.

– To ci powiem, że Custer był aroganckim egocentrykiem, jednym z najeźdźców, którzy nie cofnęli się przed ludobójstwem. I dostał za swoje. Według mnie Nerezza ma z nim wiele wspólnego.

– Dakotowie wygrali bitwę, ale z całą pewnością nie wygrali wojny.

Riley odsunęła kapelusz do tyłu i przechyliła głowę, patrząc na urodziwą twarz Doyle'a.

– Wiesz co, może Sashy wcale nie blokuje presja, jaką na nią wywieramy, tylko twój uporczywy pesymizm.

– Realizm.

– Realizm? Serio? Jestem lykanem, stoję tutaj z nieśmiertelnym, liczącym sobie trzysta lat. W dole po cmentarzu biega syrena. Gdzie tu miejsce na realizm? Jesteśmy magiczną grupą, McCleary, i lepiej o tym pamiętaj.

– Dokładnie trzysta pięćdziesiąt dziewięć lat.

– Zabawne. Dlaczego nie... Chwileczkę, chwileczkę. – Zmrużyła oczy i odwróciła się w jego stronę. – W którym roku rzucono na ciebie klątwę? W tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim, prawda?

– Tak. Czemu pytasz?

Walnęła go pięścią w piersi.

– Policz sobie! Trzysta trzydzieści trzy lata temu. Trzy, trzy, trzy. Trzy to liczba siły.

– Nie rozumiem, jaki to...

– Trzy – powiedziała Riley i zatoczyła rękami koło w powietrzu. – Jak, u diabła, mogłam to przeoczyć? – Złapała go za ramię, pociągnęła w stronę schodów. Zatrzymała się w połowie drogi, bo Bran i Sasha ruszyli za nimi. – Doyle ma trzysta pięćdziesiąt dziewięć lat.

– Świetnie się trzyma – zauważyła Sasha.

– Rzucono na niego klątwę w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku. Trzysta trzydzieści trzy lata temu.

Bran przechylił głowę i położył dłoń na ramieniu Sashy.

– Jak mogliśmy to przeoczyć?

– Widzisz! – Riley wbiła palec w tors Doyle’a. – Nie pomyśleliśmy o dokładnej liczbie, bo nasz nieśmiertelny zaokrąglił swój wiek. Ale to musi mieć znaczenie.

– Nie rozumiem. – Sasha obejrzała się za siebie. Annika i Sawyer skierowali się w ich stronę.

– Trzy – powtórzył Bran. – Magiczna cyfra, związana z siłą. Tak jak my. Trzech mężczyzn, trzy kobiety, poszukujący trzech gwiazd.

– Stworzonych przez trzy boginie – dokończyła Riley.

– W przyszłym roku będzie trzysta trzydzieści cztery lata.

– Ważne jest to, co teraz. Nie bądź tępakiem. – Zostawiła go i dała ręką znak pozostałym, żeby wszyscy zawrócili i zeszli razem na dół. – Teraz, w tym roku. Trzy, trzy, trzy. I tutaj, w Irlandii, w Clare, gdzie znajdował się wasz dom. Urodziłeś się tutaj, prawda? W tamtym domu?

– Tamtego dnia oddział położniczy w pobliskim szpitalu był przepełniony – mruknął Doyle.

Riley wzniosła oczy do góry i klepnęła go wierzchem dłoni.

– Może zakończy się to wszystko tam, gdzie się zaczęło. Albo gdzie się urodził Doyle, a zegar zaczął odmierzać czas w dniu, gdy została rzucona klątwa. W którym miesiącu? – spytała go Riley. – Kiedy to było dokładnie?

– W styczniu.

– Słyszycie? Sasha, kiedy po raz pierwszy zaczęłaś śnić o nas, o gwiazdach, o tym wszystkim?

– Już wiesz, bo ci to powiedziałam. W styczniu, zaraz po Nowym Roku.

– No właśnie. Czyli wszystko pasuje. Zostałaś w to wciągnięta, kiedy Doyle przeżył trzysta trzydzieści trzy lata jako nieśmiertelny. I wciągnęłaś w to nas wszystkich. – Spojrzała na Brana. – To już coś.

– Masz rację. Znaki są po to, żeby się nimi kierować.

– Na tyłach domu jest cmentarz, kamienie. Przepraszam, stary – dodał Sawyer.

– Tam, gdzie mieszkamy – zauważył Doyle. – Gdzie ćwiczymy i chodzimy już od kilku tygodni.

– Ale niczego tam nie szukamy ani nie kopujemy. – Riley podniosła rękę do góry, gdyż jego oczy zapłonęły. – Nie mam na myśli dosłownie kopania.

– Nigdy nie okażemy braku szacunku twoim bliskim – dodała Annika. – Czy jest

możliwe, że twoja rodzina pomaga strzec gwiazdy? Czy o tym mówisz, Riley?

– Uważam, że to jak najbardziej możliwe. Spójrz – zwróciła się do Doyle’a. – To, co robię, nawet dosłownie prowadząc wykopaliska, wynika z faktu, że szanuję i cenię wszystko, co było przed nami. Nigdy nie bezczeszczę grobu ani nie popieram nikogo, kto to robi, nawet w imię nauki i odkryć. Musimy to sprawdzić. Wracamy do domu i to sprawdzimy. Zgoda?

– Zgoda. Uciekniemy przed tą okropną szarugą. A jutro, ponieważ są niewielkie szanse, że ostatnia gwiazda wyskoczy spod nagrobka mojej matki, znów popłyniemy nurkować, bez względu na pogodę.

Ponieważ uznała, że każdy ma prawo do humorów, a chciała pomyśleć w spokoju, Riley nic nie mówiła, kiedy wracali do samochodu, a potem wcisnęli się do niego.

W drodze powrotnej zbierała dalsze informacje o cyfrze trzy, wykorzystując swój telefon.

– Trójpodział czasu – myślała na głos. – Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Od trzech pierwszych cyfr wszystkie inne tworzą syntezę. Z czego składa się człowiek, mężczyzna czy kobieta? Z ciała, umysłu i duszy. Czyli trzy elementy. W większości kultur trójka jest symbolem siły albo filozofii. U Celtów, druidów, Greków, chrześcijan. W sztuce i w literaturze.

– Trzeba trzy razy splunąć przez lewe ramię – przypomniał sobie Sawyer.

– No właśnie. Do trzech razy sztuka. Prawdę mówiąc, nie pomyślałam o tym, ale pitagorejczycy wierzyli, że trzy to liczba doskonała.

– Nie mieli racji, prawda? – zripostował Doyle.

Opuściła telefon, spojrzała na niego.

– Platon podzielił mieszkańców swojego idealnego państwa na trzy grupy: robotników, filozofów i strażników, którzy właściwie byli wojownikami.

– W jego państwie robotnicy równali się niewolnikom, a filozofowie – władcom. To utopia tylko dla niektórych.

– Najważniejsza jest liczba trzy – upierała się Riley.

Jak tylko Bran zaparkował, wyskoczyła z samochodu.

– Musimy poszukać. Wiemy, że dla ciebie to sprawa osobista. Wszyscy to wiemy. Ale może właśnie o to chodzi. Więc musimy poszukać.

– No to szukajmy.

Doyle skierował się na tyły domu; Bran dał znak pozostałym, a potem wydłużył krok, żeby go dogonić.

– Większość moich przodków pochowano w Sligo – powiedział. – Ale ci, którzy spoczywają tutaj, też należą do rodziny. Są krewnymi nas wszystkich.

– Nie znaliście ich.

– Znam ciebie, jak my wszyscy. Opowiedz nam o nich.

– Co?

– Jedną rzecz – poprosił Bran. – Powiedz nam jedną rzecz, którą zapamiętałeś o każdym z nich. Wtedy ich poznamy.

– W jaki sposób pomoże nam to odszukać gwiazdę?

– Nie wiem. Feilim. Brat, którego straciłeś. Powiedziałeś nam, że był dobry i miał kryształowe serce. Więc już go znamy. A drugi brat?

– Brian? Był inteligentny i miał zręczne palce. Obok niego spoczywa jego żona Fionnuala. Była śliczna jak promyk słońca, zakochał się w niej, kiedy miał niespełna dziesięć lat. Kochał ją przez całe swoje życie. Brian był wierny.

– A tutaj leżą ich dzieci? – spytał Bran.

– Oprócz tej dwójki mieli jeszcze troje. Prawie ich nie znałem.

Doyle podszedł do grobu swojego trzeciego brata.

– Cillian lubił marzyć i muzykować. Miał głos jak anioł, dziewczyny lgnęły do niego jak muchy do miodu. Moja siostra Maire jest pochowana razem ze swoim mężem i dziećmi na cmentarzu przykościelnym w pobliżu Kilshanny. Była apodyktyczna, nie znosiła sprzeciwu. Zawsze skora do zwady.

Znalazł swego rodzaju pociechę, wspominając swoich braci i siostry. I dziadków. Zatrzymał się przy grobie ojca.

– Był dobrym człowiekiem – powiedział po chwili milczenia. – Kochał swoją żonę, dzieci, ziemię. Nauczył mnie walczyć, budować z kamienia i drewna. Czasem skłamał dla żartu, ale nie tolerował oszustwa.

Stanęli przy nich pozostali, słuchając.

– Moja matka... – ciągnął Doyle – prowadziła dom. Śpiewała, kiedy piekła. Lubiała tańczyć. Kiedy Maire urodziła swoje pierwsze dziecko... Wciąż pamiętam, jak je trzymała, patrząc na jego buzię. Powiedziała: kimkolwiek byłeś, teraz jesteś Aidenem.

Annika położyła głowę na jego ramieniu.

– Wierzmy, że kiedy ktoś z nas umrze, udaje się do innego miejsca. Tam, gdzie panuje spokój i piękno. Po jakimś czasie może wybrać: czy zostać tam, czy wrócić tutaj. Trudniej jest wrócić do nas, ale większość się na to decyduje.

Pociecha, znów pomyślał Doyle.

– Nigdy nie podziękowałem ci za kwiaty, muszelki i kamyki, którymi ozdobiłaś groby.

– To dla uczczenia tego, kim byli. Nawet jeśli zdecydowali się powrócić, możemy ich nie znać.

– No więc tacy byli. Wymieniłem ich imiona. Nie ma tutaj gwiazdy.

– Musimy tylko wykombinować, jak otworzyć zamek. Popracuję nad tym – odezwała się Riley. – Może to nie tutaj. Może to w domu lub wokół niego. Albo w starej studni. Gdzieś w lesie. Nie możemy wykluczyć, że tutaj jej nie ma akurat. Zbyt wiele za tym przemawia.

– Chodźmy do domu, zróbmy sobie przerwę. Ostatnie dwa dni były trudne – dodała Sasha. – Wszystkim nam przyda się chwila wytchnienia.

– Możemy się napić wina, zjeść chleb z serem. Sawyer powiedział, że dziś wieczorem mogę być szefem kuchni. I mogę przyrządzić... Co takiego mogę przyrządzić? – spytała Annika.

– Zupę ziemniaczaną w wydrążonym chlebie. W sam raz na deszczowy dzień.

– Zupa w wydrążonym chlebie? Jak mam myśleć o zbieraniu informacji, kiedy na kolację będzie zupa w wydrążonym chlebie? – powiedziała z wyrzutem Riley.

Sasha ujęła ją pod rękę.

– Pijąc wino przed posiłkiem.

– Może to dobry pomysł.

Według Riley wino na ogół pomagało. I nie miała nic przeciwko temu, by się napić wina w kuchni przed kominkiem, z nogami w górze, pracując na tablecie. Szczególnie kiedy rozeszły się zapachy tego, co Sawyer nauczył Annikę siekać, mieszać albo miksować.

Zdaje się, że Sasha była podobnego zdania, bo siedziała przy stole i rysowała. Doyle napomknął coś o gorącym prysznicu i zniknął. Ponieważ uznała, że chciał pobyć sam, zostawiła go w spokoju.

Machinalnie stwierdziła, że Brana nie ma przynajmniej od godziny. Zajrzał do nich na chwilę i znów zniknął. Było to wkrótce po tym, jak Sawyer pomógł Annice uformować kule z ciasta chlebowego, a później powiedział, żeby przykryła je ściereczką i zostawiła na godzinę.

I też się wymknął.

Riley opuściła tablec.

– A gdybyśmy tak zorganizowali coś w rodzaju podchodów?

– Kogo mamy podchodzić? – zdziwiła się Annika.
– To rodzaj zabawy.
– Lubię zabawy. Sawyer nauczył mnie jednej gry w karty. Kiedy się przegra, trzeba zdjąć jedną część garderoby. Och, ale powiedział, że będziemy w nią grać tylko we dwójkę.
– Tak, najlepiej w to grać w duecie. Podchody polegają na tym, że dostaje się listę przedmiotów, które trzeba znaleźć, i wyrusza się na poszukiwanie.
– Jak szukanie gwiazd. Czyli to właściwie poszukiwanie.
– Swego rodzaju.
Sasha uniosła wzrok znad swojego szkicu.
– Jak zabawa w podchody pomoże nam znaleźć gwiazdę? – spytała.
– To dobry sposób, żeby przeczesać dom, odkryć coś, czego się nie spodziewamy. Nie wiem. Tak tylko kombinuję – przyznała Riley. – Przodkowie Doyle’a pobudowali swoją siedzibę w tym miejscu. Urodził się tutaj. Trzysta lat później Bran na tym samym miejscu postawił swój dom. Jeździliśmy i chodziliśmy wokół Clare, nurkowaliśmy w Atlantyku. Ale wydaje się bardziej logiczne, bardziej sensowne, że odpowiedź znajduje się tutaj.
– Nie sądzisz, że Bran, będąc tym, kim jest, coś by wyczuł?
Ponieważ Riley też na wszelkie sposoby to roztrząsała, miała swoją teorię.
– Uważam, że to wszystko zaczęło się dla nas dopiero w styczniu i ma związek z rocznicą klątwy Doyle’a. Przyznaję, że wszyscy oprócz ciebie wiedzieliśmy o Gwiazdach Fortuny, nim się spotkaliśmy na Korfu, co też ma jakieś znaczenie. My wiedzieliśmy, a ty nie. Zegar zaczął odmierzać czas, kiedy Doyle osiągnął magiczny wiek jako nieśmiertelny.
Wstała, by dolać sobie wina.
– To mocna teoria. Od stycznia zegar zaczyna odmierzać czas, ty zaczynasz śnić o nas, o gwiazdach. Trochę to trwa, ale w końcu postanawiasz lecieć na Korfu... Podobnie jak my wszyscy. W tym samym czasie, w to samo miejsce.
– Riley jest bardzo mądra. – Annika też nalała sobie wina.
– Pewnie, że tak. – Stuknęła się kieliszkiem z Anniką i w przypiływie szczodrości wzięła butelkę, podeszła do Sashy, napełniła jej kieliszek. – Rysujesz dom.
– Kocham ten dom. Myślę, że nic się za tym nie kryje. Ale uważnie wysłuchałam twojej teorii i... Bran przeniósł dwie pierwsze gwiazdy tutaj, do tego domu. Więc może dlatego.
– Celną uwagę. Czyli możemy przeszukać dom od piwnic po dach. Jak do tej pory z twoich wizji wynika, że to gdzieś, gdzie zimno. Wspomniałaś o imieniu wyrytym na kamieniu. Pierwsze na naszej liście są „imię” i „kamień”. Mówiłaś o chłopcu widzącym mężczyznę, o mężczyźnie widzącym chłopca.
– Są wśród nas trzej mężczyźni – przypomniała im Annika.
– Masz rację. Jeden z nich urodził się tutaj, dorastał tu jako chłopiec. Może o to chodzi. Albo... – Riley pociągnęła łyk wina. – Może to też symbol czegoś. Czy coś w tym domu pochodzi z czasów dzieciństwa Doyle’a albo reprezentuje...
Urwała, kiedy wszedł Doyle.
– Kto by przypuszczał, że tak łatwo można sprawić, żebyś umilkła.
– Nie chce jątrzyć rany – wyjaśniła mu Sasha.
– Nie ma czego jątrzyć. – Spojrzał na wino, a ponieważ było pod ręką, nalał go sobie do kieliszka. – Miałas rację. Całe to gadanie o kaprysach losu mnie wkurza. Nie chodzi mi konkretnie o ciebie, ale byłaś akurat pod ręką, jak wino.
– Riley chce zorganizować podchody, żeby znaleźć gwiazdę. – Annika zajrzała pod ściereczkę i ucieszyła się, widząc, że bochenki wyrosły.
– Podchody?

– Coś w rodzaju podchodów – wyjaśniła Riley Doyle’owi. – Ułożymy listę przedmiotów, symboli, możliwości i zaczniemy szukać. Do diabła, co innego możemy robić w deszczowy wieczór?

Podszedł bliżej i przycisnął ją do blatu.

– Poważnie?

– Możecie teraz iść i uprawiać seks – zaproponowała wielkodusznie Annika. – Zdążycie przed kolacją.

Doyle uśmiechnął się do niej.

– Śliczna, jesteś pewna, że nie uda mi się nakłonić cię do rzucenia Sawyera dla mnie?

– Ładnie. – Riley uniosła kolano i niezbyt delikatnie wbiła je Doyle’owi w krocze.

– Tylko żartuje, bo wie, że Sawyer jest moją jedyną prawdziwą miłością.

– To dobrze – powiedział Sawyer, wchodząc do kuchni razem z Branem.

– Sawyerze, wszystkie pięknie urosły!

– Mój nie. – Doyle odsunął kolano Riley.

– Twój też. Och. – Annika roześmiała się, odrzucając włosy. – Znów zażartowałaś.

– Żartowniś z niego. – Riley uderzyła Doyle’a w pierś, ale ani drgnął. – Blokujesz mi drogę.

– Zastanawiam się, co zrobić z wolnym czasem przed kolacją.

– Ja wiem, jak wykorzystam wolny czas przed kolacją – oświadczył Sawyer. – Anni...

– Nie możemy teraz uprawiać seksu, bo muszę przygotować jedzenie. Dziś moja kolej.

– Anni – powtórzył, podszedł do niej, ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował.

– Sasha może przypilnować, jak rosną chleby – mruknęła Anni i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Kocham cię. Kocham to, kim jesteś. Wszystko, co się z tobą wiąże.

– Czy nadeszła ta chwila? – mruknął Doyle do Riley.

– Zamknij się.

– Czy pamiętasz, jak razem z Riley wybraliśmy się do Dublina?

– Bardzo mnie zabolalo, że nie zabraliście mnie ze sobą. A pozostali byli źli, ponieważ...

– Tak, ale nie mówmy o tym – przerwał jej Sawyer. – Udałem się tam po coś dla ciebie, a Riley mi pomagała.

– Po niespodziankę. Ale nigdy mi jej nie dałeś.

– Dam ci ją teraz, ponieważ lubisz deszcz i gotujemy zupę, i jesteśmy wśród rodziny. Ty jesteś moją rodziną. Zostań członkiem mojej rodziny, Anniko.

Wyjął z kieszeni dwie wypolerowane muszle.

– Jakie piękne.

Ale kiedy po nie sięgnęła, Sawyer uniósł górną muszlę.

Annika wydała zduszony okrzyk i przycisnęła dłoń do ust.

– Pierścionek. Dla mnie?

– Zrobiony specjalnie dla ciebie. Zaprojektowała go Sasha, ale każdy miał swój wkład.

Riley pomogła mi znaleźć właściwe kamienie, a Bran, no cóż, zastosował swoje sztuczki.

Niebieski kamień...

– Znam ten kamień. Jest bardzo drogi. Trzyma serce morza.

– Jak ty moje. Zawsze. Wyjdź za mnie.

– Sawyerze. – Położyła jedną rękę na swoim sercu, a drugą – na jego. – Czy włożysz mi pierścionek tak, jak Bran włożył go Sashy?

– Rozumiem, że to znaczy „tak”. – Wsunął pierścionek na jej palec.

– Jest ładniejszy, jest cenniejszy od wszystkiego, co mam. Z wyjątkiem ciebie. Zawsze

będę twoja.

Pozwoliła mu się przytulić i przypieczetowała obietnicę pocałunkiem, obejmując Sawyera z całych sił.

– Myślałam, że już przeżyłam największe szczęście, ale to jest większe.

– Cała nasza Anni. – Riley odepchnęła łokciem Doyle'a. – Pokaż go.

– Jest taki piękny. Symbolizuje morze, różowe kamienie symbolizują radość, a obrączka nas wszystkich, rodzinę. Dziękuję ci za pomoc. – Pocałowała Riley w policzek. – Dziękuję. – Pocałowała Saszę i Doyle'a. – I tobie za czary. – Ucisnęła Brana.

Potem zrobiła kilka tanecznych kroków i podniosła w górę dłoń, na której błyszczał pierścionek.

– Spójrzcie! Jest przepiękny. To najlepsza niespodzianka ze wszystkich.

Rzuciła się Sawyerowi na szyję i śmiejąc się, znowu pocałowała go w usta.

– Mmm. Sasha dokończy... – Podskoczyła, kiedy zadzwonił minutnik. – Chleby!

– Bracie. – Doyle pokiwał głową i uniósł w górę kieliszek. – Do końca życia nie grozi ci jedna chwila nudy.

Sawyer przyglądał się, jak Annika odkrywa bochenki niczym magik wykonujący swoją sztuczkę.

– Właśnie na to liczę.

*

Zjedli zupę, napili się wina, omawiając różne możliwości.

– To ciekawe – powiedział Bran. – Pomysł, że gwiazda może być w tym domu.

– Twoi budowniczowie chyba by o tym wspomnieli – zauważył Doyle.

– Miał trzy stulecia, żeby doskonalić swój sceptycyzm. – Riley postanowiła zlekceważyć uwagę Doyle'a, oderwała kawałek chleba i zjadła go ze smakiem. – Ta hipoteza, jak całe nasze poszukiwania, jak my wszyscy tutaj, przy tym stole, opiera się na niepodważalnym fakcie, że istnieje alternatywna rzeczywistość, światy równoległe. Skoro już to zaakceptowaliśmy, przejdźmy do pozostałych faktów. Doyle stał się nieśmiertelny w styczniu trzysta trzydzieści trzy lata temu. W styczniu Sasha zaczęła mieć wizje o Gwiazdach Fortuny i o nas. Wniosek: od tego się zaczęło.

– Wszyscy przybyliśmy na Korfu – włączył się Bran. – Troje z nas spotkało się w jednym hotelu zaraz pierwszego dnia pobytu na wyspie. Nim minęło kilka dni, a cała nasza szóstka po raz pierwszy walczyła ramię w ramię, stawiając czoło Nerezzie. Gdy tam byliśmy, powstała między nami więź. – Uniósł do ust dłoń Sashy i pocałował. – Silniejsza czy słabsza...

– Ale więź – dokończyła Sasha. – A każdy z nas dojrzał do tego, by podzielić się z resztą swoimi tajemnicami. Naprawdę uważam, że jesteśmy tutaj teraz dzięki tej więzi. W styczniu jeszcze nie istniała. Nie istniała, kiedy Bran budował ten dom ani kiedy na Doyle'a rzucono klątwę. Ale... potencjalnie już wtedy się narodziła.

– Tak. – Zachwycona Riley uderzyła palcem w stół. – Ta potencjalna więź powstała w chwili stworzenia gwiazd przez boginie i ewoluowała. Gwiazdy spadły i chociaż źródła nie precyzują, kiedy to się stało, wszystko przemawia za tym, że spadły, nim Doyle przyszedł na świat. Jego narodziny, a potem symboliczne powtórne narodziny jako człowieka nieśmiertelnego to kolejny etap ewolucji. Pozostali z naszej grupy też pasują. I nie zastanawia was, że każdy z nas jest inny? Czarnoksiężnik, syrena, nieśmiertelny, lykan, jasnowidzka, podróżujący w czasie. Dlaczego nie sześcioro czarnoksiężników albo sześcioro nieśmiertelnych?

– Różnorodność daje siłę, by sobie poradzić z różnymi wyzwaniem – odparł Bran.

– Musisz przyznać... Sam to powiedziałeś – dodał Sawyer, patrząc na Doyle'a. –

Najbliżej znalezienia Nerezy byłeś w tamtej jaskini na Korfu razem z nami.

– Wierzę, że pora ma znaczenie, że nasza szóstka ma znaczenie. Ale pomyśl, że Gwiazda Lodu kryje się pod listwą przypodłogową, jakoś do mnie nie przemawia.

– Jeśli połączyć kropki... – Riley uniosła kieliszek z winem, zwracając się do wszystkich siedzących wokół stołu, a nie konkretnie do Doyle'a. – Najistotniejsze jest to, że gwiazdy mogła znaleźć tylko nasza szóstka. Nikt nie mógł tego zrobić w pojedynkę, póki się nie spotkaliśmy.

Ergo, Gwiazda Lodu mogła zostać ukryta w domu, w którym urodził się Doyle, i wciąż jest tutaj albo gdzieś niedaleko stąd. Dom wzniesiono z kamienia, a dane i wizje mówią o kamieniu.

I o morzu, które jest tuż obok.

– Mężczyzna widzi chłopca, chłopiec widzi mężczyznę. Nie, to nie wizja – powiedziała szybko Sasha. – Tylko wspominam. Lustro, szyba?

– Teraz zaczynasz myśleć. I jeszcze ten fragment o imieniu. Może coś, co zostało zapisane w książce.

– Obraz. Podpis malarza – wyliczała Sasha. – Albo postać na obrazie.

– Pamiątki – podsunął Sawyer. – Coś wygrawerowanego.

– Spiszę to. – Riley wstała, żeby sięgnąć po swój tablet. – Lustro, szyba, książka...

– Tak szybko wszystko zapisujesz. – Annika przechyliła głowę, obserwując, jak kolejne słowa pojawiają się na ekranie. – Możesz mnie tego nauczyć? Lubię się uczyć.

– Jasne. – Ale Riley powiedziała to machinalnie i w końcu spojrzała na Doyle'a. –

Dlaczego wybrałeś sypialnię na górze?

– Bo stało w niej łóżko.

– Przestań się wymądrzać. Dlaczego właśnie ten pokój?

– Bez żadnego szczególnego powodu, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem czego?

– Jego okna wychodzą na morze. Tak samo jak okna mojego pokoju, kiedy byłem chłopcem.

– No właśnie. To może mieć jakieś znaczenie. Porozmawiajcie między sobą. Ja chcę się nad tym zastanowić. – Wróciła ze swoim tabletem na fotel przy kominku.

Doyle wstał, by pójść za nią.

– Jesteś wściekła z jakiegoś powodu?

– Nie. Najwyraźniej wpadłam na jakiś trop, czy ci się podoba ta teoria, czy nie.

– Wściekasz się, bo nie wierzę w twoją teorię?

– Nie. – Uniosła wzrok, wytrzymała jego spojrzenie. – O teoriach zwykle się dyskutuje i je podważa. Dlatego nazywamy je teoriami. Jestem naukowcem. Rozważam różne pomysły, nawet jeśli są odmienne od moich.

– Więc czemu tak się zachowujesz?

– Pracuję nad czymś – powtórzyła. – Poza tym to sprawa osobista. Gdybym była wkurzona, powiedziałabym to.

– No dobrze. – Wrócił do stołu i usiadł z pozostałymi.

Riley postanowiła go ignorować. Wydawało się, że to najlepsze wyjście, kiedy prowadziła wewnętrzną dyskusję z samą sobą, czy mu powiedzieć, czy nie, że jest w nim zakochana. A jeśli zdecyduje się mu to wyznać, kiedy powinna to zrobić? A jeśli już rozstrzygnie, kiedy to zrobić, to jak?

Wiele pytań, na które nie знаła odpowiedzi.

Miała dużo pracy, więc pozwoliła, by te myśli krążyły jej w głowie, kiedy dopisywała kolejne pozycje do listy, mimo woli przysłuchując się rozmowie nieopodal.

ROZDZIAŁ 17

Przy stole Annika podziwiała swój pierścionek, poruszała palcami, żeby sypał skry. Pomyślała, że najbardziej chciałaby poślubić Sawyera na wyspie, na którą ją kiedyś zabrał – tam, gdzie jedna z syren podarowała busolę jego przodkowi. Gdzie Sawyer po raz pierwszy wyznał jej miłość.

Wszyscy mogliby tam przybyć: i ci, którzy zamieszkiwali ląd i stali się członkami jej rodziny, i mieszkańcy mórz. Miała nadzieję, że poślubi Sawyera, gdy jeszcze będzie miała nogi. Mogłaby wtedy wystąpić w ślicznej sukni i tańczyć z nim.

Zobaczyła, że Sasha uśmiecha się do niej, kiedy mężczyźni rozprawiali o planach bitwy i innych niemiłych sprawach.

– Lubię na niego patrzeć i czuć go na palcu. Ty też?

– Cały czas.

– Będiesz na moim ślubie i zostaniesz moją druhną razem z Riley, tak jak my będziemy twoimi druhami?

– Już myślałam, że nigdy o to nie poprosisz. – Sasha się roześmiała.

– Bardzo bym chciała, żebyśmy mogli się pobrać na wyspie. Na naszej wyspie.

Sawyer objął ją ramieniem.

– Pomyślałem o tym samym.

– Naprawdę? Och, w takim razie wszyscy mogliby być na ślubie. Nasza rodzina, twoja rodzina, moja rodzina. Będą kwiaty na ziemi i na morzu. I muzyka. I wino. To więcej, niż potrafię sobie wyobrazić. Więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam, a jak byłam dużo młodsza, często rozmyślałam o tej ceremonii, o przysiędze. Miałam swoje miejsce, gdzie snułam szczególne marzenia, a to było najbardziej szczególne ze wszystkich.

– Co to było za miejsce?

– W ciepłych morzach południowych, gdzie woda jest tak przejrzysta, że dociera tam światło słoneczne, miałam tajemne miejsce tylko dla siebie. Ogród koralu i roślin morskich. Zwijałam się tam w kłębek i śniłam swoje najpiękniejsze sny.

Teraz jej sen się spełnił, pomyślała i przytuliła się do Sawyera.

– A ty miałaś swoje tajemne miejsce?

– Domek na drzewie.

Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Mieszkałeś na drzewie?

– Nie, to był mały domek, umocowany wysoko na drzewie. Mój ojciec i dziadek zbudowali go dla dzieciaków. Wszyscy lubiliśmy się w nim bawić, ale niekiedy wspinałem się tam sam, zwłaszcza w letnie noce. Chyba przyśniło mi się w nim kilka bardzo przyjemnych snów.

– Szczególnie po przeglądaniu pism pornograficznych – rzuciła Riley z drugiego końca kuchni.

– To nie były tego typu sny.

– Co to takiego pisma pornograficzne? – zainteresowała się Annika.

– Później ci wytłumaczę. A ty, samochwało?

– Ja? – Riley znów spojrzała w ich stronę. – Dużo podróżowaliśmy, więc wszędzie znajdowałam sobie miejsce dla siebie. Lubiłam książki, co nie jest tajemnicą. W książkach można znaleźć mnóstwo snów. Ale kiedy teraz o tym myślę, przypominam sobie stary schron

przeciwsztormowy w naszym rodzinnym domu. Chyba to był mój odpowiednik domku na drzewie czy podmorskiego ogrodu.

– Sasho... – Annika, której bardzo się podobała ta rozmowa, zwróciła się do jasnowidzki.
– Gdzie było twoje tajemne miejsce?

– Zamierzałam powiedzieć, że nie miałam takiego, ale to zdawkowa odpowiedź. Coś, co się mówi bez zastanowienia – wyjaśniła. – Strych. To było moje szczególne miejsce, gdzie chodziłam, żeby pobyć sama, kiedy chciałam uciec od wszystkiego i od wszystkich. Rysowałam tam i wyobrażałam sobie, że jestem taka jak wszyscy. Nie byłam wtedy tak szczęśliwa jak teraz.

– Żałuję, że nie byłam twoją przyjaciółką, kiedy byłaś dziewczyną.

– Teraz to nadrabiamy. Kontynuujmy ten temat. Twoja kolej, Bran.

– Niedaleko naszego domu w Sligo płynął strumyk. Chodziłem tam, kiedy byłem chłopcem. Opierałem się o pień starej, powykręcanej jarzębiny, patrzyłem na ryby w strumieniu, rozmyślałem, ćwiczyłem sztuczki magiczne i wyobrażałem sobie, że jestem wielkim czarnoksiężnikiem.

– I jesteś! – Annika złączyła dłonie. – Doyle, a gdzie było twoje sekretne miejsce?

– Kiedy byłem chłopcem, całe dni wypełniała mi praca. Musieliśmy zbierać drewno na opał, kopać torf, zajmować się inwentarzem.

– Brnąć boso w śniegu do szkoły, odległej o piętnaście kilometrów. Pod górkę – dodała Riley, czym go sprowokowała, żeby na nią spojrział.

– Nie miałeś butów?

– Ucieka się do wytartych frazesów – wyjaśnił Doyle Annice. – Byłem najstarszy, więc miałem najwięcej obowiązków... To zdawkowa odpowiedź – dodał, patrząc na Sashę. – Stare przyzwyczajenie. Nie wolno nam było spuszczać się w dół po klifie, więc oczywiście nic nas bardziej nie kusiło. Kiedy udało mi się uciec przed rodzeństwem i przed obowiązkami, właśnie to robiłem. Pociągało mnie związane z tym ryzyko, fale morskie w dole, porywy wiatru. A kiedy znalazłem...

Urwał zszokowany, oszołomiony. Przez cały ten czas? – zastanowił się, próbując to objąć umysłem. Czy była tam przez cały czas?

– Nie w domu. Nie na cmentarzu. Gwiazdy nie ma ani tutaj, ani tam.

Riley już wstała. Teraz odłożyła tablet i podeszła do stołu.

– Ale wiesz, gdzie jest.

– Nie... – Fakt, że musiał się opanować, doprowadzał go do szału. – To znaczy być może – powiedział, trochę uspokojony. – To teoria. Początkowo rzadko opuszczałem się w dół po klifie, potem coraz częściej, a kiedy mnie nie przyłapano, jeszcze bardziej się rozochociłem. Wyprawiałem się na skały nawet nocą, przy świetle księżyca, i jeden Bóg wie, co by się stało, gdyby osunęła mi się noga... Ale ten dreszcz emocji, to ryzyko najbardziej mnie kręciło. Ostatecznie byłem najstarszy, a Feilim dopiero się urodził, więc moja matka nie miała czasu, ojciec też zupełnie stracił głowę. Feilim był ślicznym, słodkim bobasem, nawet dziewięcioletni chłopiec to dostrzegał. Miał kilka dni, kiedy znalazłem tę jaskinię. Chyba napiję się whisky – przerwał.

– Zaraz ci przyniosę. – Wstając, Bran rzucił okiem na rysunek, który szybko, z wprawą kreśliła Sasha, trzymając szkicownik na kolanach.

– Jaskinia na zboczu klifu – powiedziała Riley.

– Tak. Była jak skarb. Od razu do niej wszedłem, jak zrobiłby to każdy chłopiec w moim wieku. Słyszało się w niej szum morza. O tej jaskini nikt nie wiedział poza mną, należała tylko do mnie. Przez następne tygodnie, miesiące i lata to było moje sekretne miejsce. Zaniósłem tam starą derkę, hubkę, łój, chłopięce skarby. Mogłem siedzieć na skalnej półce przed wejściem,

spoglądać na morze i wyobrażać sobie przygody, jakie mnie czekają w przyszłości. Wystrugałem fujarkę, na której grałem, by przywołać swojego smoka. Już długo wcześniej uznałem smoka za przewodnika duchowego. Dziękuję.

Doyle wziął kieliszek, który Bran przed nim postawił.

– Na jednej ze ścian jaskini wyryłem symbol smoka, a nad nim swoje imię.

– Doyle Mac Cleirich, napisał chłopiec w kamieniu, i marzył o tym, jakim stanie się mężem. Wojownikiem, poszukiwaczem przygód. – Sasha położyła szkicownik na stole.

Narysowała jaskinię oświetloną świeczką, przymocowaną do skały stopionym woskiem, i chłopca – o ciemnych, gęstych włosach, w brudnej koszuli, który w skupieniu złościł litery w kamiennej ścianie.

– Marząc o tym, co będzie, nie widział ognia ani lodu. Nie czuł gorąca ani zimna. Wyrył to dla mężczyzny, który wie, że wojna to krew i śmierć, ale i tak będzie walczył. Gwiazda czeka na chłopca, na męża. Zobacz imię, odczytaj imię, wypowiedz imię, a jej lód pokona ogień. Jedna dla jasnowidzki, druga dla syreny, trzecia dla żołnierza. Stawcie czoło burzy, dzieci bogów, i zabierzcie je do domu.

Sashę przeszedł dreszcz, sięgnęła przez stół po whisky Doyle'a.

– Mogę? – spytała i ją wypięła. Znów się wzdrygnęła. – Och. To był chyba błąd.

– Dobrze się spisałaś. – Bran położył dłonie na jej ramionach. – Świetnie to ukazałaś.

– Widziałaś? – Doyle stuknął w szkicownik. – Widziałaś to?

– Jak tylko zaczęłaś mówić o klifach. Wcześniej miałam wrażenie, jakby mgła przesłaniała mi oczy. Trudno to wytłumaczyć. A kiedy zaczęłaś mówić, nagle wszystko stało się jasne. I zobaczyłam ciebie, zobaczyłam ciebie jako chłopca w tej jaskini. Poczułam...

Doyle wziął butelkę whisky, którą Bran postawił na stole, nalał kolejną porcję do swojej szklaneczki.

– Mów dalej.

– Determinację, podniecenie, niewinność. Moc wokół ciebie. Zaciąłeś się nożem w palec i kiedy przesunąłeś nim po literach, które wyryłeś, przypieczetowałeś je swoją krwią.

Doyle skinął głową, napił się whisky.

– Wszystko się zgadza. Było tak, jak powiedziałaś. – Spojrzał na Riley. – Nigdy nie pomyślałem o tej jaskini. Nawet się tam wybrałem, jak tu przybyliśmy. Spuściłem się po klifie, żeby ją obejrzeć. Ale nic w środku nie czułem. Nic mnie nie tknęło.

– Bo byłeś sam. Następnym razem nie będziesz sam.

– Niełatwo tam się dostać.

Riley uniosła brwi.

– Dotarcie do dwóch poprzednich też nie przypominało przechadzki po parku.

– Poprosiłbym cię, żebyś mi podał współrzędne, ale jeśli się pomylisz... – Sawyer podrapał się w głowę. – Do ziemi daleka droga.

– Posłużymy się liną. – Bran spojrzął w okno. – Ale nie dziś wieczorem. Nie po ciemku, w deszczu. Czyli rano, i módlcie się o zmianę pogody. Wyruszymy tam wszyscy razem.

– Założmy, że ją znajdziemy, o czym jestem przekonany. Co z nią zrobimy? – spytał Sawyer. – Gdzie ją umieścimy, póki nie wymyślimy, jak ją dostarczyć tam, gdzie jej miejsce?

– Cóż, zgodnie z ustalonym wzorcem... – Riley spojrzała na Sashę.

– Obraz. Malowałam w każdej wolnej chwili, ale nic mnie nie fascynowało tak jak w przypadku dwóch poprzednich. Może teraz, kiedy tamta mgiełka zniknęła, coś mnie zainspiruje. W przeciwnym razie może nada się jakiś inny obraz.

– I kolejne pytanie: gdzie, u diabła, jest Szklana Wyspa? Nadal będę szukała odpowiedzi w książkach – ciągnęła Riley. – Ale zaczynam podejrzewać, że nie znajdę jej w bibliotece ani

w Internecie. Mimo wszystko będę szukała. Zaczynając od teraz.

- Jeśli mamy iść do jaskini, wyruszamy o brzasku – powiedział jej Doyle.
- Będę gotowa – zapewniła go i wyszła.

*

Skończyła po północy, rozważywszy parę teorii. Odrzuciła je wszystkie.

Napisała długi e-mail do swoich rodziców, informując ich, gdzie jest, jak się czuje, zapytała, czy znają jakieś sznurki, za które można by pociągnąć, a które przeoczyła.

Pora zrobić przerwę, powiedziała sobie. Powinna trochę się przespać albo przynajmniej spróbować usnąć. Jeśli jutro ma nastąpić wielki przełom, wszyscy muszą być na to przygotowani.

Nie tylko gotowi na odnalezienie gwiazdy i jej ukrycie, ale również na walkę. W chwili, kiedy Nerezza się dowie, że mają ostatnią gwiazdę, natychmiast się pojawi.

Myśląc o tym, wyszła z biblioteki, skierowała się do salonu, gdzie przechowywali broń. Doyle siedział przy kominku i czyścił swój miecz.

– Powinnaś trochę się przespać – powiedział jej.

– Właśnie mam taki zamiar. To samo odnosi się do ciebie.

– Położę się, jak tylko tu skończę. Nie pomyślałem o tej jaskini. Powinienem być, ale nie zrobiłem tego.

– Nie pomyślałam o tym, żeby cię zapytać, czy w pobliżu jest jakieś miejsce, które ma dla ciebie szczególne znaczenie. Uczepiłam się cmentarza, bo wiedziałam, że jest ważny.

– Początkowo myślałem, że masz rację. I bardzo mi się to nie podobało.

Usiadła naprzeciwko niego.

– Masz prawo się domagać, żeby twoi przodkowie mogli spoczywać w spokoju. Wydaje mi się... Chcesz wiedzieć, co sądzę?

– Czy kiedykolwiek cokolwiek cię powstrzymało przed wygłoszeniem swojej opinii? Ale owszem – przyznał, kiedy nic nie powiedziała. – Chcę usłyszeć, co sądzisz.

– Sądzę, że to dar. Sądzę, że otrzymałeś go setki lat temu, by ci pomógł rozwiązać resztę problemów. Każdy chłopiec chce być bohaterem, prawda? I teraz nim jesteś. Jesteś – powtórzyła, kiedy pokręcił głową. – Dostałeś wybór: mogłeś zostać bohaterem lub odejść. Nie odszedłeś.

Wróciłeś do... Muszę powiedzieć do siedliska zła, gdzie umarł twój brat, gdzie Nerezza próbowała wykorzystać twoją rozpacz przeciwko tobie, przeciwko nam wszystkim, a ty kopnąłeś ją w tyłek. Nie miałaś dziś ochoty, by stanąć przy grobach i opowiadać o swojej rodzinie. Ale zrobiłaś to. To nie takie bohaterstwo jak na polu bitwy, Doyle, ale to krok w tym kierunku.

Więc...

Wstała.

– Jak już wcześniej powiedziałam, rozmyślałam.

– Nad tym, gdzie znaleźć wyspę.

– Pudło. Chodzi o sprawy osobiste. Zawarliśmy swego rodzaju umowę, której warunków nie dotrzymałam.

Spojrzał na nią, marszcząc czoło.

– Jaką umowę?

– Że to będzie tylko seks, dobry, zdrowy seks. Nic poza tym. Ale coś się zmieniło. We mnie.

Bardzo ostrożnie odłożył miecz na bok.

– Jesteś w ciąży?

– Nie. Jezu. Na ogół jesteś irytujący i masz humory. Do tego jesteś arogancki – doszła do wniosku.

– Co to ma wspólnego z seksem?

– Nic. Ale wiąże się z całą resztą, której mieliśmy uniknąć. Nie wiem, dlaczego tak się nie stało. Lubię wiedzieć dlaczego, więc to mnie też irytuje. Mogę część winy zrzucić na ciebie, bo wyciągnięcie z ciebie czegokolwiek to trudne zadanie. Na przykład do dziś nie wiedziałam, że miałeś dwadzieścia sześć lat, kiedy rzucono na ciebie kłutwę.

– Skąd o tym wiesz?

– Na litość boską, umiem liczyć. Ile miałeś lat, kiedy Feilim się urodził? Dziewięć.

Powiedziałeś, że w chwili śmierci miał siedemnaście lat. Czyli, pomijając fakt, że jesteś nieśmiertelny, jesteś parę lat młodszy ode mnie. To dziwne.

Doyle bez słowa sięgnął znów po swój miecz.

– Nie, zostaw i posłuchaj. Zamierzam powiedzieć, że pomimo tego wszystkiego – a mogę dodać, że masz cechy, które wyrównują tę różnicę wieku, ale rozprawianie o tym zabrałoby za dużo czasu – no więc pomimo tego wszystkiego albo może właśnie dlatego, jeszcze nie wiem, zakochałam się w tobie.

– Nieprawda.

Wyobraziła sobie różne odpowiedzi, ale przez myśl jej nie przeszło, że spotka się z zimnym, spokojnym lekceważeniem. Przygotowała się na to, że Doyle zrani jej uczucia, a nawet na mocny cios w serce. Nie przygotowała się na lekceważenie i gniew.

– Nie mów mi, co czuję. Nie mów mi, co mam tutaj. – Walnęła się pięścią w piersi. – Wyznałam ci to, chociaż wolałabym tego nie robić. Czy wyglądam na szczęśliwą z tego powodu? Czy tańczę z radości? Czy robię gwiazdę?

– To tylko zauroczenie. Śpimy razem, pozostali mówią o ślubach i kwiatach. Połączyłaś to sobie.

– Bzdura. Obrażasz mnie. Czy powiedziałam coś o ślubie i kwiatach? Czy wyglądam na taką, która już się nie może doczekać, żeby pobiec i kupić sobie białą suknię, wziąć do ręki bukiet?

Doyle poczuł pierwszą oznakę niepokoju.

– Nie, właściwie nie.

– Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale jest, jak jest. Wyznałam to, bo mam do ciebie szacunek. Ty też okaż mi szacunek, nie obrażając mnie stwierdzeniem, że jestem jakąś sentymentalną nastolatką.

Pomyślał, że powinien wyjaśnić to, co powiedział.

– Mówię jedynie, że według mnie znaleźliśmy się w dziwnym położeniu. Do tego doszedł seks. Szanujemy się nawzajem, ufamy sobie nawzajem. Najwyraźniej coś nas do siebie przyciąga. Jesteś inteligentną kobietą, kobietą myślącą logicznie, racjonalnie. Kobietą, która musi wiedzieć...

– Jestem wystarczająco inteligentna, żeby wiedzieć, że logika i racjonalne myślenie nie mają żadnego znaczenia, kiedy się w kimś zakochamy. – Rozgniewana Riley uderzyła się dłońmi w biodra. – Myślisz, że coś sobie wmówiłam? Czuję to, co czuję. Jeden Bóg wie dlaczego.

– Nie mogę dać ci tego, czego wymaga miłość.

Pokręciła głową, gdy gniew zastąpiło współczucie.

– Ty wariacie, miłość nie pyta. Po prostu jest. Zostawiam cię z tym.

– Riley – powiedział Doyle, kiedy ruszyła do drzwi.

Odwróciła się ku niemu.

– Nie mów mi, że ci na mnie zależy. To tanie. To poniżej naszej godności.

– Są powody, dla których nie...

– Czy prosiłam cię o cokolwiek?

Nie prosiła o nic, pomyślał. I co z tym zrobić?

– Nie.

– Więc daj spokój. Po prostu daj spokój. Powiedziałam ci o tym, ponieważ nie lubię żałować. I nie będę żałować, że ci powiedziałam, co czuję. Nie każ mi źle się czuć z tym, co czuję.

Pozwolił jej wyjść – tak było najlepiej dla nich obojga. Ale wiedział, że podczas tych trzech stuleci, uwzględniając wszystko, co zrobił, wszystko, czego doświadczył, była jedyną kobietą, której udało się kompletnie go odmienić.

*

Spała dobrze. Powiedziała to, co miała do powiedzenia, rozwiązała wewnętrzny problem, który nie dawał jej spokoju. Zrzuciła z siebie ten ciężar i przestała się tym martwić.

Nie zranił jej, czego się spodziewała. Ostatecznie nigdy wcześniej nie była zakochana. Czowała pożądanie, ale nigdy nie pozwoliła sobie na miłość.

Nie, nie zranił jej, doszła do wniosku Riley, ubierając się na wyprawę do jaskini. Była inteligentną, wykształconą kobietą, całkiem atrakcyjną, zdrową, otrzaskaną w świecie. Jeśli Doyle nie dostrzegwał i nie potrafił przyjąć jej miłości, to wyłącznie jego strata.

Nigdy nie marzyła o ślubie, małżeństwie i wiecznym szczęściu. Nie żeby miała coś przeciwko temu. Ale jeszcze zanim zaczęła walczyć z boginią, wiodła pełne i ciekawe życie. Jeśli przeżyje tę wojnę, zamierzała dalej prowadzić pełne i ciekawe życie.

Doyle może być jego częścią albo nie. Wybór należał wyłącznie do niego.

Lecz to, co miało nastąpić teraz, było ważniejsze od tego, co być może będzie później. Przypięła kaburę z pistoletem – nie wychodziła bez niego z domu – umocowała pochwę z nożem i szybko zeszła tylnymi schodami do kuchni.

W powietrzu unosił się zapach kawy – teraz najważniejszej – grillowanego mięsa i tostów.

– Smażę omlety – powiedziała Sasha do Riley, zgrabnie składając kolejny na patelni. – Ze wszystkimi dodatkami. Annika nakryła stół, nim zeszłam na dół. Teraz Sawyer zabrał ją nad wodę, by mogła sobie trochę popływać.

Zrobiła jaskinię z serwetek, stwierdziła Riley, umieściła ją na stojaku nad niebieską serwetką, najwyraźniej udającą morze. W jaskini było sześć postaci, zrobionych z wyciorów do fajki. Otaczały smoka, trzymającego mały biały kamyk.

– Uznajmy to za dobrą wróżbę. – Riley nalała sobie kawy i postanowiła skorzystać z okazji. – Powiedziałam Doyle'owi, że go kocham.

– Och! – Sasha szybko zsunęła omlet na półmisek. Jej uśmiech znikł. – Och.

– Cóż, nie spodziewałam się, że porwie mnie w ramiona jak jakiś namiętny bohater powieści. Musiałam mu powiedzieć, żeby kwestia, czy mu o tym powiedzieć, czy też nie, nie zaprzętała mojego umysłu. Zrobiłam to i już.

– Co powiedział?

– Niewiele, ale między innymi, że musiałam połączyć... Połączyć seks z tymi wszystkimi rozmowami o ślubie. To było obraźliwe.

– Masz rację. Obrząził twoje uczucia i inteligencję.

– Bum. – Riley stuknęła palcem Sashę w ramię. – Ale głównie był oszołomiony i zirytowany, z naciskiem na oszołomiony. Nie mam mu tego za złe. Zawarliśmy umowę.

– Och, dotyczącą...

– Tak – przerwała jej Riley. – Nie dotrzymałam jej warunków.

Sasha prychnęła.

– Jakby można zawrzeć umowę w sprawie miłości.
– Teraz to rozumiem. Ale nie rozumiałam tego, kiedy ją zawieraliśmy. Jestem po raz pierwszy w takiej sytuacji. – Wzruszyła ramionami i wsunęła palce w kieszenie dżinsów. – Tak czy owak, nim skończyliśmy rozmowę, zrobiło mi się go żal, że tego nie rozumie. Miłość to coś cennego, prawda? Nie znajdziesz jej, kopiąc, szukając, czytając. Albo się pojawia, albo nie.
– Akurat uwierzę, że ci go żal.
Riley roześmiała się i napiła kawy.
– Właściwie nie. I nie powiedziałam ci tego, żebyś była na niego zła.
– Jesteś moją przyjaciółką. Jesteś moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką. Jaka byłaby ze mnie przyjaciółka, gdybym nie była na niego wkurzona? Naturalnie, że jestem na niego wkurzona. Cymbał.
– Dziękuję. Ale jeśli nie można zawrzeć umowy, że się nie zakochasz, nie można też zawrzeć umowy, że się zakochasz, prawda? Albo się kocha, albo nie – powtórzyła Riley. – Nic mi nie jest. Teraz ważniejsze, znacznie ważniejsze jest to, że musimy trzymać się razem. Żadnych konfliktów, szczególnie dzisiaj.
– Potrafię być na niego wkurzona, mimo to trzymać się razem z nim. – Sasha z gniewną miną wylała ubite jajka na patelnię.
– Odwróć kolejność. Na pierwszym miejscu umieść trzymanie się razem.
– Dla ciebie. – Sasha dodała do jajek przesmażony bekon, paprykę i starty ser. – Zrobię to dla ciebie.
– Kocham cię. Nieczęsto to mówię. Ale dziś jest właściwy dzień, żeby to powiedzieć.
– Ja też cię kocham.
Riley usłyszała kroki na schodach.
– Jeśli chcesz powiedzieć Branowi, nie ma sprawy. Może tylko wstrzymaj się z tym, aż wrócimy do domu. Z gwiazdą.
– Mogę ci to obiecać.
To nie był Bran, tylko Doyle, i Riley próbowała określić swoją reakcję. Doszła do wniosku, że jeszcze nigdy nie była tak rozbawiona, widząc postawnego, wymachującego mieczem człowieka nieśmiertelnego, teraz wyraźnie skrępowanego i przygotowanego na wybuch kobiecego gniewu.
Może jej reakcja była małostkowa, ale nic sobie z tego nie robiła.
– Przed wyprawą zjemy omlety z różnymi dodatkami. – Powiedziała to zupełnie obojętnym tonem, dolewając sobie kawy. – Według Anniki... – wskazała kubkiem stół – wszystko nam się uda.
– Świetnie.
Jego ulga była tak wyraźna, że mało brakowało, by Riley się roześmiała, ale wtedy wszedł Bran.
– Ach, właśnie ciebie chciałem zobaczyć. Zamierzam wziąć liny z garażu. Jest na to czas, Sasho?
– Macie dziesięć minut.
– Wystarczy. Pomóż mi, dobrze, Doyle?
Riley powstrzymała się z chichotem, póki obaj nie wyszli.
W garażu Bran zdjął zwój mocnej liny z haka na ścianie.
– Cóż, teraz wiem, dlaczego czułem, że muszę to wszystko mieć. – Podał linę Doyle'owi i zdjął drugi zwój.
– To aż nadto. Jaskinia znajduje się jakieś pięć metrów poniżej szczytu klifu.
– Mógłbym nas tam przenieść bez liny – powiedział Bran. – Chociaż wolałbym najpierw

zajrzeć tam sam. Chodzi o zorientowanie się w sytuacji. Sawyer mógłby zrobić to samo po ustaleniu współrzędnych, ale...

– Masz liny – dokończył za niego Doyle. – I uważasz, że jest powód po temu, by zrobić to właśnie w ten sposób.

– Będziemy razem, związani, a nie będę was tam prznosił pojedynczo czy dwójkami. Tak, uważam, że powinniśmy opuścić się na linach. – Bran przechylił głowę. – Niepokoisz się?

– Nie. Owszem, niełatwo się tam dostać, ale naszej szóstce powinno się udać.

– W takim razie o co chodzi?

– O nic. O coś zupełnie innego. Niemającego z tym związku. – Do diabła. – Riley stwierdziła, że się we mnie zakochała.

Bran tylko skinął głową.

– W takim razie szczęściarz z ciebie.

– Mogłoby tak być, gdybym był zwyczajnym mężczyzną. Chociaż nawet gdyby tak było, to teraz mamy pilniejsze sprawy. Jeśli jest na mnie wkurzona, bo nie... Nie... – urwał i zaklął. – Jeśli będzie rozkojarzona przez to, co wydaje jej się, że czuje...

– Śmiałbym twierdzić, że Riley doskonale zna samą siebie. To po pierwsze. A poza tym przed chwilą nie wyglądała na wkurzoną ani rozkojarzoną.

– Jest przebiegła – stwierdził Doyle, czym wywołał uśmiech na twarzy Brana.

– Niewątpliwie. Ale z tego, co widzę, to ty sprawiasz wrażenie wkurzonego i rozkojarzonego. Coś do niej czujesz.

– No jasne. Sypiamy ze sobą.

– Zacytuję Sawyera i powiem: donżuan.

To tak zaskoczyło Doyle'a, że się roześmiał.

– No dobrze. Przyznaję, że nie darzyłem uczuciami każdej kobiety, z którą spałem. Ale stanowimy część zespołu, istnieje między nami więź. – Przyjrzał się linie. – Jesteśmy związani.

– Jestem zakochany, z każdym dniem coraz bardziej. To dla mnie też coś zdumiewającego, więc widzę, jak się zmagasz. Istnieje między nami więź, zatem życzę ci szczęścia, bo według mnie pasujecie do siebie. Ale sam musisz podjąć decyzję.

– Nie ma potrzeby podejmowania żadnej decyzji. Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie. – Doyle zdjął ze ściany ostatni zwój liny.

*

Po śniadaniu stanęli przy murze na szczycie klifu.

Sasha spojrzała w dół i zbladła.

– Wysoko.

– Mistrz Czarodziej nie pozwoli ci spaść. – Riley fachowo związała linę wokół jej talii. – Poza tym, jak mówiliśmy, Sawyer, Doyle i ja jesteśmy doświadczonymi wspinaczami. Jedyne, co masz robić, to patrzeć, gdzie stawiasz nogi, i iść za nami.

– I nie spoglądać w dół – powiedziała Sasha.

– Jeśli ci niewygodnie z kuszą, zostaw ją tutaj. Możesz wziąć jeden z moich pistoletów. Całkiem dobrze strzelasz.

– Lepiej posługuję się kuszą. Dam sobie radę.

Riley zrobiła węzeł. Żałowała, że nie ma kilku mocnych karabńczyków, sprzętu asekuracyjnego, porządnej uprząży, ale nie można mieć wszystkiego. A lina była pierwszorzędna.

Odmierzyła długość, a potem podeszła do Brana, żeby go zabezpieczyć.

– Da sobie radę – powiedziała cicho Riley. – A jak się zdenerwuje, zacznij z nią

rozmawiać. Wtedy się uspokoi.

Rozejrzała się i zobaczyła, że Doyle związał Sawyera z Anniką. Zadowolona, zaczęła obwiązywać liną siebie.

– Pozwól, że sprawdzę. – Podeszedł do niej Doyle.

Oceniła swoją reakcję, kiedy poczuła na sobie dotyk jego rąk. Tak, poradzi sobie.

– Pierwszy raz wspinałam się w Arizonie, badaliśmy kulturę Anasazi. Było gorąco i sucho – dodała, patrząc na jasnoblękitne poranne niebo. – Bezwietrznie. – Spojrzała na niego. – Sasha się denerwuje, ale da sobie radę.

– W porządku. Zabezpiecz koniec liny.

Czekał, aż Riley oplecie linę wokół pnia drzewa, a potem ją zawiąże.

– Chcesz sprawdzić?

Doyle pokręcił głową. Na ogół wiedziała, co robi.

Chociaż nie potrzebował liny, też się nią obwiązał. I pierwszy zeskoczył z muru.

Z typowym dla siebie entuzjazmem Annika skoczyła tuż za nim.

– Uważaj – ostrzegł ją Sawyer i wylądował na wąskim skrawku miękkiej darni. – Nie każdy ma takie poczucie równowagi jak ty.

– Ma na myśli mnie. – Sasha przedostała się przez mur. – Dam sobie radę. Nie martwcie się.

Riley zaczęła, aż Doyle zacznie schodzić w dół, nim zeskoczyła na klif.

Uznała, że pierwsze półtora metra jest dziecinnie proste i cieszyłaby się na kolejny, trudniejszy odcinek pokonywany w porywach wiatru przy wtórze grzmotu fal, rozbijających się w dole, gdyby nie martwiła się o Sashę.

– Świetnie sobie radzisz! – zawołała, kiedy Sasha ostrożnie opuściła się kilka centymetrów niżej, słuchając Sawyera, który jej radził, gdzie ma postawić nogę.

Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy trzy metry niżej to Annika zawisła w powietrzu, kiedy oderwał się kawałek skały, której się przytrzymała. Zachwiała się i prawie straciła równowagę. Riley napięła wszystkie mięśnie, trochę się podciągnęła, a potem odetchnęła z ulgą, bo Sawyer złapał Annikę.

– Moje przeprosiny! – zawołała Annika. – Znaczą się, przepraszam.

– Teraz spuszcza się po klifie – odpowiedziała jej Riley. – Potem przyjdzie czas na pływanie.

Wciąż z bijącym sercem, zsunęła się w dół.

Spojrzała w górę i zobaczyła kruki, siedzące na murze.

– Będę strzelać. – Trzymając się tylko jedną ręką, mocno zaparła się nogami, wyjęła broń. Udało jej się zabić dwa, nim pozostałe odleciały.

Sasha przystanęła na półce skalnej.

– Obserwuje nas. Czuję to.

– Jesteśmy prawie na miejscu. – Doyle wskazał jaskinię. – Schodźcie ostrożnie.

Kiedy Riley dotarła do półki, zobaczyła, jak Doyle znika w otworze. Powrót na górę będzie trudniejszy. Więc pomyśli o tym później.

Ostrożnie zeszła z półki i podążyła za pozostałymi do środka.

– Ciasno tu. – Wcisnęła się między Sashę i Annikę.

– Jest czysta, jak chłopiec. Czujecie to? – spytała Sasha.

Docierał tu szum morza, pachniało morzem i ziemią, a Bran wyciągnął rękę i Riley zobaczyła, jak ogarek w zagłębieniu skały topi się i zaczyna świecić, więc całą jaskinię wypełnił delikatny, złoty blask.

– Urządziłbym tu sobie fortecę – powiedział Sawyer, rozglądając się wokół. – Irlandzka

skalna wersja domku na drzewie. Jaki dzieciak by się temu oparł?

– Była dla niego, dla chłopca, dla chłopca marzącego, że zostanie mężczyzną. To dla niego, dla mężczyzny, który pamięta chłopca. – Sasha wyciągnęła rękę, położyła ją na plecach Doyle'a. – Czeka, a jej czas nadszedł. Czas szóstki strażników. Zobacz imię, przeczytaj imię, wymów imię.

Zobaczył napis, który wrył w skałę tak dawno temu nad symbolem smoka. Przeczytał imię, własne imię, które wryło mu się w pamięć tak, jak wryło się w kamienną ścianę.

I wymówił to imię.

– Doyle Mac Cleirich.

Światło zmieniło się ze złotego na białe, zrobiło się chłodno, jakby była zima.

Imię, jego imię, rozbłysło na skałę, każda litera płonęła. Paszcza smoka zionęła ogniem.

Z szybko bijącym sercem, czując, jak krew pulsuje mu w żyłach, Doyle padł na kolana.

Włożył rękę w płomienie i z paszczy smoka wyjął gwiazdę.

Płonęła ogniem, ale czystym i białym, oślepiając ich swym blaskiem. Kiedy znalazła się w jego dłoni, uwolniła swą moc.

– Nie jest zimna. – Doyle wpatrywał się w migoczącą Gwiazdę Lodu. – Teraz nie. Jest ciepła.

I powietrze też stało się ciepłe.

– Mamy ją. – Wstał, odwrócił się, pokazał ją pozostałym. – Mamy ostatnią gwiazdę.

ROZDZIAŁ 18

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy ziemia zadrżała. Z góry posypały się kamienie, wpadły do morza.

– Śmiem twierdzić, że wie. – Riley spróbowała się odwrócić przodem do wejścia do jaskini.

Świetlista kula, wypuszczona z bransolety Anniki, trafiła pierwszego nietoperza, który wpadł do środka.

– Śmiem twierdzić, że to znak dla nas, żebyśmy się stąd wynosili.

– Ale nie tak, jak tu przyszliśmy. – Sawyer wyciągnął busolę. – Trzymajcie się.

Otoczyło ich światło, wiatr. Riley usłyszała grzmot, zobaczyła błyskawicę, przecinającą niebo. I poczuła, jak spada bezradnie, koziółkując w powietrzu.

Teraz to nie grzmot, uświadomiła sobie, tylko huk fal, rozbijających się o skały. I wpadła prosto do morza.

Twarz załapała jej zimna woda. Sięgnęła po nóż. Musi odciąć linę, nim pociągnie za sobą pozostałych.

Potem poczuła szarpnięcie, kiedy lina znów się naprężyła. Uniosła się do góry, walcząc o oddech, i wylądowała na mokrej trawie.

– Anni i cała reszta, nikomu nic się nie stało? – usłyszała zachrypnięty głos Sawyera. – Sash... Jezu, Riley.

Zobaczyła ręce wyciągnięte w swoją stronę.

– W porządku, nic mi nie jest. Do diabła, co się stało, Sawyer?

– Do środka! Nie możemy ryzykować walki, póki nie ukryjemy gwiazdy. – Doyle pomógł Riley wstać. – Biegnij – polecił jej i skierował się w stronę domu, kiedy to, co natarło na nich w jaskini, wyłoniło się zza muru.

W pierwszej chwili Riley nie zareagowała; Doyle bezceremonialnie przerzucił ją sobie przez ramię, a wtedy sięgnęła po broń.

– Jesteśmy przywiązani do tego cholernego drzewa! – zawołała.

– Już nie.

Nim Doyle dotarł do domu, zdążyła kilka razy wystrzelić.

Posadził ją na kuchennej wyspie, więc ich oczy znalazły się na jednej wysokości.

– Nic ci nie jest?

– Nie. Jestem tylko mokra. – Odepchnęła go. – Co, do diabła, Sawyer? – powtórzyła.

– Nieźle nam dołożyła. Tylko tyle mogę powiedzieć. – Schował pistolet do kabury. – Straciłem równowagę. Na parę sekund was wypuściłem, że się tak wyrażę.

– Leciłam prosto na skały. – Riley wycisnęła mokre włosy. – Omal się o nie rozbiłam.

– Stałoby się tak – powiedział jej Doyle – gdyby nie lina, która cię poderwała.

– Nie wiem, czym we mnie cisnęła – dodał Sawyer. – Ale założę się, że czekała, by to zrobić. Przepraszam.

– To nie twoja wina i szybko odzyskałeś moc. – Nieco uspokojona, Riley spojrzała w okno. Nagle się ściemniło i padał deszcz. – Burza.

– Nie. – Sasha przygładziła rozwiane przez wiatr włosy i pokręciła głową. – To tylko gniew. Zbiera siły. W tej chwili Riley musi się przebrać w suche ubranie i chociaż jestem bardzo wdzięczna, że mieliśmy liny, też musimy się ich pozbyć.

Bran tylko zrobił ruch ręką i liny zniknęły.

– Suche ubranie może poczekać. Chcę jeszcze raz rzucić okiem na gwiazdę.
Bran znów machnął ręką. Riley westchnęła z wdzięcznością, kiedy jej ubranie, włosy, nawet buty stały się suche i ciepłe.

– Wielkie dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zabierzemy gwiazdę na górę, tam, gdzie są pozostałe. I ją ukryjemy.

– Jeszcze nie mamy jej gdzie umieścić – przypomniał mu Sawyer.

– Mamy. – Bran objął Sashę. – Nasza *fáidh* malowała prawie do wpół do drugiej nad ranem.

– Nic nam nie powiedziałaś – odezwała się Annika.

– Rozmawiałam o tym z Branem, kiedy skończyłam obraz. Oboje uznaliśmy, że powinniśmy się skupić na zdobyciu gwiazdy. Do tej pory...

– Co namalowałaś? – Riley zeskoczyła z szafki. – Zobaczmy. I... – Skinęła na Doyle'a. Wyjął z kieszeni gwiazdę, podał jej.

– Jaka ciepła. I nic nie waży. To zdumiewające. A jej światło jest przejrzyste i czyste niczym arktyczny lód. I pulsuje – mówiła, idąc na górę. – Jak bijące serce.

Spojrzała na Doyle'a, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Udało nam się.

Przyparł ją do ściany i nie zwracając uwagi na gwiazdę, która pulsowała między nimi, pocałował ją jak szalenię.

– Widziałem, jak spadałaś. Byłaś nie dalej niż trzydzieści centymetrów od skały, kiedy... Kiedy mi się udało... Udało nam się cię wyciągnąć. Zamierzałaś przeciąć linę. Sięgnęłaś po nóż.

– Naturalnie, że chciałam przeciąć linę. Myślałam, że puściłam Sawyera i pociągnę wszystkich za sobą. Ty zrobiłbyś to samo.

– Jestem nieśmiertelny – przypomniał jej i odsunął się szybko.

Riley spojrzała na gwiazdę, syknęła i poszła za nim.

– Czy naprawdę pora teraz na fochy? Właśnie znaleźliśmy ostatnią gwiazdę. W naszych rękach jest coś, czego nie miał nikt poza boginiami. Jesteśmy...

– Chcesz umieścić wszystkie trzy w muzeum i opatrzyć stosowną tabliczką?

Wzdrygnęła się. Nigdy wcześniej tak nie zareagowała, bez względu na okoliczności.

Spojrzała na niego, wyraźnie dotknięta, i to też było u niej coś nowego.

– Jak możesz!

– Masz rację. Przepraszam. Naprawdę przepraszam. – Odszedł dwa kroki i wrócił. – Bardzo przepraszam. To było głupie, nie zasłużyłaś sobie na taką uwagę.

Wolno skinęła głową.

– Zapomnijmy o tym.

– Riley. – Złapał ją za rękę, nim zdążyła od niego odejść. – Oczami wyobraźni widziałem, jak umierasza, jak się rozbija o skały. To... To przez ten mój strach – tłumaczył.

– Ale wciąż tu jestem. Więc się uspokój. Pozostali czekają na nas i na gwiazdę.

– Masz rację. – W milczeniu poszedł z nią do wieży.

Kiedy wszyscy umilkli i odwrócili się, patrząc na nich, Riley wzniosła oczy do góry.

– Przepraszamy za zwłokę. Po prostu... Jasna cholera.

Obraz świecił. Gotowa była przysiąc, że pulsował niemal równie wyraźnie jak cudowna gwiazda, którą wciąż trzymała w dłoni.

– To... Wprost zapiera dech, Sasho.

– Nie wiem, w jakim stopniu to moja zasługa.

– W stu procentach – zapewnił ją Bran. – W stu procentach.

Dotknęła dłonią jego policzka.

– Właśnie mówiłam, że koło północy poczułam natchnienie. Na wszelki wypadek już wcześniej zagruntowałam płótno i bardzo dobrze zrobiłam. Poczułam nieodpartą potrzebę namalowania tego obrazu. Nie tylko to widziałam. Byłam tam. Czułam, dotykałam, słyszałam. Wcześniejsze moje wizje w porównaniu z tą wydawały się blade, niewyraźne.

– Muszę to powiedzieć. Mogę? – Sawyer teatralnym ruchem skłonił się płótnu. – Oto Szklana Wyspa.

Unosiła się na połyskującym morzu koloru indygo, pod usianym gwiazdami niebem, na którym świecił biały księżyc. Unosiła się, jakby mogła się przemieszczać, poruszana wiatrem. Plaże wokół niej były oślepiająco białe, piasek przypominał skrzący się brylantowy pył, obmywany spienionymi morskimi falami. Zielonym wzgórzom dodawały barw kwitnące polne kwiaty.

Na jednym ze wzgórz stał pałac, połyskujący srebrzyście. Na drugim widać było kamienny krąg, szary jak mgła, która go spowijała.

Przeglądając się obrazowi, Riley dostrzegała coraz więcej szczegółów. Łagodny zakręt strumienia, strugę wodospadu, ogrody oświetlone jakby przez latające duszki, fontannę w kształcie smoka, który pluł nie ogniem, tylko wodą.

– Musimy tam dotrzeć. A kiedy się tam znajdziemy, będą musiały pozwolić mi wziąć kilka próbek. Kilka kamyków, garść piasku, trochę ziemi. Na pewno są tam skamieliny. Chciałam powiedzieć...

– Uspokój się, Indiana. – Sawyer dał jej kuksańca w bok. – Najpierw gwiazda.

– Tak, najpierw gwiazda. Ale później... – Riley spojrzała na gwiazdę, a potem na obraz. – Dzięki temu człowiek uzmysławia sobie, dlaczego, prawda? Muszą wrócić na swoje miejsce, muszą być bezpieczne. Świat co jakiś czas wariuje. Ale to się nie zmienia. I może dlatego reszta z nas nie przekracza granicy.

Podążyła gwiazdę Branowi.

– Twoja kolej, czarodzieju.

Tak jak dwie poprzednie, zamknął i tę w szklanej kuli. Ustawili się kołem, a potem dopełnili rytuału jako strażnicy, umieszczając gwiazdę w obrazie. Z dala od rąk Nerezy.

– Teraz pozostało nam jedynie odszukać wyspę i dostać się tam razem z gwiazdami, zniszczyć złą, szaloną boginię i... – Riley wzruszyła ramionami – potem ja stawiam pierwszą kolejkę.

– Trzymamy cię za słowo – powiedział Sawyer.

Rozległ się grzmot. Riley zmarszczyła czoło i spojrzała w okno.

– Jesteś pewna, że to tylko napad złości?

– Jestem pewna – oświadczyła stanowczo Sasha.

– W takim razie przygotuję się do drugiego etapu. Zamierzam odszukać wyspę. I właśnie tym się teraz zajmę.

*

Wciąż była okropna pogoda, więc siedzenie w bibliotece pełnej książek, przy kominku, w którym trzaskał ogień, nie było jakimś szczególnym poświęceniem. Riley rozumiała, że musi uzbroić się w cierpliwość, żeby móc skrupulatnie przesiewać poszczególne warstwy, ale frustracja sprawiła, że zeszywniały jej plecy.

Walczyli, wykrwawiali się, szukali, znaleźli. A wszystko to nie miało żadnego znaczenia, dopóki nie wiedzą, gdzie jest wyspa.

Usiadła prosto, poruszyła ramionami, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie, i popatrzyła

na ścianę książek. Tyle ich tutaj, pomyślała, tyle możliwości. W każdej z nich mogła się kryć odpowiedź albo przynajmniej wskazówka, gdzie jej szukać. Tylko ile czasu zajmie znalezienie tej odpowiedzi? Ile czasu im zostało?

I jak długo sześć osób może mieszkać w jednym domu – nawet tak przestronnym – nim zaczną sobie skakać do gardeł?

Musieli działać, odnieść sukces.

Spojrzała w stronę okna, bo znów rozległ się grzmot.

Wstała, przeszła wzdłuż półek, wzięła pierwszą z brzegu książkę.

Do biblioteki zajrzał Doyle.

– Nic nie mam – powiedziała mu. – Nie wiem nic, czego nie wiedziałam dwie godziny temu. A właściwie dwa dni temu. Jeśli chcesz się przyłączyć, proszę bardzo. Może powinniśmy stworzyć klub książki. Codziennie każdy wypożycza jedną.

Urwała, skinęła głową.

– Właściwie to całkiem dobry pomysł.

– Mamy gwiazdy.

– Tak, ale nie wiemy, gdzie znajduje się wyspa. – Riley wskazała okno książką, którą trzymała w ręku. – Jestem prawie pewna, że Nerezza może przeciagać ten sztorm w nieskończoność, a walka z nią teraz, bez planu, co dalej, nie ma sensu.

– Będziemy walczyć wtedy, kiedy zajdzie taka potrzeba.

– Niewątpliwie, lecz jeśli chodzi o taktykę, dobrze byłoby znaleźć drogę na wyspę, zanim się zmierny z Nerezzą. Co jest? – Riley przesunęła dłonią po twarzy, jakby chciała wytrzeć jakąś brudną smugę. – Na co się gapisz?

– Nie rozumiem cię.

– Nie ty pierwszy. – Jednak ona rozumiała, więc odłożyła książkę. – Naprawdę chcesz w to wejść? To nie w twoim stylu.

– Mamy gwiazdy – powtórzył. – Ale jeszcze nie dokończyliśmy naszej misji. Musimy razem pracować, razem walczyć, razem planować.

– Zgoda, nie widzę problemu. – Uniosła brwi. – Jeśli ty widzisz, to twoje zmartwienie. Moje uczucia należą do mnie. A to, jakie są, niczego nie zmienia. I jak powiedział Bogart, mniej więcej: Problemy między dwojgiem ludzi nie mają większego znaczenia w ogólnym rozrachunku.

– Daleko to odbiega od jego oryginalnej kwestii.

– Ale oddaje jej istotę. – Westchnęła i usiadła na oparciu kanapy. – Nie każdy dostaje to, co by chciał. Takie jest życie. Możemy się zajmować boginiami, magicznymi wyspami i gwiazdami, jednak każde z nas wie, czym jest prawdziwe życie. Czy wyglądam na kogoś, kto zepsułby coś tak ważnego, albo, co gorsze, na kobietę, która umrze z rozpaczy, ponieważ pewien facet urodzony w siedemnastym wieku nie odwzajemnia jej miłości?

– Nie.

– To dobrze, bo nie jestem taka. Zrozum to w końcu. Jestem, kim jestem, czuję to, co czuję. Potraktuj to tak samo, a będziemy kwita. Jasne?

– Tak. Już dobrze.

Kiedy się odwrócił, żeby wyjść, wolno wstała.

– Chwileczkę. Chwileczkę. Co powiedziałaś?

– Powiedziałem, że wszystko jasne.

– Nie. – Serce zaczęło jej walić, kiedy ruszyła w jego stronę. – Powiedziałaś: „Już dobrze”.

– To jedno i to samo.

– Nie. – Zaryzykowała, odważyła się na niego spojrzeć. I zobaczyła. – Ty dupku! – Wymierzyła mu mocny cios prosto w pierś. – Ty skończony fiucie. Już dobrze, *ma faol*. Powiedziałeś mi to, kiedy byłam na wpół przytomna, leciała mi krew, miałam połamane kości, a ty wzięłeś mnie na ręce, żeby mnie wynieść z lasu. „Już dobrze, moja wilczyco”. Twoja wilczyco? – Znów go uderzyła i jeszcze popchnęła.

– Byłaś ranna... – zaczął.

– Zgadza się, zgadza się. – Teraz wbiła mu palec w klatkę piersiową. – A kiedy Bran opatrywał moje rany, trzymałeś mnie. – Boże, przypomniała to sobie teraz, razem z bólem, który wtedy czuła. – Powiedziałeś, żebym była silna, żebym wróciła. Wróciła do ciebie. Po irlandzku. *Teacht ar ais chugam, ma faol*. Ty tchórze!

To słowo ociekało drwiną.

– Powiedziałeś mi to, kiedy myślałeś, że jestem nieprzytomna, ale nie stać cię, żeby mi to powiedzieć prosto w twarz?

Chciała znów go uderzyć, ale Doyle złapał ją za rękę.

– Uderz mnie jeszcze raz, a przekonamy się, czy jestem tchórzem.

– Wolisz być emocjonalnym karłem? Kochasz mnie, a nie potrafisz mi tego powiedzieć, kiedy jestem przytomna, bo się boisz. To żalosne. Jesteś żalosny.

Wyraźnie wzburzony, podniósł ją tak, że dotykała podłogi tylko czubkami palców.

– Uważaj, co mówisz.

– Pieprzę to. Zapomniałeś, że mówię, co czuję? To ty mnie okłamałeś.

– Nie okłamałem cię.

– Przekonajmy się. Kochasz mnie?

Postawił ją na ziemi.

– Nie zamierzam dłużej o tym rozmawiać.

– Tak czy nie? To proste pytanie. Odpowiedz na nie, jeśli masz jaja.

– Nieważne, co...

– Tak czy nie, do jasnej cholery. Słucham.

– Tak! – Zabrzmiało to jak grzmot. – Ale to nie...

– Wystarczy mi „tak” – przerwała mu. – I dobrze. – Otworzyła drzwi, dając mu znak, że może wyjść.

– To nie ma sensu.

– Och, na litość boską, to już się dzieje. I jeśli zamierzasz powrócić do swojej starej śpiewki, że jesteś nieśmiertelny, możesz sobie tego oszczędzić. Tak, umrę. Może nawet dziś. – Wskazała ręką burzę za oknem. – A może za pięćdziesiąt lat. Może w przyszłym tygodniu, a może dożyję sto czwartych urodzin. Pięcioro z naszej szóstki to czeka, co nie powstrzymało Brana i Sashy ani Sawyera i Anniki, by cieszyć się tym, co mają, najdłużej, jak to możliwe.

– Nikt z nich nie był świadkiem śmierci tej drugiej osoby.

– Ale będą.

– To nie to samo. To zupełnie nie to samo.

– Żal to żal, możesz wiecznie rozpaczać, jeśli tak wolisz. Nie proszę cię ani nie oczekuję, żebyś był ze mną, kiedy będę miała sto cztery lata. Chciałam tylko prawdy. Nieważne, jak długo będzie to trwało.

– Małżeństwo to...

– Kto choćby słówkiem wspomniał tu o małżeństwie? – spytała. – Niepotrzebne mi przysięgi, obrączki ani biała suknia. Potrzebna mi tylko prawda. Teraz ją poznałam i jesteśmy kwita. To mi wystarczy.

Westchnęła i położyła dłoń na jego sercu.

– Tyle mi wystarczy, Doyle. Domagam się prawdy i bądź ze mną tak długo, jak długo będzie między nami dobrze. Tyle mi wystarczy.

Zamknął rękę na jej dłoni.

– Przysięgałem sobie, że już nigdy nie pokocham.

– To było, zanim mnie poznałeś.

– Tak. Nie ma drugiej takiej jak ty. Twoje oczy mnie zachwyciły, twój umysł mnie fascynuje, twoje ciało...

Roześmiała się.

– Zapomniałeś o mojej błyskotliwej osobowości.

– Nie jest błyskotliwa. Wolę ciętość niż blask.

– Masz szczęście.

Zbliżyła się do niego, stanęła na palcach. Poczuła, jak Doyle zaciska dłonie na jej biodrach. Wtedy usłyszeli, że ktoś biegnie po kręconych schodach.

– Macie przyjść! – Annika klasnęła w dłonie. – Na górę! Muszę pójść po Sawyera. A wy idźcie.

Pobiegli, nie zadając żadnych pytań.

Bran stał obok Sashy, trzymał dłoń na jej ramieniu. Wpatrywała się w mokrą od deszczu szybę w drzwiach na taras.

– Wizja? – spytała Riley.

Bran pokręcił głową, a Sasha powiedziała:

– Niezupełnie. To... Coś tam jest, ale nie widzę tego ani nie słyszę. Tylko wiem.

– Nerezza? – Riley podeszła do Sashy, stanęła obok niej z drugiej strony.

– Jest blisko... Za blisko. Ale to nie to. W morzu, pośród szalejącego sztormu... Nie potrafię powiedzieć.

– To nie wszystko. – Bran odwrócił się w stronę kominka, gdzie stały trzy obrazy.

Pulsowały światłem. Głęboka, mocna czerwień na obrazie, przedstawiającym ścieżkę w lesie Brana, nieskazitelny, intensywny błękit na wizerunku domu, czysta, promienna biel na Szklanej Wyspie.

– To... Myślę, że to ich serca – powiedziała Sasha. – Biją serca gwiazd. A tam jest coś, czego nie widzimy. W oku cyklonu.

– Zaraz... – Riley przycisnęła palce do skroni. Wbiegli Sawyer z Anniką. – W moich notatkach... Niech pomyślę. Zapisalam coś takiego. Serce gwiazd, serce morza, serce sztormu.

– Pójdę po twoje notatki.

– To... – Uniosła rękę, żeby powstrzymać Doyle'a. – To się odnosiło do wskrzeszenia gwiazd... Ich upadku i powstania. Cichy oddech, ple-ple-ple, bijące serca. Pulsowały, kiedy je znaleźliśmy, więc uznałam, że to to, ale są wzmianki o sercu nawołującym serce, prowadzącym je do domu. I... Ach... Kiedy gwiazdy w pełni się obudzą, rozszałe się sztorm na ziemi i na morzu. „Udajcie się do serca sztormu, a tam czeka serce morza, serce światów”.

– Szklana Wyspa? – Sawyer zbliżył się do okna, wyrzwał przez nie.

– To tylko przypuszczenie. I Sasha mówiła o podróży podczas sztormu. Z całą pewnością mamy sztorm.

– Podróży, ale dokąd? – Sawyer myślał na głos. – Widoczność jest bliska zeru.

– Nie będziemy pierwszymi, którzy podążą za gwiazdą. A mamy ich trzy. – Bran spojrzał w twarze pozostałych. – Czy wierzymy w przeznaczenie, w gwiazdy?

– Jeśli mam się tam udać, to z całą waszą piątką i z nimi. – Doyle popatrzył na obrazy. – Przeznaczenie to szatański wymysł, ale wchodzę w to.

– Ja też. – Annika wyciągnęła rękę do Sawyera. – Jeśli wszyscy się zdecydujecie.

- Wchodzę w to – powtórzył za Doyle'em Sawyer.
- Tak. – Sasha odwróciła się od okna. – Tak. Riley?
- Przygotujmy plan operacji i działajmy.

*

W głębokim półmroku, podczas szalejącego sztormu, Sasha i Annika wyszły z domu i skierowały się w stronę muru na klifie. Mogło się wydawać, że patrolują okolicę, bo w czarnych, błyszczących płaszczach przeciwdeszczowych wyglądały jak poruszające się cienie.

Sasha ujęła dłoń Anniki, uściśniła ją mocno. Potem zdjęła kuszę z pleców i wystrzeliła wysoko w górę. Bełt rozbrzmiał na niebie, oświetlając armię wroga, sunącą cicho po czarnym niebie.

Z obu wież rozległy się strzały karabinowe. Bran, stojący na parapecie, zaczął miotać błyskawice.

Szybka i zręczna Annika pobiegła, żeby rozmieścić fiolki światła tam, gdzie polecił jej Bran, uskakując, by uniknąć ostrych skrzydeł i twardych dziobów. Doyle, machając mieczem, torował jej drogę.

Wtedy ziemia się zatrzęsła.

Zajmująca pozycję na parapecie Riley załadowała broń, wystrzeliła. Syknęła, kiedy czarny piorun trafił drzewo na skraju lasu, rozłupując je. Gdy spadł ognisty pocisk, ziemia się rozstała, żeby go pochłoniąć.

Do diabła, nie pozwolą Nerezzie zniszczyć tego miejsca. Do diabła, nie pozwolą. W dzikiej furii zabiła rój skrzydlatej czarnej śmierci.

Na lewo od siebie dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Odwróciła się; demon, który wcześniej był Malmonem, uśmiechnął się do niej szyderczo, chociaż do niego strzeliła.

Z jego piersi trysnął gęsty zielony płyn.

– Uczyniła mnie silniejszym. Dała mi ciebie.

Kolejny strzał okazał się niecelny, bo Malmon zniknął z jednego miejsca i pojawił się w innym. Nim udało jej się znów wystrzelić, zacisnął szpony na jej gardle. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, brakło jej powietrza.

– To Nerezza. Moja królowa. Jest wszystkim. Daj mi gwiazdy dla mojej królowej, a pozwolę ci żyć.

Riley zdołała tylko wycharczeć: „Pieprz się”, kiedy na moment przestał ją dusić. Mocniej zacisnął szpony na jej gardle, unosząc w górę, aż zaczęła machać nogami w powietrzu.

– Pozwoliła mi wybierać. Wybrałem ciebie. – Prawie nie mrugnął swoimi gadzimi ślepiami, kiedy wbiła mu nóż w brzuch. – Mogę cię zabrać, karmić się tobą. Jestem głodny.

Wysunął język i przeciągnął nim po jej policzku.

– Inni zginą tutaj, a nieśmiertelny...

– Ej, dupku!

Malmon odwrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Zamrugał, kiedy uścisk jego szponiastych palców minimalnie zelżał. Riley wciągnęła powietrze w płuca.

Sawyer wycelował mu między oczy.

– To za Maroko. – Strzelił Malmonowi w sam środek czoła.

Riley, krztusząc się jeszcze, podniosła broń do strzału, ale stwierdziła, że nie ma takiej potrzeby.

– I za Riley. – Kiedy tamten próbował się niezgrabnie podnieść, z zamglonym wzrokiem, dzwoniąc szponami, Sawyer znów wycelował. – A to, ty sukinsynu, za Annikę. – Ostatni strzał dosłownie rozerwał twarz tego, w kogo się przemienił Malmon.

Sawyer zacisnął rękę na ramieniu Riley, która oddychała z trudem. Miał nieprzeniknioną minę, spojrzenie jego szarych oczu było twarde jak kamień. Ale jego głos brzmiał kojąco.

– Sprawdzam się w przypadku zombie, więc pomyślałem...

– Dzięki.

Malmon nie przemienił się w popiół, tylko jakby się rozpląnął; łuski, krew, kości rozpuściły się, pozostała tylko mokra plama na kamiennej posadzce.

Riley z trudem przełknęła ślinę, skrzywiła się.

– Fuj.

– Zgadza się. Wszystko w porządku?

Wzięła głęboki oddech i skinęła głową. A potem spojrzała w górę.

– Cholera, cholera, a oto nadciąga gruba ryba.

Nerezza pojawiła się na niebie na swoim trzygłowym wierzchowcu. Wiatr unosił jej włosy, poprzetykane pasmami siwizny. Ubrojona w miecz i tarczę, wypuściła czarny piorun, który przemienił się w deszcz ognia. Bran też wypuścił piorun, a Riley z Sawyerem zbiegli na dół, żeby dołączyć do pozostałych.

Ziemia skwierczała, ogrody stanęły w płomieniach. Drżąca ziemia pękała, szczeliny ziały ogniem.

– Dalej, Bran, dalej! – ponagliła go Riley. Uchylając się przed językami ognia, wystrzeliła z pistoletu. – Musimy ją stąd odciągnąć. Sash! – Złapała Sashę za ramię i razem z nią odskoczyła, kiedy otworzyła się ziemia.

Nad ich głowami niczym tarcza pojawił się ich herb. Zapłonął błękitem, bielą i czerwienią, kolorami gwiazd. Spadł na niego ognisty deszcz.

– To znak dla nas. Musimy się wynosić – rzekł Sawyer.

Sasha pokręciła głową, patrząc, jak Bran, stojąc na parapecie, ściąga na siebie moc Nerezzy.

– Bran.

– Uda mu się. Zaufaj mu. – Riley złapała rękę Sashy i skinęła głową do Sawyera. – Zaczynaj.

Podczas podróży nie wypuściła dłoni Sashy. Wiedziała teraz, co to miłość, wiedziała, co to strach, który się z nią wiąże. Gdy tylko znaleźli się w łodzi, Doyle pobiegł do sterówki. Wokół nich szalał wiatr, zacinął deszcz. Ryk sztormu zagłuszył pracę silnika, kiedy Doyle skierował łódź na pełne morze.

– Uda mu się – powtórzyła Riley. – Chce odwrócić jej uwagę od nas do czasu, kiedy...

Bran lekko wylądował na pokładzie, trzymając w ramionach gwiazdy w szklanych kulach. Sasha zarzuciła mu ręce na szyję.

– Jesteś ranny? Bran?

– Tylko lekko draśnięty tu i tam. Weź gwiazdy, *fáidh*. Jeśli mają nas prowadzić, to muszą być w twoich rękach.

Łódź wzniosła się na wysokiej fali, a potem spadła w otchłań. Wiatr i fale smagały ich i kłębiły się wokół.

– Mogę popłynąć, jeśli będzie taka potrzeba – zawołała Annika. – Ale...

– Trzymaj się. – Sawyer złapał ją, kiedy uniosła się kolejna fala, zalewając łódź.

Riley z trudem przedostała się do sterówki, gdzie stał Doyle, zaparłszy się nogami, naprężywszy mięśnie.

– Wracaj do pozostałych i trzymaj się.

– Zostanę z tobą.

Spojrzał na nią, zobaczył sine ślady na jej szyi.

– Co, u diabła...

– Później. – Starła się zachować równowagę, kiedy morze miało łodzią jak łupinką.

– Nadciąga! – krzyknęła Sasha. – A gwiazdy...

Przestały pulsować, uświadomiła sobie Riley, gdy kolejna fala załapała pokład. Biły coraz szybciej, promienie światła wystrzeliwały z nich jak światło przewodnie.

Żeby wskazać im drogę. Ale jednocześnie zdradzą Nerezzie, gdzie dokładnie się znajdują.

– Dziesięć stopni na sterburtę – powiedziała Doyle'owi.

– Chryste. Widzisz, co tam jest?

Trąba wodna wirowała, czarna na czarnym tle. Deszcz znów przemienił się w płomienie. Iskry strzelały w niebo, syczały w wodzie jak węże.

Bran podniósł ręce, żeby utworzyć tarczę, a wtedy na niebie pojawiła się Nerezza.

Jej piorun zderzył się z jego piorunem, starły się dwie moce.

– Przejmij ode mnie ster – powiedział Doyle, kiedy Sawyer chybił, bo łódź się przechyliła. Wciągnął do sterówki Saszę, trzymającą gwiazdy. – Zabierz nas tam, dokąd musimy się udać. Potrzebna im pomoc. – Pocałował Riley krótko, namiętnie. – Trzymaj się – dodał, a potem wybiegł, żeby stanąć u boku przyjaciół.

– Serce do serca, światło do światła. – Sasha starała się nie upaść, kiedy przed jej oczami przesuwały się obrazy. – Ta chwila ze wszystkich chwil na wszystkich światach. Zaryzykujcie podczas sztormu, płyńcie przez sztorm, niech się uniesie zasłona.

– Robię, co mogę. – Riley, zacisnąwszy zęby, kręciła sterem, próbując pokonać kolejną falę. Kierując się sercem i wiarą, obrała kurs na trąbę wodną.

Szaleństwo. Jak podczas niekontrolowanej jazdy czy skoku z klifu. Złapał ich wodny wir, obrócił łódź. Ster wysunął jej się z rąk, niemal upadła, lecz zdołała znów zacisnąć na nim palce jednej dłoni.

Popatrzyła na Saszę, która stała wyprostowana, trzymając gwiazdy na rękach jak niemowlęta. Od jej twarzy bił blask.

– Strażnicy pokonują sztorm, prowadzeni przez gwiazdy. Zasłona się podnosi, sztorm cichnie. Miecz uderza. I po wszystkim.

– Oby twój głos dotarł do uszu bogiń! – krzyknęła Riley. – Bo już nie dam rady dłużej.

– Spójrz, córko Szklanej Wyspy, i zobacz.

Riley poczuła zawroty głowy, zebrało jej się na mdłości. Zmrużyła oczy, próbując coś dostrzec przez ścianę wody.

Błyszczały. Lśniły nieruchome w świetle księżyca. Wrota do drugiego świata.

Kiedy dziób łodzi uniósł się w górę, uczepiła się steru i popatrzyła za siebie.

Doyle stał w wodzie, sięgającej mu prawie do kolan. Sawyer usiadł i zaparłszy się nogami o ławkę, wypalił do Cerbera.

– Nie mogę w nią trafić! – krzyknął, kiedy Bran cisnął piorunem w tarczę Nerezzy, a Annika rzuciła się na bestię.

– A ja mogę. – Doyle wskoczył na ławkę, chociaż łódź chwiała się na falach. Ciął mieczem Cerbera, niemal odrąbując bestii środkowy łeb.

Ostrze miecza uderzyło w miecz Nerezzy z brzękiem, od którego zadrzało powietrze.

Zadrzały światy.

Cerber wyciągnął w stronę Doyle'a łeb, ale dosięgnęła go błyskawica Brana. Doyle nie zwracał uwagi ani na rozszalałe morze, ani na kanonadę, ani na starcie mocy.

Swoje spojrzenie, myśli, skupił na Nerezzie i pragnieniu, które nosił w sobie od stuleci: żeby ją zgladzić.

Wykonał fintę i ujrzał triumf na twarzy Nerezzy, kiedy ostrze jej miecza rozcięło mu

ramię.

Wtedy, wykorzystując tę chwilę jej triumfu, zatopił miecz w sercu bogini zła.

W jej szalonych oczach pojawił się szok. Jej krzyk dołączył do ryku trzeciego łba Cerbera, kiedy kolejny strzał Sawyera dosięgnął celu.

Próbowała wznieść się w górę, uciec, ale razem z bestią zvaliła się w czarne, kłębiące się morze, które ją pochłonęło.

W tej samej chwili sztorm ucichł. Oszołomiona, bez tchu, Riley skierowała łódź do wrót, za którymi majaczyła Szklana Wyspa niczym sen.

I padła na pokład.

– Riley!

Słyszając krzyk Sashy, Doyle odwrócił się, uniósł zakrwawiony miecz.

– Nie, nie, to księżyc. Zmienił się. I razem z nim ja. Cholera, cholera.

– Mam ją. Niech ktoś zacznie wybierać wodę, inaczej zatoniemy, nim dotrzemy do brzegu. – Doyle ukląkł, by pomóc Riley zdjąć sztormiaki i sweter. – Już dobrze. – Przycisnął usta do jej czoła, kiedy zaczęła się zmieniać. – Już dobrze, *ma faol*.

Pozwoliła się wziąć na ręce, pozwoliła, by ją unióśł ponad zalany wodą pokład. A kiedy niczym po tafli spokojnego jeziora dotarli do wyspy, pozwoliła mu, żeby wynióśł ją na brzeg, i pierwsze kroki na lądzie zrobiła jako wilczyca.

ROZDZIAŁ 19

W ciągu całego swojego życia Riley nigdy nie miała pretensji do losu, że jest lykanem. Nigdy nie przeklinała pełni księżyca ani nie zżymała się na transformację. Ale znaleźć się na Szklanej Wyspie, w magicznym miejscu, pełnym tajemnic, nie wiadomo jak starym, i nie móc nic powiedzieć... Klęła w duchu, że przemiana nastąpiła w najmniej odpowiedniej chwili.

Czuła zapach kwiatów i owoców, morza i piasku, chłodnej zieleni traw, dymu z pochodni, które oświetlały krętą drogę na wzgórze, gdzie stał zamek, połyskujący srebrzyście, emanujący blaskiem. Rozkoszowała się ciepłym, delikatnym wietrzykiem, który zdawał się balsamem po zimnej i deszczowej Irlandii.

Odczuwała przemożną potrzebę ruchu, by spalić energię, która ją wprost rozpierała po transformacji. Cała aż się trzęsła, nawet kiedy Doyle przykucnął obok niej i położył dłoń na jej szyi.

– Nie biegnij. Wstrzymaj się trochę.

Instynkt i rozum stoczyły w niej kolejną walkę. Ale spojrzenie zielonych oczu Doyle'a ją powstrzymało. A po chwili naprężyła mięśnie, gotowa do ataku i obrony, gdyż poczuła coś... Innego.

Doyle sięgnął po miecz.

Trzy księżycowe boginie z wizji i obrazów Sashy spłynęły z mroku do światła. Doyle się wyprostował, wciąż ściskając miecz. Bran położył dłoń na jego ramieniu.

– Schowaj miecz, *mo chara*. Są istotami ze światła. Nie czujesz tego?

– Jak należy się przywitać z boginiami? – zastanawiał się na głos Sawyer. – Mam na myśli takie, które nie próbują cię zabić.

Annika rozwiązała ten problem; ruszyła ku nim, jej mokry warkocz unosił się w biegu.

– Witajcie! Tak się cieszymy! Jesteście takie piękne. Wyglądacie jak moja matka i jak *mórai*. Jak na obrazach Sashy. Jesteśmy przemoczeni i... Och, widzę ślady krwi. – I jakby chciała strzepnąć pyłek z kłapy, zaczęła pocierać czerwoną smugę na swoim ramieniu. – Przepraszam, że jesteśmy tacy brudni.

– Można i tak – mruknął Sawyer.

Luna się uśmiechnęła.

– Jesteście tu mile widzianymi gośćmi, synowie i córki Szklanej Wyspy. – Położyła dłoń na ramieniu Anniki, a kiedy ją pocałowała w policzek, rana się zagoiła.

– Och, dziękuję. Przynieśliśmy wam gwiazdy. Ma je Sasha. Też jest trochę wymazana krwią. Podobnie jak Sawyer, mój ukochany. Bran jest poparzony. Ponieważ trafiliśmy akurat na pełnię księżyca, Riley musiała bardzo szybko przemienić się w wilczycę. A to jest Doyle. To on ugodził Nerezze mieczem tak, że wpadła do morza. Zakończyliśmy walkę z nią i mogliśmy przybyć tutaj. Jestem taka szczęśliwa.

– Jesteś taka radosna – odezwała się do niej Luna. – A wszyscy jesteście wspaniali – zwróciła się do nich.

– Jesteście odważni. – Arianrhod wystąpiła do przodu. – I godni podziwu. Potem porozmawiamy – zwróciła się do Riley – ale teraz idź pobiegać. Swobodna jak wiatr. – Przeniosła spojrzenie na Doyle'a. – Przysięgam na swój honor, że będzie bezpieczna i wróci do was.

Wilczyca odwróciła i także spojrzała na niego. A potem pobiegła po piasku i zniknęła w ciemnościach.

– Zawsze znajdzie drogę do was, a wy do niej.
– Ty jesteś silny i waleczny. – Celene podeszła do Brana, pocałowała go w policzek. – Moc i światło. Szanujemy cię i jesteśmy ci wdzięczne.

– Jesteśmy waszymi dziećmi.
– Krew z naszej krwi, kość z naszej kości. Serce – dodała Celene, kładąc dłoń na sercu Brana – z naszego serca. Córnko... – zwróciła się do Sashy – czy oddasz nam gwiazdy?

– Tak.
Wszystkie trzy wyciągnęły ręce. Szklane kule zniknęły, każda z gwiazd spłynęła na dłoń tej bogini, która ją stworzyła.

Przez jakiś czas pulsowały, potem znieruchomiały. I zniknęły.

– Czy wróciły na niebo? – Annika popatrzyła w górę.

– Jeszcze nie – odrzekła Luna. – Lecz są bezpieczne.

– Nie zamierzam was pouczać – odezwał się Sawyer – ale czy nie chodziło o to, żeby wróciły na swoje miejsce?

– Jeszcze nie zrobiliśmy wszystkiego – oświadczyła Sasha. – To jeszcze nie koniec.

– Nie zabiłem jej – powiedział Doyle, przyglądając się uważnie jej twarzy. – Wciąż gdzieś tam jest.

– Ugodziłeś ją mocno. – Trzymając dłoń na rękojeści miecza, Arianrhod stanęła naprzeciwko Doyle'a, wojowniczką naprzeciw wojownika. – Ale nie twój miecz zada jej śmiertelny cios. Póki nie zginie, gwiazdy będą czekały.

– Nie zdoła ich teraz dosięgnąć – zapewniła ich Luna.

– Ale nawet tutaj może dosięgnąć nas – powiedziała Sasha, doznając olśnienia. – Teraz liże się z ran. Lecz kiedy odzyska siły, jej szaleństwo osiągnie apogeum. Będzie pragnęła naszej śmierci jak wina.

– Ale nie dzisiejszej nocy. – Celene wysoko uniosła ręce. – Ujrzyjcie to, co widzę, poznajcie to, co wiem. Tej nocy nic nie zakłóci. Witamy na Szklanej Wyspie.

– Musimy wyruszyć z kolejną misją. – Oczy Sashy pociemniały, gdy zobaczyła i zrozumiała. – Za kręgiem mocy, gdzie pod Drzewem Całego Życia znajduje się kamień, w którym ukryto miecz. Jedną ręką należy go unieść, jedną się zamachnąć, żeby położyć kres temu, co pragnie pochłonąć światy.

– Ale nie tej nocy – powtórzyła Celene. – Dziś w nocy będziecie jedli, pili i odpoczywali. Chodźcie. Zatroszczymy się o was.

– Jest bezpieczna. – Arianrhod położyła dłoń na ramieniu Doyle'a, który się zawahał. – I odnajdzie was.

Spojrzał w stronę cienistych wzgórz pod usianym gwiazdami niebem, a wtedy rozległo się wycie wilka, pełne radości i triumfu. Towarzyszyło mu, kiedy razem z pozostałymi ruszył krętą drogą oświetloną pochodniami.

Pałac, wznoszący się na tle nocnego nieba, wyglądał tak, jak go namalowała Sasha. Barwne i wonne ogrody, grające fontanny, komnaty spowite bajkową poświatą, rozsiewające światło i rzucające skry.

Nikt do nich nie podszedł, kiedy podążali za trzema boginiami po srebrnych schodach, ozdobionych kwiatami i białymi świecami wysokimi jak człowiek. Sznury klejnotów zwisały z sufitów, rzucając światło. Minęli szeroki korytarz i znaleźli się w dużej komnacie.

Wymyślny salon, uznał Doyle. Były tam wygięte kanapy i fotele w tych samych kolorach, co sznury klejnotów, dające światło. Na stołach stało jedzenie – mięsa, owoce i chleb, sery, oliwki i daktyle. Desery wprost ociekały kremem. A także wino i kryształowe kielichy.

Przypomniał sobie o poście Riley. Naprawdę ma dziewczyna pecha.

Nie zastanawiał się, dlaczego jego ubranie, włosy i skóra, przemoczone przez sztorm i morską wodę, były teraz suche i ciepłe.

Znaleźli się w świetle, gdzie nie obowiązywała logika.

Ogień płonął zapraszająco. I chociaż miało się wrażenie, że od ścian bije światło, i tak w sali migotały świece.

Skądś dobiegała melodia, grana na harfie, cicha jak szept.

– Macie pytania. Ale najpierw musicie posilić ciała, umysły i dusze. – Celene naląła wina do kielichów. – I odpocząć. Komnaty już na was czekają.

– Jest też piwo. – Arianrhod naląła je z bursztynowej butelki, podała Doyle'owi. – Kiedy się obudzi, w pokoju, który dzielicie, będzie czekało na nią jedzenie.

– A gdybym chciał wyjść, żeby jej poszukać?

– Możesz chodzić wszędzie, gdzie zechcesz, tak samo jak ona. Jak wy wszyscy. Mogę obejrzeć twój miecz? A ty obejrzyj mój – dodała, kiedy Doyle zmrużył oczy. Wyciągnęła swój miecz, podała mu go. – Wykułam go, jak byłam bardzo młoda, zahartowałam błyskawicą i ochłodziłam w morzu. Nazwałam go Ceartas.

– Sprawiedliwość?

Bogini się uśmiechnęła.

– Byłam bardzo młoda.

Wziął od niej miecz, podał jej swój.

– Dobrze wyważony – stwierdziła Arianrhod. – I wciąż jest na nim jej krew.

– Najwidoczniej nie dość.

– Mój miecz, mimo swej nazwy, nie miał pokryć się jej krwią. Zazdroszczę ci tego.

Chciałabym odbyć z tobą sparing.

Doyle uniósł brwi.

– Teraz?

Dostrzegł w jej oczach błysk wojowniczkki. Spojrzała na pozostałych, którzy nakładali potrawy na talerze, opatrywali rany.

– Moje siostry sprzeciwiłyby się temu, więc może jutro.

– Masz przewagę.

Oddała mu jego miecz, schowała swój do pochwy.

– Będziemy walczyć jak wojownicy, nie jak bogini i człowiek nieśmiertelny.

– Zgoda. Wyglądasz jak moja matka.

Z jej oczu zniknął wojowniczy błysk, zastąpiło go współczucie, którego się nie spodziewał.

– Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy znajdziesz w tym pociechę zamiast smutku.

Jedz, żołnierzu, potrawy są smaczne.

Zwróciła się teraz do Sawyera.

– Demon, w którego przemieniła człowieka, nie żyje.

– Tak.

Doyle odwrócił głowę, a pozostali znieruchomieli, utkwivszy wzrok w Sawyerze.

– Malmon nie żyje?

– Byliśmy zbyt zajęci, żeby wam to powiedzieć. – Sawyer potarł kark. – Zaatakował

Riley.

– Zostały jej ślady na szyi – dodał Doyle.

– Strzeliła do niego, zadała mu cios nożem prosto w pierś. Ja wycelowałem w głowę. –

Sawyer napił się wina, wyraźnie walcząc ze sobą. Malmon kiedyś był człowiekiem. – Musiał oberwać trzy razy. Magiczna liczba.

– Już go nie ma? – spytała cicho Annika.
– Została z niego mokra plama. Dosłownie. – Sawyer uśmiechnął się lekko do Brana. – Chyba będziesz musiał tam posprzątać.
– Przysięgałyśmy, że nie będziemy czyniły zła. – Luna opuściła głowę, ale po chwili ją uniosła. – Ale ona złamała wszystkie przysięgi. A on stał się jej sługą. Przemieniła go w demona, bo zobaczyła, jaki jest. Zniszczyła to, co było w nim ludzkie. Nie ty, Sawyerze Kingu. Ty zabiłeś demona.
– Żeby ratować swą przyjaciółkę, siostrę. – Arianrhod znów odwróciła się do Doyle’a. Wyjęła z kieszeni klucz. – Zaprowadzi cię do twojej sypalni, kiedy postanowisz odpocząć.
– Jak mnie znajdzie?
Na twarzy Arianrhod pojawiło się zdumienie, a może i lekkie rozczarowanie.
– Powinieneś bardziej ufać, synu Szklanej Wyspy. Póki bije twoje serce, odnajdzie cię.
– Teraz, kiedy macie jedzenie, picie i wszystko, czego dusza zapagnie – odezwała się Luna – zostawimy was samych. Jeśli będziecie czegokolwiek potrzebowali, wystarczy, jak poprosicie. Najedzcie się i wypocznijcie, zobaczymy się jutro.
– Dziś w nocy nie spotka was nic złego – zapewniła ich Celene. – I nikt wam nie przeszkodzi. Rozgoście się.
Kiedy zostali sami, Doyle wziął piwo, spróbował go i uznał, że z całą pewnością nie ma na co narzekać.
Sawyer uniósł rękę w górę.
– Czy mogę tylko powiedzieć „jasna cholera”? Nie jestem pewien, czy mój umysł nadaża, ale siedzimy na bankiecie, wydanym tylko dla nas w zamku na Szklanej Wyspie. W zamku ze szkła, jeśli tego nie zauważyliście.
– Pleciesz bzdury! – Doyle prychnął.
– Odczep się, stary. Dobrze się przyjrzałem. I jeszcze postukałem w ściany. To szkło. Zapewne magiczne. Na dodatek bogini właśnie nałala mi wina.
– Są bardzo miłe. My również sprawiliśmy im radość. – Annika ugryzła małe ciastko z kremem. – Smakuje mi to wszystko.
– Ma rację, jeśli chodzi o jedzenie – powiedział Sawyer do Doyle’a. – Chętnie coś zjem. – Ale najpierw podszedł do szklanych drzwi, otworzył je i spojrzał na wzgórze.
– Nic jej nie jest. Czuję to. – Sasha wsparła się na Branie, wypila trochę wina. – Ma się więcej niż dobrze. Jest podekscytowana. Niewielu widziało ten świat, jeszcze mniej go badało, a chociaż jest teraz wilczycą, zostało w niej coś z archeologa. – Wstała, nałożyła wszystkiego po trochu na talerz i podeszła do Doyle’a. – Zjedz.
– Jedzcie, pijcie, weselcie się?
– Jutro, tak czy owak, nadejdzie. – Wróciła do Brana, który pogłaskał ją po włosach.
– Znaleźliśmy gwiazdy, dotarliśmy na wyspę i oddaliśmy je boginiom. I chyba powinniśmy wiedzieć, że do trzech razy sztuka. Ale zostało nam jeszcze jedno zadanie.
– Musiałem nie trafić jej w serce. – Zdegustowany Doyle siedział nad pełnym talerzem i dumał.
– Nie wydaje mi się. – Bran musnął ustami skroń Sashy.
– Chodzi o miecz – powiedziała. – Swoim zdołałeś ją zranić, bo był zaczarowany, ale nie mogłeś jej zabić. Musimy wydobyć z kamienia ten, który może ją zgładzić, i zrobimy to.
– Ktoś wcielił się w króla Artura – domyślił się Sawyer. – Mam nadzieję, że to będziesz ty, stary, bo spośród nas najlepiej władasz mieczem.
– Czeka nas jeszcze jedna bitwa.
– Nie mów „jeszcze jedna” – zwrócił się Sawyer do Anniki. – To przynosi pecha.

Poprzestańmy na stwierdzeniu, że jutro wybierzemy się na wycieczkę.

- Lubię chodzić.
- Postaramy się, żeby było miło.

*

Rozmawiali do późna w nocy, przynajmniej tak im się wydawało, lecz Riley nie wróciła. Doyle pozwolił, żeby klucz go zaprowadził do sypialni. Powiódł go korytarzem do szerokich, łukowato zakończonych drzwi, które się otworzyły, kiedy przed nimi stanął.

Miał nadzieję, że zastanie ją tam, czekającą na niego. Ale przed kominkiem nie leżała zwinięta w kłębek wilczyca. Na ogromnym łożu też jej nie było.

Znów podszedł do szklanych drzwi, otworzył je i do środka wpadł ciepły, niemal tropikalny wietrzyk, niosąc ze sobą woń rozkwitających nocą jaśminów i cytrusów. W jednym kąciuku stała wygięta, dwuosobowa kanapa, przed kominkiem – dwa fotele uszaki, a pod oknem – solidne biurko, które z pewnością jej się spodoba. Wysoki zagłówek olbrzymiego łóża pokrywały jakieś symbole. Niektóre rozpoznał – były wśród nich irlandzkie, greckie, łacińskie, aramejskie i w dialekcie mandaryńskim.

Jeśli mógł ufać swojej znajomości języków, wszystkie oznaczały pokój.

Nie miał nic przeciwko odrobinie pokoju.

Odpiął miecz i oparł go o krzesło. Nalał sobie ze smukłej butelki czegoś, co się okazało whisky, i rozsiadł się przed kominkiem, żeby zaczekać na Riley.

Powinien być zły i nie rozumiał, dlaczego nie jest. Do tej pory powinna już wybiegać nadmiar energii i wrócić. Ale wciąż była nie wiadomo gdzie, węsząc, jak przypuszczał, i to dosłownie, odkrywając nowy, wspaniały świat.

Więc pił whisky, dumiał, wpatrzony w ogień, i analizował każdą fazę bitwy, szukając błędów.

Nie tyle ją usłyszał, ile poczuł jej obecność. Odwrócił się i zobaczył, jak stała w drzwiach na taras i przyglądała się komnacie tymi swoimi niesamowitymi oczami.

– Najwyższy czas.

Wstał, podszedł do łóżka, odrzucił pościel. Rozebrał się do naga i położył. Po chwili poczuł, jak wilczyca wskoczyła na łóżko i zwinęła się w kłębek obok niego.

W końcu znalazł spokój. Objął ją ramieniem i usnął.

*

Przemiana nastąpiła o świcie, kiedy słońce rozproszyło mrok delikatnymi różami, zdecydowanymi czerwieniami, nasycony żółciami. Poczula w ciele ból i radość, bezradność i siłę. Wzdrygnęła się i poddała temu wszystkiemu, zmieniając się z wilczycy w kobietę.

Westchnęła, otworzyła oczy i tuż obok zobaczyła Doyle'a.

– Co?

– Jesteś śliczna.

Wciąż częściowo oszołomiona, zamrugła powiekami.

– Co?

Położył się na niej, jego usta były gorące, nieopisanie czułe. Jej ciało, dusza, umysł, które dopiero co doznały cudu przemiany, zadrżały na nowo, kiedy zmysły znów zostały pobudzone.

Ledwo mogła oddychać, gdy przesuwiał dłońmi po jej skórze, pieścił piersi, całował ją coraz niżej.

Wzniosła się na sam szczyt, starając się jak najdłużej cieszyć tą niesamowitą rozkoszą, nim spadła w otchłań.

Bezradność i siła, ból i piękno.

Reagowała na jego pieszczoty, nie tylko brała, lecz również dawała. Tutaj też zaszła zmiana, dwie istoty zjednoczyły się w jedną. Tarzali się na łóżku, znajdując i biorąc.

Nadal czuł bijący od niej zapach dzikości, niemal czuł, jak wciąż bije w niej serce wilczycy. Kiedy ich usta znów się spotkały, silne i gorące, poddał się temu, kim była.

A była cała jego.

Palilo go pożądanie. Miłość niszczyła. Całkowicie nim zawładnęło coś więcej niż zwykła potrzeba fizyczna.

Kiedy go dosiadła, gdy widział te jej oczy jak roztopione złoto, jej naprężone ciało, błyszczące w pierwszych promieniach poranka, był zupełnie stracony.

Poruszała się wolno, wolniutko, co przypominało cudowne tortury. Potem mocniej, głębiej, aż jej oddech przemienił się w jęki, a serce zaczęło walić jak młotem pod jego dłońmi. I coraz szybciej, dziko, pędząc prosto w serce sztormu.

Wreszcie osunęła się na niego bezwładna, położyła głowę na jego piersi. Spojrzała na niego z uśmiechem, kiedy objął ją ramionami, jak obejmował wilczycę, nim usnęli.

Spałaby dłużej, rozgrzana i zaspokojona, gdyby nie nagły i ostry atak głodu. Miała nadzieję, że gdzieś w pobliżu jest coś do jedzenia.

– Przyglądałeś się mojej transformacji – powiedziała.

– Nie po raz pierwszy. – Poglądził ją po włosach. – To niezwykle widok. Dziwnie podniecający.

Zachichotała, słysząc to, a potem podniosła głowę i wciągnęła powietrze nosem.

– Jedzenie.

– Jest tu coś w rodzaju salonu, gdzie...

– Nie, tutaj. – Zsunęła się z niego i wstała.

Na stole stały półmiski, których nie było wcześniej, z jajkami, grillowanym mięsem, chlebem, lukrowanymi ciastkami.

Doyle uniósł się na łokciu.

– Powiedz mi, że jest kawa.

Riley powąchała zawartość dzbanka, wkładając boczek do ust.

– Herbata, ale mocna. Umieram z głodu.

Przyglądał się jej, jak jadła, wciąż naga, zaróżowiona po seksie, z potarganymi włosami, łapczywie chwytając rękami jedzenie.

– Kocham cię.

Obejrzała się na niego.

– Ej, powiedziałeś to na głos.

– Kocham cię, do diabła.

– To bardziej podobne do ciebie. Lepiej rusz tyłek, jeśli chcesz zjeść coś z tego jedzenia.

– Byłem dwa razy żonaty.

Riley przestała jeść, nalala sobie herbaty.

– Nic dziwnego, skoro masz ponad trzysta lat.

– Pierwszy raz czterdzieści lat po... po. Była młoda i dobra. Nie powinienem był jej tknąć, ale zrobiłem to, i to nie raz. No i... Zaszła w ciążę. Nie mogłem jej złamać życia. Ale złamałem.

– Poślubiłeś ją. Zdradziłeś jej swój sekret?

– Nie. I jak się okazało, nie było to konieczne, bo zmarła, kiedy wydawała na świat nasze dziecko. Oboje zmarli.

– Przykro mi. – W tamtej chwili poczuła jego żal, jakby był jej żalem. Tępy i głęboki. –

Przykro mi.

– Nie było to niczym niezwykłym w owych czasach. Przysiągłem sobie, że już nigdy nie dotknę żadnej niewinnej istoty, takiej jak ona. I dotrzymałem słowa. Ponad sto lat później znów się ożeniłem. Była trochę starsza, nie niewinna. Była wdową. Nie mogła mieć dzieci. Lubiliśmy się. Powiedziałem jej, chociaż wątpię, czy mi uwierzyła. Potem się zestarzała, a ja nie. Stała się zgorzkniała. Byłem żołnierzem, walczyłem, lecz zawsze do niej wracałem. Pewnego razu wróciłem za późno. Powiesiła się. Zostawiła mi list, w którym mnie przeklęła.

Riley pokiwała głową, napiła się herbaty.

– Przykro mi. Ale po pierwsze, jeśli ja zajdę w ciążę, to przypominam ci, że mamy teraz dwudziesty pierwszy wiek. Poza tym jestem zdrowa i silna. Po drugie, nie jestem próżna ani głupia. A przede wszystkim wcale mi nie zależy na małżeństwie.

– A mnie tak. Z tobą.

Zakrztusiła się herbatą.

– Co?

– To głupie. Błąd. Oboje będziemy tego żałowali.

Ale patrząc na nią, tylko patrząc na nią, miał to w nosie.

– Chcę przysięgi. Na dzień, na tydzień, na pięćdziesiąt lat albo do twoich sto czwartych urodzin.

– Mówisz poważnie? Prosisz mnie o rękę?

– Przecież to powiedziałem, czyż nie? – Doyle wstał z łóżka i podszedł do niej sztywno. –

Nalej mi tej przeklętej herbaty.

– Jestem cała w skowronkach.

Rzucił jej chmurne spojrzenie.

– Nie kochałem żadnej z nich. Troszczyłem się o nie, ślubowałem im. Dotrzymałem obietnicy, nie kochając ich, bo uważałem, że miłość jest zbyt cenna. I wykluczona. Ciebie kocham, dlatego chcę ci ślubować miłość i dotrzymać słowa.

– Mogę powiedzieć „nie”.

– Nie zrobisz tego. – Odstawił energicznie herbatę. A potem na chwilę zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, szepnął: – Proszę, nie mów „nie”. Zgódź się.

Wyciągnęła dłoń, żeby objąć jego twarz.

– Czy rozumiesz, że nie jest mi to potrzebne, żeby z tobą zostać, kochać cię, pogodzić się z tym, że dalej będziesz żył, kiedy ja umrę?

– Tak. Ale nie potrzebuję tego, żeby z tobą zostać ani żeby cię kochać. Potrzebuję tego, bo zostanę z tobą i będę cię kochał. Potrzebuję tego, ponieważ w ciągu tych trzydziestu pięćdziesięciu lat tylko ciebie jedną pokochałem.

– Dobra.

– Dobra? Tylko tyle? To cała twoja odpowiedź?

– Tak, dobra. Wchodzę w to.

Pokiwał głową, a potem przysunął czoło do jej czoła.

– Ale z nas para.

– Lecz wszystko gra.

– Gra – przyznał jej rację. – Domyślam się, że będziesz chciała mieć pierścionek.

– *Treweth*, anglosaksoński źródłosłów „narzeczony”, oznacza prawdę. Pierścionek jest symbolem obietnicy. Cenię sobie symbole.

– Coś wymyślę. – Przyciągnął ją do siebie. Ostatecznie znalazł ją, prawda?

– Miło byłoby tu zostać. – Tak blisko, z sercem przy sercu. – Ale... – Niechętnie odsunęła się od niego. – Mam kilka pytań, a pierwsze brzmi: gdzie te cholerne gwiazdy?

– Powiedziano nam, że są bezpieczne. Wszystko ci opowiem. Powinniśmy się ubrać, odszukać pozostałych.

– Świetnie. Gdzie moje rzeczy?

– Nie mam pojęcia.

Riley zmarszczyła brwi.

– Nie zabrałeś ich?

– Nie pomyślałem o tym.

– Cholera. – Nie wiedząc, co począć, rozejrzała się po komnacie, a potem podeszła do delikatnie rzeźbionej szafy. I spytała zdumiona:

– A co to takiego?

Doyle zajrzał do szafy i się uśmiechnął. W środku wisiała para skórzanych spodni koloru skóry wołowej, prosta koszula, skórzana kamizelka, a także jego płaszcz i buty.

I sukienka koloru starego złota, ozdobiona srebrnymi koronkami, a do niej wysokie buty.

– Dla ciebie odlotowe skórzane spodnie, dla mnie sukienka w sam raz dla lady Marion?

– Albo to, albo będziesz paradowała nago.

– Pozwól mi się zastanowić chwilkę.

Włożyła sukienkę i spojrzała na siebie spod oka w lustrze.

– Gdzie mam nosić kaburę, nóż? A propos, gdzie mój pistolet i nóż?

– Dowiemy się. – Doyle przypiął miecz. – Wyglądasz ślicznie.

– Wyglądam, jakbym się wybierała na renesansowy jarmark. – Poprawiła stanik. – Niezły widok. Dlaczego biust jest taki ważny?

– Wyjaśnię ci później – powiedział i poszedł otworzyć drzwi, bo ktoś zapukał.

– Dzień dobry. Och, Riley! – Annika weszła tanecznym krokiem. – Jesteś śliczna! Jaka ładna suknia. A jak ci się podoba moja? Prawda, że cudowna?

Obróciła się, aż zawirowały jedwabiste spódnice barwy morskiej zieleni.

– Sawyer mówi, że jest koloru moich oczu, a twoja koloru twoich oczu. Suknia Sashy też jest piękna, niebieska. Wszyscy są w naszym salonie. Mamy czekać na ich przyjście. Poznamy królową. – Odetchnęła głęboko, uważnie przyjrzała się twarzy Doyle'a. – Jesteś szczęśliwy!

Widzę twoje szczęście. Jesteś z Riley! – Objęła go. – Teraz musisz kupić dla niej pierścionek.

– Zajmę się tym.

– Czy będę druhną na twoim ślubie? – spytała Annika Riley.

Riley wybuchnęła śmiechem i przestała się czuć niezręcznie w sukni.

– Możesz być tego pewna.

– Chodźcie, chodźcie. Jest jedzenie. I kawa.

– Kawa? Skąd macie kawę?

– Sasha poprosiła. – Annika złapała Riley za rękę i pociągnęła za sobą. – Wystarczy poprosić.

– Nie wiedziałam o tym.

Tamci czekali w salonie: Sasha w powłóczystej sukni z niebieskiego aksamitu, Bran w dostojnym czarnym stroju czarnoksiężnika, Sawyer w brązowych spodniach, kamizelce do bioder i kremowej koszuli.

– Ładne ciuchy – powiedział do Riley.

– Średniowieczna suknia dworska. – Przyjrzała mu się, zmierzając w stronę dzbanka z kawą. – A tobie dostał się strój Hana Solo.

– Wiem.

– Przepraszam, że ostatniej nocy musiałam się przemienić i was zostawić. Ale Doyle mi wszystko opowiedział. Nerezza niczym kotka ma dziewięć żywotów, gwiazdy wrócą na niebo,

dopiero kiedy ją zabijemy. – Napila się kawy. – Czeka nas wędrówka po miecz, tkwiący w kamieniu, wyczyn godny Artura. A potem położymy temu wszystkiemu kres.

– To mniej więcej wszystko – potwierdził Bran. – Gdyby to było takie proste.

– Potrzebna mi moja broń – powiedziała Riley, a potem się odwróciła, gdyż jakiś młodzieniec w wąskich, kraciastych spodniach i kaftanie stanął na progu.

– Panie, panowie. Królowa Aegle chce was widzieć.

Kiedy szli za paziem po szerokich schodach, Riley pomyślała, że nie codziennie spotyka się królową. I rzadko kto spotyka królową zczarowanej wyspy, panującą od ponad tysiąca lat.

Spodziewała się wielkich, podwójnych drzwi, ale przypuszczała, że będą strzeżone.

Tymczasem okazało się, że po obu ich stronach stoją szklane pojemniki z kwiatami.

Spodziewała się czegoś w rodzaju sali tronowej i rzeczywiście pod względem rozmiarów ta komnata mogłaby nią być. Podłogę wykonano z przejrzystego szkła. Ale urządzone były prosto – kwiaty, świece, kolorowe tkaniny. A szklany tron bardziej przypominał elegancki fotel niż królewskie siedzisko.

Chociaż z drugiej strony złoty fotel wysadzany drogimi kamieniami i tak wyglądałby całkiem zwyczajnie, jeśli zasiadałaby na nim ta kobieta.

Była olśniewająca.

Tycjanowskie włosy, ozdobione diademem ze szkła i klejnotów, opadały na ramiona okryte białą suknią. Malutkie klejnociki, naszyte na tkaninę, błyszczały jak brylanty. Może to były brylanty. Uroda Aegle zapierała dech. Idealnie wykrojone usta, żywe zielone oczy, wydatne kości policzkowe.

Kiedy się uśmiechnęła, Riley gotowa była przysiąc, że w komnacie zrobiło się widniej.

Trzy boginie stały po jej prawej ręce. Po lewej ręce siedział wielki biały wilk o złotych ślepiach.

Annika zgrabnie się ukloniła.

– Matko magii, królowo światów, promienna Aegle, jesteśmy twoimi sługami.

– Witajcie, dzieci Szklanej Wyspy. Witajcie, Strażnicy Światła.

Wstała, zeszła z podwyższenia, na którym stał tron, i ruszyła w ich stronę z wyciągniętymi rękami. Objęła Annikę, pocałowała ją w oba policzki.

– Cudzie morza, masz naszą miłość i wdzięczność. Podróżniku w czasie i przestrzeni. – Pocałowała Sawyera. – Masz naszą miłość i wdzięczność. Dziecko księżycy – zwróciła się do Riley. – Masz naszą miłość i wdzięczność. Wieczny rycerzu, masz naszą miłość i wdzięczność.

Przeszła od Doyle'a do Brana.

– Synu mocy, masz naszą miłość i wdzięczność. – Na końcu zwróciła się do Sashy. – Córko wizji, masz naszą miłość i wdzięczność. Dałabym wam więcej, ale jeszcze nie zakończyliście swojej misji. Dokończycie ją?

– Podążymy ścieżką bogów do kręgu mocy i dalej, do Drzewa Wszelkiego Życia i kamienia z mieczem. Stoczymy ostatnią bitwę, światła z ciemnością – odpowiedziała Sasha, słowa same spływały z jej warg.

Aegle wciąż trzymała ją za rękę.

– Nie widzę, kto będzie walczył mieczem ani czy miecz uderzy celnie. Nie widzę śmierci Nerezy ani naszej śmierci – ciągnęła Sasha.

– Nie widzisz, ale i tak wyruszyacie w tę drogę?

– Obiecaliśmy to – odrzekł Bran.

– Przysięga rzecz święta – dodała Annika i spojrzała na Sawyera.

– Wszyscy pójdziemy. – Pocałował ją w skroń. – Ach, Wasza Wysokość.

– Moglibyśmy zostać tutaj – odezwała się Riley, skupiając na sobie uwagę Aegle. –

Strażnicy i gwiazdy są na Szklanej Wyspie. Jest w twojej mocy przenieść wyspę w inne miejsce, nawet w inny wymiar. Moglibyśmy tu zostać, prawdopodobnie nie niepokojeni przez Nerezę przez parę stuleci. Tak przynajmniej przeczytałam w kilku księgach.

– Jesteś naukowcem i poszukiwaczką, to, co mówisz, to prawda. Czy tego chcecie?

– Nie, chciałam tylko usłyszeć potwierdzenie. Z całym szacunkiem.

– Dałabym wam czas. Z pewnością chciałabys się czegoś dowiedzieć o nas i naszym świecie. Prowadzić badania.

– Jasne. Ale teraz nie pora po temu.

– Nie teraz ani nie tutaj.

– W takim razie doprowadzimy naszą misję do końca. – Riley spojrzała na Doyle'a. –

Czy jesteśmy jednomyślni?

– Tak. Moja kobieta potrzebuje broni.

Riley uniosła brwi, nie tylko z powodu tego „moja kobieta”, ale dlatego, że przemówił po irlandzku.

– Znajdziesz ją w komnacie, którą dzielicie, kiedy tam wrócisz. A także strój odpowiedni do tego, co was czeka. – Aegle położyła dłoń na ramieniu Doyle'a. – Wystarczy poprosić. Tak wielka jest nasza miłość, nasza wdzięczność, że wystarczy poprosić.

Wróciła na swój tron.

– Naszą największą nadzieją jest, że wróćcie tu jako zwycięzcy i razem zobaczymy, jak gwiazdy zaświecą na niebie.

ROZDZIAŁ 20

Idąc, mijali służbę, wytworne damy, dworzan, jak się domyślała Riley. Wszyscy przystawali, kłaniali się lub dygali. Uznała to za równie osobliwe jak jej suknia.

– A więc wysłuchaliśmy królewskiej przemowy, zagrzewającej do walki.

– Czyż nie jest śliczna?

– Trzeba to przyznać. – Riley skinęła głową, patrząc na Annikę. – Jeśli chodzi o urodę, jej imię nie kłamie. I wygląda na szesnaście lat, prawda? I te długie rude włosy.

– Przypominają włosy Sashy – powiedziała Annika. – Są jak promienie słoneczne splecione w warkocze.

– Czarne. – Sawyer zrobił kółko palcami. – Loki.

Riley przystanąła na schodach.

– Tycjanowska czerwień. Długie, rozpuszczone. Szmaragdowozielone oczy. Sasho?

– Czarne, ale upięte. A jej oczy przypominają twoje, Riley, tylko kilka odcieni ciemniejsze.

– Dla każdego coś miłego. – Riley skinęła głową i ruszyli dalej. – Widzieliśmy ją taką, jaką każde z nas ją sobie wyobrażało. Lub podobnie. Rozmawiałeś z nią po irlandzku – zwróciła się do Doyle'a.

– Bo mówiła po irlandzku.

– Po angielsku i rosyjsku – poprawił go Sawyer.

– Przemówiła do mnie tylko raz, w języku syren.

– Ze wszystkich dziwnych rzeczy według mnie akurat ta nie jest najdziwniejsza – podsumowała Riley.

– I to nie była tylko przemowa, zachęcająca do walki. Dała nam coś. – Sasha spojrzała na swoją dłoń. – Dała nam światło. Nie czuliście tego?

– Coś poczułam – przyznała Riley. – Miejmy nadzieję, że to coś nas nie zawiedzie.

– Już my się o to postaramy. Dziś zakończymy naszą misję i zabijemy Nerezę.

Riley odwróciła się do Doyle'a.

– Pan Pesymista wjechał na Autostradę Optymizmu.

– Młoda królowa wyglądała jak ty – powiedział krótko.

– Co takiego?

– Widziałem ciebie. W moich oczach taka właśnie byłaś jako nastolatka. Dlatego musimy zrobić to, czego od nas oczekuje. Nie przegramy. Nie stracę ciebie. Ukończymy naszą misję. W drogę. Szkoda czasu.

Ruszył szybkim krokiem przed siebie.

– Doyle jest szczęśliwy – powiedziała Annika. – Kocha Riley. Podaruje jej pierścioneł.

– Zaczekamy z tym do czasu, aż zabijemy tę wiedźmę. I z całą pewnością nie zmierzę się z nią w tej przeklętej sukni.

Riley przyspieszyła kroku i weszła do ich sypialni.

Doyle stał przy szafie, przyglądając się temu, co jest w środku.

– Ucieszy cię to.

– Wyglądała jak ja?

Wyjął pistolet Riley, położył go na stole.

– Nie wiem, jak wyglądałaś, kiedy miałaś szesnaście lat, ale tak, miała twoją twarz, twoje włosy, twoje oczy. Oczy, którym ufam, i właśnie to czułem. Nie przegramy.

– Bardzo dobrze. – Riley podparła się pod boki, patrząc na ubrania w szafie. – Te zdecydowanie bardziej mi odpowiadają.

Włożyła solidne spodnie i skórzaną kamizelkę z kieszeniami na zapasowe magazynki, a potem razem z Doyle'em wróciła do salonu. Otworzyła skórzaną manierkę, powąchała jej zawartość.

– Woda. – Wzięła ją. – Przyda się.

Weszli Sasha z Branem. Bran poklepał się po skórzanej torbie na ramię.

– Ocalone z łodzi. Kilka bomb świetlnych.

– Woda. – Riley podała przyjaciółce manierkę. – Orientujesz się, ile czasu zajmie nam wędrówka?

– Nie mam pojęcia. – Sasha odwróciła się, kiedy weszli Annika i Sawyer. – No cóż... Myślałam... Wydawało mi się, że razem znajdziemy gwiazdy i je tu dostarczymy. I na tym koniec. Ale jesteśmy strażnikami i zawsze wszystko kierowało nas tutaj.

– Odprowadzimy was kawałek.

Trzy boginie stały w drzwiach na taras, oświetlone promieniami słońca.

Zeszli dwójkami na dziedziniec, gdzie fontanna mieniła się tęczowo, rosły kwiaty, a owoce wisały na drzewach niczym błyszczące klejnoty.

Ludzie stali w milczeniu, w ten sposób okazując im szacunek. Dzieci biegały, machając do nich rękami w geście pozdrowienia.

Przeszli przez bramę, minęli zagajnik, a potem zielone pole. Pracujący na nim mężczyźni i chłopak przerwali swoje zajęcie, ściągnęli czapki.

Riley słyszała gdakanie kur, gruchanie gołębi, brzęczenie pszczoł. Jakaś kobieta, niosąca na biodrze małą dziewczynkę, uśmiechnęła się do Riley i dygnęła grzecznie. Dziewczynka posłała jej całusa. Inni mieszkańcy wyspy stali przed chatami, malowniczymi jak na pocztówkach, czekali na nich z czapkami w rękach albo z dłońmi na sercu.

W małej zatoczce rybacy przerwali zarzucanie sieci, by ich pozdrowić.

– Mieszkańcy Szklanej Wyspy są z wami. – Luna wskazała ręką ścieżkę, ku której zmierzali po białym piasku. Na jej skraju leżały kwiaty, kosze owoców, błyszczące kamienie, perłowe muszle. – Dary dla strażników, z życzeniami pomyślności.

– Tego dnia, o tej porze, droga należy wyłącznie do was. – Celene zatrzymała się wraz z siostrami. – Tylko wy możecie na nią wejść. To, co czeka na jej końcu, jest tylko dla was.

– Macie dzielne serca – powiedziała Luna. – Podążajcie nią w świetle, niech was prowadzi.

Arianrhod położyła dłoń na rękojeści miecza.

– I walczcie z ciemnościami.

Wszystkie trzy zniknęły.

– Przypuszczam, że to w ich języku znaczy: teraz jesteście zdani na siebie. –

Powiedziawszy to, Riley weszła na ścieżkę i ruszyła przed siebie.

Pierwsze pół kilometra szli po bruku, po obu stronach mając drzewa. Szlak lekko się wznosił. Potem był ubity polny trakt, drzew roślo tu mniej, a sama droga stała się bardziej stroma.

Ile kilometrów przebyli razem, odkąd zaczęła się ich przygoda? – zadała sobie pytanie Riley. Powinna była prowadzić notatki.

Chwilami droga się zwężała i musieli iść gęsiego. W niektórych miejscach stawała się wyboista, poślizgnięta koleinami, najeżona skałami. Riley weszła na jedną z nich i obejrzała się za siebie.

Wyspa w dole była całkiem nieruchoma, jakby zamknięta w szklanej kuli. Barwy

i kształty zastygłe bez ruchu. Obraz rozpostarty nad morzem i niebem.

Jakiś ptak zawisł w powietrzu, fala pozostała u brzegu.

Kiedy światy znieruchomiały... – przypomniała sobie Riley.

Potem jelenź przebiegł przez ścieżkę, ptak zatrzepotał skrzydłami. Flaga nad pałacem załopotowała na wietrze.

Na końcu ścieżki, pomyślała, jest kres ich wędrówki.

Zeskoczyła ze skały i znów ruszyła w górę.

Droga wiła się, teraz obok niej szemrał strumyk. Woda, spadająca ze skał, utworzyła małe jezioro, do którego podszedł jelenź.

– Ostatniej nocy dobiegłam do tego miejsca – oświadczyła swoim towarzyszom Riley. – Z jednej strony coś mnie kusilo, żeby iść dalej, ale jakiś wewnętrzny głos powiedział mi, że jeszcze na to nie pora. Zatrzymałam się koło tego jeziora, woda była tak przejrzysta, że widziałam swoje odbicie i księżyc.

– Miejmy nadzieję, że dotrzemy na miejsce, zrobimy, co do nas należy, nim znów wszędzie księżyc i pokryjesz się sierścią – powiedział Sawyer.

Riley pokręciła głową.

– Ostatnia noc była tutaj trzecią nocą pełni. Ale niewątpliwie bardzo bym chciała, żebyśmy zakończyli dzieło przed zmrokiem.

Zrównała z nim krok.

– Myślałam o Malmonie.

– Już go nie ma i nie warto go żałować.

– Właśnie o tym myślałam. Wybrała go, skusiła, uwiodła i przemieniła w demona. Który ją czcił. Nie tylko zabijał dla niej, lecz najprawdopodobniej ocalił jej życie, a przynajmniej ją pielęgnował, póki nie odzyskała pełni sił.

– I?

– Nie zrobiła nic, żeby go uratować. Bo nic dla niej nie znaczył. Posłuchaj, jako człowiek był draniem, totalnie złym, pokreconym facetem, ale zniszczyła jego ludzki żywot. Ponieważ znam się na transformacjach, mogę ci powiedzieć, że ta przemiana musiała być męką.

– Trudno mi się zdobyć chociażby na odrobinę współczucia dla niego.

– Mnie też – przyznała Riley. – Ale chodzi mi o to, że nie musiała go przemieniać w demona, żeby dostać od niego to, co chciała.

Sawyer zatrzymał się, zmrużył oczy.

– Nie pomyślałem o tym, ale masz rację. Stuprocentową rację.

– Zrobiła to dla rozrywki. I kiedy ją zawiódł, nie liczyło się, że uratował jej nędzne życie. Był dla niej tylko zabawką. Tak, próbował mnie zabić, ale wysłała go, żeby utworzył dla niej drogę. I po tym wszystkim pif-paf – i zginął. Dzięki tobie. Mogę się założyć, że mogła go obdarzyć nieśmiertelnością, a tak wszystko się dla niego skończyło, jak po pstryknięciu palcami. A ona nic a nic się nie przejęła.

– A sądziłaś, że się przejmie?

– Mówię tylko, że skoro nie zaprzętała sobie głowy tym, kto ją wielbił, karmił, pielęgnował, był na każde skinienie, a wreszcie dla niej zginął, z całą pewnością nie zależy jej na żadnej żywej istocie. Ze świata światła czy ciemności.

– Mógłbym go zabić, kiedy jeszcze był człowiekiem, ale nie tak, jak to zrobiłem. Nie mógłbym tak zwyczajnie... Nie, gdyby wciąż był człowiekiem.

– Wiem. – Riley dała mu kuksańca. – Dlatego jesteśmy tymi pozytywnymi bohaterami.

Annika, idąca kilka kroków przed nimi po nierównej ścieżce, zaczęła śpiewać.

– No właśnie – odrzekł Sawyer.

– No właśnie.

Wciąż szli pod górę, kiedy słońce zaczęło się zniżać na niebie. Strumyk cały czas im towarzyszył. Spieniona woda spadała ze skalnych półek, ale nikt jej nie pił. Żadne ptaki nie latały nad ich głowami ani nie przemykały między drzewami.

Riley nie widziała nic poza wodą, ziemią, drzewami, swoimi towarzyszami.

Kiedy światy znieruchomiały, powtórzyła w myślach.

Potem... Coś się pojawiło. Coś prastarego, silnego, żywego. Ale nie był to człowiek ani bestia, nie był to ptak ani żadne ziemskie stworzenie.

– Jest coś...

Ale Sasha już się zatrzymała; wyciągnęła rękę do Brana, a on podał jej swoją.

– Czujesz to? – Słowa Sashy, wymówione szeptem, były ledwo słyszalne na tle muzyki wody.

– Moc – odrzekł Bran. – Czekająca. – Obejrzał się na pozostałych. – Pozwólcie, że najpierw rzucę okiem.

Ale Sawyer pokręcił głową.

– Wszyscy za jednego, stary. Taką mamy zasadę.

Doyle wyjął miecz z pochwy.

– Razem.

I wspólnie weszli na szczyt wysokiego wzgórza.

Tam, gdzie ścieżka się kończyła, stały kamienie, tworząc idealny krąg. Były różnej wielkości: niektóre ledwo sięgały Riley do pasa, a największy mierzył więcej niż dwóch mężczyzn.

Stały, szare i milczące, oświetlone mocnym, popołudniowym słońcem. Ziemię wokół nich pokrywały opary mgły.

– Nie taki potężny jak Stonehenge, ale bardziej symetryczny – zauważyła Riley. – Założę się, że kiedy je zmierzę, okaże się, że każda grupa ma tę samą wysokość i szerokość, a stosunek wielkości poszczególnych kamieni jest dokładnie określony.

Ruszyła przodem, położyła dłoń na kamieniu i zaraz ją cofnęła.

– Słyszeliście to?

– Jakby wydał pomruk – powiedział Sawyer.

– Nie, zaśpiewał!

– Annika jest bliżej. Bardziej to przypominało nucenie, prawda? – odezwała się Riley. – I lekko poraził mnie prąd. Nie było to bolesne, raczej coś jakby: pomyśl o tym.

– Oto stoją tu strażnicy, umieszczeni przez pierwszych... – Sasha wyciągnęła ręce w kierunku kamiennego kręgu. – Krąg, taniec, źródło. Światło i ciemność, bo jedno nie obejdzie się bez drugiego. Poranne słońce i ciemny księżyc. Radość i smutek, życie i śmierć. Oto prawda. I z niej wyrasta drzewo, a pod drzewem jest miecz. Wejdźcie i obudźcie miecz.

Uniosła twarz ku górze.

– Och, ledwo mogę oddychać. To takie silne, takie piękne. Wejdźcie!

Bran ruszył pomiędzy kamienie. Nuciły cicho, a ich głos potężniał, kiedy do kręgu weszli pozostali.

Z nieba wystrzeliło światło, uderzyło w dwa najmniejsze kamienie. Potem przenosiło się na kolejne, aż dotarło do największego. Kamienie zaczęły pulsować, świecić srebrzyście. Mgła się rozwiała, ukazując szklaną ziemię.

Po chwili kamienie ucichły, a słońce oświetliło setki gołych gałęzi wielkiego, samotnego drzewa. Stał pod nim szary, strzelisty kamień, na którym był wryty nagi miecz.

– Wygląda jak etap drugi. – Riley odchrząknęła, nabrała tchu i ruszyła ku drzewu.

Obeszła kamień, przykucnęła przed nim.

– Czy ktoś wie, jak go wydobyć?

– Wyciągnij rękę. Obudź go. Uwolnij go. Tylko tyle wiem – powiedziała Sasha.

Riley podniosła się i cofnęła.

– Najlepiej nadaje się do tego Doyle. Zgadza się?

Wszyscy skinęli głowami.

Doyle uważnie przyjrzał się rysunkowi. Miecz był trochę mniejszy i trochę węższy od jego miecza, ostrze miał gładkie, a rękojeść prostą, bez żadnych ozdób. Zebrał całą swoją wiarę, ufność, nadzieję i wyciągnął rękę. Napotkał twardy kamień.

– Nic nie czuję. Chyba powinienem coś czuć? Myślę, że on nie jest przeznaczony dla mnie.

– W takim razie Bran. Przepraszam – powiedziała szybko Annika.

– Nie ma takiej potrzeby. – Doyle się cofnął. – Idź ty, bracie.

Bran położył dłoń na wierzchu kamienia, starając się coś poczuć. Pokręcił głową.

– Jak drzwi zamknięte na klucz – mruknął. Przesunął dłoń w dół, oparł ją na wyrytej rękojeści. – Albo uśpiona moc.

– Cóż, musi się obudzić, do cholery. Może potrzebny jest jakiś szyfr albo sposób. Może jakieś zaklęcie. Musimy to ustalić. Dajcie mi chwilę, żebym... – Riley dotknęła ręką rysunku, starając się wyczuć palcami jakąś wskazówkę.

Kamień zadrżał, zaśpiewał jakby uradowany. Znowu poczuła jakby ukłucie prądem i cofnęła rękę. Zobaczyła, że ściska w niej rękojeść miecza.

– O cholera.

Natychmiast odwróciła się w stronę Doyle'a, wyciągnęła do niego miecz.

– Nie należy do mnie. – Ciekaw był, czy czuła aurę, która wokół niej rozbłysła. – Tylko do ciebie.

– Co mam z nim...

Miecz uniósł się w jej dłoni. Nierówna, kamienna rękojeść zaczęła się zmieniać, wygładzać, ostrze błysnęło w świetle.

Gdy padły na miecz promienie słoneczne, na oczach całej szóstki kamień przemienił się w przejrzyste, gładkie szkło.

– Czy wszyscy to widzieli? – Serce Riley waliło jak młotem, w uszach jej dzwoniło. Opuściła miecz. Ale czuła jego moc w dłoni, w całym ciele. – Jest ze szkła.

– Jak pałac. – Sawyer wyciągnął rękę, przesunął palcem po klindze. – Trzymasz magiczny szklany miecz, Riley.

– Błyszczysz – zauważyła Annika. – I mieni się tęczowo.

– I ma moc. Wyczuwasz ją? – spytał Bran.

– Jasne, że tak. Jest jak gwiazdy... Pulsuje. I... I mam wrażenie, jakby do mnie należał, jednak bądźmy rozsądni. Nie umiem władać mieczem. Znam podstawy szermierki i nic ponadto. Bardzo bym chciała przebić nim Nerezę, lecz musiałabym najpierw dużo ćwiczyć.

Sasha złapała ją za ramię.

– Nadchodzi.

Doyle stanął obok Riley.

– Musisz więc szybko się nauczyć – powiedział i wyjął swój miecz.

Nerezza nadciągnęła ze swoją skrzydlatą armią, przemieniając dzień w noc.

Riley przełożyła miecz do lewej ręki – musiałaby się znaleźć znacznie bliżej, by mogła go użyć – i chwyciła pistolet.

Ciemne, powykęcane stwory o ostrych kłach i szponach spadały z nieba, wyłaniały się

spomiędzy drzew.

W mrocznym powietrzu śmignęły belty, promienie świetlne i pociski. Kiedy eksplodowało światło, powietrze rozcięły wrzaski.

Na bestii, okaleczonej przez Doyle'a, pojawiła się Nerezza, zupełnie odmieniona. Zniknęła jej uroda, jej twarz okalały splątane, siwe włosy, w zapadniętych oczach płonęło szaleństwo.

Jej błyskawica zderzyła się z błyskawicą Brana, ziemia zadrżała, aż Riley upadła. Coś zaczęło pełzać po jej bucie. Cofnęła się gwałtownie, a Annika przemieniła to coś w popiół. Strzelając, Riley poderwała się na równe nogi. Niemal machinalnie zamachnęła się mieczem. Stwór, którego dosięgnęła, zaskrzeczał i szczeł w błysku światła.

Poczuła przyływ mocy, wymachiwała mieczem, wyrabując sobie drogę w czarnym roju.

– Muszę się znaleźć bliżej. Dam radę, zabiję ją. Czy możesz mnie przenieść bliżej, za nią? Sawyer pokręcił głową.

– Te stwory wszystko blokują. I wciąż nadlatują kolejne.

Wyjął nowy magazynek. Riley zobaczyła krew kapiącą z dłoni Sawyera.

– Potrzebna nam osłona. Musimy...

– Gińcie! – krzyknęła Nerezza. – Gińcie, a ja się pożywię waszą mocą. Należycie do mnie. Jak ten świat, który zginie razem z wami.

Wystrzeliła niszczący płomień. Annika odbiła go, ale druga ognista kula wybuchła tuż przed nią, aż ją odrzuciło. Sawyer pobiegł w jej stronę. Jeden z beltów Sashy zabił nadlatującego stwora, nim jego ostre skrzydło przecięło twarz syreny.

– Do środka. Spróbujcie zwabić ją do kamiennego kręgu! – zawołała Sasha. – Wydaje mi się... Bran!

– Tak, tak. Moc. Wciągnę ją do środka.

– Zostaw to mnie. Co mi może zrobić? – spytał Doyle. – Zabije mnie? Trzymajcie ją z dala od Riley. – Utorował sobie drogę do kręgu; odwrócił się i spojrzał na Riley. – To nie Malmon. Celuj w serce. Skieruj ją w moją stronę. Odrobina magii nie zaszkodzi.

– Jak sobie życzysz. – Bran cisnął piorunem obok Nerezzы. – Nie dam jej ani chwili wytchnienia.

– Zaatakuj Doyle'a. – Riley zacisnęła zęby i wystrzeliła. – Kiedy tylko się zorientuje, że jest sam.

– Przecież nie jest sam – przypomniała jej Sasha.

Bran wskoczył na jeden z kamieni i cisnął fioletową kulą światła. Gdy się rozerwała, Cerber ryknął z bólu. Niemal dosięgnął czarnoksiężnika swoim ogonem, ale Branowi udało się odskoczyć. Lecz ten manewr sprawił, że Nerezza zwróciła się ku Doyle'owi, stojącemu samotnie pośrodku kamiennego kręgu.

– Nieśmiertelny. Spłoniesz i wykrwawisz się.

Uchylił się przed ogniem, odskoczył przed ogonem bestii. Bliżej, pomyślał. Jeszcze trochę bliżej.

– Wiedźmo! – zawołał. – Tym razem wytnę ci serce. Miecz kontra miecz. Bóg kontra bóg!

– Nie jesteś bogiem. – Kiedy się zbliżyła, zaatakował, ale natychmiast zrobiła zwrot i uderzył w bok Cerbera. Miecz, z którym się nie rozstawał od wieków, pękł na dwoje jak zabawka. – A to nie miecz.

Bran wypuścił błyskawicę, żeby odepchnąć Nerezzę, a Doyle sięgnął po nóż. Gdy się nim zamierzył, Cerber rozorał mu pazurami plecy, przewrócił go.

Pozostali wbiegli do kręgu. Kiedy krew nieśmiertelnego, strażnika, trysnęła na szkło,

światło wybuchło niczym bomba. Przewróciło Riley. W uszach jej huczało, nie mogła złapać tchu. Jak przez mgłę zobaczyła, że Bran próbuje się podnieść, usłyszała, jak Sawyer klnie. I zobaczyła Doyle'a samego, bez broni.

Nerezza roześmiała się w górze.

– Czy odrośnie ci głowa, nieśmiertelny?

Zanurkowała, unosząc miecz nad głowę.

Riley próbowała wstać, chociaż wiedziała, że nie zdąży dobiec.

– Doyle!

Kiedy odwrócił głowę, ujrzała w jego oczach ból i żal.

– Chrzanię to. Łap!

Rzuciła mu miecz, a z nim całą swoją wiarę.

Uniósł rękę, zacisnął palce na rękojeści. Z bojowym okrzykiem zerwał się i uchylił przed ciosem Nerezzы. I zatopił szklany miecz w jej sercu.

Nie krzyknęła. Bestia, na której siedziała, wszystkie stwory, które unosiły się wokoło lub pełzały, wyparowały jak woda pod wpływem promieni słońca albo rozplynęły się jak rysunki kredą na deszczu.

Znów był jasny dzień.

Matka Kłamstw spadła w środek kręgu, jej oczy wypełniał strach i szaleństwo.

– Jestem boginią – wychrypiała. Włosy jej się przerzedziły, skóra obwisła.

Doyle ujął miecz w obie ręce.

– Jesteś niczym. – I znów zatopił ostrze w jej sercu.

Trysnęła czarna krew. Z palców Nerezzы pozostały tylko kości, które zastukały o siebie.

– Chcę... Chcę... – Jej czarne oczy pokryła mgła, z twarzy odpadła skóra.

Doyle wziął za rękę Riley, która właśnie dokuśtykała do niego. Dołączyli do nich pozostali, ranni, poparzeni, zbryzgani krwią.

– Położyliśmy kres twemu istnieniu.

Ciało Nerezzы bezgłośnie odpadło od kości, które przemieniły się w proch.

– Już nie wróci? – Annika przytuliła się do Sawyera. – Już po niej?

– Spójrzcie. – Bran wskazał ręką.

Zielone liście pokryły gałęzie drzewa, pojawiły się kwiaty, wyrosły owoce. Powietrze, które zaledwie przed chwilą rozbrzmiewało odgłosami walki, teraz wypełniły ptasie trele i szum wietrzyku. Z lasu wyszła łania i zaczęła skubać trawę.

Na Szklanym Wzgórzu srebrzyście połyskiwały kamienie. Na największym pojawił się herb strażników.

– Dobre zakończenie. – Sawyer padł na kolana. – Przepraszam. Aj.

– Niech cię obejrzę. Zrobimy tutaj, co się da – powiedział Bran – a potem...

– Wystarczy, jak poprosimy – przypomniała mu Sasha. – Mam prośbę, żebyśmy wrócili tam, skąd wyruszyliśmy. O ile zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić.

– Naprawdę sądzisz, że tak zwyczajnie nas... Och – westchnęła Riley, zobaczywszy, że razem ze swoimi towarzyszami stoi na początku ścieżki. – Świetnie.

Utykając i krzywiąc się, ruszyli w stronę pałacu.

– Czy nie moglibyśmy poprosić, żeby nasze rany się zagoiły? – spytała Annika.

– Ludzie powinni zobaczyć swoich wojowników. Powinni wiedzieć, ile kosztuje obrona światła – powiedział Doyle i objął ją ramieniem, żeby ją podtrzymać. – Zrobienie tego, co jest konieczne.

Mieszkańcy wioski płakali i wiwatowali, kiedy mijała ich szóstka wybawców. Stali wzdłuż całej drogi, wiodącej do bram pałacu, gdzie czekały boginie.

– Zaraz się wami zaopiekujemy. – Celene zrobiła kilka kroków i powiedziała donośnym głosem: – Dziś wieczorem odbędzie się uroczystość. Ten wieczór od teraz po wsze czasy będzie Wieczorem Strażników.

– Poplamie krwią posadzki – odezwał się Sawyer.

Luna pogłaskała go po rannym ramieniu.

– Nie. Chodźcie, żebyśmy mogli się wami zająć, nakarmić was, żebyście mogli odpocząć. Dziś jesteśmy waszymi sługami.

Nieźle mieć boginię na usługi, doszła do wniosku Riley. Przynajmniej wtedy, kiedy oznacza to rozkoszną kąpiel we wpuszczonej w podłogę wannie, wypełnionej gorącą wodą, do której ładna, młoda służąca dodała olejek jaśminowy. Albo kiedy im masowano znużone ciała.

Nawet niespecjalnie się zżymała, gdy znów włożyła suknię. Bo dostała pozwolenie na zbadanie wyspy, pobranie próbek. Kilka kamieni, trochę ziemi, garść piasku. Parę kwiatów, których nigdy wcześniej nie widziała.

Kiedy wbiegła do salonu, gdzie byli już pozostali, niemal unosiła się w powietrzu.

– Nie uwierzycie, co widziałam. Mają kury, które znoszą kolorowe jajka. Widziałam małego smoka... Dorosłe wolą przebywać w jaskiniach. Prawdziwego, małego smoka.

Złapała butelkę i napełniła szklankę, nie patrząc, co to za napój.

– A tutejsza biblioteka? Przy niej twoja wygląda jak regał z książkami na stacji benzynowej, Bran. Wszystkie książki, jakie kiedykolwiek napisano, we wszystkich językach. Nawet w Hogwarcie nie mają tego, co tutaj.

Podniosła szklankę do ust. Okazało się, że to wino.

– A ich społeczeństwo? Żadnych wojen od czasów tamtego powstania w Zatoce Westchnień. Nawiasem mówiąc, wróciła na swoje dawne miejsce. Ludzie tutaj lubią swoją pracę, którą sami sobie wybierają. Rolnicy uprawiają rolę, tkaczki tkają, piekarze pieką. Jeśli muszą ścinać drzewo, sadzą nowe. Zawsze. I... Co?

– My też trochę się pokręciliśmy – powiedział jej Sawyer. – Annika popływała z syrenami w Zatoce Westchnień. Sasha zrobiła pół miliona szkiców. Bran spotkał się z magami.

– Wróciliśmy na górę – powiedział jej Bran – i poświęciliśmy ziemię wewnątrz kręgu.

– Doyle też był zajęty – powiedziała Sasha, nie przestając szkicować.

– Tak? Czym?

– Niczym specjalnym.

Sasha uniosła głowę i wbiła w niego ponaglące spojrzenie.

– No dobrze. – zgodził się. Wstał, wyciągnął coś z kieszeni. – Mam to.

Riley oniemiała, patrząc na pierścionek. Przezroczyisty, biały kamień oprawiony był w prostą obrączkę. Tak błyszczał, że niepotrzebne były inne zdobienia.

– Nie lubisz udziwnień – powiedział.

– Masz rację. Ale jak...

– Wystarczy poprosić, prawda? Więc spytałem, czy są tu jacyś jubilerzy, i pokazano mi ze sto pierścionków.

– Sasha i ja pomogliśmy mu wybrać – dodała Annika. – Nie było łatwo.

– Nie miałem przy sobie tutejszych pieniędzy, ale nie chcieli zapłaty. Tylko...

– Miał w kieszeni piszczałkę, fujarkę zrobioną, kiedy był chłopcem – pomogła mu Annika. – I wymienił ją na pierścionek.

– To... Jezu, jakie to słodkie.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała Sasha do Riley. – Poprosił Brana, żeby wygrawerował napis.

– Wygrawerował... – Riley wyrwała Doyle'owi pierścionek i odwróciła, żeby spojrzeć na

obrączkę. – *Ma Faol*. – Coś ścisnęło ją w gardle, serce szybciej jej zabiło. Mogła tylko na niego patrzeć.

Wziął od niej pierścionek.

– Czy oddasz mi swoją rękę?

– Jasne, że tak.

– Nazywa się to Szklany Kamień. Nie mam pojęcia, co to właściwie jest.

– Dowiem się tego. – Dziwiła się, że szczypią ją oczy, że z trudem powstrzymuje łzy. –

I mogę wszystkim powiedzieć, że jesteś skąpcem, bo to tylko szklany koralik.

– Jestem pewien, że to zrobisz. – Wsunął pierścionek na jej palec. – Teraz już nie masz odwrotu.

Annika zaczęła klaskać.

– Pocałuj ją, Doyle! Musisz ją teraz pocałować.

– Tak, pocałuj mnie, Doyle. – Chociaż była w sukni, Riley podskoczyła i objęła go nogami w pasie. – Tylko się postaraj.

Bardzo się postarał.

EPILOG

Riley wiedziała, że królewska uroczystość wymaga odpowiedniej oprawy. Przekonała się również, że kiedy Annika coś sobie postanowi w swoim syrenim umyśle, nic nie zdoła jej powstrzymać.

Wyprosiła teraz mężczyzn, oświadczając, że one muszą się odpowiednio przygotować. I zrobią to razem.

– To wyjątkowa okazja – tłumaczyła, cierpliwie zapinając chyba z pół miliona guziczków na plecach sukni Riley. – Kiedy u nas jest organizowana specjalna uroczystość, moje siostry i ja szykujemy się do niej razem. – Przytuliła policzek do głowy Riley. – Będę za wami bardzo tęsknić.

– Nie płacz. – Riley odwróciła się do niej. – Wygraliśmy. Uratowaliśmy światy.

– Nadal będziemy się widywać. – Sasha podeszła i mocno je objęła. – Tworzymy klan, zapomniałaś? Przyjedziemy na waszą wyspę. A Bran zrobi koło domu basen, żebyś mogła nas odwiedzać. I wszyscy razem udamy się tam, gdzie będą Riley i Doyle.

– Przysięgamy.

– Dajemy słowo honoru – dodała Riley. – To bardzo uroczysta przysięga. – Zaczepiła małym palcem o palec Anniki, a Sasha zrobiła to samo. – Zrobione. Szczerze was wszystkich kocham. I będę regularnie odwiedzała Sawyera i Brana.

– Mogę prosić o przysługę? – spytała Annika.

Sasha pocałowała ją w policzek.

– Wystarczy poprosić.

– Jestem bardzo przejęta uroczystością tutaj, ale... Czy możemy zorganizować naszą własną uroczystość? Kiedy już będziemy w domu Brana? Wieczór, który spędzimy ze sobą, wolni od trosk, bez broni, nim wrócę do morza?

– Świetny pomysł. – Riley spojrzała na Sashę. – A jakie jest twoje zdanie?

– Jestem za. To będzie najwspanialsza uroczystość, jaką świat widział.

– Popieram. No dobrze, Anni, może pora, żebyś się zobaczyła? – Riley wskazała lustro, które Annika wcześniej zasłoniła.

– Och, tak. – Ale najpierw uważnie przyjrzała się swoim przyjaciółkom i skinęła głową. Po czym teatralnym gestem ściągnęła zasłonę z lustra. – Wyglądamy ślicznie!

– Rety. – Riley zamrużyła powiekami.

Naturalnie widziała swoje przyjaciółki, Annikę w zielononiebieskiej sukni, jak jej syreni ogon, z włosami splecionymi w warkocze, opadające na plecy. I Sashę z długimi, falującymi włosami, w powłóczyściej, srebrzystoniebieskiej sukni. Ale ledwo rozpoznała siebie w dopasowanej sukni koloru pogniecionych płatków róży, z połyskującą złotem halką.

Dotknęła ręką włosów. Annika zdołała sprawić, że były puszyste i się kręciły.

– Wyglądamy olśniewająco. – Objęła Sashę w pasie, Annika zrobiła to samo. – Jesteśmy twardełkami, które całkiem dobrze się prezentują.

– Twardzielki – powtórzyła Annika i się roześmiała. – Śliczne twardełki.

– No właśnie. – Riley wskazała palcem ich odbicia w lustrze. – Chodźmy się zabawić.

Kiedy zobaczyła minę Doyle'a, uznała, że warto było poświęcić tyle czasu na przygotowania. Ujął jej dłoń, pochylił się i złożył na niej pocałunek.

– Królowa wojownicza. Moja królowa wojownicza.

– Ty też całkiem ładnie wyglądasz. – Przesunęła palcami po jego srebrnym kaftanie. –

Jesteś na to gotów?

Podał jej ramię i chociaż się roześmiała, położyła na nim dłoń. Cała szóstka ruszyła w górę po szerokich schodach.

Salę balową wypełniał tłum wystrojonych gości, stoły ugięły się pod srebrnymi i złotymi półmiskami pełnymi jedzenia. Pod sufitem migotały lampki, potężne świece rozsiewały blask, błyszcząły drzewa obwieszane klejnotami, a w powietrzu unosił się zapach białych kwiatów.

Drzwi i okna były szeroko otwarte, żeby do środka mogły wpadać dźwięki muzyki i odgłosy świętowania.

Kiedy szóstka strażników weszła, przerwano rozmowy. Na jakiś sygnał gwar na zewnątrz ucichł. Mężczyźni przyklękli na jedno kolano, kobiety nisko się ukloniły. A królowa wstała ze swojego fotela i do nich podeszła.

– Dziś wieczorem będziemy czcili bohaterów. – Skłoniła się przed nimi, lekko pochylając głowę. – Wasze imiona, wasze czyny zostaną zapamiętane po wsze czasy i będą uroczyście świętowane w rocznicę tego dnia przez stulecia. Wy i wszyscy wasi potomkowie zawsze będziecie tu mile widzianymi gośćmi.

Wstała, ujęła dłoń Brana, a potem Sashy.

– Branie Killian, Sasho Riggs, wystarczy, jak poprosicie.

– Dostałam więcej, niż kiedykolwiek śmiałybym marzyć. Odnalazłam siebie – powiedziała jej Sasha. – I miłość. I rodzinę.

– Mam swoje serce. – Bran położył drugą dłoń Sashy na sercu. – Braci, siostry. To, kim jestem, co mam, jest silniejsze.

– Dobraliście się jak w korcu maku. Kiedy przyjdzie moja pora, żebym poszukała sobie partnera, mam nadzieję, że też znajdę taką harmonię. Daję wam moje błogosławieństwo.

Zwróciła się teraz do Sawyera i Anniki, ujęła oboje za ręce.

– Sawyerze Kingu, Anniko z mórz, wystarczy, jak poprosicie.

– Wszystko, czego mógłbym chcieć, mam tutaj, obok siebie – powiedział Sawyer. – Już nie będę podróżował samotnie.

– Całym sercem pragnęłam Sawyera i moje życzenie się spełniło. Dotrzymałam przysięgi i moi ziomkowie mogą być ze mnie dumni. Mam nową rodzinę, obiecaliśmy sobie, że będziemy się spotykać.

– Córkó mórz, masz takie dobre serce. Nie poprosisz o tę jedną rzecz, o której wciąż skrycie marzysz?

Teraz Annika pochyliliła głowę.

– Moja pani, księżyc musi się obracać, żeby światy mogły istnieć. Nie mogę o to prosić.

– Księżyc się odmieni, ale możesz poprosić.

– Ale ja... – Uniosła głowę, oczy miała wielkie, pełne nadziei. – Nogi? Mogę je zachować, by móc spacerować z Sawyerem?

– Jeśli takie jest twoje życzenie. Córkó mórz i łądu, czy chciałabyś należeć do obu światów?

– Och, tak! Sawyerze...

– Zaczekaj. Ale nie będzie musiała zrezygnować ze swoich rodziców, sióstr, swoich pobratymców?

– Tak jak wy oddała wszystko. Nie będzie musiała z niczego zrezygnować. Tak – powiedziała Aegle, uśmiechając się do Anniki. – Będziecie mogli mieć dzieci.

Do oczu Anniki napłynęły łzy, lecz zaraz się roześmiała i zarzuciła królowej ręce na szyję. Riley przygotowała się na uderzenie pioruna w obliczu takiego naruszenia etykiety. Ale władczyni tylko wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś samą radością, zasługujesz na szczęście.
– Dziękuję, dziękuję. Sawyerze! – Annika rzuciła mu się na szyję. – Będę mogła z tobą chodzić i tańczyć. I możemy mieć dzieci.
Kiedy coś szepnęła mu na ucho, odchrząknął.
– Tak, możemy to zrobić zaraz po przyjęciu. – Wzrokiem przepelnionym wdzięcznością spojrzął nad głową Anniki na królową. – Dziękuję.
– Nie poprosiłyś o to dla siebie. Dobrana z was para. Błogosławimy was.
Zwróciła się do Doyle’a i Riley.
– Doyle’u McCleary, Riley Gwin, wystarczy, jak poprosicie.
– Mam milion pytań... – zaczęła Riley, czym rozbawiła Aegle.
– To nie życzenie, tylko twój zawód. Możesz tu zostać albo wracać, kiedy zechcesz, by prowadzić badania naukowe. Szklana Wyspa zawsze stoi dla ciebie otworem. Jeśli z nami zostaniesz, wiedz, że czas inaczej tu płynie. Będziesz go miała więcej.
– Nie, nie – odezwał się kategorycznym tonem Doyle. – Masz swoją karierę naukową, swoją watahę. Niczego nam nie potrzeba – powiedział do Riley.
– To ona musi poprosić lub nie. Riley Gwin, czy chciałabyś zrezygnować z przemiany w wilczycę?
– Czy... – zająknęła się zmieszana. – Taka jestem. Doyle...
– Taką cię kocham. – Złapał ją za ręce, żeby ją uciszyć. – Myślałaś, że zamierzam cię zabić tamtej nocy, po bitwie, kiedy pierwszy raz byliśmy świadkami twojej transformacji. Ale to ja doznałem wstrząsu i zacząłem się zmieniać. Tamte oczy, *ma faol*. Nie, z niczego nie rezygnuję.
– Właśnie taka jestem. – Zadowolona Riley znów zwróciła się do królowej. – To, że wasze drzwi tutaj są dla mnie otwarte, jest dla mnie ogromnym darem. Dziękuję ci, królowo.
– Byłoby mi przykro, gdybyś zdecydowała inaczej.
Kiedy Aegle mówiła, Riley zobaczyła jelenia, przeskakującego przez ścieżkę, łanię, która wyszła z lasu, kobietę, trzymającą małą dziewczynkę na biodrze, służącą o różowych policzkach, która przygotowała dla niej kąpiel.
– Ty też możesz zmieniać postać.
– Jestem we wszystkim, ze wszystkiego. Zawsze byłem z tobą. A ty? – zwróciła się do Doyle’a. – Czy masz jakąś prośbę?
– Znów mam rodzinę, razem z nią udało mi się dokonać tego, czego nie mogłem zrobić przez trzy stulecia. I mam moją wilczycę.
– Bogini ciemności cię nazaczyła, dając ci coś, czego niektórzy ludzie pragną, ale była świadoma, że przysporzy ci wielu cierpień. Światło może to zmienić. Czy zrezygnujesz z nieśmiertelności?
– To niemożliwe. Nawet Bran... – Doyle zobaczył coś w oczach czarnoksiężnika. – Możliwe?
– Poprosiłem i pokazano mi, jak tego dokonać.
– Chwileczkę. Nie dla mnie – oświadczyła Riley. – I nie pod wpływem impulsu. Śmierć to nie zabawa i...
– Trudno mnie posądzić, że działałem pod wpływem impulsu, skoro marzę o tym od trzydziestu lat. – Nadzieja, prawdziwa nadzieja wywołała w nim swego rodzaju ból.
Gorzko-słodki.
– Życie z tobą? Prawdziwe życie? Życie ze świadomością, że każdy dzień jest cenny i już się nie powtórzy? Właśnie tego pragnę. To więcej, niż kiedykolwiek chciałem mieć.
– W takim razie musisz się na to zgodzić. – Aegle wyciągnęła rękę. Podbiegł jakiś służący i przyniósł szklany kielich. – Od twojego brata.

Bran wziął kielich i wyjął z kieszeni fiołkę z przezroczystym płynem.

– To woda życia, wyczarowana ze światła. Jej czystość pokona siły ciemności, unicestwi kłatwę. – Wlał płyn do kielicha. – Jeśli chcesz znów być zwykłym śmiertelnikiem, wypij to.

Doyle przyjrzał się uważnie wodzie, pomyślał o swoim życiu, śmierciach, bitwach, o długiej drodze, którą samotnie przemierzał.

Uniósł kielich w stronę Brana, potem Sashy, Anniki i Sawyera. A na koniec w stronę Riley.

Jedyniej miłości swojego prawdziwego życia.

– Chcę mieć stadko dzieci – powiedział i wypił.

– Cc... Co?

– Słyszałaś. – Odczekał chwilę. – Nie czuję żadnej różnicy.

– Ciesz się, że nie stało się z tobą to samo, co z Nerezzą, i nie postarzałeś się o trzy stulecia. Uściślij, co rozumiesz przez „stadko”.

– Porozmawiamy o tym. – Zwrócił się do królowej. – Nasza pierwsza córka otrzyma twoje imię. Bez względu na to, ile dni życia mi zostało, zawsze będę ci wdzięczny.

– Stanowicie dobraną parę. Widzę przed wami życie pełne przygód. Błogosławię was wszystkich. Królowa może rządzić, okazując dobroć i troskę, mądrość i sprawiedliwość, ludzie mogą być szczęśliwi, ale żaden świat nie może rozkwitnąć bez tych, którzy są gotowi zaryzykować wszystko, żeby stawić czoło złu.

Była muzyka i jedzenie, wino i radość. Kolorowe suknie wirowały, światło błyskało. Późnym wieczorem, w środku uroczystości, królowa i jej boginie zaprowadziły sześcioro strażników na plażę.

Arianrhod wyciągnęła miecz w zwyczajnej, skórzanej pochwie.

– Jest twój.

– Poważnie? – Riley utkwiała w nim wzrok. – Mogę go wziąć?

– Jest twój.

– Była naszą siostrą – powiedziała Luna. – Będziemy opłakiwać to, kim mogłaby się stać.

– I żałować tego, co wybrała – dodała Celene. – Ale cieszyć się z tego, co wróciło do domu. Dla Aegle, promiennej, Gwiazda Ognia.

– Dla Aegle, promiennej, Gwiazda Wody. – Luna odwróciła się razem ze swoją siostrą.

– Dla Aegle, promiennej, Gwiazda Lodu – powiedziała Arianrhod.

Wszystkie trzy wyciągnęły ręce ku górze. W ich dłoniach wirowały i pulsowały gwiazdy.

Boginie uniosły się i poszybowały ku niebu, zostawiając za sobą smugę światła.

Mieszkańcy Szklanej Wyspy zaczęli wiwatować, kiedy gwiazdy zajęły swoje miejsce na niebie, poniżej księżyca, tworząc idealny łuk.

– Już na zawsze tam pozostaną, żeby wszystkie światy je widziały, zachwycaly się nimi, miały nadzieję. – Aegle jeszcze raz wyciągnęła ręce. – Szczęśliwej podróży, Strażnicy Gwiazd. Drzwi do naszego świata zawsze będą dla was otwarte.

– Odejdźcie szczęśliwi. – Celene skrzyżowała ręce na piersi.

– Kochający. – Luna położyła dłoń na sercu.

– W pokoju. – Arianrhod uniosła pięść ku swojemu sercu.

I wtedy Riley zobaczyła, że stoi ze swoimi przyjaciółmi przy murze w ogrodzie, obok domu Brana.

– Rety – udało się powiedzieć Sawyerowi. – A więc stało się.

Roześmiana Annika, wciąż w balowej sukni, zaczęła robić gwiazdy na trawniku.

– Znów w domu. – Bran przyciągnął Sashę do siebie.

– I wszystko dobrze się skończyło.

– Mam magiczny miecz.

Doyle spojrział na Riley.

– Będzie ci potrzebny trening.

– Tak, tak, ale mam magiczny miecz. – Wyciągnęła go i uniosła w stronę nieba. –

Spójrzcie.

Miecz błysnął, wskazując trzy gwiazdy poniżej księżyca.

– Są tam. Dzięki nam. Jak myślicie, co na ten temat powiedzą astronomowie?

– Tylko ty mogłabyś teraz o to spytać – uznał Doyle, kręcąc głową. Potem ujął jej twarz w obie ręce, popatrzył w oczy, które kochał. – Tylko ty.

– Proszę o chwilę uwagi. Zbierzcie się wszyscy. – Sawyerowi udało się złapać Annikę.

– To ważny moment. – Riley wzięła Doyle’a za rękę, objęła w pasie Sashę. Spojrzała, czy są już wszyscy razem.

Wreszcie strażnicy mogli stać nad morzem, pod Gwiazdami Fortuny.

Połączeni.